

CLIVE CUSSLER

PAUL KEMPRECOS

PODWODNY ZABÓJCA

(Przełożył: Maciej Pintara)

AMBER

2003

PROLOG I

Na zachód od Wysp Brytyjskich, rok 1515

Diego Aguirrez obudził się z niespokojnego snu z wrażeniem, że po twarzy przebiegł mu szczur. Wysokie czoło miał mokre od zimnego potu, serce mu waliło. Wsłuchiwał się w chrapanie swojej śpiącej załogi i plusk małych fal, uderzających o drewniany kadłub. Wszystko było w porządku. A mimo to nie mógł się pozbyć niepokoju i uczucia, że w mroku czai się niebezpieczeństwo.

Wygramolił się z hamaka, zarzucił na opalone ramiona gruby wełniany koc i wspiął się na zasnutą mgłą pokład. W przyćmionym blasku księżyca solidnie zbudowana karawela lśniła, jakby utkano ją z pajęczej nici. Aguirrez podszedł do skulonej postaci obok żółtej plamy światła lampy oliwnej.

- Dobry wieczór, kapitanie - odezwał się marynarz trzymający wachtę.

- Dobry wieczór - odrzekł Aguirrez. - Wszystko w porządku?

- Tak jest. Ale wciąż nie ma wiatru.

Aguirrez zerknął w górę na widmowe maszty i żagle.

- Nadejdzie. Czuję to.

- Tak jest - odparł marynarz i ziewnął mimo woli.

- Zejdź na dół i prześpij się trochę. Zastąpię cię.

- Moja wachta skończy się dopiero z następnym odwróceniem klepsydry.

Kapitan przestawił klepsydrę, stojącą obok lampy.

- Już się skończyła.

Marynarz podziękował i powłókł się do kwater załogi. Kapitan zajął jego miejsce na wysokiej prostokątnej rufie. Spojrzał na południe i wpatrzył się w gęstą mgłę. Unosiła się nad wodą niczym para, morze było gładkie jak lustro. Aguirrez nadal tkwił na posterunku, gdy weszło słońce. Oliwkowoczarne oczy bolały go ze zmęczenia i były zaczerwienione, koc przesiąkł wilgocią. Z właściwym sobie uporem nie zwracał na to uwagi i spacerował tam i z powrotem po mostku jak tygrys w klatce.

Był Baskiem, mieszkańcem skalistych gór między Hiszpanią i Francją. Lata na morzu wyostrzyły mu instynkt i nie lekcewał go. Baskowie byli najlepszymi żeglarzami na świecie. Ludzie tacy jak Aguirrez regularnie zapuszczali się na wody, które bardziej bojaźliwi

marynarze omijali w obawie przed węzami morskimi i wielkimi wirami. Miał krzaczaste brwi, duże odstające uszy, długi prosty nos i podbródek niczym półka skalna. Wiele lat później naukowcy zasugerują, że grube rysy twarzy Basków mogą świadczyć o ich pochodzeniu w linii prostej od człowieka z Cro-Magnon.

W szarym świetle przedświt pojawiła się załoga. Marynarze ziewali, przeciągali się i zabierali powoli do pracy. Kapitan ciągle jeszcze nie chciał zejść z mostka. I okazało się, że miał rację. W pewnym momencie przekrwionymi oczami dostrzegł jakiś błysk za grubą zasłoną mgły. Trwało to tylko moment, ale Aguirrez poczuł dziwną mieszaninę ulgi i strachu.

Serce zabiło mu szybciej. Uniósł mosiężną lunetę, zawieszoną na szyi. Rozciągnął ją na całą długość, zmrużył jedno oko, a drugie przyłożył do okularu. Najpierw widział w powiększeniu tylko szary wał mgły, skłębionej na styku z morzem. Przetarł oczy rękawem, zamrugał powiekami i ponownie uniósł lunetę. Znow nic nie zobaczył. Pomyślał, że była to tylko gra światła.

Nagle dostrzegł jakiś ruch. Z mgły wyłonił się ostry kształt. Przypominał dziób drapieżnego ptaka, badającego otoczenie. Potem ukazał się cały statek. Czarny smukły kadłub wystrzelił naprzód, sunął wolno przez kilka sekund, potem znow przyspieszył. Pojawiły się dwa następne statki. Ślizgały się po gładkiej powierzchni morza jak gigantyczne owady wodne. Aguirrez zaklął cicho.

Galery wojenne.

Słońce odbijało się w mokrych wiosłach, które rytmicznie zanurzały się w wodzie. Każdy ich ruch szybko przybliżał smukłe okręty bojowe do żaglowca.

Aguirrez przyglądał się im okiem doświadczonego budowniczego statków. Prawdziwe charty morskie, zdolne rozwijać dużą szybkość na krótkich odcinkach. Bojowe okręty, skonstruowane przez Wenecjan i używane przez wiele krajów europejskich.

Każdą galerę napędzało sto pięćdziesiąt wiosł, w trzech rzędach po dwadzieścia pięć z każdej burty. Niski, płaski kadłub miał niespotykany dotąd opływowy kształt. Z tyłu wyginał się wdzięcznie do góry ku nadbudówce mostka kapitańskiego. Wydłużony dziób nie służył już za taran, jak w dawnych czasach. Teraz umieszczone były na nim działa.

Z pojedynczego masztu blisko rufy zwisał mały trójkątny żagiel łaćniński, ale szybkość i manewrowość zapewniały galerze ludzkie mięśnie. Hiszpańskie sądy zapewniały stały dopływ galerników, skazanych na śmierć przy ciężkich, dziesięciometrowych wiosłach. Po *corsii*, wąskim pomoście między dziobem i rufą, chodzili nadzorcy i popędzali wiosłarzy groźbami i uderzeniami biczów.

Aguirrez wiedział, jak wielką ma przeciwko sobie siłę ognia. Galery były niemal dwukrotnie dłuższe od jego pękatej, dwudziestoczworometrowej karaweli. Zwykle miały na pokładzie pięćdziesiąt jednostrzałowych, gładkolufowych arkebuzów, ładowanych od przodu. Na ich dziobowych platformach artyleryjskich montowano moździerze nazywane bombardami. Umieszczano je z prawej strony, co pozostało z czasów, kiedy strategia walki morskiej polegała głównie na taranowaniu przeciwnika.

Galera przypominała mocny okręt grecki, jakim Odyseusz przepłynął z wyspy czarodziejki Kirke do kraju cyklopów, karawela natomiast była statkiem przyszłości. Szybka i zwrotna mogła żeglować po wodach całego świata. Łączyła południowy takielunek z wytrzymałym północnym kadłubem o gładkim poszyciu i sterze na zawiasach. Łatwe w obsłudze ożaglowanie łacińskie, pochodzące od arabskich *dhow*, dawało jej przewagę manewrową nad każdym ówczesnym żaglowcem.

Na nieszczęście dla Aguirreza te wspiane żagle zwisały teraz bezwładnie z dwóch masztów. Przy bezwietrznej pogodzie były bezużytecznymi kawałkami tkaniny. Karawela tkwiła nieruchomo na powierzchni morza niczym statek w butelce.

Aguirrez zerknął na martwe żagle, przeklinając żywioły, które sprzysięgły się przeciwko niemu. Był wściekły na siebie za karygodną krótkowzroczność. Należało od razu wypłynąć na pełne morze. Galery, ze względu na niskie burty, nie mogłyby go ścigać daleko od wybrzeża. Nie spodziewał się jednak martwej ciszy na morzu. Ani tego, że galery tak łatwo go znajdą.

Nie czas jednak na obwinianie się za popełnione błędy. Odrzucił koc na bok niczym matador pelerynę i ruszył wzdłuż statku, wykrzykując rozkazy. Marynarze ożywili się na dźwięk donośnego głosu kapitana, rozbrzmiewającego od rufy do dziobu. Po kilku sekundach pokład przypominał ruchliwe mrowisko.

Aguirrez wskazał zbliżające się okręty wojenne.

- Spuścić łodzie! - zawołał. - Uwijajcie się, chłopcy, bo inaczej damy katom zajęcie na cały dzień i noc.

Załoga rzuciła się do pracy. Wszyscy na pokładzie żaglowca wiedzieli, że czekają ich tortury i śmierć na stosie, jeśli wpadną w ręce ludzi na galerach. W ciągu kilku minut wszystkie trzy szalupy karaweli znalazły się na wodzie. Zajęli w nich miejsca najsilniejsi wiosłarze. Liny przymocowane do statku napięły się jak cięciwy łuków, ale uparta karawela ani drgnęła. Aguirrez krzyknął do marynarzy, żeby wiosłowali mocniej. Apelował do ich baskijskiej męskości i miotał najgorsze przekleństwa, jakie tylko przyszły mu do głowy.

- Ciągnijcie razem! Wiosłujecie jak banda hiszpańskich dziwek!

Wiosła spieniły spokojną wodę. Statek zadrżał, zaskrzypiał i w końcu ruszył. Aguirrez krzyknął jeszcze słowa zachęty i pobiegł z powrotem na rufę. Oparł się o reling i przyłożył lunetę do oka. Zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę, który patrzył na niego przez lunetę z platformy dziobowej galery na czele pościgu.

- El Brasero - szepnął Aguirrez z nieukrywaną pogardą.

Ignatius Martinez zobaczył, że Aguirrez patrzy na niego i wykrzywił grube, lubieżne wargi w triumfalnym uśmiechu. Z jego bezlitosnych, głęboko osadzonych żółtych oczu wycierał fanatyzm. Długi, arystokratyczny nos był zmarszczony, jakby poczuł smród padliny.

- Kapitanie Blackthorne - mruknął do rudobrodego mężczyzny - niech pan obieca wioślarzom, że odzyskają wolność, jeśli dopadniemy naszą zdobycz.

Kapitan wzruszył ramionami i wykonał rozkaz. Wiedział, że to okrutne oszustwo i Martinez nie zamierza dotrzymać obietnicy.

El Brasero znaczyło po hiszpańsku "kotlarz". Martinez zawdzięczał to przezwisko gorliwości w paleniu heretyków na stosie podczas autodafe, jak nazywano publiczne spektakle wymierzania kary. Był znaną postacią na *quemardo* - placu kaźni. Używał wszystkich środków, łącznie z przekupstwem, by zapewnić sobie zaszczyt podpalenia stosu. Choć oficjalnie nosił tytuł oskarżyciela publicznego i doradcy inkwizycji, przekonał swych zwierzchników, by powierzyli mu rolę głównego inkwizytora i oskarżyciela Basków. Ich ściganie było wyjątkowo opłacalne. Inkwizycja natychmiast konfiskowała majątek oskarżonego. Zagarnięte bogactwa ofiar finansowały więzienia inkwizycji, jej tajną policję, armię, izby tortur i urzędników oraz szły do kieszeni inkwizytorów.

Baskowie opanowali do perfekcji sztukę nawigacji i budowy statków. Aguirrez wiele razy wypływał na sekretne łowiska na Morzu Zachodnim. Polował na wieloryby i łowił dorsze. Baskowie byli urodzonymi ludźmi interesu. Wielu - jak Aguirrez - wzbogaciło się na rybołówstwie. Jego stocznia na rzece Nervion budowała statki wszystkich typów i rozmiarów. Aguirrez wiedział o okrucieństwach inkwizycji, ale był zbyt zajęty prowadzeniem różnych interesów, swoją piękną żoną i dwojgiem dzieci, by zwracać na to większą uwagę. Kiedyś po powrocie z rejsu przekonał się, że Martinez i inkwizycja to wrogie siły, których nie wolno lekceważyć.

Gdy statki pełne ryb zawinęły do portu, by wyładować połów, przywitał je wzburzony tłum. Ludzie błagali Aguirreza o pomoc. Inkwizytorzy aresztowali grupę miejscowych kobiet i oskarżyli o uprawianie czarów. Wśród uwięzionych była żona Aguirreza. Rzekome czarownice postawiono przed sądem i uznano za winne.

Aguirrez uspokoił tłum i pojechał prosto do stolicy prowincji. Choć był wpływowym człowiekiem, nie chciano słuchać jego prośb o uwolnienie kobiet. Urzędnicy odpowiadali, że nie mogą nic zrobić; to sprawa Kościoła, nie władz cywilnych. Niektórzy szeptali, że w obawie o własne życie i mienie wolą się nie narażać Świątemu Oficjum. El Brasero nie zna litości.

Aguirrez wziął sprawy w swoje ręce i zebrał setkę wiernych mu ludzi. Zaatakowali konwój wiozący rzekome czarownice na miejsce straceń i uwolnili je bez jednego strzału. Żona Aguirreza powiedziała mu, że El Brasero aresztował ją, by zagarnąć ich majątek.

Jednak Aguirrez podejrzewał, że inkwizycja zwróciła na niego uwagę z dużo ważniejszego powodu. Rok wcześniej rada starszych powierzyła mu opiekę nad najświętszymi relikwiami Kraju Basków. W przyszłości miały połączyć wszystkich Basków w walce o niepodległość przeciwko Hiszpanii. Na razie spoczywały w kufrze ukrytym w sekretnej izbie w domu Aguirreza. Martinez mógł usłyszeć o tym. Wszędzie roiło się od donosicieli. Wiedział, że relikwie mogą rozpaścić fanatyzm w podobny sposób, jak niegdyś święty Graal doprowadził do krwawych wypraw krzyżowych. Wszystko, co jednoczyło Basków, zagrażało inkwizycji.

Martinez nie zareagował na uwolnienie kobiet, ale wiadomo było, że uderzy, gdy tylko zbierze obciążające dowody. Aguirrez wykorzystał ten czas na przygotowania. Pod pretekstem remontu wysłał najszybszą karawelę swojej floty do San Sebastian. Wydał mnóstwo pieniędzy na zorganizowanie własnej armii szpiegów i zwerbował nawet ludzi z otoczenia Martineza. Obiecał wielką nagrodę temu, kto ostrzeże go przed aresztowaniem. Potem zajął się codziennymi sprawami i czekał. Trzymał się blisko domu, otoczony przez strażników, doświadczonych żołnierzy.

Minęło kilka spokojnych miesięcy, aż pewnej nocy przygalopował jeden z jego szpiegów w inkwizycji i załomotał zdyszany do drzwi domu. Martinez prowadzi grupę żołnierzy, by go aresztować! Aguirrez zapłacił informatorowi i wprowadził w czyn swój starannie przygotowany plan. Ucałował na pożegnanie żonę i dzieci, obiecując, że spotkają się w Portugalii. Gdy rodzina uciekła chłopskim wozem z większością majątku, skierował pościg na fałszywy trop. Wraz z uzbrojonymi towarzyszami dotarł na wybrzeże. Czekala już tam karawela, która wkrótce potem postawiła żagle i odpłynęła na północ.

Następnego dnia o wschodzie słońca z porannej mgły wynurzyła się flotylla galer wojennych, by przeciąć drogę karaweli. Aguirrez zręcznym manewrem ominął przeciwnika i popłynął z wiatrem na północ wzdłuż francuskiego wybrzeża. Wziął kurs na Danię, skąd zamierzał skierować się na zachód ku Grenlandii i Islandii, a potem w stronę odległego

Wielkiego Łądu. Jednak w pobliżu Wysp Brytyjskich wiatr ucichł i Aguirrez utknął ze swoimi ludźmi wśród martwej ciszy.

Teraz, w obliczu trzech zbliżających się galer, był zdecydowany walczyć na śmierć i życie. Rozkazał artylerzystom przygotować się do bitwy. Uzbrajając karawelę uważał, że siła ognia może być równie ważna jak szybkość i zwrotność statku.

Standardowy arkebuz ładowano przez lufę i umieszczano na stojaku. Do ładowania i strzelania potrzeba było dwóch ludzi. Kanonierzy Aguirreza mieli mniejsze, lżejsze wersje tej broni, z którą mógł poradzić sobie jeden człowiek. Byli doskonałymi strzelcami i nigdy nie chybiaли. Aguirrez wyposażył karawelę również w cięższą artylerię. Wybrał dwie armaty z brązu na kołowych lawetach. Jego kanonierzy byli tak wyszkoleni, że potrafili ładować działa, celować i strzelać z zegarmistrzowską precyzją.

Wioślarze wyraźnie opadli z sił i statek poruszał się w tempie muchy pełzającej przez kubek melasy. Galery były już niemal w zasięgu ognia armat. Ale też i Hiszpanie mogli z łatwością powystrzelać ludzi w łodziach. Aguirrez zdecydował jednak, że jego marynarze zostaną przy wiosłach. Dopóki karawela płynęła, miał przynajmniej zdolność manewrową. Przynaglił wioślarzy i odwrócił się, by wydać rozkazy kanonierom, gdy jego wyczulone zmysły zarejestrowały zmianę temperatury, co zwykle zapowiadało wiatr. Mniejszy z łacińskich żagli zatrzepotał niczym skrzydło zranionego ptaka. Potem zamarł w bezruchu.

Kiedy kapitan badał wzrokiem morze w poszukiwaniu zmarszczek na powierzchni, zwiastujących podmuch wiatru, usłyszał znajomy huk bombardu. Moździerz dużego kalibru był zamontowany nieruchomo, bez żadnej możliwości przestawienia go w pionie lub poziomie. Kula armatnia nieszkodliwie rozprysnęła wodę sto metrów za rufą karaweli. Aguirrez roześmiał się. Wiedział, że bezpośrednie trafienie z bombardu jest praktycznie niemożliwe, nawet gdy cel porusza się tak wolno, jak teraz karawela.

Trzy galery szły dziób w dziób. Kiedy obłok dymu rozplynął się w powietrzu, dwa boczne okręty wyprzedziły środkowy i znalazły się tuż za karawelą. Manewr miał zmylić przeciwnika. Obie galery skrzyły w lewo i jedna wysunęła się do przodu. Większość uzbrojenia miały z prawej burty. Przy mijaniu wlokącej się karaweli mogły ostrzelać jej pokład i takielunek z broni małego i średniego kalibru.

Aguirrez spodziewał się takiego ataku. Umieścił oba działa blisko siebie przy lewej burcie i zakrył ich lufy czarną tkaniną. Wróg powinien pomyśleć, że karawela też ma nieskuteczny bombard i jest bezbronna od strony burt.

Aguirrez spojrział przez lunetę na platformę artyleryjską galery i zaklął. Rozpoznał swojego dawnego marynarza, który towarzyszył mu w wielu rejsach na łowiska. Znał on trasę na Morze Zachodnie. Było bardziej niż pewne, że inkwizycja zagroziła jego rodzinie.

Aguirrez sprawdził kąat podniesienia luf obu dział. Zerwał czarną tkaninę i spojrział na morze przez otwory strzelnicze. Nie napotkawszy oporu, pierwsza galera zbliżyła się do karaweli. Aguirrez dał rozkaz i oba działa zagrzmiały. Pierwszą kulę wystrzelono za wcześnie i tylko odłamała długi dziób galery, ale druga trafiła w platformę artyleryjską.

Część dziobowa okrętu rozprysła się wśród ognia i dymu. Do rozerwanego kadłuba wdarła się woda pod ciśnieniem zwiększonym przez szybkość galery. Okręt zanurzył się pod powierzchnię i zatonął w ciągu kilku sekund. Aguirrez współczuł galernikom. Byli przykuci kajdanami do wiosel i nie mogli się ratować. Ale przynajmniej mieli szybką śmierć i uniknęli dalszych cierpień w niewoli.

Załoga drugiej galery, nie chcąc podzielić losu pierwszej, dała pokaz słynnej zwrotności trirem. Okręt skręcił ostro i oddalił się od karaweli. Potem zatoczył krąg, by dołączyć do Martineza, który przezornie trzymał się z tyłu.

Aguirrez przypuszczał, że galery rozdziela się, okrążą statek poza zasięgiem dział, znów się spotkają i zaatakują bezbronnych wiosłarzy. Martinez jakby czytał w jego myślach. Okręty rozstały się i zaczęły okrążać karawelę z obu stron niczym ostrożne hieny.

Aguirrez usłyszał trzask nad głową - nieoczekiwanie załopotał grot. Wstrzymał oddech. Czy to tylko pojedynczy podmuch wiatru, jak poprzednio?

Ale żagle znów załopotwały i wydeły się, aż zaskrzypiały maszty. Pobiegl na dziób, przechylił się przez reling i krzyknął do załogi na pokładzie, żeby zabrać wiosłarzy z powrotem na statek.

Za późno.

Galery przerwały zataczanie długiej pętli i wróciły ostrym zwrotem na kurs w kierunku karaweli. Okręt z prawej strony ustawił się burtą do łodzi i strzelcy otworzyli ogień z arkebuzów. Pociski podziurawiły bezbronnych wiosłarzy.

Druga galera spróbowała takiego samego manewru. Załoga karaweli otrząsnęła się jednak z zaskoczenia i skoncentrowała ogień na odsłoniętej platformie artyleryjskiej, gdzie Aguirrez widział ostatnio Martineza. El Brasero bez wątpienia ukrył się za osłoną z grubych desek, ale niech wie, że nie pójdzie mu tak łatwo.

Salwa uderzyła w platformę jak ołowiana pięść. Gdy jedni strzelali, inni gorączkowo ładowali arkebuzy. Zabójcza kanonada trwała. Galera nie wytrzymała gradu pocisków. Z jej kadłuba i wiosel leciały drzazgi. Okręt wycofał się.

Załoga karaweli rzuciła się do wciągania łodzi. Pierwsza szalupa ociekała krwią, połowa wioślarzy nie żyła. Aguirrez wydał rozkazy artylerzystom i pobiegł do koła sterowego. Obsługa dział zakrzętnęła się wokół armat i przemieściła je do dziobowych otworów strzelniczych. Inni marynarze zajęli się żaglami, by maksymalnie wykorzystać orzeźwiająca bryzę.

Gdy karawela nabrała szybkości, zostawiając za rufą spieniony kilwater, kapitan skierował statek ku galerze uszkodzonej przez jego strzelców. Okręt próbował uciekać, ale stracił wioślarzy i poruszał się wolno. Aguirrez czekał, chcąc zbliżyć się na odległość pięćdziesięciu metrów. Strzelcy na galerze otworzyli ogień do karaweli, ale z marnym skutkiem.

Na karaweli huknęły działa. Kule trafiły w nadbudówkę kapitańską na rufie i roztrzaskały ją na drobne kawałki. Armaty załadowano powtórnie i wycelowano w linię wodną galery. W jej kadłubie pojawiły się wielkie dziury. Obciążony ludźmi i sprzętem okręt natychmiast poszedł pod wodę. Na powierzchni pozostały tylko pęcherze powietrza, odłamki drewna i garstka nieszczęsnych pływaków.

Aguirrez skierował swoją uwagę na trzecią galere.

Widząc zmianę w układzie sił, Martinez zaczął uciekać. Jego okręt mknął na południowym spłoszony zając. Zwinna karawela zostawiła swoją ofiarę i ruszyła w pościg. Aguirrez miał w oczach żądzę krwi, rozkoszował się perspektywą zabicia El Brasero.

Nic z tego. Orzeźwiająca bryza wiała zbyt słabo, by karawela mogła dogonić galere, której wioślarze walczyli o życie. Wkrótce uciekający okręt stał się ciemnym punktem na oceanie.

Aguirrez ścigałby Martineza na koniec świata, ale zobaczył żagle na horyzoncie. Podejrzał, że to posiłki nieprzyjaciela. Inkwizycja miała długie ręce. Pamiętał o obietnicy danej żonie i dzieciom i o swoich obowiązkach wobec Basków. Niechętnie zawrócił na północ i wziął kurs na Danię. Nie miał złudzeń co do swojego wroga. Martinez mógł być tchórzem, ale był cierpliwy i uparty.

Aguirrez wiedział, że jeszcze się spotkają. To tylko kwestia czasu.

PROLOG II

Niemcy, rok 1935

Krótko po północy na wiejskich terenach między Hamburgiem i Morzem Północnym zaczęły wyc psy. Przerazone zwierzęta wpatrywały się w czarne, bezksiężycowe niebo z wywieszonymi językami, drżąc na całym ciele. Ich czułe uszy łowiły dźwięk, którego nie usłyszałyby człowiek: cichy szum silników gigantycznej, srebrzystej torpedy, sunącej przez gęstą warstwę chmur wysoko w górze.

Cztery dwunastocylindrowe silniki Maybacha, po dwa z każdej strony, wisiały w opływowych obudowach pod brzuchem 244-metrowego statku powietrznego. W wielkich oknach gondoli blisko dziobu jarzyło się światło. Długie, wąskie pomieszczenie przypominało sterownię okrętu. Miało kompas i szprychowe koła sterów kierunku i wysokości.

Obok pilota stał w szerokim rozkroku kapitan Heinrich Braun. Był wysoki, wyprostowany jak struna, ręce trzymał złożone za plecami. Miał na sobie nieskazitelny granatowy mundur i wysoką czapkę z daszkiem. Mimo włączonego ogrzewania do kabiny przenikało zimno i kapitan włożył pod kurtkę grubego sweter z golfem. Jego wyniosły profil wyglądał jak wyrzeźbiony z granitu. Sztwna postawa, ostrzyżone tuż przy skórze włosy i lekkie uniesienie wystającego podbródka pozostały mu z czasów służby w marynarce pruskiej.

Braun sprawdził kompas, potem odwrócił się do tegoż mężczyzny w średnim wieku z sumiastymi, podkreconymi do góry wąsami, które nadawały mu wygląd spalonego morsa.

- A zatem, *Herr Lutz*, pokonaliśmy pomyślnie pierwszy etap naszej historycznej podróży. Utrzymujemy docelową szybkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Nawet przy lekkim czołowym wietrze zużycie paliwa zgadza się dokładnie z wyliczeniami. Moje gratulacje, *Herr Professor*.

Herman Lutz przypominał barmana z monachijskiej piwiarni, ale był jednym z najzdolniejszych inżynierów lotniczych w Europie. Po przejściu na emeryturę Braun napisał książkę, w której proponował regularne loty sterowcami nad biegunem do Ameryki Północnej. Na wykładzie promującym książkę poznał Lutza. Inżynier usiłował zebrać

fundusze na wyprawę polarną statkiem powietrznym. Oba mężczyźni połączyło mocne przekonanie, że sterowce mogłyby reklamować współpracę międzynarodową.

Niebieskie oczy Lutza błyszczały z podniecenia.

- To ja panu gratuluję, kapitanie Braun. Razem umocnimy pokój na świecie.

- Chyba miał pan na myśli umocnienie Niemiec - zadrwił niski, szczupły mężczyzna o nazwisku Gerhardt Heinz. Stał z tyłu w takiej odległości, by słyszeć każde słowo. Ostentacyjnie zapalił papierosa.

- *Herr* Heinz - odezwał się lodowato Braun - zapomniał pan, że mamy nad głowami tysiące metrów sześciennych wybuchowego wodoru? Palenie jest dozwolone tylko w wydzielonej części kwater załogi.

Heinz wymamrotał coś w odpowiedzi i zgasił palcami papierosa. Dla dodania sobie pewności wypiął pierś jak kogut. Golił głowę na łyso, był krótkowidzem i nosił binokle. Chciał być groźny, ale wyglądał groteskowo.

Lutz pomyślał, że w opiętym, czarnym skórzanym płaszczu Heinz przypomina larwę wyłaniającą się z kokona, ale przezornie zachował to dla siebie. Obecność Heinza na pokładzie była ceną, jaką on i Braun musieli zapłacić za start sterowca. Podobnie jak nazwa statku powietrznego: "Nietzsche", od nazwiska niemieckiego filozofa. Niemcy usiłowały wyzwolić się z finansowego i psychologicznego jarzma, nałożonego przez Traktat Wersalski. Kiedy Lutz przedstawił pomysł podróży sterowcem do bieguna północnego, znalazło się wielu ludzi chętnych do jej sfinansowania, ale projekt utknął w miejscu.

Wreszcie postanowiono, że będzie to tajna misja. Jeśli powiedzie się, zostanie ujawniona. Alianci staną przed faktem dokonanym i przekonają się o wyższości niemieckiej techniki lotniczej. Fiasko będzie zachowane w tajemnicy, żeby uniknąć kompromitacji.

Statek powietrzny zbudowano w ukryciu. Lutz skonstruował go na wzór wielkiego sterowca "Graf Zeppelin". Warunkiem umowy było zabranie na wyprawę Heinza, który reprezentował interesy przemysłowców.

- Kapitanie, może nas pan oświecić, gdzie jesteśmy? - zapytał Lutz.

Braun podszedł do stołu nawigacyjnego i wskazał pozycję na mapie.

- Tutaj. Polecimy kursem "Norge" i "Italii" na Spitsbergen. Stamtąd skierujemy się na biegun. Spodziewam się, że ostatni etap podróży pokonamy w jakieś piętnaście godzin, zależnie od pogody.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli więcej szczęścia niż Włosi - odezwał się Heinz, bez potrzeby przypominając innym o wcześniejszych próbach dotarcia do bieguna statkami powietrznymi. W 1926 roku norweski badacz polarny Amundsen i włoski inżynier Umberto

Nobile szczęśliwie osiągnęli cel i okrążyli biegun włoskim sterowcem "Norge". Następna ekspedycja Nobilego w bliźniaczym statku powietrznym "Italia" miała wylądować na biegunie, ale sterowiec rozbił się. Amundsen zaginął w drodze na miejsce katastrofy. Nobilego i część jego ludzi uratowano.

- To nie jest kwestia szczęścia - odparł Lutz. - Nasz statek powietrzny został skonstruowany z myślą o tej konkretnej misji. Jest mocniejszy i odporniejszy na kaprysy pogody. Ma dodatkowe systemy łączności. *Blaugas* pozwala nim lepiej sterować, bo nie musimy wypuszczać wodoru jako balastu. Mechanizmy mogą pracować w niskich temperaturach arktycznych. To najszybszy sterowiec, jaki kiedykolwiek powstał. W pogotowiu są samoloty i statki, które w razie konieczności natychmiast przystąpią do akcji ratowniczej. Nasze urządzenia meteorologiczne nie mają sobie równych.

- Mam pełne zaufanie do pana i tego sterowca - zapewnił Heinz z obłudnym uśmiechem.

- To dobrze. Proponuję, żebyśmy trochę wypoczęli przed postojem na Spitsbergenie. Zatankujemy paliwo i wystartujemy na biegun.

Lot na Spitsbergen przebiegł bez przygód. Zawiadomiona przez radio obsługa naziemna czekała z paliwem i zaopatrzeniem. Po kilku godzinach statek powietrzny był w drodze na północ i minął Ziemię Franciszka Józefa.

Na szarym morzu w dole dryfowały kawałki kry. W końcu bryły lodu połączyły się w wielkie, nieregularne połącie, poprzecinane tu i tam ciemnymi żyłami wody. Blisko bieguna lód tworzył rozległą, jednolitą powłokę. Choć niebieskobiała powierzchnia wyglądała z wysokości trzystu metrów na płaską, polarnicy wiedzieli, że są na niej trudne do przebycia grzbiety i garby.

- Dobra wiadomość - oznajmił wesoło Braun. - Jesteśmy już na osiemdziesiątym piątym stopniu szerokości północnej. Niedługo dotrzemy do bieguna. Warunki pogodowe są idealne. Żadnego wiatru. Czyste niebo.

Podniecenie rosło. Nawet ci, którzy nie byli na służbie, stłoczyli się w sterowni i wyglądali przez wielkie okna, jakby mieli nadzieję zobaczyć wysoki, pasiasty słup oznaczający biegun.

- Panie kapitanie, chyba widzę coś na lodzie - zawołał jeden z obserwatorów.

Kapitan spojrział przez lornetkę we wskazanym kierunku.

- Ciekawe. - Wręczył lornetkę Lutzowi.

- To statek - powiedział po chwili Lutz.

Braun skinął głową i polecił pilotowi zmienić kurs.

- Co pan robi? - zapytał Heinz.

Braun podał mu lornetkę.

- Niech pan zobaczy - odrzekł bez wyjaśnienia.

Heinz przyłożył lornetkę do oczu.

- Nic nie widzę - powiedział.

Brauna wcale to nie zaskoczyło. Facet był ślepy jak kret.

- Nie szkodzi. Na lodzie jest statek.

Heinz zamrugał gwałtownie powiekami.

- A co on tu robi? Nie słyszałem o żadnej innej ekspedycji na biegun. Rozkazuję panu wrócić na kurs.

- Na jakiej podstawie, *Herr* Heinz? - zapytał kapitan i uniósł wyżej podbródek.

- Mamy zadanie dotrzeć do bieguna północnego - odparł Heinz.

Kapitan Braun spojrział na Heinza, jakby miał ochotę wykopać go z kabiny i popatrzeć, jak spada na pokrywę lodową.

- *Herr* Heinz, ma pan rację, przyjacielu, ale uważam, że powinniśmy również badać wszystko, co może się przydać nam lub następnej ekspedycji - wtrącił się Lutz.

- Poza tym - dodał Braun - jak każdy statek pływający po morzu, mamy obowiązek ratować tych, którzy potrzebują pomocy.

- Jeśli nas zobaczą, zawiadomią kogoś przez radio, co zagrozi naszej misji - próbował oponować Heinz.

- Musieliby być ślepi i głusi, żeby nas nie widzieć i nie słyszeć - odrzekł Braun. - A jeśli zameldują komuś o naszej obecności, to co z tego? Nasz statek powietrzny nie jest oznakowany, ma tylko nazwę.

Heinz poddał się. Powoli zapalił papierosa i prowokacyjnie wydmuchnął dym, rzucając kapitanowi wyzwanie.

Braun zignorował ten buntowniczy gest i dał rozkaz do zejścia w dół. Pilot przestawił stery i gigantyczny statek powietrzny rozpoczął długi, ślizgowy lot ku pokrywie lodowej.

Wyspy Owcze, czasy współczesne

Samotny statek zmierzający ku Wyspom Owczym wyglądał jak po przegranej bitwie paintballowej. Pięćdziesięciometrowy kadłub "Sea Sentinel" był ochlapany od dziobu do rufy oślepiającą, psychodeliczną mieszaniną farb w kolorach tęczy. Do uzupełnienia karnawałowej atmosfery brakowało tylko pisco i parady klaunów. Ale wesoły wygląd statku był mylący. Wielu przekonało się na własnej skórze, że "Sea Sentinel" jest na swój sposób równie groźny jak okręt wojenny.

Statek przyplłynął na te wody po 180-milowym rejsie z Wysp Szetlandzkich niedaleko Szkocji. Powitała go cała flotyła kutrów rybackich i jachtów, wynajętych przez międzynarodowe koncerty prasowe. W pobliżu czuwał duński krążownik "Leif Eriksson", pod zachmurzonym niebem krążył helikopter.

Mżyło, typowa letnia pogoda na Wyspach Owczych, archipelagu osiemnastu skalistych kawałków lądu na północno-wschodnim Atlantyku, w połowie drogi między Danią i Islandią. Czterdzieści pięć tysięcy mieszkańców wysp to w większości Farerowie. Są potomkami wikingów, którzy osiedlili się tam w IX wieku. Choć archipelag jest częścią Królestwa Danii, miejscowi mówią językiem wywodzącym się ze staronordyckiego. Na wysokich klifach, wznoszących się nad morzem jak mury obronne, gnieźdzą się miliony ptaków

Na pokładzie dziobowym statku stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po czterdziestce. Otaczali go reporterzy i kamerzyści. Marcus Ryan, kapitan "Sea Sentinel", był ubrany w szyty na miarę, czarny mundur oficerski ze złotymi galonami na kołnierzu i rękawach. Miał profil gwiazdora filmowego, opaloną twarz i włosy do karku, które teraz rozwiewała bryza. Kwadratową szczękę otaczała ruda broda. Przypominał filmowego kapitana statku i bardzo dbał o ten wizerunek.

- Gratuluję, panie i panowie - powiedział modulowanym głosem, górującym ponad warkotem silników i pluskiem wody uderzającej o kadłub. - Niestety, nie mogliśmy zapewnić spokojniejszego morza. Niektórzy z was trochę zzielenieli po podróży z Szetlandów.

- Nie ma sprawy - mruknęła reporterka CNN. - Tylko niech pan się postara, żeby materiał był wart tej całej cholernej dramaminy, którą połknęłam.

Ryan posłał jej hollywoodzki uśmiech.

- Mogę zagwarantować, że zobaczy nas pani w akcji. - Teatralnym gestem zatoczył ręką szeroki łuk. Obiektywy kamer posłusznie podażyły za jego palcem wycelowanym w okręt wojenny. Krążownik płynął z wystarczającą szybkością, by ich wyprzedzić. Na maszcie trzepotała duńska bandera - czerwona z białym krzyżem. - Kiedy ostatnim razem próbowaliśmy przeszkodzić Farerom w rzezi wielorybów, ten duński krążownik strzelił nam przed dziób. Pociski z broni ręcznej omal nie trafiły jednego z członków naszej załogi. Ale Duńczycy zaprzeczają, że otworzyli do nas ogień.

- Naprawdę obrzuciliście ich śmieciami? - zapytała reporterka CNN.

- Broniliśmy się tym, co było pod ręką - odrzekł Ryan z udawaną powagą. - Nasz kucharz zrobił miotacz do wystrzeliwania z pokładu worków z odpadkami biodegralnymi. Jest fanem średniowiecznej broni i skonstruował coś w rodzaju katapulty. Kiedy krążownik próbował przeciąć nam drogę, trafiliśmy go. Sami byliśmy zaskoczeni. Tamci też. - Odczekał chwilę i zakończył: - Nie ma to, jak walnąć w kogoś obierkami kartofli, skorupkami jajek i fusami z kawy, żeby zwinął żagle.

Rozległ się śmiech.

- Nie obawia się pan - zapytał reporter BBC - że takie wygłupy umacniają reputację Strażników Morza jako jednej z bardziej radykalnych grup obrońców środowiska i praw zwierząt? Pańska organizacja SOS chętnie przyznaje się do zatapiania statków wielorybnych, blokowania dróg wodnych, malowania sprayem młodych fok, atakowania ich łowców, przecinania sieci...

Ryan uniósł rękę w proteście.

- Chodzi o pirackie statki wielorybne na wodach międzynarodowych. Inne rzeczy możemy udokumentować jako legalne, zgodne z umowami międzynarodowymi. Z drugiej strony, nasze statki też są taranowane. Przeciwno naszym ludziom używa się gazu, strzela się do nich i bezprawnie ich aresztuje.

- Co pan odpowie tym, którzy nazywają was organizacją terrorystyczną? - zapytał reporter z "The Economist".

- Zadam im pytanie: czy może być coś bardziej przerażającego niż zabijanie z zimną krwią od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy bezbronnych wielorybów rocznie? I przypomnę im, że podczas naszych interwencji nikt nigdy nie został ranny ani zabity. - Ryan znów błysnął swoim uśmiechem. - Dajcie spokój, na tym statku są ludzie, nie potwory. - Wskazał gestem atrakcyjną, młodą kobietę. Stała z dala od reszty i przysłuchiwała się dyskusji. - Powiedzcie szczerze, czy ta pani wygląda na przerażającą?

Therri Weld miała trzydzieści pięć lat. Była średniego wzrostu i zgrabnie zbudowana. Sprane džinsy, robocza koszula i workowata kurtka nie mogły zamaskować jej powabnych, kobiecych kształtów. Czapka baseballowa z napisem SOS przykrywała kasztanowe, naturalne loki, które wiły się jeszcze bardziej od wilgotnego powietrza. Oczy koloru gencjany były czujne i inteligentne. Podeszła z uśmiechem.

- Większość z państwa już mnie zna - odezwała się cichym, lecz wyraźnym głosem. - Wiecie więc, że kiedy Marcus nie wykorzystuje mnie w roli marynarza, jestem doradcą prawnym SOS. Jak powiedział, używamy akcji bezpośredniej jako ostatecznego środka. Po ostatnim spotkaniu na tych wodach wycofaliśmy się i przeszliśmy do bojkotu tutejszych ryb.

- Ale wciąż nie potraficie zastopować grindów - zwrócił się do Ryana reporter BBC.

- Nigdy nie mówiliśmy, że łatwo będzie wykorzenić tradycję, która ma setki lat - odrzekł Ryan. - Farerowie są tak samo uparci, jak musieli być ich normańscy przodkowie, żeby przetrwać. Nie poddadzą się takiej garstce obrońców wielorybów, jak my. I choć ich podziwiam, uważam grindarap za okrucieństwo i barbarzyństwo. Wiem, że niektórzy z was byli już na grindzie. Czy ktoś chciałby to skomentować?

- Cholernie krwawa impreza - przyznał reporter BBC. - Ale polowań na lisy też nie lubię.

Rysy Ryana stężały.

- Lis ma przynajmniej szansę uciec - odparł. - Grind to zwykła masakra. Kiedy ktoś zauważy stado wielorybów, włącza syrenę i łodzie zaganiają stworzenia w kierunku lądu. Miejscowi - kobiety i czasem dzieci - czekają na brzegu. Jest mnóstwo alkoholu i wielka feta. Ludzie wbijają wielorybom harpuny w nozdrza i wyciągają je na ląd. Tam przecinają wielorybom żyły szyjne, żeby wykrwawiły się na śmierć. Woda robi się czerwona. Czasem odpiłowują głowy stworzeniom, które jeszcze żyją!

Wtrąciła się blondynka jakiegoś dziennika.

- Ale czym różni się grind od zarzynania bydła na wołowinę?

- Pyta pani niewłaściwą osobę - odrzekł Ryan. - Jestem wegetarianinem. - Odczekał, aż ucichną śmiechy. - Jednak rozumiem panią. W mięsie wielorybów jest rtęć i kadm. To szkodzi dzieciom Farerów.

- Skoro chcą trucie siebie i swoje dzieci - odpowiedziała reporterka - to czy potępienie ich tradycji nie jest nietolerancją ze strony SOS?

- Walki gladiatorów i publiczne egzekucje też były kiedyś tradycją. Cywilizacja zdecydowała, że we współczesnym świecie nie ma miejsca dla takich barbarzyńskich

spektakli. Zadawanie niepotrzebnego bólu bezbronnym stworzeniom jest tym samym. Oni uważają to za tradycję, my za morderstwo. Dlatego wróciliśmy.

- Nie lepiej kontynuować bojkot? - zapytał przedstawiciel BBC.

Odpowiedziała mu Therri.

- To zbyt powolna metoda. Nadal zabija się setki wielorybów. Więc zmieniliśmy taktykę. Koncerny naftowe chcą postawić wieże wiertnicze na tych wodach. Jeśli stworzymy wystarczająco złą atmosferę wokół polowań, nacierze mogą się wycofać. To skłoni wyspiarzy, żeby zaprzestali grindów.

- Mamy tu jeszcze inną sprawę do załatwienia - dodał Ryan. - Będziemy pikietować międzynarodową firmę przetwórstwa rybnego, żeby zademonstrować nasz sprzeciw wobec szkodliwych skutków przemysłowej hodowli ryb.

Reporterka Fox News nie wierzyła własnym uszom.

- Czy jest ktoś, w kim nie chcecie mieć wroga?

- Proszę dać mi znać, kogo przeoczyliśmy - roześmiał się Ryan.

- Jak daleko zamierzacie się posunąć w waszym proteście? - zainteresował się przedstawiciel BBC.

- Tak daleko, jak będzie można. Według nas te polowania są prowadzone wbrew prawu międzynarodowemu. Jesteście tu jako świadkowie. Może być niebezpiecznie. Jeśli ktoś woli zrezygnować, zapewniam transport. - Ryan rozejrzał się dookoła i uśmiechnął się. - Nikt? Doskonale. A zatem ruszamy do boju. Śledzimy kilka stad wielorybów. Na tych wodach jest ich pełno. Tamten młody załogant, który tak energicznie macha ręką, może mieć coś dla nas.

Podbiegł marynarz pełniący wachtę.

- Parę stad mija wyspę Streymoy - zameldował. - Nasz obserwator na brzegu mówi, że wyje syrena i spuszczają łodzie na wodę.

Ryan znów odwrócił się do reporterów.

- Pewnie spróbują zagnać te stworzenia na ląd w strefie polowań w Kvikvik. Ustawimy się między łodziami i wielorybami. Jeśli uda nam się odpędzić stado, zaczniemy blokować wyspiarzy.

Reporterka CNN wskazała krążownik.

- Czy to nie wkurzy tamtych facetów?

Ryan wyszczerzył zęby.

- Na to liczę.

Wysoko na mostku "Leifa Erikssona" mężczyzna w cywilnym ubraniu patrzył na "Sea Sentinel" przez silną lornetkę.

- Mój Boże - mruknął Karl Becker do kapitana okrętu, Erica Petersena - tamten statek wygląda, jakby pomalował go jakiś pomyleniec.

- Ach, więc zna pan kapitana Ryana - odrzekł Petersen z lekkim uśmiechem.

- Tylko ze słyszenia. Tyle razy złamał prawo i nigdy go o nic nie oskarżono. Co pan o nim wie, kapitanie?

- Po pierwsze, nie jest pomyłony. Wszystkie jego działania są dokładnie przemyślane. Nawet krzykliwe kolory tamtego statku. Usypiają czujność przeciwnika, który nic nie podejrzewa i popełnia błąd. I całkiem dobrze wyglądają w telewizji.

- Może moglibyśmy go zaarrestować za psucie pejzażu morza, kapitanie Petersen - podsunął Becker.

- Podejrzewam, że Ryan znalazłby eksperta, który określiłby jego statek jako pływające dzieło sztuki.

- Cieszę się, że nie stracił pan poczucia humoru, mimo upokorzenia, jakiego doznał ten okręt przy ostatnim spotkaniu ze Strażnikami Morza.

- Sflukanie śmieci z pokładu zajęło tylko kilka minut. Ale mój poprzednik uznał, że na obrzucenie nas odpadkami trzeba odpowiedzieć ogniem.

Becker skrzywił się.

- O ile mi wiadomo, kapitan Olafsen siedzi teraz za biurkiem. Zrobił nam fatalną reklamę. "Duński okręt wojenny atakuje bezbronny statek". Napisali, że załoga była pijana. Całkowita klęska.

- Byłem pierwszym oficerem u Olafsena i bardzo ceniłem jego umiejętność oceny sytuacji. Problem polegał na tym, że nie dostał wyraźnych poleceń od biurokratów z Kopenhagi.

- Takich jak ja? - zapytał Becker.

Kapitan uśmiechnął się z przymusem.

- Wykonuję rozkazy. Moi przełożeni powiedzieli, że przybędzie pan jako obserwator Departamentu Marynarki Wojennej.

- Na pańskim miejscu nie chciałbym mieć urzędnika na okręcie. Ale zapewniam pana, że nie jestem upoważniony do rządzenia tutaj. Oczywiście będę musiał zameldować o tym, co tu widziałem i słyszałem. I pozwolę sobie przypomnieć panu, że jeśli ta misja źle się skończy, polecą nasze głowy.

Kapitan nie wiedział, co myśleć o Beckerze, kiedy witał go na pokładzie "Erikssona". Niski, ciemnowłosy urzędnik z wielkimi, wilgotnymi oczami i długim nosem przypominał smutnego kormorana. Natomiast Petersen, jak typowy Duńczyk, był wysokim blondynem o kwadratowej szczęce.

- Niechętnie zabrałem pana na pokład - przyznał kapitan. - Ale narwańcy zamieszani w tę historię mogą doprowadzić do tego, że sytuacja wymknie się spod kontroli. Cieszę się, że mam okazję skonsultować się z kimś z rządu.

Becker podziękował Petersenowi i zapytał:

- Co pan myśli o tej aferze z grindarapem?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Mam na wyspie wielu przyjaciół. Prędzej zginą, niż zrezygnują ze swoich zwyczajów. Twierdzą, że bez nich utraciliby swoją tożsamość. Szanuję ich uczucia. A co pan o tym sądzi?

- Jestem z Kopenhagi. Ta cała sprawa z wielorybami wydaje mi się zupełną stratą czasu, choć stawką są wielkie pieniądze. Rząd szanuje tradycje wyspiarzy, ale bojkot szkodzi tutejszemu rybołówstwu. Nie chcemy, żeby Farerowie zostali bez środków do życia i przeszli pod opiekę państwa. To by za dużo kosztowało. Nie mówiąc o stratach w dochodach naszego kraju, gdyby koncerny naftowe wycofały się z wierceń z powodu polowań na wieloryby.

- Wszyscy aktorzy dokładnie znają swoje role. Wyspiarze zaplanowali grind, żeby sprowokować SOS i przypomnieć parlamentowi o swoich problemach. Ryan też wymownie daje do zrozumienia, że nic go nie powstrzyma.

- A pan, kapitanie, zna swoją rolę?

- Oczywiście. Nie znam tylko zakończenia tego dramatu.

Becker chrząknął w odpowiedzi.

- Uspokoję pana - powiedział kapitan. - Tutejsza policja dostała rozkaz, żeby nie interweniować. Ja pod żadnym pozorem nie użyję broni. Polecono mi chronić wyspiarzy przed niebezpieczeństwem i zostawiono wolną rękę w wyborze środków. Jeśli "Sea Sentinel" podejdzie zbyt blisko i zagrozi łodziom, będę miał prawo "szturchnąć" go. Przepraszam, panie Becker, ale widzę, że kurtyna idzie w górę.

Z kilku przystani wypłynęły łodzie rybackie. Zmierzały szybko ku wzburzonej strefie morza, ich uniesione dzioby przeskakiwały nad falami. Kierowały się do miejsca, gdzie nad powierzchnię wystawały czarne grzbiety stada wielorybów. Z nozdrzy stworzeń tryskały fontanny wody.

“Sea Sentinel” też ruszył w stronę stada. Petersen wydał rozkaz sternikowi. Krążownik wchodził do akcji.

Becker zastanawiał się nad wcześniejszymi słowami kapitana.

- Niech pan mi powie, kiedy “szturchnięcie” staje się taranowaniem?

- Kiedy tego chcę.

- Chyba łatwo przekroczyć tę granicę?

Petersen polecił sternikowi zwiększyć szybkość i wziąć kurs prosto na “Sea Sentinela”. Potem odwrócił się do Beckera z niewesołym uśmiechem.

- Zaraz się przekonamy.

Ryan patrzył, jak krażownik zmienia kurs i kieruje się na statek SOS.

- Wygląda na to, że Hamlet w końcu podjął decyzję - powiedział do Chucka Mercera, swojego pierwszego oficera, stojącego przy kole sterowym.

“Sea Sentinel” próbował odpędzić wieloryby na pełne morze. Stado liczyło około pięćdziesięciu stworzeń. Niektóre samice trzymały się z tyłu z młodymi i spowalniały akcję ratowniczą. Statek SOS zygzakował niczym samotny kowboj, który chce zagonić rozproszone bydło do zagrody. Jednak nerwowe wieloryby niemal uniemożliwiały to zadanie.

Ryan wyszedł na prawe skrzydło mostka, żeby zobaczyć, jak daleko od stada są nadpływające łodzie wielorybnicze. Jeszcze nie widział tylu wyspiarzy uczestniczących w grindzie. Wydawało się, że opustoszały wszystkie porty na Wyspach Owczych. Z kilku kierunków mknęły kutry i łodzie różnej wielkości, od traulerów do zwykłych motorówek z doczepnymi silnikami. Ciemną wodę przecinały smugi ich kilwaterów.

Therri Weld obserwowała, jak zbiera się ta armada.

- Trzeba podziwiać ich upór - powiedziała.

Ryan skinął głową.

- Teraz wiem, co czuł Custer. Chyba wszyscy Farerowie wyruszyli w morze, żeby bronić swoich cholernych tradycji.

- To nie jest spontaniczny zryw - zaprzeczyła Therri. - Sądząc po tym, jaki utrzymują porządek, mają plan.

Ledwo skończyła mówić, flotylla - jakby na sygnał - zaczęła się rozdzielać w klasycznym wojskowym manewrze oskrzydającym. Łodzie wzięły statek Ryana w kleszcze i odcięły powolne wieloryby od pełnego morza. Ustawiły się w tyralierę dziobami do brzegu i stado znalazło się między nimi i “Sea Sentinelem”. Końce tyraliery zaczęły powoli skręcać do wewnątrz. Wieloryby stłoczyły się razem i skierowały w stronę lądu.

Ryan obawiał się, że jeśli statek zostanie na miejscu, porani przerażone stworzenia lub rozbije rodziny. Niechętnie rozkazał sternikowi usunąć się z drogi.

Kiedy “Sea Sentinel” odplynał na bok, wielorybnicy wydali głośny okrzyk triumfu. Łodzie zaczęły otaczać stado, zamykając je w morderczym uścisku. Zacieśniały półkole i spychały stworzenia do miejsca rzezi, gdzie czekały ostre noże i harpuny oprawców.

Ryan rozkazał Mercerowi skierować “Sea Sentinela” na pełne morze.

- Zbyt łatwo się poddajesz - zauważył pierwszy oficer.

- Zaczekaj, to zobaczysz - odparł Ryan z enigmatycznym uśmiechem.

Krażownik zrównał się z "Sea Sentinelem" niczym gliniarz eskortujący niesforne kibica po piłkarskim meczu. Kiedy oddalili się o pół mili morskiej od strefy polowania, zaczął zostawać z tyłu. Ryan przejął ster, co chwila sprawdzając, gdzie jest jego prześladowca. W pewnym momencie podniósł słuchawkę telefonu do maszynowni.

- Cała naprzód - rozkazał.

"Sea Sentinel" był zdezelowaną, szeroką łajbą z wysokim dziobem i rufą. Jego sylwetka przypominała staromodną wannę. Powolny statek badawczy zaprojektowano głównie jako stabilną platformę do opuszczania pod wodę aparatury i sieci. Pierwszą rzeczą, jaką Ryan zrobił po kupieniu statku na aukcji, było wyposażenie maszynowni w potężne diesle, które zapewniały przyzwoitą szybkość.

Ryan skręcił koło sterowe do oporu w lewo. Kadłub zadrżał od naprężenia, statek zawrócił w wielkim półokręgu piany i pomknął z powrotem ku strefie polowania. Zaskoczony krążownik próbował zrobić to samo, ale nie mógł wykonać tak ciasnego skrętu, jak "Sea Sentinel". Stracił cenne sekundy.

Obława była milę od brzegu, gdy "Sea Sentinel" dogonił stado i tyralierę naganiaczy. Statek SOS zrobił ostry zwrot i przeciął kilwatery łodzi wielorybicznych. Ryan pozostał za sterem. Zamierzał wziąć odpowiedzialność na siebie, gdyby coś się nie udało. Jego plan rozpędzenia obławy wymagał zręczności w sterowaniu. Zbyt szybkie i bliskie podejście wyrzuciłoby łodzie i ludzie wpadliby do lodowatej wody. Utrzymawał równą prędkość, wykorzystując szerokość kadłuba do stworzenia fali, która uderzyła w rufy łodzi i uniosła je do góry. Niektórym udało się popłynąć dalej, inne straciły szybkość i obróciły się dookoła w rozpaczliwej próbie uniknięcia wywrotki.

Tyraliera załamała się. Między łodziami powstały szerokie luki niczym szczybry między zębami. Ryan znów zakręcił kołem sterowym i wprowadził "Sea Sentinela" w następny ostry skręt. Statek ustawił się burtą do nadpływających wielorybów. Stado uciekające przed wyspiarzami wyczuło obecność statku, zawróciło i skierowało się w przeciwną stronę. Wieloryby zaczęły się wydostawać przez luki w linii myśliwych.

Załoga "Sea Sentinela" zaczęła wiwatować, ale radość nie trwała długo. Szybki krążownik dogonił statek SOS i był sto metrów od jego burty. Przez radio odezwał się głos mówiący po angielsku.

- Tu kapitan Petersen z okrętu "Leif Eriksson" do statku "Sea Sentinel".

Ryan chwycił mikrofon.

- Tu kapitan Ryan. Czym mogę służyć, kapitanie Petersen?

- Proszę skierować swój statek na pełne morze.

- Działamy zgodnie z prawem międzynarodowym. - Ryan uśmiechnął się krzywo do Therri. - Mam obok siebie mojego doradcę prawnego.

- Nie zamierzam dyskutować o szczegółach prawa z panem ani z pańskim doradcą, kapitanie Ryan. Zagroza pan duńskim rybakom. Jestem upoważniony do użycia siły. Jeśli natychmiast nie odpłynie pan stąd, zatopię pański statek.

Wieżyczka artyleryjska na pokładzie dziobowym fregaty obróciła się i lufy dział wycelowały w "Sea Sentinel".

- Prowadzi pan niebezpieczną grę - odrzekł spokojnie Ryan. - Niecelny strzał może zatopić kogoś z rybaków, których stara się pan chronić.

- Wątpię, żebyśmy chybili z tej odległości - odparł Petersen - ale chcę uniknąć rozlewu krwi. Dostarczył pan kamerzystom telewizyjnym mnóstwo materiału. Wieloryby uciekły, polowanie się nie udało. Postawił pan na swoim i nie jest pan tu dłużej mile widziany.

Ryan zachichotał.

- Przyjemnie mieć do czynienia z rozsądnym człowiekiem. Nie to, co z pańskim poprzednikiem, miłośnikiem strzelania. Dobrze, odpłynę stąd, ale nie opuścimy tych wód. Mamy tu jeszcze coś do załatwienia.

- Może pan robić, co się panu podoba, dopóki nie łamie pan naszego prawa i nie zagroza naszej ludności.

Ryan odetchnął z ulgą. Udawał spokojnego, ale wiedział, że naraża na niebezpieczeństwo swoją załogę i dziennikarzy. Przekazał ster pierwszemu oficerowi i wydał rozkaz powolnego wycofania się. "Sea Sentinel" odpłynął z rejonu polowania i skierował się na morze. Ryan planował rzucić kotwicę kilka mil od brzegu i przygotować się do protestu przeciwko hodowli ryb.

Pamiętając o wcześniejszej sztuczce "Sea Sentinel", Petersen trzymał się za kieżonikiem trochę z tyłu. Był gotów natychmiast wejść do akcji i zablokować statek, gdyby Ryan spróbował się przebić.

Therri rozładowała napięcie w sterowni.

- Kapitan Petersen nawet nie wie, jakie miał szczęście - powiedziała z uśmiechem. - Jeden strzał i zaciągnęłabym go do sądu, a jego okręt poszedłby pod zastaw.

- Chyba bardziej bał się naszej śmieciowej katapulty - odrzekł Ryan.

Dobry nastrój zepsuły przekleństwa Mercera.

- Co jest, Chuck? - zapytał Ryan.

- Niech to szlag, Mark. - Pierwszy oficer stał z rękami na kole sterowym. - Musiałeś spięprzyć ster, kiedy szalałeś tak tą łajbą. - Zmarszczył brwi i cofnął się. - Masz, zobacz.

Ryan spróbował obrócić koło. Przesuwało się o parę centymetrów w każdą stronę, ale wyglądało na zablokowane. Nacisnął trochę mocniej, potem zrezygnował.

- To cholerstwo się zacięło - powiedział z mieszaniną złości i zdumienia.

Podniósł słuchawkę telefonu, rozkazał maszynowni zastopować silniki i z powrotem zajął się kołem. Zamiast zwolnić, statek w niewyjaśniony sposób nabrał szybkości. Ryan zaklął i znów zadzwonił na dół do maszynowni.

- Co jest, Cal? - warknął. - Ogłuchłeś od tych silników? Kazałem wytracić szybkość, nie zwiększyć.

Główny mechanik Ryana, Cal Rumson, był doświadczonym marynarzem.

- Wiem, do cholery, co kazałeś - odparł, wyraźnie zdenerwowany. - Zredukowałem szybkość. Ale silniki oszalały. Chyba nie działają przyrządy.

- Więc odetnij zasilanie - doradził Ryan.

- Próbuje, ale diesle dostają jeszcze większych obrotów.

- Próbuje dalej, Cal.

Ryan z trzaskiem odłożył słuchawkę na widełki. To jakiś obłąd! Statek jakby miał własny rozum. Ryan popatrzył na morze przed dziobem. Dobra wiadomość. Żadnego statku ani łądu na drodze. A jak im zabraknie paliwa na środku Atlantyku? Ryan podniósł mikrofon radia, żeby zawiadomić krążownik o sytuacji. Ale przeszkodził mu krzyk Mercera.

- Koło się obraca!

Mercer starał się utrzymać je w miejscu, ale powoli, stopniowo obracało się w prawo. Statek skręcał i kierował się na krążownik. Ryan rzucił się na pomoc Mercerowi i razem próbowali wrócić na kurs. Jednak koło sterowe wyslizgiwało się z ich spoconych rąk i "Sea Sentinel" zbliżał się do okrętu wojennego.

Duński krążownik zauważył zmianę kursu. W radiu zatrzeszczał znajomy głos.

- Zgłoś się, "Sea Sentinel". Po co zmieniacie kurs?

- Mamy problemy ze sterowaniem. Ster jest zablokowany i nie możemy wyłączyć silników.

- Bzdury.

- Powiedz to temu statkowi!

Cisza. Potem Petersen zdecydował:

- Usuniemy się, żeby zrobić wam miejsce. Ostrzeżemy wszystkie statki w pobliżu.

- Dzięki. Wygląda na to, że spełni się twoje życzenie, żebyśmy opuścili te wody.

Zanim jednak duński okręt zdążył się oddalić, "Sea Sentinel" wykonał ostry zwrot, celując w jego burtę.

Na pokładzie krążownika marynarze gorączkowo machali rękami. Zawyła syrena okrętowa. Przez głośniki po duńsku i angielsku ogłoszono alarm.

Widząc, że do katastrofy pozostały sekundy, marynarze rzucili się do ucieczki.

W ostatniej desperackiej próbie uniknięcia kolizji Ryan naparł całym swoim ciężarem na koło. Nadal je trzymał, gdy statek uderzył w burtę krążownika. Ostry dziób "Sea Sentinela" przebił stalowe płyty kadłuba jak bagnet, a potem z przeraźliwym zgrzytem rozdieranego metalu ześlizgnął się z płynącego okrętu.

"Sea Sentinel" osuwał się do morza niczym bokser po silnym ciosie w nos. Krążownik walczył o utrzymanie się na powierzchni, gdy tysiące litrów wody wlewały się przez dziurę w kadłubie. Stłoczona w szalupach załoga przygotowywała się do spuszczenia ich na zimne morze.

Wstrząs rzucił Therri na kolana. Ryan pomógł jej wstać i razem z innymi wybiegli ze sterówki na pokład. Przerażeni członkowie ekip telewizyjnych zorientowali się nagle, że są teraz bohaterami reportaży. Próbowali znaleźć kogoś, kto powie im, co robić. Byli posiniaczeni i ślanieli się na nogach.

Ktoś przeraźliwie wzywał pomocy. Załoga i reporterzy wydobyli zakrwawione ciało z metalowej miazgi, jaka pozostała z części dziobowej.

Ryan wykrzykiwał rozkazy, żeby opuścić statek.

W hałasie i zamieszaniu nikt nie spojrzał w górę i nie zauważył helikoptera krążącego wysoko nad miejscem katastrofy. Śmigłowiec zatoczył kilka kręgów niczym głodny sęp i odleciał wzdłuż wybrzeża.

U północnych wybrzeży Rosji

Tysiąc dwieście mil morskich na południowy wschód od Wysp Owczych statek poszukiwawczo-badawczy "William Beebe" stał na kotwicy na zimnych wodach Morza Barentsa. Siedemdziesięciosześcioletni turkusowy kadłub zdobiły litery NUMA. Nazwa "Beebe" pochodziła od nazwiska jednego z pionierów eksploracji głębin morskich. Statek był najeżony potężnymi dźwigami i wyciągarkami, zdolnymi unieść z dna cały wrak.

Na pokładzie rufowym stali czterej załoganci w neoprenowych skafandrach. Wpatrywali się w morze, gdzie woda kipiała jak wrzący kocioł. Jej powierzchnia pojaśniała i utworzyła białą, spienioną kopułę. Z morza wystrzelił podwodny pojazd ratowniczy "Sea Lamprey" niczym zmutowany lewiatan, wynurzający się, żeby zaczerpnąć powietrza. Z wprawą komandosów załoga statku zepchnęła z pochylni rufowej na wodę ponton z doczepnym silnikiem. Kilku mężczyzn wskoczyło do środka i wystartowało ostro w kierunku jaskrawopomarańczowego pojazdu podwodnego.

Przyczepili do niego hol i wyciągarka na pokładzie "Beebe" dociągnęła batyskaf pod wysoką ramę w kształcie litery A na rufie statku. Umocowano liny do uchwytów na pokładzie pojazdu podwodnego. Zaryczał potężny silnik dźwigu i batyskaf wynurzył się z wody. Kiedy zawisnął w powietrzu, ukazał się jego niezgrabny, cylindryczny kadłub i dziwnie krótki, harmonijkowy dziób.

Rama w kształcie litery A obróciła się wolno nad pokład statku i opuściła pojazd na zrobiony na zamówienie stalowy stojak. Załoga "Beebe" przystawiła do batyskafu drabinę. Właz na szczycie kiosku otworzył się i odchylił do tyłu na zawiasach. Kurt Austin wystawił głowę na zewnątrz i zamrugał oczyma. Jego stalowoszare, niemal platynowe włosy lśniły w metalicznej poświacie zachmurzonego nieba.

Austin skinieniem głowy pozdrowił załogę, a potem przecisnął się przez wąski otwór i stanął obok kiosku. Po chwili wysunął głowę na świeże powietrze jego partner, Joe Zavala, i podał mu błyszczącą, aluminiową walizeczkę.

Austin rzucił ją krępemu człowiekowi w średnim wieku, który czekał na dole przy drabinie. Mężczyzna był ubrany w wełniany sweter z golfem, żółte spodnie przeciwdeszczowe i nieprzemakalny płaszcz. Tylko wysoka czapka z daszkiem zdradzała, że

jest oficerem rosyjskiej marynarki wojennej. Na widok szybującego w powietrzu pojemnika wydał okrzyk rozpaczy. Złapał go w locie i przytulił do piersi.

Kiedy Austin i Zawała zeszli po drabince, Rosjanin otworzył walizeczkę wyłożoną pianką ochronną i wyjął przedmiot zawinięty w papier. Rozpakował go i ukazała się ciężka, prostokątna butelka. Oficer trzymał butelkę jak noworodka, przemawiając do niej czule po rosyjsku.

Widząc zaskoczone miny ludzi z NUMA, powiedział:

- Wybaczenie, panowie. Odmawiałem modlitwę dziękczynną za to, że zawartość pojemnika nie ucierpiała.

Austin popatrzył na etykietkę i skrzywił się.

- Nurkowaliśmy na głębokość prawie stu metrów i wciskaliśmy się do okrętu podwodnego po butelkę wódki?

- O, nie - odparł Własow i sięgnął do walizeczki. - Po trzy butelki. - Ostrożnie rozpakował następne flaszki, każdą głośno pocałował i włożył z powrotem do pojemnika. - Klejnot Rosji to jedna z naszych najlepszych wódek, a moskiewska nie ma sobie równych na świecie. Jeśli zaś chodzi o czarodzieja, to najlepiej smakuje schłodzony.

Austin zastanawiał się, czy kiedykolwiek zrozumie Rosjan.

- Wszystko jasne - odrzekł wesoło. - Zatopiliście swój okręt podwodny, żeby schłodzić gorzałę.

- To stary okręt podwodny klasy Foxtrot, używany do ćwiczeń - odpowiedział Własow. - Nie był remontowany od ponad trzydziestu lat. - Uśmiechnął się szeroko do Austina. - Musi pan przyznać, że to był pański pomysł, żeby umieścić obiekty w okręcie podwodnym i sprawdzić możliwość ich wydobycia.

- Rzeczywiście.

Własow zamknął wieko walizeczki.

- Zatem wasze nurkowanie zakończyło się sukcesem?

- Tak - odrzekł Zawała. - Mieliśmy kilka problemów technicznych, ale to nic poważnego.

- Więc trzeba to oblać - powiedział Własow.

Austin wyjął mu walizeczkę z ręki.

- Najlepiej od razu.

Wzięli z mesy trzy plastikowe kubki i poszli do kabiny odpraw. Własow otworzył butelkę czarodzieja i nalał każdemu solidną porcję. Wzniósł toast:

- Za dzielnych młodych ludzi, którzy zginęli na "Kursku".

Przełknął wódkę, jakby pił herbatę. Austin sącył alkohol. Wiedział z doświadczenia, że w mocnej rosyjskiej wodzie ognistej czają się demony.

- I za to, żeby nic takiego nigdy już się nie zdarzyło - odpowiedział.

Zatonięcie "Kurska" w 2000 roku było jedną z największych znanych katastrof okrętów podwodnych. Zginęło ponad stu marynarzy, gdy okręt klasy Oscar II z pociskami manewrującymi poszedł na dno na Morzu Barentsa po eksplozji w torpedowni.

- Dzięki waszemu batyskafowi - powiedział Własow - żaden młody człowiek służący swojej ojczyźnie nie będzie musiał ginąć taką straszną śmiercią. Pomysłowość NUMA pozwoli nam dostać się do zatopionego okrętu bez względu na to, czy właz ewakuacyjny będzie dostępny i sprawny, czy nie. Wprowadzone przez was innowacje to prawdziwa rewolucja.

- Jest pan bardzo uprzejmy, komandorze Własow. Słowa uznania należą się Joemu. To on zmontował do kupy różne graty, używając do tego wypróbowanego amerykańskiego zdrowego rozsądku.

- Dzięki za pochwały, ale ukradłem ten pomysł matce naturze - odparł Zawała z typową dla siebie skromnością. Ukończył inżynierię morską w nowojorskim Maritime College i był genialnym mechanikiem. Zaraz po studiach został zwerbowany przez dyrektora NUMA, Jamesa Sandeckera. Oprócz pracy w zespole specjalnym, kierowanym przez Austina, projektował liczne załogowe i bezzałogowe pojazdy podwodne.

- Nonsens! - zaprotestował Własow. - Między prawdziwym minogiem morskim i pańskim batyskafem o tej nazwie jest wielka różnica.

- Zasada działania jest ta sama - odrzekł Zawała. - Minogi to wspaniale skonstruowane stworzenia. Przywierają do pływającej ryby, zatapiają zęby w jej ciele i wysysają krew. My zamiast zębów używamy przyssawki i laserów. Głównym problemem było elastyczne uszczelnienie, które przylegałoby do każdej powierzchni i umożliwiałoby wycięcie w niej otworu. Zastosowanie materiałów ery kosmicznej i komputerów pozwoliło nam stworzyć całkiem dobre urządzenia.

Własow znów uniósł kubek z wódką.

- Trzymam w ręku dowód pańskiej pomysłowości. Kiedy "Sea Lamprey" osiągnie pełną zdolność operacyjną?

- Niedługo - odpowiedział Zawała. - Mam taką nadzieję.

- Im prędzej, tym lepiej. Moi rodacy zbudowali kilka doskonałych okrętów, ale ich stan techniczny pozostawia wiele do życzenia. - Własow dopił wódkę i wstał z krzesła. - Muszę wracać do swojej kajuty i przygotować raport dla moich przełożonych. Powinni być

bardzo zadowoleni. Jestem wam wdzięczny za wykonanie tak ciężkiej pracy. Osobiście podziękuję admirałowi Sandeckerowi.

Po wyjściu Własowa pojawił się jeden z oficerów statku i zawiadomił Austina, że jest do niego telefon. Austin podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, zadał kilka pytań, a potem powiedział:

- Niech pan zostanie przy aparacie. Zaraz oddzwonię.

Zwrócił do Zawali:

- Wschodnioatlantyckie biuro NATO do spraw wypadków okrętów podwodnych potrzebuje naszej pomocy przy akcji ratowniczej.

- Co się stało? - zapytał Joe.

- Duński krążownik poszedł na dno u wybrzeży Wysp Owczych i część załogi jest uwięziona wewnątrz. Najwyraźniej jeszcze żyją. Szwedzi i Brytyjczycy są już w drodze, ale okręt nie ma wjazdu ewakuacyjnego. Duńczycy potrzebują kogoś, kto mógłby wejść do środka bezpośrednio przez kadłub i wydostać tych facetów. Słyszeli, że tu jesteśmy i przeprowadzamy zanurzenia testowe.

- Ile mamy czasu?

- Z rozmowy wynikało, że kilka godzin.

Zawała pokręcił głową.

- Wyspy Owcze są ponad tysiąc mil stąd. "Beebe" to szybki statek, ale musiałyby mieć skrzydła, żeby dotrzeć tam na czas.

Austin zastanawiał się przez minutę, a potem oświadczył:

- Jesteś genialny.

- Cieszę się, że wreszcie to sobie uświadomiłeś. Mogę spytać, jak doszedłeś do tego wniosku? To warte kilku dobrych kolejek w barze.

- Najpierw chciałbym wiedzieć, czy "Sea Lamprey" nadaje się już do akcji ratowniczych. Wyczułem w twoim głosie nutkę CST, kiedy Własow zapytał, kiedy batyskaf będzie gotowy.

- My, ludzie w służbie państwowej, automatycznie nastawiamy się na tryb Chronić Swoją Tyłek, kiedy podpisujemy umowę o pracę - odparł Zawała.

- Musiałeś zaliczyć ten kurs z wyróżnieniem. No, więc?

Zawała dumiał przez chwilę.

- Widziałeś, jak się zachowywał przy wynurzeniu.

- Jak wściekły byk, ale udało się. W Disneylandzie zapłaciłbyś kupę forsy za taką przejażdżkę.

Zavala pokręcił głową.

- Naprawdę masz talent do przedstawiania perspektywy strasznej śmierci w niefrasobliwy sposób.

- Nie pragnę śmierci bardziej niż ty. Mówiłeś, że "Sea Lamprey" jest jak dom z cegły.

- Przesadziłem. Jest wyjątkowo mocny, ale mógłby być lepszy.

- Podsumowując, jakie są szanse na udaną misję?

- Mniej więcej pół na pół. Mogę wprowadzić kilka innowacji i trochę zmienić ten stosunek na naszą korzyść.

- Nie naciskam cię, Joe.

- Nie musisz. Do końca życia nie mógłbym spać, gdybyśmy nie spróbowali pomóc tym facetom. Ale trzeba jakoś dostarczyć batyskaf do duńskiego krążownika. Pewnie już coś wymyśliłeś, stary cwaniaku? - zapytał Zavala na widok szerokiego uśmiechu Austina.

- Być może - odparł Austin. - Muszę obgadać kilka szczegółów z Własowem.

- Skoro mam ryzykować życie w twojej akcji, może mi zdradzisz, co kombinujesz w tej przedwczesnie posiwiątej głowie?

- Nic - odrzekł Austin. - Ale nie należy zrażać się drobiazgami.

Karl Becker spacerował nerwowo po pokładzie duńskiego statku badawczego "Thor". Z przygarbionymi plecami i rękami w kieszeniach grubego płaszcza wyglądał jak wielki, bezskrzydły ptak. Choć miał na sobie kilka warstw ubrania, drżał na wspomnienie kolizji. Wepchnięto go do szalupy, ale przeciążona łódź przewróciła się przy wodowaniu i wpadł do lodowatego morza. Tracił przytomność, gdy wyłowił go trawler rybacki. Inaczej zginąłby w ciągu kilku minut.

Przystanął, żeby zapalić papierosa. Osłonił płomień dłońmi, potem oparł się na relingu. Kiedy wpatrywał się ponuro w czerwoną, plastikową boję, którą oznaczono miejsce zatonięcia krążownika, usłyszał swoje nazwisko. W jego kierunku szedł kapitan "Thora", Nils Larsen.

- Gdzie ci cholerni Amerykanie? - warknął Becker.

- Mam dobrą wiadomość - odrzekł kapitan. - Właśnie dzwonił. Będą tu za pięć minut.

- Nareszcie - odparł Becker.

Podobnie jak jego kolega z "Leifa Erikssona", kapitan Larsen był wysokim blondynem o ostrym profilu.

- Prawdę mówiąc - powiedział - krążownik zatonął zaledwie kilka godzin temu. Ekipa ratownicza NATO potrzebowałaby minimum trzech dni na przerzucenie tu statku i batyskafu. Ludzie z NUMA zobowiązali się dotrzeć na miejsce katastrofy w osiem godzin i dotrzymani słowa.

- Wiem, wiem... - odpowiedział Becker, bardziej z rozdrażnieniem niż złością. - Nie chcę być niewdzięczny, ale liczy się każda minuta. - Pstryknął niedopałek papierosa do morza i jeszcze głębiej wetknął ręce w kieszenie. - Szkoda, że w Danii nie ma już kary śmierci! - wybuchnął. - Chętnie zobaczyłbym tę bandę z SOS, dyndającą na sznurze.

- Jest pan pewien, że celowo was staranowali?

- Nie mam żadnych wątpliwości! Zmienili kurs i skierowali się prosto na nas. Jedna chwila i po wszystkim! Jak torpeda. - Becker zerknął na zegarek. - Amerykanie na pewno mówili o pięciu minutach? Nie widzę, żeby nadpływały jakieś statki.

- Dziwne - powiedział kapitan. Uniósł lornetkę i zbadał horyzont. - Ja też nic nie widzę. - Usłyszał hałas i wycelował soczewki w zachmurzone niebo. - Moment. W naszą stronę leci helikopter. Zbliża się bardzo szybko.

Kropka na tle ciemnoszarej powłoki chmur rosła w oczach. Wkrótce rozległ się warkot rotorów. Maszyna skierowała się prosto na "Thora" i przeleciała tuż nad wierzchołkami masztów. Potem przechyliła się w skręcie i zatoczyła szerokie koło wokół statku badawczego. Na turkusowym kadłubie bella 212 widać było wyraźnie duże, dumne litery NUMA.

Do kapitana podbiegł pierwszy oficer i wskazał krążący śmigłowiec.

- To Amerykanie. Pytają, czy mogą wylądować.

Kapitan wyraził zgodę. Helikopter znurkował, zawisnął nad pokładem rufowym, opuścił się wolno i usiadł miękko w samym środku białego kręgu, wyznaczającego lądowisko.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Pod wirującymi rotorami ukazali się dwaj mężczyźni. Becker był politykiem i od pierwszego spojrzenia potrafił oceniać ludzi. Sposób poruszania się i postawa gości świadczyły o tym, że znają swoją wartość.

Becker uznał, że idący przodem barczysty mężczyzna ma trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i waży około dziewięćdziesięciu kilogramów. Był siwy, ale zapewne nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Jego towarzysz miał ciemną cerę, był trochę niższy, młodszy i szczuplejszy. Szedł z gracją pantery, widywaną u bokserów. Becker nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że w czasach college'u mężczyzna ten walczył na ringu, by opłacić swoje studia. Wyglądał na wyluzowanego, ale poruszał się z wewnętrzną energią zwiniętej sprężyny.

Kapitan wyszedł na spotkanie Amerykanom.

- Witamy na pokładzie "Thora".

- Dzień dobry. Jestem Kurt Austin z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - powiedział siwowłosy mężczyzna. - A to mój partner, Joe Zavala. - Potrząsnął dłonią kapitana i Beckera. Duńskiemu urzędnikowi napłynęły łzy do oczu od miazdzącego uścisku. Zavala zgniótł mu resztę kości, które oszczędził Austin.

- Szybko się zjawiliście - zauważył kapitan.

- Mamy kilka minut spóźnienia - odrzekł Austin. - Logistyka trochę nawaliła.

- Nie ma sprawy. Dzięki Bogu, że jesteście! - odezwał się Becker, masując rękę. Zerknął na helikopter. - A gdzie ekipa ratownicza?

Austin i Zavala z rozbawieniem wymienili spojrzenia.

- Stoi przed panem - odpowiedział Austin.

Zdumienie Beckera nie miało granic. Odwrócił się gwałtownie do kapitana.

- Jakim cudem, ci dwaj... dżentelmeni mogą uratować kapitana Petersena i jego ludzi?!

Kapitan Larsen również zastanawiał się nad tym, ale lepiej panował nad sobą.

- Proponuję, żeby ich pan zapytał - odparł, wyraźnie zażenowany wybuchem Beckera.

Becker utkwiał wściekłe spojrzenie w Austinie, a potem w Zawali.

- No więc?

Nie mógł wiedzieć, że dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z helikoptera, wystarczą za cały statek ratowników. Austin urodził się w Seattle i wychował na wybrzeżu i morzu - nic dziwnego, skoro jego ojciec był właścicielem firmy ratownictwa morskiego. Ukończył zarządzanie systemami na Uniwersytecie Waszyngtońskim i podczas studiów uczył się w wysoko cenionej szkole nurków w Seattle. Wspecjalizował się tam w kilku dziedzinach. Wykorzystywał swoją wiedzę na platformach wiertniczych na Morzu Północnym, przez pewien czas pracował u ojca, potem trafił do wywiadu podwodnego CIA. Po zakończeniu zimnej wojny został zwerbowany przez Sandeckera do kierowania Zespołem Specjalnym NUMA.

Zawała był synem Meksykanów, którzy przeprawili się przez Rio Grande i osiedlili w Santa Fe. W NUMA opowiadano o nim legendy. Potrafił naprawić, zmodyfikować i odrestaurować każdy silnik. Spędził tysiące godzin za sterami helikopterów, małych odrzutowców i turbośmigłowców. Jego przydział do zespołu Austina zaowocował udanym partnerstwem. Wiele ich akcji pozostawało tajemnicą NUMA. Niefrasobliwa atmosfera koleżeństwa w obliczu zagrożenia maskowała żelazną determinację i kompetencję tych ludzi. Niewielu mogło z nimi rywalizować.

Austin spokojnie patrzył na Beckera przenikliwymi, niebieskozielonymi oczami w kolorze podwodnej rafy koralowej. Rozumiał sytuację Duńczyka i uśmiechnął się ugodowo.

- Przepraszam za moją nonszalancję. Powinienem być od razu wyjaśnić, że pojazd ratowniczy jest w drodze.

- Powinien tu być za godzinę - dodał Zawała.

- Przez ten czas możemy dużo zrobić - zapewnił Austin. Odwrócił się do kapitana. - Potrzebna mi pomoc do wyładowania sprzętu z helikoptera. Może pan przydzielić do tego kilku silnych facetów?

- Tak, oczywiście. - Kapitan był zadowolony, że wreszcie może coś zrobić. Sprawnie wydał pierwszemu oficerowi rozkazy zorganizowania pracy.

Pod kierownictwem Austina załoga wyniosła z ładowni śmigłowca wielką, drewnianą skrzynię i ustawiła na pokładzie. Austin podważył wieko łomem i zajrzał do środka. Po szybkiej inspekcji oświadczył:

- Chyba wszystko w porządku. Jaka jest obecna sytuacja?

Kapitan Larsen wskazał boję oznaczającą miejsce zatonięcia krążownika i opowiedział, jak doszło do kolizji. Austin i Zawała słuchali uważnie.

- To bez sensu - zauważył Austin. - Z pańskich słów wynika, że mieli mnóstwo miejsca na morzu.

- "Andrea Doria" i "Stockholm" też - przypomniał Zawała, mając na myśli katastrofę morską w pobliżu Nantucket.

Becker wymamrotał coś o przestępcach z SOS, ale Austin zignorował go.

- Skąd pewność, że kapitan i jego ludzie jeszcze żyją? - zapytał.

- Badaliśmy populację wielorybów niedaleko stąd, kiedy dostaliśmy wezwanie o pomoc - odrzekł Larsen. - Wyrzuciliśmy za burtę hydrofon i wyłapaliśmy sygnał SOS, wystukiwany przez kogoś o kadłub alfabetem Morse'a. Ustaliliśmy, że chodzi o trzynastu mężczyzn, łącznie z kapitanem Petersenem, uwięzionych w dziobowej kwaterze załogi. Kończy im się powietrze i są we wczesnym stadium hipotermii.

- Kiedy ostatnio się odzywali?

- Około dwóch godzin temu. Wiadomość była ta sama, tylko stukali dużo słabiej. Pod koniec powtarzali w kółko jedno słowo.

- Jakie?

- Rozpacz.

Zapanowało ponure milczenie. Przerwał je Austin.

- Dostaliście jakiś sprzęt?

- Farerska straż przybrzeżna zawiadomiła bazę NATO na wyspie Streymoy. Skontaktowali się z natowską siecią ratownictwa okrętów podwodnych natychmiast po zatonięciu krążownika. Tamte statki, które pan widzi, są głównie z krajów skandynawskich. Działamy jako tymczasowy koordynator. Niedługo powinien przyplłynąć szwedzki statek z pojazdem ratowniczym, ale w tej sytuacji nic nie pomoże. Podobnie jak inni. Jest przeznaczony do wydostawania ludzi z okrętów podwodnych przez władze ewakuacyjne. Udało nam się zlokalizować krążownik na głębokości sześćdziesięciu metrów, ale to wszystko. Nie mamy możliwości technicznych, żeby zrobić coś więcej. Jesteśmy tylko obserwatorami tej tragedii.

- Niekoniecznie - odparł Austin.

- Więc myśli pan, że moglibyście pomóc? - zapytał Becker z błaganiem w oczach.

- Być może - odpowiedział Austin. - Będziemy wiedzieli więcej, kiedy zobaczymy, z czym mamy do czynienia.

Becker przeprosił za swój wcześniejszy wybuch.

- Wybaczcie, że się uniosłem. Jesteśmy wdzięczni za waszą propozycję pomocy. Mam wyjątkowy dług wobec kapitana Petersena. Po staranowaniu nas, kiedy nie było wątpliwości, że krażownik zatoni w ciągu kilku minut, kapitan zapewnił mi miejsce w szalupie. Gdy się dowiedział, że inni są jeszcze na dole, pobiegł im pomóc i najwidoczniej znalazł się w pułapce, kiedy okręt poszedł na dno.

- Odważny człowiek - stwierdził Austin. - Tym bardziej trzeba uratować jego i załogę. Znacie pozycję okrętu na dnie?

- Tak, oczywiście. Proszę ze mną - odrzekł kapitan. Zaprowadził ich do pomieszczenia wyposażonego w monitory komputerowe do badań na odległość. - To jest obraz sonarowy "Leifa Erikssona" o wysokiej rozdzielczości - powiedział, wskazując duży ekran. - Jak widać, okręt spoczywa pod lekkim kątem na pochyłości. Kwatery załogi są tutaj, poniżej mesy, niedaleko dziobu. Najwyraźniej zrobiła się tam kieszeń powietrzna. - Zakreślił kursorem część kadłuba. - To cud, że jeszcze żyją.

- Pewnie woleliby, żeby się nigdy nie zdarzył - odezwał się ponuro Becker.

- Niech pan nam opowie o tym przedziale okrętu.

- Jest dość duży, z kojami dla dwudziestu czterech marynarzy. Wchodzi się tam przez mesę. Jest też właz awaryjny.

- Będą nam potrzebne szczegóły konstrukcyjne, zwłaszcza rozmieszczenie rur, przewodów i wsporników.

Kapitan przekazał dokumentację.

- Departament marynarki przefaksował nam ten materiał w nadziei na akcję ratowniczą. Myślę, że znajdziecie tu wszystko, co was interesuje. Jeśli nie, możemy to szybko uzupełnić.

Austin i Zavala przestudiowali schematyczny plan okrętu, potem wrócili do obrazu sonarowego.

- Chyba czas, żebym poszedł popływać - powiedział w końcu Austin.

- Dobrze, że zabrałeś kostium - odrzekł Zavala.

- Nowy model Michelina. Powodzenie u dziewczyn gwarantowane.

Becker i kapitan zastanawiali się, czy trafili na dwóch wariatów. Wymienili zdumione spojrzenia, potem pobiegli, żeby dotrzymać kroku ludziom z NUMA. Kiedy Zavala

przedstawiał ich plan kapitanowi Larsenowi i Beckerowi, Austin nadzorował czterech załogantów, którzy przenosili na pasach skrzynię, ustawiając ją pod bomem przeładunkowym. Austin włożył do środka linę, umocował ją i dał znak, by uruchomiono dźwig.

Z wielkiej skrzyni wyłoniła się jaskrawożółta postać. Miała ponad dwa metry wysokości i wyglądała jak robot w filmach science fiction z lat 50. Aluminiowe ręce i nogi były rzeczywiście powybrzuszane jak u figurki Michelina, hełm przypominał kuliste akwarium dla złotych rybek. Dłonie zastępowały szczypce podobne do kleszczy owada. Z łokci i tylnych części ramion wystawały cztery małe wiatraczki w okrągłych osłonach.

Austin postukał kostkami palców w pojemnik na plecach robota.

- To najnowsza technika w dziedzinie "twardych" skafandrów. Ten model może operować do sześciu godzin na głębokości ponad sześciuset metrów. Dostanę drabinkę? I będę potrzebował łodzi z doświadczoną załogą.

Kapitan wydał odpowiednie rozkazy pierwszemu oficerowi. Austin zdjął kurtkę, włożył na golf gruby, wełniany sweter i naciągnął na uszy czarną wełnianą czapkę, używaną w marynarce wojennej. Skafander dzielił się w pasie na dwie części. Austin z drabinki wsunął się do dolnej połowy skafandra. Potem umocowano górną część, przyczepiono linę i bom uniósł go z pokładu.

W skafandrze było radio działające na częstotliwości statku. Kilkadziesiąt centymetrów nad pokładem Austin kazał zatrzymać dźwig. Poruszył rękami i nogami, wspomagany przez szesnaście obrotowych przegubów hydraulicznych. Potem wypróbował manualnie sterowane manipulatory na końcach ramion. Wreszcie sprawdził pedały pod stopami i posłuchał szumu wirników pionowych i poziomych.

- Wszystkie systemy sprawne - zameldował.

Atmosferyczny skafander nurka, czyli ADS, był zaprojektowany do ochrony człowieka przed ciśnieniem morskim przy wykonywaniu precyzyjnych zadań. Mimo ludzkiego kształtu, ADS uważano za pojazd, a operatora nazywano pilotem.

Pod nadzorem Zavali bom przesunął się nad wodę. Austin kołysał się w przód i w tył niczym jo-jo na sznurku. Gdy zwodowano łódź z załogą, powiedział:

- Na dół.

Zwolniono linę i Austin wylądował w falach. Hełm zalała zielona piana. Załoga łodzi odcięła linę i Austin poszedł pod wodę jak kamień. Opadł kilka sążni, zanim wyregulował neutralną wyporność skafandra. Potem uruchomił wirniki, przesunął się w przód, w tył, w górę i w dół, wreszcie zawisnął w miejscu. Po raz ostatni spojrzął na błądą, lśniąca

powierzchnię morza, włączył reflektory na piersi, nacisnął pedał sterowania pionowego i rozpoczął schodzenie w dół.

Kapitan Petersen nie miał pojęcia, co dzieje się sześćdziesiąt metrów nad jego głową. Leżał na swojej koi, patrzył w ciemność i zastanawiał się, czy prędzej zamrze na śmierć, czy udusi się z braku tlenu. W gruncie rzeczy nie obchodziło go, jak umrze. Miał tylko nadzieję, że szybko.

Zimno odebrało mu niemal całą energię. Z trudem wciągał do płuc dwutlenek węgla, którym zmuszeni byli oddychać. Powietrze coraz mniej nadawało się do podtrzymania życia. Kapitan zapadał w śpiączkę. Nadchodzi taki moment, gdy wola przetrwania oddala się jak odpływ morza. Nawet myśli o żonie i dzieciach nie mogły go zmobilizować.

Tęsknił za takim stadium odrętwienia, żeby przestać się męczyć. Atak kaszlu z udreńczonych płuc wywołał ból w lewym ramieniu. Złamał rękę, kiedy wpadł na przegrodę. Bolało okropnie. Jęki załogi przypomniały Petersenowi, że nie tylko on tak cierpi.

Jeszcze raz odtworzył w myślach przebieg kolizji. Czy mógł jej uniknąć? Wszystko szło dobrze. Nie dopuścił do niebezpiecznej konfrontacji i eskortował "Sea Sentinela" na pełne morze. Potem, bez ostrzeżenia, statek pomalowany jak wóz cyrkowy skręcił w kierunku burty krążownika.

Petersen za późno wydał rozpaczliwy rozkaz uniku. Przerażliwy dźwięk rozdieranej stali powiedział mu, że rana jest śmiertelna. Rozkazał opuścić okręt i nadzorował wodowanie szalup. Nagle przybiegł marynarz z wiadomością, że pod pokładem są ranni. Petersen nie wahał się. Powierzył wodowanie łodzi ratunkowych pierwszemu oficerowi i pospieszył na pomoc swoim ludziom.

W chwili staranowania "Leifa Erikssona" nocna wachta spała. Dziób "Sea Sentinela" przebił kadłub krążownika za kwaterami załogi. Dzięki temu nikt nie zginął, ale niektórzy zostali ranni. Petersen wpadł do mesy, rzucił się zejściem w dół i zobaczył, że rannych opatrują koledzy.

- Opuścić okręt! - rozkazał. - Wynieść rannych.

Krażownik tonął pod kątem, rufą w dół. Zatapiał go ciężar wody, wlewającej się przez dziurę w kadłubie. Morze wdarło się do mesy, potem przez otwarty właz do kwatery załogi i odcięło drogę ucieczki. Petersen wspiął się na drabinę, zatrzasnął kłapę, obrócił koło ryglujące i uszczelnił właz. Kiedy schodził po szczeblach, okręt przechylił się. Kapitan wpadł na przegrodę i stracił przytomność.

Na szczęście, bo dzięki temu nie słyszał przerażających jęków i trzasków, jakie wydawał krążownik w drodze na dno. Petersen nie odniósł dalszych obrażeń, gdy chwilę później okręt uderzył w miękki muł. Kiedy jednak kapitan ocknął się w ciemnej kabinie, dotarły do niego jeszcze straszniejsze odgłosy - krzyki jego ludzi. Wkrótce potem ciemność przeszły snop światła i Petersen zobaczył zakrwawione ciała wśród połamanych koi i porzrzucanych marynarskich kufrów. Lars, niski i gruby szef kuchni okrętowej, wołał kapitana po nazwisku.

- Tutaj - wychrypiał Petersen.

Drżące światło zbliżyło się. Lars podczołgał się z latarką.

- Nic ci nie jest, Lars? - zapytał Petersen.

- Kilka zadrapań i siniaków. Moja tusza mnie ochroniła. A pan?

- Nie miałem takiego szczęścia. Złamałem lewą rękę.

- Co się stało, kapitanie?

- Uderzył w nas statek.

- Cholera - zaklął Lars. - Zanim spadłem z koi, śniły mi się różne smakołyki. Nie spodziewałem się pana tu na dole.

- Jeden z marynarzy powiedział, że macie kłopoty. Przybiegłem na pomoc. - Petersen podniósł się z trudem. - Nie na wiele się przydam, siedząc tutaj. Pomożesz mi?

Umocowali złamaną rękę kapitana na prowizorycznym temblaku z pasa. Z pomocą kilku lżej rannych spróbowali ulżyć najbardziej cierpiącym. Największym zagrożeniem było dokuczliwe, wilgotne zimno. Petersen pomyślał, że mogliby zyskać na czasie. W tym pomieszczeniu przechowywano skafandry do ochrony przed zimną wodą na wypadek zatonięcia okrętu. Założono je również rannym. Wszyscy naciągnęli rękawice i kaptury. Potem owinęli się kilkoma warstwami koców.

Po tymczasowym zabezpieczeniu ludzi przed zimnem Petersen zajął się problemem powietrza. W jednej z aluminiowych szafek były aparaty ze sprężonym powietrzem na wypadek pożaru lub innej sytuacji alarmowej. Rozdano je załodze. W ten sposób też zyskano, na czasie. Petersen zdecydował, że najpierw zużyją powietrze w pojemnikach - czystsze niż powietrze w kabinie, które wywoływało mdłości.

Kapitan zorganizował drużyny do stukania w kadłub, tak jak oficerowie w obozach jenieckich przydzielają swoim ludziom obowiązki, żeby utrzymać morale. Marynarze na zmianę wystukiwali kluczem maszynowym sygnał SOS. Kiedy zmęczeni kolejno odpadali, Petersen zajął ich miejsce, choć nie bardzo wiedział, po co to wszystko. Potem zaczął

opisywać alfabetem Morse'a ich sytuację. Zmęczył się, stukał w burtę coraz rzadziej, aż wreszcie przestał. Stracił nadzieję na ratunek, zamknął oczy i znów zaczął myśleć o śmierci.

Wykorzystując linę boi jako drogowskaz, Austin opadał w głębiny nogami w dół, lekko pochylony do przodu, jak dawny nurek w mosiężnym hełmie, opuszczany na wężu powietrznym. Płaszące tęczowe smugi przecinały wodę niczym światło słoneczne, wpadające przez witrażowe okna. Kiedy Austin znalazł się głębiej, kolory zniknęły i półmrok nagle zamienił się w fioletową noc.

Mocne reflektory halogenowe, zamontowane z przodu skafandra, oświetlały morską roślinność i ławice zaniepokojonych ryb. Wkrótce jednak Austin dotarł do dna, gdzie żyły tylko najodporniejsze stworzenia. Na głębokości sześćdziesięciu metrów lampy wyłowiły z mroku maszty i anteny krążownika, potem zmaterializowały się widmowe kontury okrętu.

Austin włączył wirniki pionowe, zwolnił i zatrzymał się na wysokości pokładu. Potem zawarczały wirniki poziome i popłynął wzdłuż kadłuba. Okrążył rufę i wrócił do dziobu. Okręt leżał tak, jak wynikało z obrazu sonarowego - pod lekkim kątem na pochyłości, z uniesionym dziobem. Austin obejrzał krążownik z dokładnością lekarza dokonującego autopsji ciała ofiary zabójstwa. Szczególną uwagę zwrócił na trójkątny otwór w burcie. Żaden okręt nie przeżyłby takiej rany zadanej gigantycznym bagnetem.

Widząc w głębi dziury tylko pogięty metal, Austin znów popłynął w kierunku dziobu. Posuwał się zaledwie centymetry od kadłuba, czując się jak mucha na ścianie. Przykładał hełm do stalowego poszycia i nasłuchiwał. Ale słyszał tylko własny głuchy oddech i warkot wirników, które utrzymywały skafander w zawieszeniu. Odepchnął się od kadłuba, włączył wirniki poziome i wałnął metalowymi kolanami w okręt.

Po drugiej stronie kadłuba Petersen otworzył półprzymknięte oczy. Wstrzymał oddech.

- Co to było? - zapytał w ciemności ochryply głos Larsa, skulonego na koi obok kapitana.

- Dzięki Bogu też to słyszałeś - szepnął Petersen. - Myślałem, że tracę zmysły. Cicho...

Wyteżyli słuch. Na zewnątrz rozlegało się stukanie w kadłub. Alfabet Morse'a. Wolno i z przerwami, jakby nadawca miał trudności z każdym znakiem. Kapitan zaczął odczytywać litery, ze zdumienia wytrzeszczając oczy.

P-E-T-E...

Na polecenie Austina jeden z członków załogi statku przymocował do manipulatora prawej ręki skafandra specjalny młotek. Mechaniczne ramię poruszało się potwornie wolno, ale Austin nie poddawał się i dokończył wystukiwanie pierwszego słowa alfabetem Morse'a.

...E-R-S-E-N

Przerwał i przyłożył hełm do kadłuba. Po chwili usłyszał dźwięczące w odpowiedzi kropki i kreski.

TAK

SYTUACJA

ZŁE POWIETRZE ZIMNO

WKRÓTCE POMOC

Cisza, a potem:

SZYBKO

WKRÓTCE

Petersen zawołał do swoich ludzi, że nadeszła pomoc. Czuł się winny, że kłamał. Ich czas prawie się skończył. Kapitan zaczynał widzieć nieostro. Coraz trudniej było oddychać. Temperatura spadła poniżej zera. Nawet skafandry nie chroniły przed zimnem. Petersen przestał się trząść - pierwszy objaw hipotermii.

Lars przerwał tok jego ulatujących myśli.

- Panie kapitanie, mogę o coś spytać?

Petersen chrząknął twierdząco.

- Dlaczego pan wrócił? Mógł się pan uratować.

- Gdzieś słyszałem - odrzekł Petersen - że kapitan powinien iść na dno ze swoim okrętem.

- To już chyba jest samo dno, kapitanie.

Petersen wydał gardłowy odgłos, który miał być śmiechem. Szybko opadali z sił. Ułożyli się jak najwygodniej i czekali.

Załoga łodzi czekała, aż Austin wynurzy się z wody. Po chwili był z powrotem na pokładzie i przedstawił sytuację Beckerowi i kapitanowi Larsenowi.

- Boże drogi... - powiedział Becker. - Co za straszna śmierć. Mój rząd nie będzie szczędził środków na wydobywanie ich ciał.

Jego pesymizm zaczynał drażnić Austina.

- Pański rząd może nie sięgać do portfela, panie Becker. Tamci ludzie jeszcze żyją.

- Ale mówił pan...

- Wiem, co mówiłem. Są w kiepskim stanie, ale to nie znaczy, że ich los jest przesądzony. Akcja ratownicza na okręcie podwodnym "Squalus" trwała ponad dobę, a przeżyło trzydziestu trzech ludzi. - Austin urwał. Jego czuły słuch wyłowił nowy dźwięk. Spojrzał w niebo i osłonił oczy przed blaskiem zza chmur. - Wygląda na to, że przybyły posiłki.

W kierunku okrętu leciał gigantyczny helikopter. Pod jego brzuchem dyndała w uprząży łódź podwodna w kształcie sterowca z tęym dziobem.

- Jeszcze nie widziałem takiego wielkiego helikoptera - powiedział kapitan Larsen.

- Mi-26 to największy śmigłowiec na świecie - odrzekł Austin. - Ma ponad trzydzieści metrów długości. Nazywają go latającym dźwigiem.

Becker uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu godzin.

- Ten dziwaczny obiekt wiszący pod helikopterem to wasz pojazd ratowniczy?

Zawała wzruszył ramionami.

- "Sea Lamprey" nie jest może najpiękniejszą jednostką pływającą, bo przy jego projektowaniu zwracałem szczególną uwagę nie na wygląd, lecz na funkcjonalność.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczył Becker. - Jest śliczny.

Kapitan z podziwem pokręcił głową.

- Jakim cudem udało wam się tak szybko ściągnąć tutaj ten sprzęt? Byliście tysiąc dwieście mil stąd, kiedy wysłaliśmy wezwanie o pomoc.

- Pamiętaliśmy, że Rosjanie lubią robić wielkie rzeczy - odpowiedział Austin. - Chętnie skorzystali z okazji pokazania światu, że wciąż są państwem pierwszej kategorii.

- Ale ten helikopter nie mógłby dostarczyć stamtąd pojazdu w tak krótkim czasie. Musicie być magikami, panowie.

- Wyjęcie tego królika z cylindra kosztowało mnóstwo pracy - odparł Austin, patrząc na manewrujący śmigłowiec. - Mi-26 zabrał batyskaf z morza i przerzucił do bazy lądowej, gdzie czekały dwa potężne samoloty transportowe Antonow N-124. Do jednego załadowano "Sea Lampreya", do drugiego helikopter Mi-26 i śmigłowiec NUMA. Lot do bazy NATO na Wyspach Owczych trwał dwie godziny. Kiedy wylądowywano batyskaf i szykowano się do dalszej podróży, przylecieliśmy tutaj, żeby przygotować grunt.

Odpowiedź kapitana zagłuszyły potężne silniki turbinowe. Maszyna zbliżyła się i zawisła w bezruchu. Ośmiołopatowy rotor główny i pięćłopatowy wirnik ogonowy mełły powietrze, ich podmuch tworzył na morzu rozległy krater. Batyskaf odczepiono tuż nad falami i helikopter odleciał. "Sea Lampreya" wyposażono w wielkie pontony. Zanurzył się, ale szybko wrócił na powierzchnię.

Austin zasugerował kapitanowi, że warto przygotować ambulatorium do przyjęcia ciężkich przypadków hipotermii. Potem załoga łodzi dostarczyła Austina i Zawałę do batyskafu. Marynarze odczepili pontony. Pojazd ratowniczy wypuścił powietrze ze swoich zbiorników balastowych i zniknął w granatowoczarным morzu.

"Sea Lamprey" zawisnął pod wodą na wirnikach napędowych. Austin i Zawała siedzieli w przytulnym kokpicie. Ich twarze oświetlał niebieski blask panela przyrządów. Według listy przeprowadzili kontrolę przedzanurzeniową. Potem Zawała pchnął do przodu drążek sterowy, pochylił tępy dziób batyskafu i pozbył się balastu. Sprowadzał pojazd spiralnie w dół z taką swobodą, jakby jechał z rodziną samochodem na niedzielną wycieczkę.

Austin wpatrywał się w zamgloną, niebieskawą ciemność poza zasięgiem reflektorów.

- Nie zdążyłem cię zapytać przed wejściem na pokład - odezwał się wreszcie - czy ten pojazd jest bezpieczny?

- Jak powiedział kiedyś były prezydent, zależy to od definicji bezpieczeństwa.

Austin jęknął.

- Zapytam inaczej: czy nieszczelności i pompa są naprawione?

- Chyba udało mi się zlikwidować przecieki, ale pompa balastowa działa prawidłowo tylko w idealnych warunkach.

- A jakie są teraz warunki?

- Kurt, mój ojciec często cytował stare hiszpańskie przysłowie: "Do zamkniętych ust nie wpadają muchy".

- A co, do cholery, muchy mają wspólnego z naszą sytuacją?

- Nic - odparł Zawała. - Tylko pomyślałem, że lepiej zmienmy temat. Może nie będzie problemu z obsługą balastu.

Pojazd zbudowano jako ostateczny środek ratowniczy. Po wycięciu laserami otworu w zatopionym okręcie i wycofaniu batyskafu, do wnętrza wraka wdzierała się woda. Nie było sposobu, żeby zatkać dziurę. Należało natychmiast ewakuować wszystkich członków załogi. "Sea Lamprey" był prototypem przeznaczonym tylko dla ośmiu pasażerów i dwóch pilotów. Gdyby z krążownika zabrano wszystkich trzynastu marynarzy, limit obciążenia zostałby przekroczony o pięć osób.

- Zrobiłem prowizoryczne obliczenia - powiedział Austin. - Przy założeniu, że przeciętny człowiek waży sześćdziesiąt osiem kilogramów, mielibyśmy ponad tonę ładunku. "Lamprey" jest zbudowany z marginesem bezpieczeństwa, więc powinno się nam udać. Martwi mnie zbiornik balastowy.

- Jeśli wysiądzie pompa główna, mamy zapasową. - Przy konstruowaniu "Sea Lampreya" zainstalowano systemy rezerwowe. Zawała zamilkł na moment. - Zresztą część załogi może już nie żyć.

- Myślałem o tym - odrzekł Austin. - Zwiększylibyśmy margines bezpieczeństwa, gdybyśmy zostawili zwłoki na dole. Ale nie odpłynę, dopóki nie zabierzemy wszystkich. Żywych czy martwych.

W kokpicie zapadła cisza. Słyszał tylko szum elektrycznych silników napędowych, gdy niezgrabny pojazd opadał w głębiny. Wkrótce dotarli do burty krążownika. Austin skierował Zawałę do punktu penetracji. Batyskaf z cichym stukiem uderzył dziobem w stalowe poszycie. Zaszumiały pompy i pojazd został przyssany do metalu.

Rozciągnął się tunel ewakuacyjny z mocnego, giętkiego materiału syntetycznego. Osiem pionowych i poziomych wirników stabilizowało batyskaf pod nadzorem komputerów, które monitorowały jego ruch w stosunku do prądu morskiego. Przyrządy wskazały, że uszczelnianie zostało zakończone. W innej sytuacji cienka sonda spenetrowałaby kadłub w poszukiwaniu wybuchowych oparów.

Sensory czuwały nad ciśnieniem wewnętrznym. Austin odebrał sygnał, że można bezpiecznie wejść. Z aparatem oddechowym wyłonił się z komory powietrznej. Wokół uszczelnienia zauważył przecieki, ale tak małe, że nie warto się było nimi przejmować. Zaczął pełznąć przez tunel ewakuacyjny.

Wewnątrz krążownika załoga i kapitan zapadli w sen podobny do śmierci. Petersena obudziło z drzemki stukanie gigantycznego dzięcioła. Cholerny ptak! Przeklinając hałas, automatycznie zaczął analizować dźwięki. Litery!

CZEŚĆ

Kapitan zapalił latarkę. Szef kuchni też usłyszał hałas i oczy omal nie wyszły mu z orbit. Petersen wymacał zeszywniałymi palcami klucz maszynowy i uderzył nim słabo w kadłub. Potem jeszcze raz, mocniej.

Natychmiast dostał odpowiedź.

ODSUŃCIE SIĘ

Kapitan kazał szefowi kuchni cofnąć się od burty. Przeczółgał się po pokładzie i zawołał do swoich ludzi, żeby się ruszyli. Potem usiadł, oparty plecami o szafkę. Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać.

Austin wpełził z powrotem do "Lampreya".

- Wszystko w porządku - oznajmił.

- Uruchamiam otwieracz do konserw - odrzekł Zavała i włączył pierścień palników laserowych. Przecinały pięciocentymetrowy metal poszycia tak łatwo, jak nóż pomarańczę. Monitor pokazywał obraz miejsca penetracji. Lasery wyłączały się automatycznie.

Petersen obserwował, jak bladoróżowy krąg zmienia kolor na jaskrawoczerwony. Poczul na twarzy miłe ciepło. Rozległ się głuchy łoskot, gdy fragment burty wpadł do kabiny. Kapitan musiał osłonić oczy przed jasnym światłem.

Tunel ewakuacyjny wypełniała para. Brzegi otworu były jeszcze gorące od cięcia laserami. Austin przystawił specjalną drabinkę i wysunął głowę z dziury.

- Któryś z panów zamawiał taksówkę? - zapytał.

Mimo swobodnego zachowania zastanawiał się, czy pomoc nie przyszła za późno. Ci ludzie byli w okropnym stanie. Zawołał kapitana Petersena. Podczołgała się jakaś brudna postać i wychrypiała:

- To ja. Kim pan jest?

Austin wszedł do okrętu i pomógł kapitanowi wstać.

- Później przyjdzie czas na prezentację. Proszę powiedzieć swoim ludziom, którzy jeszcze mogą się ruszać, żeby wpełzli do tej dziury.

Petersen przetłumaczył polecenie. Austin paroma wilgotnymi kocami osłonił poszarpane brzegi otworu, a potem pomógł tym, którzy nie mieli siły iść sami. Petersen upadł przy próbie wdrapania się do bafyskafu. Austin wepchnął go i wgramolił się za nim. W komorze powietrznej zobaczył strużki wody w miejscu, gdzie Zavała naprawiał pierścień uszczelniający.

Szybko zamknął za sobą właz. Zavała włączył automatycznego pilota i przeciągał duńskich marynarzy przez komorę powietrzną. Ich obszerne skafandry ratunkowe nie

ułatwiał mu zadania. Cud, że ci ludzie jeszcze żyli. A nawet kilku poruszało się samodzielnie. Uratowani, stojąc i siedząc na dwóch wyściełanych ławkach, stłoczyli się jak pasażerowie tokijskiego metra.

- Niestety, nie ma tu przedziału pierwszej klasy - powiedział Austin.

- Nie skarżymy się - odrzekł kapitan. - Moi ludzie na pewno potwierdzą, że lepsze to niż nasze poprzednie warunki bytowe.

Po ulokowaniu załogi Kurt wrócił do kokpitu.

- Mamy małe przecieki wokół uszczelki - zameldował.

Zavala wskazał pulsującą kontrolkę na komputerowym diagramie bafyskafu.

- Nie takie małe. Uszczelka sflaczała jak przebita opona, kiedy tylko zamknęliśmy komorę powietrzną.

Złożył teleskopową rurę ewakuacyjną, odczepił pojazd od wraka i wycofał się. W świetle reflektorów ukazał się wyraźnie okrągły otwór, gdzie lasery wycięły drogę ucieczki. Gdy odsunęli się od okrętu, Zavala uruchomił pompy balastowe. Ich elektryczne silniki ożyły z cichym szumem, nie zadziałała tylko prawa przednia pompa. Dochodził z niej zgrzyt, jakby szuflami zgarniano śmiecie do zsypu. W jednym zbiorniku balastowym pozostała woda, inne wypełniły się sprężonym powietrzem i bafyskaf stracił równowagę.

“Sea Lamprey”, jak każdy okręt podwodny, nabierał wody do zbiorników balastowych, żeby się zanurzyć, a potem wypompowywał ją, by wypłynąć. Komputer próbował wyrównać przechył, zwiększając obroty wirników pionowych. Batyskaf znurkował dziobem w dół, a z wentylatorów wydobył się zapach przegrzanego metalu. Joe z powrotem zalał pozostałe zbiorniki balastowe i mniej więcej wypoziomował “Lampreya”.

Austin wpatrywał się w panel przyrządów. Na schematycznym diagramie awarii błyskała lampka ostrzegawcza. Zrobił diagnostykę na komputerze, który był mózgiem pojazdu. System kontrolny wskazywał, że alarm wywołała usterka mechaniczna. Taki problem miał prawo pojawić się w nowej konstrukcji i zapewne łatwo dałoby się naprawić uszkodzenie. Ale to nie był rejs testowy, lecz zanurzenie na głębokość pięćdziesięciu sążni. Zaczęła pulsować następna czerwona kontrolka.

- Wsiadły obie przednie pompy - oznajmił Austin. - Włącz zapasowe.

- To właśnie one się zepsuły - odparł Zavala.

- A więc dodatkowe systemy mamy z głowy. Co teraz?

- Powiem ci za minutę. Jeśli uda mi się unieść tę łajbę.

- Nie widzę w pobliżu żadnego warsztatu i na wszelki wypadek uprzedzam, że zapomniałem karty kredytowej.

- Jak mawiał mój ojciec, wystarczy laska dynamitu i uparty osioł ruszy.

Austin cieszył się w NUMA zasłużoną opinią nieustraszonego wobec przeciwności losu. Większość ludzi ucieka w obliczu pewnej klęski. Austin zachowywał całkowity spokój. To, że jeszcze żył, zawdzięczał wyjątkowej zaradności i szczęściu. Tych, którzy bywali z nim w trudnych sytuacjach, przerażały jego pomysły. Austin zawsze wzruszał ramionami na ich narzekania. A teraz Joe dawał mu jego własną receptę na kłopoty. Austin uśmiechnął się lekko, założył ręce za głowę i rozparł się wygodnie.

- Nie byłbyś taki pewny siebie, gdybyś nie miał jakiegoś planu - powiedział.

Zavala puścił do niego oko i zdjął z szyi kluczyk na łańcuszku. Otworzył małą metalową pokrywę na środku konsoli i wsunął kluczyk do otworu.

- Kiedy przekręcę ten kluczyk i przesunę włącznik, zadziała trzeci system zapasowy. Ładunki wybuchowe uwolnią nas od zbiorników balastowych i pójdziemy do góry. Sprytnie, co?

- To się okaże. Jeśli na naszej drodze znajdzie się "Thor", zatopimy jego i siebie.

- Jeśli ma to cię uspokoić, wciśnij tamten przycisk. Wysła boję ostrzegawczą na powierzchnię. Flary, gwizdki. Pełny pakiet.

Austin nacisnął przycisk. Rozległ się szum boi wystrzelonej z batyskafu. Polecił pasażerom, żeby mocno się trzymali. Zavala z figlarnym uśmiechem uniósł kciuk.

- Do góry!

Przesunął włącznik, ale jedynym dźwiękiem były hiszpańskie przekleństwa, mamrotane pod nosem przez Zavale.

- Nie zadziałał - powiedział speszony.

- Spróbujmy to podsumować. Znajdujemy się prawie sto metrów pod wodą, mamy przeciążenie, kabina jest pełna półżywych marynarzy i przycisk ostatniej szansy nie działa.

- Potrafisz się zwięźle wyrażać, Kurt.

- Dzięki. Pójdę dalej. Dwa dziobowe zbiorniki balastowe są pełne wody, dwa rufowe są puste, a to powoduje neutralną wyporność. Jest jakiś sposób na odciążenie "Lampreya"?

- Mogę się pozbyć rury konektorowej. Wynurzymy się, ale to nie będzie przyjemne.

- Nie wygląda na to, żebyśmy mieli wielki wybór. Powiem naszym pasażerom, żeby się mocno trzymali.

Austin ostrzegł marynarzy, przypiął się do fotela i dał sygnał Zawali, który odstrzelił tunel ewakuacyjny. Był odłączany na wypadek, gdyby batyskaf musiał się szybko wycofać z akcji ratowniczej. Rozległa się przytłumiona eksplozja i pojazd przechylił się. Po usunięciu

wody z tylnych zbiorników uniósł się pół metra, potem metr, kilka metrów. Początkowo sunął potwornie wolno, ale wraz z wysokością nabierał szybkości. Wkrótce pędził ku powierzchni.

“Sea Lamprey” wystrzelił z wody rufą do góry i opadł w fontannie piany. Zakołysał się gwałtownie, potrząsając ludźmi wewnątrz jak kośćmi w kubku. Małe łodzie, zaalarmowane światłem i dźwiękiem boi ostrzegawczej, ruszyły do akcji i ich załogi przymocowały do batyskafu pontony stabilizujące. Pojazd ustawił się mniej więcej poziomo.

“Thor” rzucił hol i przyciągnął “Sea Lampreya” bliżej, skąd dźwig mógł go przenieść na pokład. Natychmiast po otwarciu włazu wokół batyskafu zaroilo się od personelu medycznego. Wyjmowano uratowanych marynarzy, kładziono na noszach i transportowano do czekających helikopterów, które zabierały ich do szpitala na lądzie. Zanim Austin i Zavala zdążyli wydobyć się z pojazdu, pokład niemal opustoszał. Pozostała tylko garstka załogantów, którzy podeszli, pogratulowali im i szybko zniknęli.

Zavala rozejrzał się po wyludnionym pokładzie.

- A gdzie orkiestra dęta?

- Bohaterstwo samo w sobie jest nagrodą - odrzekł uroczyście Austin. - Ale gdyby ktoś zaproponował mi łyk tequili, nie odmówiłbym.

- Co za zbieg okoliczności. Przypadkiem mam w worku marynarskim butelkę niebieskiej agawy. Pierwszy gatunek.

- Chyba będziemy musieli odłożyć świętowanie. Idzie do nas pan Becker.

Duński urzędnik szedł przez pokład z twarzą rozpromienioną szczęściem. Potrząsnął rękami ludzi z NUMA, poklepał ich po plecach i zasypał pochwałami.

- Dziękuję wam, panowie - powiedział wzruszony. - Dania wam dziękuje. Świat wam dziękuje!

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Austin. - Mieliśmy okazję przetestowania “Sea Lampreya” w akcji. Rosyjski helikopter i samoloty transportowe są w bazie NATO. Wezwiemy je i za kilka godzin znikamy.

Twarz Beckera spoważniała.

- Pan Zavala jest wolny, ale obawiam się, że pan będzie musiał opóźnić swój odlot. W Thorshavn zbiera się jutro specjalna komisja śledcza, powołana do zbadania przyczyn zatonięcia krążownika. Będzie przesłuchiwała świadków i chciałaby mieć pańskie zeznania.

- Nie wiem, jak mógłbym pomóc. Nie widziałem katastrofy.

- Tak, ale dwukrotnie nurkował pan do “Erikssona”. Może pan szczegółowo opisać uszkodzenia. To nam ułatwi sprawę. - Widząc powątpiewanie na twarzy Austina, Becker dodał: - Niestety, będziemy musieli nalegać, żeby był pan naszym gościem do zakończenia

przesłuchań. Proszę się nie obawiać. Ambasada Stanów Zjednoczonych została poinformowana o naszej prośbie i przekaże ją NUMA. Załatwiłem już panu lokum. Zamieszkamy w tym samym hotelu. Wyspy są piękne i spóźni się pan tylko dzień lub dwa na swój statek.

- Dla mnie to nie problem, Kurt - powiedział Zavała. - Mogę zabrać "Lampreya" z powrotem na "Beebe" i dokończyć testy.

W oczach Austina błysnął gniew. Nie podobało mu się, że mały urzędniczyna mówi mu, co ma robić. Nie starał się ukryć niechęci w głosie.

- Wygląda na to, że będę waszym gościem, panie Becker. - Odwrócił się do Zawali. - Trzeba poczekać ze świętowaniem. Zadzwoń do bazy NATO i załatwię sprawę.

Niedługo potem powietrze wypełnił huk silników ogromnego rosyjskiego helikoptera. Pod brzuch "Sea Lampreya" założono uprzęż i śmigłowiec uniósł batyskaf z pokładu statku. Następnie helikopterem NUMA odleciał Zavała. Udał się do bazy, gdzie łódź podwodna miała być załadowana do samolotu transportowego, by wyruszyć w powrotną podróż.

- Jeszcze jedno - odezwał się do Austina Becker. - Chciałbym, żeby zostawił pan na pokładzie swój niezwykły skafander na wypadek, gdyby komisja potrzebowała dalszych dowodów. Potem chętnie dostarczymy go, gdziekolwiek pan zechce.

- Znowu mam nurkować?!

- Możliwe. Oczywiście uzgodnię to z pańskimi przełożonymi.

- Oczywiście - odrzekł Austin. Był zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

Podszedł kapitan i oznajmił, że czeka łódź, która zabierze ich na ląd. Austin nie palił się do tego, żeby spędzać z duńskim biurokratą więcej czasu, niż jest to konieczne.

- Jeśli można, zejść na brzeg jutro. Kapitan Larsen chce mi pokazać wyniki swoich badań nad wielorybami.

Larsen, doskonale rozumiejąc Austina, przyszedł mu w sukurs.

- A, tak. Jak już mówiłem, na pewno uzna pan naszą pracę za fascynującą. Rano odstawię pana Austina na ląd.

Becker wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Ja spędziłem ostatnio na morzu tyle czasu, że wystarczy mi do końca życia.

Austin popatrzył na odpływającą łódź i odwrócił się do kapitana.

- Dzięki za uratowanie mnie przed panem Beckerem.

Larsen westchnął ciężko.

- Widocznie i tacy biurokraci są potrzebni.

- Podobnie jak bakterie trawienne w jelitach - odparł Austin.

Kapitan roześmiał się i położył mu rękę na ramieniu.

- Chyba trzeba oblać sukces waszej misji.

- Racja - przyznał Austin.

Austina potraktowano na statku badawczym jak VIP-a. Po drinkach w kajucie kapitańskiej zjadł wspaniałą kolację, potem obejrzał ekscytujący materiał filmowy z podwodnych badań nad wielorybami. Dostał wygodną kajutę i spał jak zabity. Następnego ranka pożegnał się z kapitanem Larsenem.

Kapitan żałował, że muszą się rozstać.

- Przez kilka dni będziemy tu robili oględziny krążownika. Proszę dać znać, jeśli kiedykolwiek mógłbym w czymś pomóc panu lub NUMA.

Uścisnęli sobie ręce i Austin wsiadł do łodzi, by odbyć krótką podróż do Portu Zachodniego. Po tygodniach spędzonych na wodzie i pod wodą z przyjemnością zszedł na ląd i ruszył brukowanym nabrzeżem wzdłuż rzędu kutrów rybackich. Stolicę Wysp Owczych nazwano Thorshavn - "Port Thora" - od najpotężniejszego z bogów skandynawskich. Wbrew swej nazwie Thorshavn okazało się spokojnym miasteczkiem, położonym między dwoma ruchliwymi portami.

Austin miał ochotę zwiedzić wąskie uliczki z malowniczymi, starymi domkami, ale zerknął na zegarek i uznał, że trzeba się pośpieszyć, jeśli chce zdążyć na przesłuchanie. Zostawił worek marynarski w pokoju hotelowym, który zarezerwował mu Becker. Zamierzał zostać na Wyspach Owczych najwyżej dzień lub dwa. Postanowił, że potem wyjedzie, bez względu na to, co powie Becker. Gdy wychodził, poprosił recepcję o zarezerwowanie mu lotu do Kopenhagi za dwa dni.

Dotarł do celu po kilkuminutowym spacerze pod górę w kierunku placu Vaglio w sercu centrum handlowego miasta. Przystanął przed okazałym, dziewiętnastowiecznym budynkiem z ciemnego bazaltu. Tablica na murze informowała, że to *raohus*, czyli ratusz. Austin przygotował się psychicznie na czekającą go przeprawę. Jako pracownik agencji federalnej znał pułapki czyhające w korytarzach władzy. Pomyślał, że uratowanie ludzi uwięzionych w kadłubie "Leifa Erikssona" może być najłatwiejszą częścią jego przygody na Wyspach Owczych.

Recepcjonistka w holu ratusza wskazała mu drogę do sali przesłuchań. Austin doszedł korytarzem do drzwi strzeżonych przez tęgiego policjanta i przedstawił się. Policjant kazał mu poczekać i wśliznął się do sali. Po chwili pojawił się z Beckerem, który wziął Austina pod ramię i odprowadził na bok.

- Miło pana znów widzieć, panie Austin. - Zerknął na policjanta i zniżył głos. - To delikatna sprawa. Wie pan coś o Wyspach Owczych?

- Tylko tyle, że należą do Danii.

- Zgadza się. Wyspy są częścią Królestwa Danii, ale od roku 1948 mają autonomię. Są całkiem niezależne, zachowały własny język. Kiedy jednak wpadają w tarapaty finansowe, nie wahają się prosić Kopenhagi o pieniądze - wyjaśnił Becker z lekkim uśmiechem. - Ten incydent wydarzył się na wodach farerskich, ale chodzi o duński okręt wojenny.

- Co oznacza, że SOS nie wygrałaby w Danii żadnego konkursu popularności.

Becker zbył komentarz machnięciem ręki.

- Stawiam sprawę jasno. Tych wariatów powinno się powiesić za zatopienie naszego okrętu. Ale jestem realistą. Ten godny pożałowania incydent nigdy by się nie zdarzył, gdyby wyspiarze nie trzymali się z uporem swoich dawnych zwyczajów.

- Ma pan na myśli polowania na wieloryby?

- Nie będę komentował moralnej strony grindarapu. Wielu Duńczyków uważa grind za barbarzyński i niepotrzebny rytuał. Ale ważniejszy jest aspekt ekonomiczny. Firmy, które mogłyby kupować od Farerów ryby lub szukać tu ropy, nie chcą, żeby mówiono, że robią interesy z mordercami wielorybów. I Kopenhaga znów musi sięgać do portfela.

- To tyle, jeśli chodzi o niezależność.

Becker znów się uśmiechnął.

- Rząd duński chce załatwić tę sprawę szybko, bez zbytniego rozgłosu międzynarodowego. Nie chcemy, żeby ludzi z SOS uznano za bohaterskich męczenników, którzy działali nierozważnie, ale w obronie bezbronnych stworzeń.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Proszę nie ograniczać się w zeznaniach do pańskich obserwacji technicznych. Wiemy, jak zatonął krążownik. Niech pan uwypukli ludzkie cierpienie, którego był pan świadkiem. Naszym celem jest postawienie Ryana pod pręgierzem opinii publicznej, potem wydalenie tych niebezpiecznych chuliganów z naszego kraju i dopilnowanie, żeby tu nie wracali. Chcemy, żeby świat uznał ich za wyrzutków społeczeństwa, nie za męczenników. Może wtedy nie powtórzy się taka historia.

- A jeśli Ryan mimo wszystko jest niewinny?

- Mojego rządu to nie interesuje. Tu chodzi o ważniejsze rzeczy.

- Jak pan powiedział, to delikatna sprawa. Zeznam, co widziałem. Tylko tyle mogę obiecać.

Becker skinął głową.

- W porządku. Możemy wejść?

Policjant otworzył drzwi i weszli do sali przesłuchań. Austin obrzucił wzrokiem duże pomieszczenie z ciemną boazerią i ludzi w garniturach, zapewne przedstawiciele władz i prawników, którzy zajmowali kilka rzędów krzeseł. Był w swoim zwykłym stroju roboczym - dżinsach, golfie i kurtce. Na statku nie musiał się elegancko ubierać. Następne garnitury zauważył za długim drewnianym stołem z przodu sali. Na prawo od stołu siedział mężczyzna w mundurze. Mówił po duńsku, jego słowa stenografowano.

Becker wskazał Austinowi miejsce, usiadł obok i szepnął mu do ucha:

- To przedstawiciel straży przybrzeżnej. Pan jest następny.

Świadek ze straży przybrzeżnej skończył zeznania kilka minut później. Austin usłyszał, że wywołują jego nazwisko. Za stołem siedziało czterech mężczyzn i dwie kobiety. Tyle samo Duńczyków co Farerów. Przewodniczący komisji, dobronudny Duńczyk z długą twarzą wikinga, przedstawił się jako Lundgren. Wyjaśnił Austinowi, że będzie mu zadawał pytania główne, a reszta komisji - uzupełniające. Zazaczył, że to tylko przesłuchanie w celu zebrania informacji, nie rozprawa sądowa, toteż nie będzie krzyżowego ognia pytań. W razie potrzeby może również tłumaczyć.

Austin usiadł na krześle i w odpowiedzi na pytania opisał akcję ratowniczą zgodnie z prawdą. Nie musiał upiększać cierpienia załogi w ciemnym i pozbawionym powietrza grobowcu. Mina Beckera wskazywała, że jest zadowolony z tego, co słyszy. Austin skończył po czterdziestu pięciu minutach. Komisja podziękowała mu. Chciał już wyjść, ale postanowił zostać, gdy przewodniczący oznajmił po duńsku i angielsku, że będzie teraz zeznawał kapitan "Sea Sentinel".

Austin był ciekaw, jak może się on obronić przed zeznaniami naocznych świadków. Drzwi otworzyły się i weszli dwaj policjanci. Prowadzili między sobą wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę po czterdziestce. Austin przyjrzał się jego rudawej, pirackiej brodzie, bujnym włosom i mundurowi ze złotymi lamówkami.

Przewodniczący poprosił, żeby świadek usiadł i przedstawił się.

- Nazywam się Marcus Ryan - powiedział mężczyzna, wpatrując się szarymi oczami w zebranych. - Jestem wicedyrektorem organizacji Strażnicy Morza, inaczej SOS, i kapitanem jej statku flagowego "Sea Sentinel". Tym, którzy nas nie znają, wyjaśniam, że SOS jest międzynarodową organizacją, zajmującą się ochroną mórz i ich flory i fauny.

- Proszę opowiedzieć komisji o okolicznościach kolizji z duńskim krążownikiem "Leif Eriksson".

Ryan zaczął wygłaszać mowę przeciwko polowaniom na wieloryby. Przewodniczący upomniął go surowo, żeby trzymał się tematu. Ryan przeprosił i opisał, jak "Sea Sentinel" nagle skręcił i uderzył w okręt wojenny.

Lundgren nie krył rozbawienia.

- Kapitanie Ryan, chce mi pan wmówić, że pański statek zaatakował i staranował "Leifa Erikssona" z własnej woli?

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia zeznań Ryan stracił pewność siebie.

- Hm... no... nie. Chodzi mi o to, że nie reagowały urządzenia sterownicze mojego statku.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - odezwała się kobieta z komisji. - Twierdzi pan, że statek sam sobą sterował i płynął, gdzie mu się podobało?

Rozległy się śmiechy.

- Na to wyglądało - przyznał Ryan.

Jego potwierdzenie wywołało serię dociekliwych pytań. Ryan starał się jak mógł, odpowiadać wymijająco, ale każdym zdaniem pogarszał swoją sytuację. W końcu podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć, że się poddaje.

- Zdaję sobie sprawę, że moje wyjaśnienia wywołują więcej pytań, niż dają odpowiedzi. Ale powiem jasno, żeby nie było nieporozumień. Nie staranowaliśmy celowo duńskiego okrętu. Mam świadków, którzy to potwierdzą. Proszę zapytać kapitana Petersena. Powie państwu, że go ostrzegłem.

- Na jak długo przed kolizją? - zapytał Lundgren.

Ryan wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z płuc.

- Niecałą minutę.

Lundgren nie miał więcej pytań. Ryana zwolniono i jego miejsce zajęła reporterka CNN. Spokojnie zrelacjonowała katastrofę, ale przy opisywaniu śmierci swojego kamerzysty załamała się i spojrzała na Ryana oskarżycielskim wzrokiem.

Lundgren polecił urzędnikowi sądowemu włożyć kasetę wideo do magnetowidu. Telewizor ustawiono przy bocznej ścianie, żeby wszyscy mogli dobrze widzieć ekran. Film ukazywał Ryana na pokładzie swojego statku w otoczeniu reporterów i fotografów. Słychać było żarty o wzburzonym morzu, potem odezwał się kobiecy głos:

- Tylko niech pan się postara, żeby materiał był wart tej całej cholernej dramaminy, którą połknęłam.

Kamera zrobiła zbliżenie szeroko uśmiechniętej twarzy Ryana, kiedy odpowiadał:

- Mogę zagwarantować, że zobaczy nas pani w akcji.

Gdy obiektyw podążył za jego palcem wycelowanym w duński krążownik, przez salę przebiegł pomruk. Austin pomyślał, że Ryan jest ugotowany.

Film skończył się i Lundgren zadał reporterce pytanie:

- Czy na taśmie był pani głos?

Kiedy przytaknęła, Ryan zerwał się z miejsca.

- To nie fair. Moja wypowiedź jest tu całkowicie wyjęta z kontekstu!

- Proszę siadać, panie Ryan - upomniał go Lundgren.

Ryan zdał sobie sprawę, że przez swój wybuch może sprawiać wrażenie narwańca zdolnego do staranowania okrętu. Opanował się.

- Przepraszam. Nie powiedziano mi, że ta kasetka będzie przedstawiona jako dowód. Mam nadzieję, że dadzą mi państwo szansę skomentowania tego materiału.

- To nie jest amerykański sąd, ale przed zakończeniem przesłuchań będzie pan miał okazję zabrać głos w swojej sprawie. Komisja wezwie kapitana Petersena i jego załogę, kiedy tylko zdołają zeznawać. Do tego czasu pozostanie pan w areszcie prewencyjnym na posterunku policji. Postaramy się szybko zamknąć dochodzenie.

Ryan podziękował komisji i w eskorcie policjantów opuścił salę.

- To wszystko? - zapytał Beckera Austin.

- Na to wygląda. Myślałem, że może poproszą pana jeszcze na miejsce dla świadków, ale okazuje się, że nie jest pan dłużej potrzebny. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowaliśmy panu planów.

Austin zapewnił Beckera, że to nie problem. Kiedy sala zaczęła pustoszeć, nadal siedział na krześle i zastanawiał się nad zeznaniami Ryana. Albo facet mówi prawdę, albo jest bardzo dobrym aktorem. Niech rozstrzygną to mądrzejsi. Teraz trzeba napić się dobrej, mocnej kawy, a potem sprawdzić, czy są wcześniejsze loty do Kopenhagi. A stamtąd - do Waszyngtonu.

- Panie Austin.

W jego kierunku szła uśmiechnięta, zgrabna, mocno zbudowana kobieta. Zwrócił uwagę na jej kasztanowe włosy do ramion, gładką skórę i bystre oczy. Miała na sobie biały islandzki sweter.

- Nazywam się Therri Weld - przedstawiła się ciepłym, miękkim głosem. - Jestem doradcą prawnym organizacji SOS.

- Miło mi panią poznać. Czym mogę służyć?

Therri obserwowała poważną minę Austina, kiedy składał zeznania, i teraz zaskoczył ją jego rozbijający uśmiech. Barczysta sylwetka, opalenizna i niebieskozielone oczy

przywodziły jej na myśl filmowego kapitana piratów. Niemal zapomniała, co ma powiedzieć, ale szybko się pozbierała.

- Mógłby mi pan poświęcić kilka minut? - zapytała.

- Właśnie zamierzałem iść na kawę. Przyłączy się pani? Zapraszam.

- Dzięki. Za rogiem jest całkiem porządna kawiarnia.

Znaleźli cichy stolik i zamówili cappuccino.

- Pańskie zeznania były fascynujące - powiedziała Therri, kiedy pili kawę.

- Gwiazdą dnia jest pani szef, kapitan Ryan. Moja relacja błędnie przy jego opowieści.

Therri zaśmiała się.

- Niestety, nie miał dziś swojego dnia. Zwykle jest bardziej elokwentny. Zwłaszcza wówczas, kiedy mówi o sprawach, którymi się najbardziej pasjonuje.

- Trudno wytłumaczyć grupie sceptyków, że statkiem zawładnęły złe duchy. Zeznania reporterki i kasetę wideo nie ułatwiły mu zadania.

- Zgadza się z tym. Dlatego chciałam się z panem spotkać.

Austin uśmiechnął się do niej z rozbijającą miną.

- Ale niefart! Miałem nadzieję, że przyciąga panią mój zwierzęcy magnetyzm.

Therri uniosła brwi.

- To oczywiste. Ale chciałam z panem porozmawiać głównie dlatego, żeby zapytać, czy mógłby pan pomóc SOS.

- Zaczniemy od tego, pani Weld...

- Therri. Mogę ci mówić po imieniu?

Austin skinął głową.

- Widzę od razu parę problemów, Therri. Przede wszystkim nie wiem, jak mógłbym pomóc. Po drugie, nie jestem pewien, czy chciałbym pomóc waszej organizacji. Nie podoba mi się zabijanie wielorybów, ale nie popieram radykalnych świrów.

Therri przeszła go spojrzeniem oczu błyszczących jak lasery.

- Henry David Thoreau, John Muir i Edward Abbey też byli uważani w swoim czasie za radykalnych świrów. Ale rozumiem cię. Wielu ludzi twierdzi, że SOS jest zbyt aktywna. Zgoda, nie popierasz radykałów. A popierasz niesprawiedliwość? Bo właśnie z nią mamy tutaj do czynienia.

- W jakim sensie?

- Marcus nie staranował celowo tego duńskiego okrętu. Byłam w sterowni, kiedy to się stało. Robił wszystko, co mógł, żeby uniknąć kolizji.

- Powiedziałaś to władzom duńskim?

- Tak. Odpowiedzieli, że nie są im potrzebne moje zeznania i kazali mi opuścić te wyspy.

- Dobrze - odrzekł Austin. - Wierzę ci.

- Tak po prostu? Nie wyglądasz na takiego, który przyjmuje coś na wiarę.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, żeby cię nie obrazić.

- Nic, co powiesz, nie może mnie obrazić.

- Miło mi to słyszeć. Ale dlaczego ma mnie obchodzić, czy Ryan jest winny, czy nie?

- Nie proszę cię o to - powiedziała głosem twardym jak stal. Austin powstrzymał uśmiech.

- Więc czego ty właściwie chcesz, Therri?

Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

- Chciałabym, żebyś zanurkował na "Sea Sentinela".

- Po co?

- Może mogłabym udowodnić, że Marcus jest niewinny.

- W jaki sposób?

Rozłożyła ręce.

- Nie wiem. Ale może coś byś znalazł. Wiem tylko tyle, że Marcus mówi prawdę. Szczerze mówiąc, ten jego radykalizm to głównie puste słowa. W rzeczywistości jest twardym pragmatykiem, który bardzo dokładnie kalkuluje swoje szansę. Nie taranuje okrętów wojennych. Poza tym uwielbiał "Sea Sentinela". Sam wybrał te śmieszne, psychodeliczne kolory. Nikt na statku nie chciał zrobić nikomu krzywdy.

Austin rozparł się wygodnie na krześle, założył ręce za głowę i wpatrzył się w szczerą twarz Therri. Podobały mu się jej usta w uśmiechu Mony Lisy, nawet wówczas, kiedy była poważna. Niezwykłe oczy świadczyły o zmysłowej naturze tej kobiety. Austin miał tysiąc powodów, żeby po prostu podziękować za wspólnie wypitą kawę, uścisnąć Therri rękę i życzyć jej szczęścia. Miał też trzy powody, by rozważyć jej prośbę. Była ładna. Mogła mieć rację. I wierzyła w słuszność swojej sprawy. Odlatywał dopiero za dwa dni. Warto było uatrakcyjnić sobie ten krótki pobyt na wyspach.

Zaintrygowany usiadł prosto i znów zamówił kawę.

- Dobra. Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

Kilka godzin później Austin był daleko od przytulnej kawiarni. Miał na sobie pękatą zbroję ochronną skafandra i znów zanurzał się w zimnym morzu u wybrzeży Wysp Owczych. Kiedy opadał w głębiny, uśmiechnął się. Wyobraził sobie, jak zareagowałby Becker, gdyby się dowiedział, że duński statek jest wykorzystywany do tego, żeby pomóc Marcusowi Ryanowi i organizacji. Mały biurokrata dostałby za swoje. Chichot Austina odbił się echem w hełmie.

Po rozstaniu z Therri Weld wrócił do hotelu, zadzwonił do kapitana Larsena i zapytał, czy mógłby jeszcze raz zanurkować z "Thora". Powiedział, że chciałby dołączyć do raportu zdjęcia miejsca akcji ratowniczej, co częściowo było prawdą. Larsen zgodził się bez wahania. Wysłał nawet łódź po Austina. Ponieważ skafander pozostał na statku, wkrótce wszystko było gotowe.

Głębokościomierz wskazywał, że Austin zbliża się do dna. Zwolnił tempo opadania, kilkakrotnie na krótko włączając wirniki pionowe, i zawisnął jak koliber około piętnastu metrów nad częścią dziobową krążownika. Morze nie traciło czasu, żeby wziąć okręt w swoje posiadanie. Kadłub i nadbudówkę pokryła już roślinność, przypominająca kosmaty koc. Przez bulaje wpływały i wypływały ławice głębokowodnych ryb.

Austin sfotografował aparatem cyfrowym otwór wycięty przez "Sea Lampreya" podczas akcji ratowniczej. Potem zrobił zdjęcia trójkątnej dziury w kadłubie, spowodowanej uderzeniem "Sea Sentinela". Wcześniej zapytał kapitana Larsena o ostatnią pozycję statku SOS w stosunku do krążownika i teraz popłynął w przewidywanym kierunku jego zatonięcia.

Poruszał się według standardowego wzorca poszukiwawczego po mniej więcej równoległych liniach prostych. W końcu jego reflektory wyłowiły z mroku jaskrawo pomalowany kadłub. Podobnie jak krążownik, "Sea Sentinel" był już porośnięty futrem podwodnej roślinności. Statek SOS wylądował na dnie na lewej burcie. Poza zmiażdżonym dziobem nie odniósł żadnych uszkodzeń.

Austin obejrzał przednią część wraka i przypomniał sobie zeznania Ryana. Podobno silniki zwariowały i nie reagowały na przekazywane do nich sygnały. Nie można było tego sprawdzić bez wejścia do wnętrza statku. Ale układ sterowniczy był łatwiej dostępny, bo częściowo znajdował się na zewnątrz. Nowoczesnym statkiem steruje się za pomocą elektroniki i hydrauliki. Jednak mimo komputerów, GPS-u i autopilota, sama istota

sterowania nie zmieniała się od czasu, gdy Kolumb wyruszył na poszukiwanie Indii. Na jednym końcu jest koło sterowe lub rumpel, na drugim ster. Obrót koła wychyla ster i kieruje statek w żadaną stronę.

Austin wzniósł się nad rufę, zawrócił i opadł kilka metrów do poziomemu steru wysokości człowieka.

Ciekawe.

Ster okazał się nietknięty, ale przymocowano do niego dwie liny, które biegły po obu stronach statku w kierunku dziobu. Austin popłynął wzdłuż prawej burty i znalazł stalową skrzynkę wielkości dużej walizki przyspawaną do dna. Wychodził z niej przewód elektryczny, który znikał we wnętrzu kadłuba.

Jeszcze ciekawsze.

Kabel i spawy wokół skrzynki lśniły i wyglądały na nowe. Austin wycofał się i dotarł wzdłuż drugiej liny do identycznego urządzenia na lewej burcie. Uniósł aparat fotograficzny i zrobił parę zdjęć. Skrzynki łączył kabel grubości kciuka w gumowej osłonie. Inny biegł w górę burty do punktu nad linią wodną statku. Na końcu kabla znajdował się płaski, plastikowy krążek o średnicy około piętnastu centymetrów. Austin nagle zrozumiał.

Wygląda na to, że ktoś jest panu winien przeprosiny, panie Ryan.

Zrobił kilka zdjęć, potem oderwał plastikowy krążek i umieścił go w pojemniku umocowanym na zewnątrz skafandra. Został na dole jeszcze dwadzieścia minut i zbadał każdy centymetr kwadratowy kadłuba. Nie znalazł już nic podejrzanego, więc włączył wirniki pionowe i rozpoczął podróż ku powierzchni. Po zdjęciu skafandra podziękował kapitanowi Larsenowi za udostępnienie "Thora" i popłynął łodzią do Thorshavn.

W pokoju hotelowym wyjął kasetę z aparatu fotograficznego i włożył ją do laptopa. Studiował na ekranie powiększone podwodne zdjęcia, dopóki nie wryły mu się w pamięć. Potem zadzwonił do Therri i umówił się z nią na spotkanie w tej samej kawiarni. Zjawił się tam wcześniej i ustawił na stoliku komputer. Po kilku minutach przyszła Therri.

- Dobra wiadomość czy zła? - zapytała.

- Obie. - Austin podsunął jej laptop. - Rozwiązałem jedną zagadkę, ale odkryłem następną.

Therri usiadła i wpatrzyła się w obraz na ekranie.

- Co to jest?

- Uważam, że jest to mechanizm zastępujący czy też omijający układ sterowania z mostka.

- Jesteś tego pewien?

- Raczej tak.

Austin kilkakrotnie kliknął myszą komputera, wyświetlając serię zdjęć ukazujących pod różnymi kątami skrzynki przyspawane do kadłuba.

- W tych obudowach mogą być kołowrotki linowe do poruszania sterem lub blokowania go. Spójrz tutaj. Ten kabel prowadzi do odbiornika powyżej linii wodnej. Ktoś mógł sterować statkiem na odległość.

Therri zmarszczyła brwi.

- Wygląda jak talerzyk do ciasta.

Austin sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął plastikowy krążek, który oderwał od kadłuba, i położył na stoliku.

- Ten talerzyk jest anteną do odbierania sygnałów.

Therri zerknęła na ekran, potem wzięła krążek i obejrzała uważnie.

- To by wyjaśniało problemy Marcusa ze sterowaniem. A co z silnikami, których nie mógł wyłączyć?

- Gdybyśmy mogli wejść do wnętrza wraka, pewnie znaleźlibyśmy tam mechanizm do zdalnego regulowania szybkości statku.

- Znam wszystkich na "Sea Sentinelu". Są absolutnie lojalni. - Wsunęła podbródek do przodu, jakby spodziewała się, że Austin zaoponuje. - Nikt z załogi nie dopuściłby się sabotażu.

- Nikogo nie oskarżam.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba nie powinnam wykluczać tego, że w sprawę może być zamieszany ktoś z naszych ludzi.

- Niekoniecznie. Pozwól, że zapytam cię jak ochrona lotniska: czy ktoś inny pakował ci bagaż, czy straciłaś go z oczu?

- Więc jednak uważasz, że sabotażu mógł dokonać ktoś z zewnątrz?

Austin przytaknął.

- Znalazłem kabel zasilający kołowrotki linowe, który wchodzi do kadłuba. Ktoś wewnątrz okrętu musiał podłączyć go do źródła mocy.

- Teraz, kiedy to powiedziałeś, przypomniałam sobie, że silniki wymagały jakiejś naprawy. Statek przez cztery dni stał w suchym doku na Wyspach Szetlandzkich.

- Kto go naprawiał?

- Marcus będzie wiedział. Zapytam go.

- To może być ważne. - Austin postukał w ekran. - Dzięki temu Ryan może uniknąć więzienia. Proponuję, żebyś skontaktowała się z facetem o nazwisku Becker. Mieszka w

moim hotelu. Wygląda na to, że jest szarą eminencją w duńskim Departamencie Marynarki. Może będzie mógł pomóc.

- Nie rozumiem. Dlaczego Duńczycy mieliby pomagać Marcusowi po tym wszystkim, co o nim wygadywali?

- To na użytek publiczny. Naprawdę chodzi im tylko o to, żeby raz na zawsze wykopać Ryana z Wysp Owczych. Nie chcą, żeby tutaj rozrabiał, bo mogłoby to wystraszyć koncerny, które myślą o inwestycjach na wyspach. Przykro mi, jeśli pokrzyżuje to jego plany zostania męczennikiem.

- Nie przeczę, że ma nadzieję zrobić z tego głośną sprawę.

- Czy to nie ryzykowna strategia? Jeśli sprowokuje Duńczyków, mogą być zmuszeni do skazania go i wpakowania za kratki. Nie wygląda na lekkomyślnego faceta.

- Marcus nie jest lekkomyślny, ale podejmuje wkalkulowane ryzyko, kiedy uważa, że stawka jest tego warta. W tym wypadku będzie musiał rozważyć, czy opłaca się iść do więzienia za cenę powstrzymania grindu.

Austin wyjął z laptopa kasetę ze zdjęciami i wręczył Therri.

- Przekaż Beckerowi, że poświadczę, co widziałem, i potwierdzę, że zrobiłem te zdjęcia. Postaram się ustalić producenta tej anteny, ale możliwe, że ktoś złożył ją z powszechnie dostępnych części i nic nam to nie powie.

Therri wstała.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

- Moja zwykła stawka to zaproszenie na kolację.

- Byłoby mi bardzo miło... - Urwała i zerknęła ponad ramieniem Austina na salę. - Kurt, znasz tamtego gościa? Przygląda ci się od jakiegoś czasu.

Austin odwrócił się i zobaczył łysiejącego mężczyznę po sześćdziesiątce z wydatną szczęką, który teraz szedł do ich stolika.

- Kurt Austin z NUMA, jeśli się nie mylę - zagrział mężczyznę.

Austin wstał i wyciągnął rękę.

- Co za miłe spotkanie, profesorze Jorgensen. Nie widzieliśmy się chyba trzy lata.

- Cztery. Od czasu naszej wspólnej pracy nad tamtym projektem na Jukatanie. A to niespodzianka! Oglądałem reportaż o pańskiej wspianałej akcji ratowniczej, ale myślałem, że już pan opuścił wyspy.

Profesor był wysoki i wąski w ramionach. Z dużymi kępkami włosów z boków piegowatej głowy przypominał łabędzia. Mówił po angielsku z oksfordzkim akcentem, w czym nie było nic dziwnego, ponieważ studiował na tym słynnym angielskim uniwersytecie.

- Zostałem, żeby pomóc pani Weld w pewnej sprawie. - Austin przedstawił Therri i wyjaśnił jej: - To profesor Peter Jorgensen, jeden z najlepszych fizjologów morskich na świecie.

- W ustach Kurta brzmi to dużo poważniej niż w rzeczywistości. Jestem po prostu rybim lekarzem. Co panią sprowadza na te peryferia cywilizacji?

- Jestem adwokatem. Studiuję duński system prawny.

- A pana, profesorze? - zapytał Austin. - Prowadzi pan tu jakieś badania?

- Tak, obserwuję pewne wyjątkowe zjawisko - odrzekł Jorgensen, nie odrywając oczu od Therri. - Nie chcę się narzucać, ale mam propozycję. Może zjedlibyśmy dziś razem kolację i opowiedziałbym wam, nad czym teraz pracuję?

- Pani Weld i ja mamy już plany na ten wieczór.

Therri zrobiła zbolaną minę.

- Och, Kurt, tak mi przykro. Niestety, nie mam dziś czasu. Muszę zająć się tym problemem prawnym, o którym dyskutowaliśmy.

Austin wzruszył ramionami.

- Wpadłem we własną pułapkę. Wygląda na to, że mamy randkę, profesorze.

- Doskonale! Spotkajmy się w restauracji hotelu Hania o siódmej, jeśli to panu odpowiada. - Jorgensen odwrócił się do Therri: - Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. - Pocałował ją w rękę.

- Czarujący - powiedziała Therri, kiedy profesor wyszedł. - Bardzo szarmancki, w starym stylu.

- Owszem - zgodził się Austin. - Ale wolałbym zjeść kolację z tobą.

- Może po powrocie do Stanów. - Jej oczy pociemniały. - Myślałam o twojej teorii, że ktoś sterował "Sea Sentinelem" na odległość. Jaki może być zasięg takiego urządzenia?

- Całkiem spory, ale ten ktoś na pewno był blisko, żeby widzieć, czy statek reaguje na polecenia. Podejrzewasz kogoś?

- W pobliżu były łodzie prasowe. Nawet helikopter.

- Statek mógł być sterowany z morza lub powietrza. Nie potrzeba do tego dużo sprzętu. Wystarczy nadajnik z joystickiem, jak do gier komputerowych. Pozostaje jednak pytanie: po co to zrobiono? Komu mogłoby zależeć na usunięciu Ryana?

- Marcus narobił sobie wrogów na całym świecie.

- Na początek ograniczmy się do Wysp Owczych.

- Na pierwszym miejscu postawiłabym wielorybników. Podchodzą do tej sprawy bardzo emocjonalnie. Ale w gruncie rzeczy to porządni ludzie. Nie wierzę, żeby zaatakowali

okręt wojenny, który przysłano do ich ochrony. - Therri urwała na moment. - Jest jeszcze jedna możliwość, ale chyba zbyt mało prawdopodobna, żeby brać ją pod uwagę.

- Co takiego?

W skupieniu zmarszczyła czoło.

- Po operacji "Grindarap" Marcus i jego ludzie planowali urządzić akcję przy gospodarstwie rybnym, należącym do korporacji Oceanus. SOS jest przeciwna takim hodowlom na wielką skalę, bo szkodzą środowisku.

- Co wiesz o Oceanusie?

- Niewiele. To międzynarodowy dystrybutor produktów rybnych. Kiedyś po prostu kupowali ryby na całym świecie, ale od kilku lat zajmują się akwakulturą. Mają hodowle ryb wielkości niektórych farm w Stanach, zarządzanych przez koncerny spożywcze.

- Myślisz, że Oceanus mógłby zorganizować tę całą sprawę?

- Och, nie wiem, Kurt. Ale mieliby środki. I może motyw.

- Gdzie jest ta hodowla?

- Niedaleko stąd, w pobliżu miejscowości Skaalshavn. Marcus zamierzał pływać "Sea Sentinelem" tam i z powrotem przed tym gospodarstwem rybnym. Na użytek kamer. - Therri zerknęła na zegarek. - Muszę lecieć. Mam masę roboty.

Pożegnali się, obiecując sobie, że jeszcze się spotkają. Therri przeszła przez salę, zatrzymała się na moment i rzuciła przez ramię kokietyjne spojrzenie. Zapewne miało to pocieszyć Austina, ale tylko pogorszyło mu humor.

Profesor Jorgensen przyglądał się uprzejmie przez kilka minut, jak Austin usiłuje rozszyfrować niezrozumiałe nazwy dań w menu. W końcu nie wytrzymał i pochylił się nad stolikiem.

- Jeśli chciałby pan spróbować farerskiej specjalności, polecałbym pieczonego maskonura albo stek z wieloryba.

Austin wyobraził sobie, jak ogryza nóżkę małego, przysadzistego ptaka o papuzim dziobie, i zrezygnował z maskonura. Wiedząc o krwawych rzeziach miejscowych wielorybów pomyślał, że wołałby płetwę rekina, ale zdecydował się na *skerpikjot* - pieczoną baraninę. Po pierwszym kęsie pożałował, że nie wziął maskonura.

- Jak pańska baranina? - zapytał Jorgensen.

- Jest trochę bardziej miękka od podeszwy - odparł Austin, ruszając pracownicę szczęką.

- Powinienem był panu doradzić, żeby wziął pan gotowaną baraninę, jak ja. *Skerpikjot* suszą na wietrze. Zwykle przygotowują to mięso na Boże Narodzenie i podają przez resztę roku. Nie jest już pierwszej świeżości. Ale na pewno panu nie zaszkodzi. Przeciętna długość życia na Wyspach Owczych jest dość wysoka.

Austin odkroił mały kawałek i przełknął go. Odłożył nóż i widelec.

- Co pana tutaj sprowadza, profesorze? Chyba nie jedzenie?

Oczy Jorgensena rozbłyły wesoło.

- Nie. Studiuję raporty o zmniejszającej się populacji ryb wokół wysp. To prawdziwa zagadka!

- W jakim sensie?

- Początkowo myślałem, że powodem jest skażenie środowiska. Ale tutejsze morze jest zdumiewająco czyste. Na miejscu nie mogę wiele zdziałać, więc jutro wracam do Kopenhagi, żeby zrobić testy komputerowe próbek wody. Możliwe, że znajdę ślady chemikaliów, które mogą mieć związek z tym problemem.

- Ma pan jakąś teorię co do ich źródła?

Profesor zaczął skubać kępkę włosów.

- Jestem przekonany, że ma to coś wspólnego z pobliską hodowlą ryb. Ale na razie nie mam żadnych dowodów.

Austin patrzył na baranię, zastanawiając się, gdzie mógłby zjeść hamburgera. Ale przy słowach Jorgensena nadstawił uszu.

- Badał pan wodę w pobliżu hodowli?

- Tak. Kilka gospodarstw rybnych na wyspach hoduje pstrągi i łososie. Wziąłem próbki wody z morza wokół hodowli w Skaalshavn. Z Thorshavn to kilka godzin jazdy w górę wybrzeża wzdłuż Sundini, długiej cieśniny, która oddziela Streymoy od wyspy Eysturoy. Kiedyś była tam stacja wielorybnicza. Hodowlę prowadzi duży konglomerat rybacki.

- Oceanus? - strzelił Austin.

- Tak. Słyszał pan o tej firmie?

- Znam tę nazwę od bardzo niedawna. O ile dobrze rozumiem, populacja ryb w pobliżu hodowli jest mniejsza, niż powinna być.

- Zgadza się - przytaknął profesor ze zmarszczonym czołem. - Prawdziwa zagadka.

- Podobno akwakultura może być szkodliwa dla środowiska - powiedział Austin, przypominając sobie słowa Therri Weld.

- Owszem. Odpady z hodowli ryb mogą być toksyczne. Ryby karmi się specjalnymi chemikaliami, żeby szybciej rosły. Ale Oceanus twierdzi, że jego system oczyszczania ścieków to cud techniki. Jak dotąd, nie znalazłem żadnego dowodu, że tak nie jest.

- Widział pan tę hodowlę?

Jorgensen uśmiechnął się.

- Nikogo tam nie wpuszczają. To miejsce jest strzeżone lepiej niż klejnoty korony. Udało mi się porozmawiać z kimś z kancelarii prawniczej, która reprezentuje interesy firmy w Danii. Ten człowiek zapewnił mnie, że Oceanus nie używa żadnych chemikaliów i ma doskonałe urządzenia do oczyszczania ścieków. Jestem sceptykiem, więc wynająłem domek letniskowy niedaleko hodowli Oceanusa, podpłynąłem łodzią najbliższej jak mogłem i pobrałem próbki wody. Jak powiedziałem, jutro wracam do Kopenhagi, ale pan i pańska młoda przyjaciółka możecie skorzystać z domku. To przyjemne miejsce.

- Dziękuję, profesorze. Niestety, pani Weld będzie zajęta przez kilka dni.

- No to pech.

Austin w zamyśleniu skinął głową. Zaintrygowała go wzmianka Jorgensena o szczelnej ochronie hodowli Oceanusa. Ktoś inny mógłby to uznać za przeszkodę, Austin postanowił poszukać związku między Oceanusem i zderzeniem statku SOS z krążownikiem.

- Skorzystam z pańskiej propozycji. Chciałbym zwiedzić kawałek Wysp Owczych, zanim wyjadę.

- Wspaniale! Może pan tam zostać, jak długo pan zechce. Wyspy są bardzo malownicze. Upprzedzę gospodarza o pańskim przyjeździe. Nazywa się Gunnar Jepsen i mieszka obok domku letniskowego. Niech pan weźmie mój wypożyczony samochód. Na miejscu jest mała łódź. Nie będzie się pan nudził. Na klifach gnieźdzą się piękne ptaki, okolica nadaje się doskonale do pieszych wędrówek, a w pobliżu są fascynujące zabytkowe ruiny.

Austin uśmiechnął się.

- Na pewno będę miał co robić.

Po kolacji wypili drinka w barze hotelowym, pożegnali się i umówili na spotkanie w Kopenhadze. Profesor nocował u przyjaciół i rano miał opuścić wyspy. Austin poszedł do swojego pokoju hotelowego. Chciał wstać wczesnym rankiem. Stał przez chwilę przy oknie i patrzył w zamyśleniu na miasto i port. Potem wziął telefon komórkowy i wystukał znajomy numer.

Gamay Morgan-Trout była w swoim biurze w waszyngtońskiej centrali NUMA. Wpatrywała się z uwagą w monitor komputera, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, nie odrywając oczu od ekranu. Na dźwięk głosu Austina uśmiechnęła się radośnie, odsłaniając charakterystyczny niewielki odstęp między przednimi zębami.

- Kurt! - wykrzyknęła. - Cudownie, że się odezwałeś!

- Ja też się cieszę, że cię słyszę. Co w NUMA?

Nie przestając się uśmiechać, Gamay odgarnęła z czoła kosmyk długich ciemnorudych włosów.

- Odkąd ty i Joe wyjechaliście, pływamy tu w stojącej wodzie. Właśnie czytam o badaniach nad pewnym nerwem ropuchy, które mogą pomóc w leczeniu zaburzeń błędnika u ludzi. Paul jest przy swoim komputerze i pracuje nad modelem Rowu Jawajskiego. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam takie ekscytujące zajęcia. Żał mi ciebie i Joe. Musieliście się zanudzić na śmierć podczas tej akcji ratowniczej.

Komputery małżeństwa stały naprzeciw siebie. Paul Trout wpatrywał się w ekran, pochylając głowę z powodu ponaddwumetrowego wzrostu. Był szatynem, czesał się z przedziałkiem na środku głowy, w stylu epoki jazzu, a włosy na skroniach miał zaczesane do tyłu. Zawsze ubierał się nienagannie i miał teraz na sobie lekki oliwkowobrazowy włoski garnitur i muszkę dobraną kolorem, co stanowiło jego znak rozpoznawczy. Spojrzał w górę piwnymi oczami, jakby znad okularów, choć nosił szkła kontaktowe.

- Zapytaj naszego nieustraszonego szefa, kiedy wraca do domu - powiedział. - W centrali NUMA jest cicho jak w grobie, a on i Joe ciągle goszczą na pierwszych stronach gazet.

Austin usłyszał jego słowa.

- Powiedz Paulowi, że będę za kilka dni. Joe zjawi się w ciągu tygodnia, kiedy skończy testować swoją nową zabawkę. Chcę, żebyście wiedzieli, gdzie jestem. Jutro jadę w górę farerskiego wybrzeża do miasteczka Skaalshavn.

- Co się dzieje? - zapytała Gamay.

- Chcę zobaczyć hodowlę ryb, prowadzoną przez firmę o nazwie Oceanus. Możliwe, że istnieje związek między tą firmą i zderzeniem statku z krążownikiem na tutejszych wodach. Kiedy będę węszył, mogłabyś spróbować dowiedzieć się czegoś o Oceanusie. Może Hiram mógłby pomóc.

Hiram Yeager był komputerowym geniuszem, prowadzącym wielką bazę danych NUMA. Pogawędzili jeszcze kilka minut. Austin opowiedział Gamay o uratowaniu duńskich marynarzy. Zanim się rozłączył, obiecała mu, że zaraz zacznie zbierać informacje o Oceanusie. Streściła mężowi rozmowę z Austinem.

- Kurt potrafi gwizdaniem sprowadzić sztorm - zachichotał Paul. - Czego chce się dowiedzieć o gospodarstwie rybnym? Jak się jeździ traktorem pod wodą?

- Nie, jak się obsługuje młockarnię - odparła Gamay z udawaną powagą. - Jak mogłam zapomnieć, że wychowałeś się na kutrze rybackim?

- Jestem tylko wnukiem rybaka.

Trout urodził się na Cape Cod w rodzinie rybaków. Zerwał z rodzinną tradycją, gdy w młodości zawędrował do Instytutu Oceanograficznego Woods Hole. Kilku tamtejszych naukowców namówiło go do studiowania oceanografii. Zrobił doktorat w Instytucie Oceanograficznym Scrippsa i wyspecjalizował się w geologii morskiej. Był ekspertem w używaniu grafiki komputerowej w swoich pracach podwodnych.

- Nie udawaj ignoranta. O akwakulturze wiesz o wiele więcej niż ja.

- W moich stronach ludzie od stu lat hodują mięczaki i ostrygi.

- W wypadku ryb ogólna zasada jest taka sama. Wylęgają się w zbiornikach i rosną w klatkach z siatki, umieszczonych w morzu. Cały proces przebiega znacznie szybciej niż w przypadku ryb, które żyją na wolności.

Paul zmarszczył brwi.

- Przy rządowych zakazach połowów z powodu uszczuplenia zasobów rybnych taka konkurencja dodatkowo zagraża rybakom.

- Hodowcy nie zgodziliby się z tym. Twierdzą, że akwakultura to tańsza żywność, że daje pracę ludziom i pieniądze gospodarce kraju.

- Jako biolog morski, po której stronie stoisz?

Gamay skończyła archeologię morską, potem zmieniła zainteresowania. Wstąpiła do Instytutu Scrippsa, gdzie zrobiła doktorat z biologii morskiej. W tamtym okresie poznała Paula i wyszła za niego.

- Chyba pośrodku. Gospodarstwa rybne przynoszą korzyści, ale trochę się obawiam, że przy hodowlach prowadzonych przez wielkie firmy sprawy mogą się wymknąć spod kontroli.

- To znaczy?

- Trudno powiedzieć, ale dam ci pewien przykład. Wyobraź sobie, że jesteś politykiem, który ubiega się o urząd. Firmy hodujące ryby obiecują zainwestować setki milionów dolarów w rozwój twojego okręgu. Ludzie dostaną pracę, a inwestycje przyniosą rocznie miliardy dolarów, które uaktywnią gospodarkę. Kogo poprzesz?

Trout gwizdnął cicho.

- Miliardy? Nie miałem pojęcia, że w grę wchodzi taka forsa.

- Mówię tylko o ułamku światowego biznesu. Hodowle ryb istnieją na całym świecie. Jeśli jadłeś ostatnio łososa, krewetki czy małże, mogły pochodzić z Kanady, Tajlandii lub Kolumbii.

- Że też firmy hodowlane potrafią dostarczać takie ilości ryb.

- To prawdziwy fenomen. W Kolumbii Brytyjskiej hoduje się siedemdziesiąt milionów łososi, a łowi tylko pięćdziesiąt pięć tysięcy żyjących na wolności.

- Więc jak rybacy mogą konkurować z taką produkcją?

Gamay wzruszyła ramionami.

- Nie mogą. Kurta interesuje firma o nazwie Oceanus. Spróbujmy coś znaleźć. - Przebiegła palcami po klawiaturze komputera. - Dziwne. Zwykle Internet dostarcza aż za dużo informacji. A tu nie ma prawie nic o Oceanusie. Znalazłam tylko króciutki artykuł o sprzedaży Oceanusowi jakiejś przetwórci łososi w Kanadzie. Poszukam dalej.

Minęło piętnaście minut. Paul był znów pochłonięty Rowem Jawajskim, gdy nagle usłyszał głos Gamay:

- Mam! Znalazłam kilka zdań w materiale prasowym o fuzjach przedsiębiorstw. Oceanus najwyraźniej ma firmy na całym świecie. Ich zdolność produkcyjną ocenia się na ponad dwieście dwadzieścia sześć milionów kilogramów ryb rocznie. Po wchłonięciu pewnej

amerykańskiej firmy Oceanus uzyskał dostęp do naszego rynku. Podobno Stany będą kupowały jedną czwartą jego produkcji.

- Dwieście dwadzieścia sześć milionów kilogramów?! Wyrzucam swoją wędkę. Chętnie zobaczyłbym jedną z tych hodowli. Gdzie jest najbliższa?

- W Kanadzie. To ta, o której wspominałam. Też chciałabym ją zobaczyć.

- Więc na co czekamy? Kurta i Joego nie ma, a my siedzimy beczynnie. Na razie nie musimy ratować świata, a jeśli będzie taka potrzeba, zawsze są jeszcze Dirk i Al.

Gamay popatrzyła zmrużonymi oczami na ekran.

- Ta hodowla jest na wyspie Cape Breton. Nie tak blisko stąd.

Paul westchnął.

- Kiedy nauczysz się wierzyć w moją jankeską pomysłowość?

Gamay przyglądała się z rozbawieniem, jak Paul podnosi słuchawkę telefonu i wystukuje numer. Po krótkiej rozmowie uśmiechnął się triumfalnie.

- To był kumpel z działu transportu NUMA. Za kilka godzin odlatuje do Bostonu nasz firmowy samolot. Mają dwa wolne miejsca. Może uda ci się tak oczarować pilota, że podrzuci nas na Cape Breton.

- Warto spróbować - odrzekła Gamay i wyłączyła komputer.

- A co z twoimi badaniami nad ropuchą? - zapytał Paul.

- A co z twoim Rowem Jawajskim?

- Jest tam od milionów lat. Chyba może zaczekać jeszcze kilka dni.

Monitor komputera Paula też zgasł. Z ulgą, że wreszcie skończyła się nuda, rzucili się na wyścigi do drzwi biura.

Poranne zachmurzenie ustąpiło i nad Wyspami Owczymi ukazało się rzadko widywane słońce, oświetlając malowniczą scenerię. Krajobraz wydawał się pokryty zielonym sukniem jak stół bilardowy. Nierówny teren był pozbawiony drzew, tu i tam widniały domki z trawiastymi dachami, czasem wieża kościoła. Wszędzie kamienne murki i ścieżki pomiędzy nimi.

Austin prowadził volvo profesora krętą drogą nadbrzeżną z widokiem na odległe góry w głębi łądu. Z morza o zimnym odcieniu błękitu wyrastały szare, wyszczerbione skały niczym skamieniałe płetwy wielorybów. Nad wysokimi, pionowymi klifami, wyrzeźbionymi przez morze w nieregularnej linii brzegowej, krążyły ptaki.

Koło południa Austin zobaczył miasteczko jak dla lalek, z domkami stłoczonymi na łagodnym zboczu wzgórza na krawędzi fiordu. Na kilkukilometrowym odcinku droga opadała o trzysta metrów. Opony samochodu piszczwały na serpentynie bez barier ochronnych. Austin z ulgą wyjechał na prostą między morzem i kolorowymi domkami, usadowionymi na pochyłości niczym widzowie w amfiteatrze.

Przed maleńkim kościołem z niską, prostokątną wieżą na trawiastym dachu jakaś kobieta sadziła kwiaty. Austin zajrzał do rozmówek angielsko-farerskich i wysiadł z volvo.

- *Orsaka. Hvar er Gunnar Jepsen?* - zapytał, chcąc się dowiedzieć, gdzie mógłby znaleźć Gunnara Jepsena.

Kobieta odłożyła łopatę i podeszła. Wyglądała na około pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat. Miała pociągłą, opaloną twarz, szare oczy koloru pobliskiego morza i srebrzyste włosy upięte w kok. Uśmiechnęła się promiennie i wskazała boczną drogę, która prowadziła na obrzeża miasteczka.

- *Gott taak* - podziękował Austin.

- *Eingiskt?*

- Nie, Amerykanin.

- Nie widzujemy tu wielu Amerykanów - powiedziała po angielsku ze skandynawskim akcentem. - Witamy w Skaalshayn. Gunnar mieszka tam, na wzgórzu. Proszę pojechać tą wąską drogą. - Znów się uśmiechnęła. - Mam nadzieję, że pański pobyt tutaj będzie udany.

Austin jeszcze raz podziękował, wrócił do samochodu i przejechał około pół kilometra w zwirowych koleinach. Droga kończyła się przy dużym, krytym trawą domu z pionowych

desek w kolorze ciemnej czekolady. Na podjeździe stał pick-up. Sto metrów w dół zbocza Austin ujrzał jak gdyby mniejszą kopię tego budynku. Wspiął się po schodach na ganek i zapukał.

Drzwi otworzył tęgawy mężczyzna średniego wzrostu. Miał okrągłą, rumianą twarz i cienkie pasma rudawych włosów, zaczesane z pożyczką na łysą czaszkę.

- *Ja?* - zapytał z uprzejmym uśmiechem.

- Pan Jepsen? Nazywam się Kurt Austin. Jestem znajomym profesora Jorgensena.

- Pan Austin. Proszę wejść. - Jepsen potrząsnął dłonią Kurta jak sprzedawca używanych samochodów w nadziei na transakcję. Potem wprowadził gościa do salonu w wiejskim stylu. - Profesor Jorgensen zatelefonował do mnie i uprzedził, że pan przyjedzie. Z Thorshavn to kawał drogi. Napije się pan?

- Dziękuję. Może później.

Jepsen skinął głową.

- Przyjechał pan trochę powędkować?

- Słyszałem, że na Wyspach Owczych można złapać rybę nawet na lądzie.

Jepsen uśmiechnął się szeroko.

- Niezupełnie. Ale prawie.

- Przeprowadzałem akcję ratowniczą na morzu w pobliżu Thorshavn i pomyślałem, że wyjazd na ryby byłby dobrym relaksem.

- Akcję ratowniczą? Austin... - Jepsen zaklął po farersku. - Powinienem być się zorientować. Jest pan tym Amerykaninem, który uratował duńskich marynarzy. Widziałem to w telewizji. Prawdziwy cud! Zobacz pan, co będzie, jak miejscowi się dowiedzą, że mam u siebie takiego bohatera.

- Miałem nadzieję, że nikt mi tu nie będzie przeszkadzał.

- Oczywiście, że nie. Ale nie uda się zachować pańskiej wizyty w tajemnicy.

- Jedną osobę już spotkałem. Kobieta przed kościołem. Wydała mi się całkiem miła.

- Na pewno wdowę po pastorze. To kierowniczką poczty i główna plotkara. Wszyscy zaraz się dowiedzą, że pan tu jest.

- Czy to domek profesora tam poniżej na zboczu wzgórza?

Jepsen przytaknął i zdjął z gwoźdźca w ścianie klucz na kółku.

- Chodźmy, pokażę panu.

Austin wziął z samochodu swój worek marynarski. Kiedy szli ścieżką, Jepsen zapytał:

- Zna pan dobrze profesora Jorgensena?

- Poznaliśmy się kilka lat temu. Jest znanym na świecie naukowcem.

- Tak, wiem. Byłem bardzo zaszczycony, że mogłem go tu gościć. A teraz pana.

Zatrzymali się przed domkiem. Z ganku rozciągał się widok na port z malowniczą flotyllą kutrów rybackich.

- Jest pan rybakiem, panie Jepsen?

- W takim małym miasteczku trzeba robić różne rzeczy, żeby przetrwać. Wynajmuję domek. Nie mam dużych wydatków.

Weszli do środka. Wewnątrz znajdował się pokój z pojedynczym łóżkiem, łazienka, aneks kuchenny, mały stół i parę krzeseł. Wyglądało na to, że można tu mieszkać całkiem wygodnie.

- W szafie jest sprzęt wędkarski - powiedział Jepsen. - Proszę dać mi znać, gdyby potrzebował pan przewodnika na ryby czy pieszą wycieczkę. Jestem potomkiem wikingów i nikt nie zna tych okolic lepiej ode mnie.

- Dzięki za propozycję, ale ostatnio miałem wokół siebie zbyt duże ludzi. Chciałbym spędzić trochę czasu w samotności. Czy mogę skorzystać z łodzi?

- Trzecia od końca nabrzeża - odrzekł Jepsen. - Kluczyki są w stacyjce.

- Dziękuję za pomoc. Przepraszam, ale chciałbym się rozpakować. Potem przejdę się po miasteczku, żeby rozprostować kości.

Jepsen powiedział Austinowi, żeby dał mu znać, gdyby czegoś potrzebował.

- I niech pan się ciepło ubiera - dodał od drzwi. - Pogoda tutaj szybko się zmienia.

Austin skorzystał z rady, włożył na sweter kurtkę i wyszedł na dwór. Stał na ganku i wdychał chłodne powietrze. Teren opadał stopniowo do morza. Austin miał dobry widok na port, nabrzeże rybackie i łodzie. Wrócił ścieżką do swego samochodu i pojechał do miasteczka.

Pierwszy postój zrobił przy ruchliwym nabrzeżu rybackim, gdzie traulery wyładowały połów. W górze krążyły wrzeszczące ptaki. Austin odnalazł swoją łódź. Była przycumowana w miejscu opisanym przez Jepsena. Miała solidny, drewniany kadłub, około sześciu metrów długości, wysoki dziób i rufę. Wbudowany na stałe silnik wyglądał na nowy i dobrze utrzymany. Kluczyk tkwił w stacyjce, tak jak powiedział Jepsen. Austin uruchomił silnik i słuchał go przez kilka minut. Zadowolony z jego pracy, wyłączył zapłon i poszedł z powrotem do samochodu. Po drodze spotkał wdowę po pastarze. Wychodziła z zatoki wyładunkowej.

- Witaj, Amerykaninie - powiedziała z przyjaznym uśmiechem. - Znalazł pan Gunnara?

- Tak, dziękuję.

Trzymała rybę zawiniętą w gazetę.

- To moja kolacja. Nazywam się Pia Knutsen.

Uścisnęli sobie ręce. Pia miała ciepłą, mocną dłoń.

- Miło mi. Kurt Austin. Podziwiałem widoki. Skaalshavn to piękne miejsce. Zastanawiałem się, co ta nazwa może znaczyć po angielsku.

- Rozmawia pan z nieoficjalnym historykiem tego miasteczka. Skaalshavn to Port Czaszki.

Austin zerknął na morze.

- Od kształtu zatoki?

- Och, nie. To ma związek z przeszłością. Kiedy osiedlili się tu wikingowie, w kilku grotach znaleźli czaszki.

- Ktoś tu był przed wikingami?

- Zapewne irlandzcy mnisi, a może ktoś jeszcze wcześniej. Groty są po drugiej stronie półwyspu, przy porcie z dawną stacją wielorybniczą. Połowy były coraz większe, zrobiło się tam za ciasno i rybacy przenieśli się tutaj.

- Chętnie wybrałbym się na pieszą wycieczkę. Może mi pani polecić jakieś trasy z dobrym widokiem na miasteczko i okolicę?

- Z klifów, gdzie żyją ptaki, widać kilometry wybrzeża. Niech pan pójdzie tamtą ścieżką za miastem. Prowadzi obok dużego jeziora przez wrzosowiska z pięknymi wodospadami i strumieniami. Za ruinami starej farmy pnie się stromo na klify. Niech pan nie podchodzi zbyt blisko do krawędzi, zwłaszcza gdy jest mgła. Chyba że ma pan skrzydła. Klify mają prawie pięćset metrów wysokości. W drodze powrotnej niech pan idzie wzdłuż kopców i trzyma się po ich prawej stronie. Ścieżka jest stroma i gwałtownie opada. Nad morzem lepiej nie zbliżać się za bardzo do brzegu. Fale czasem przelewają się nad skałami i mogą pana zmyć.

- Będę uważał.

- Jeszcze jedno. Proszę się ciepło ubrać. Czasem pogoda szybko się zmienia.

- Gunnar też mi tak doradził. Chyba jest dobrze zorientowany. Czy pochodzi z tych okolic?

- Udaje potomka wikingów - parsknęła Pia. - Jest z Kopenhagi. Sprowadził się tutaj dwa lata temu.

- Dobrze go pani zna?

- O, tak. Próbował zaciągnąć mnie do łóżka, ale aż tak nie potrzebuję faceta.

Pia była ładna i Austin nie dziwił się Jepsenowi. Jednak nie po to przejechał taki kawał drogi, żeby zajmować się miejscowymi romansami.

- Słyszałem, że jest tu jakaś hodowla ryb.

- Tak, zobaczy ją pan z klifów. Brzydki budynek z betonu i stali. W porcie jest pełno ich klatek z rybami. Hodują je tutaj i wywożą. Miejscowi rybacy nie są zachwyceni. Połowy wokół starego portu zmały. Firma nie zatrudnia nikogo z tutejszych. Nawet Gunnar już tam nie pracuje.

- A pracował?

- Na początku. Przy budowie. Zarobił, kupił domy i żyje z wynajmu.

- Macie tu dużo gości? - zapytał Austin, spoglądając na smukły, niebieski jacht, który wchodził do portu.

- Obserwatorów ptaków i wędkarzy. - Pia spojrzała w tym samym kierunku, co Austin. - Jak tamci z tego pięknego statku. Słyszałam, że to jacyś bogaci Hiszpanie. Podobno przyплыли tu na ryby. Taki kawał drogi.

Austin odwrócił się do niej.

- Mówi pani bardzo dobrze po angielsku.

- Uczymy się go w szkole razem z duńskim. I spędziliśmy z mężem trochę czasu w Anglii zaraz po ślubie. Ale rzadko mamy okazję, żeby porozmawiać po angielsku. Może zjedlibyśmy razem kolację u mnie w domu? Poćwiczyłabym angielski.

- Nie będę sprawiał kłopotu?

- Ależ nie. Niech pan przyjdzie po spacerze. Mieszkam w domu za kościołem.

Umówili się na spotkanie za kilka godzin i Austin podjechał tam, gdzie zaczynał się pieszy szlak. Żwirowa ścieżka wiodła przez pagórkowate wrzosowiska z polnymi kwiatami, omijając małe, niemal idealnie okrągłe jezioro, które wyglądało jak zrobione z kryształu. Mniej więcej półtora kilometra od jeziora Austin dotarł do ruin starej farmy i cmentarza sprzed wieków.

Ścieżka stała się bardziej stroma i mniej widoczna. Tak, jak radziła Pia, Austin trzymał się starannie ułożonych stosów kamieni, które wskazywały drogę. Na horyzoncie widział stada owiec. Z daleka wyglądały jak kłaczki wełny. W oddali wznosiły się góry z wodospadami.

Szlak doprowadził Austina do klifów. W górze krążyły setki morskich ptaków, szybujących na prądach powietrznych. Z zatoki wyrastały wysokie kominy skalne, których płaskie szczyty tonęły we mgle. Żując energetyczny baton, pomyślał, że Wyspy Owcze są chyba najbardziej niesamowitym miejscem na świecie.

Szedł tak, dopóki nie stanął na szczycie wzgórza z rozległym widokiem na poszarpane wybrzeże. Zaokrąglony cypel oddzielał Skaalshavn od mniejszej zatoki. Wzdłuż starego portu stały równym szeregiem budynki. Kiedy Austin patrzył w dół, poczuł na policzku kroplę deszczu. Od strony gór nadciągały ciemne chmury. Zaczął schodzić stromą ścieżką, co wcale nie było łatwe. Musiał poruszać się wolno, dopóki znów nie znalazł się na płaskim terenie. Zaczęło lać. Kierując się na światła miasteczka, Austin doszedł do samochodu.

Pia spojrzała na przemoczoną postać stojącą w drzwiach domu i pokręciła głową.

- Wygląda pan jak po kąpieli w morzu. - Kazała Austinowi iść do łazienki i rozebrać się. Nie miał siły protestować. Kiedy się rozbierał, Pia uchyliła drzwi, rzuciła mu ręcznik i suche ubranie.

- Rzeczy mojego męża doskonale na pana pasują - powiedziała z aprobatą, gdy włożył koszulę i spodnie. - Był taki wysoki, jak pan.

Kiedy nakrywała do stołu, Austin rozłożył swoje ubranie przy piecu opalanym drewnem, rozkoszując się ciepłem, dopóki Pia nie oznajmiła, że kolacja gotowa.

Świeży smażony dorsz rozpływał się w ustach. Popijali kolację lekkim białym winem domowej roboty. Na deser był słodki pudding rodzynekowy. Przy jedzeniu Pia mówiła o życiu na Wyspach Owczych, a Austin opowiedział jej trochę o swojej pracy w NUMA. Była zafascynowana jego eskapadami do egzotycznych miejsc.

- Zapomniałam zapytać - powiedziała Pia, kiedy sprzątała ze stołu - czy spacer się udał mimo deszczu?

- Wszedłem na szczyt klifu. Widok jest niesamowity. Widziałem hodowlę ryb, o której pani wspominała. Wpuszczają tam gości?

Pia pokręciła głową.

- O, nie. Nikt tam nie ma prawa wstępu. Jak już mówiłam, nie zatrudniają nikogo z miejscowych. Wzdłuż wybrzeża biegnie droga, z której korzystali podczas budowy, ale potem przegrodzili ją wysokim parkanem. Wszystko przywożą i wywożą morzem. To jakby oddzielne miasto.

- Ciekawe. Szkoda, że nie można tam wejść.

Pia dołała Austinowi wina i spojrzała na niego chytrze.

- Gdybym chciała, mogłabym tam wejść w każdej chwili. Przez Wrota Syreny.

- Wrota Syreny?

- Tak mój ojciec nazywał grotę na skraju starego portu. Czasem zabierał mnie tam łodzią. Ale nigdy nie wpłynęliśmy razem do środka. To niebezpieczne miejsce z silnymi prądami i skałami. Ci, który próbowali się tam dostać, utonęli, więc rybacy trzymają się z

daleka od tej groty. Mówią, że nawiedzają ją duchy zmarłych. Jakoby słyszeć ich zawodzenie, ale to tylko wycie wiatru.

- Wynika z tego, że pani ojciec nie bał się duchów.

- On się niczego nie bał.

- A co te groty mają wspólnego z tutejszą hodowlą ryb?

- Można tamtędy wejść na jej teren. Jedna grot łączy się z innymi, które prowadzą do starego portu. Mój ojciec opowiadał, że na ścianach są rysunki. Pokażę panu.

Pia podeszła do biblioteczki i wyjęła stary album rodzinny. Między zdjęciami znajdowała się kartka. Pia rozłożyła ją na stole. Austin ujrzał skopiowane ze ścian grot bizony i jelenie. Najbardziej jednak zainteresowały go długie, smukłe statki żaglowo-wiosłowe.

- To bardzo stare rysunki - powiedział. - Czy pani ojciec pokazywał je komuś?

- Tylko rodzinie. Chciał zachować w tajemnicy istnienie grot, bo obawiał się, że ludzie je zniszczą, jeśli się o nich dowiedzą.

- Więc do grot nie ma wejścia z lądu?

- Było, ale zostało zablokowane głazami. Ojciec mówił, że łatwo je usunąć. Chciał sprowadzić tu naukowców z uniwersytetu, żeby zrobili to fachowo, ale zginął w czasie sztormu.

- Bardzo pani współczuję.

Pia uśmiechnęła się.

- Jak powiedziałam, niczego się nie bał. W każdym razie po jego śmierci matka postanowiła, że musimy zmienić miejsce zamieszkania. Wróciłam tutaj z mężem. Byłam zbyt zajęta wychowywaniem dzieci, żeby zajmować się grotami. Potem ta firma rybna kupiła tu ziemię i dawną stację wielorybniczą. Teraz nikt tam nie ma prawa wstępu.

- Ma pani więcej takich rysunków?

Pia pokręciła głową.

- Ojciec zrobił mapę grot, ale nie wiem, co się z nią stało. Mówił, że ci dawni ludzie używali obrazków ryb i ptaków jako drogowskazów. Dopóki idzie się śladem właściwej ryby, nie można się zgubić. Niektóre z tych grot prowadzą w ślepe zaułki.

Rozmawiali do późnej nocy. W końcu Austin spojrzął na zegarek i powiedział, że musi iść. Pia nie wypuściła go, dopóki nie obiecał, że następnego wieczoru znów przyjdzie na kolację. Jechał pustą drogą w półmroku białej, polarnej nocy.

W większym domu paliło się światło, ale nie zauważył Jepsena. Domyślił się, że gospodarz położył się spać. Deszcz ustał. Austin wyszedł na ganek i przez chwilę patrzył na ciche miasteczko i port. Potem wszedł z powrotem do domku i przygotował się do snu. Choć

okolica wydawała się spokojna, nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że Skaalshavn to miejsce mrocznych tajemnic. Zanim położył się spać, sprawdził, czy drzwi i okna są dobrze zamknięte.

Paul Trout lawirował szerokim humvee w gęstym waszyngtońskim ruchu niczym futbolista pędzący do celu w finale Super Bowl. Chociaż Paul i Gamay często wyjeżdżali na rodzinne wyprawy w wiejskie okolice Wirginii, gdzie potrzebny był napęd na cztery koła, żaden najcięższy teren nie mógł się równać z zatłoczonymi ulicami stolicy. Gamay wypatrywała luk między samochodami i pilotowała Paula. Potrafili pracować w duecie jak dobrze naoliwiona maszyna, co było ważne podczas zadań wykonywanych dla NUMA. Admirał Sandecker doceniał to i zatrudniał ich razem.

Paul skręcił w wąską ulicę w Georgetown i wjechał na miejsce parkingowe za ich ceglany domem. Pobiegli do drzwi. Kilka minut później wskoczyli do taksówki z pospiesznie spakowanymi torbami podróżnymi w rękach. Odrzutowiec pasażerski NUMA czekał na lotnisku i rozgrzewał silniki. Pilotka, która miała odstawić grupę naukowców do Bostonu, znała Troutów z poprzednich misji zespołu specjalnego. Dostała od NUMA zgodę na przedłużenie trasy i wypełniała nowy plan lotu.

Po wysadzeniu naukowców w porcie lotniczym Logan, samolot poleciał dalej w górę atlantyckiego wybrzeża. Cessna citation utrzymywała szybkość podróżną prawie ośmiuset kilometrów na godzinę i Troutowie dotarli do Halifaksu w Nowej Szkocji w porze późnej kolacji. Przenocowali w hotelu blisko lotniska i wczesnym rankiem złapali lot Air Canada na Cape Breton. W porcie lotniczym w Sydney wypożyczyli samochód i pojechali z miasta w stronę skalistego wybrzeża, żeby zobaczyć przetwórnę, którą kupił Oceanus. Gamay zaopatrzyła się na lotnisku w przewodnik turystyczny. Autor rozdziału opisującego tę odludną część wybrzeża również przetwórnę ryb zaliczył do atrakcji turystycznych.

Przez wiele kilometrów nie widać było oznak cywilizacji. W końcu dojechali do stacji benzynowej, połączonej z warsztatem, restauracją i sklepem wielobranżowym. Gamay, która prowadziła samochód, zaparkowała obok rzędu zdezelowanych pick-upów przed zrujnowanym budynkiem z pięknie odmalowaną fasadą.

Paul podniósł wzrok znad mapy.

- Urocze miejsce, ale do centrum miasta mamy jeszcze kilka kilometrów.

- Za to tutaj na pewno jest centrum plotkarskie. I tak musimy zatankować - odrzekła Gamay i postukała we wskaźnik paliwa. - Kiedy będziesz pompował benzynę, ja wypompuję tutejszych ludzi.

Wetknęła pod pachę przewodnik turystyczny, przeszła nad czarnym labradorem, który spał jak zabity na zniszczonym ganku, i pchnęła drzwi. Przywitał ją przyjemny zapach fajkowego tytoniu, bekonu i kawy. Połowę pomieszczenia zajmował sklep, zapchany wszystkimi możliwymi towarami, od konserwowanej wołowiny po amunicję myśliwską. W drugiej części była restauracja.

Przy okrągłych, chromowanych stolikach z laminowanymi blatami siedziało około tuzina mężczyzn i kobiet. Wszyscy wlepili wzrok w Gamay. Ze wzrostem metr siedemdziesiąt osiem, wagą sześćdziesięciu jeden kilogramów, szczupłą sylwetką i rudymi włosami o niespotykanym odcieniu, Gamay zwróciłyby uwagę nawet na plażowym party w Malibu. Ciekawe spojrzenia śledziły jej każdy ruch, gdy nalewała kawę z automatu do dwóch plastikowych kubków.

Gamay poszła zapłacić. Młoda pulchna kobieta przy kasie powitała ją przyjaznym uśmiechem.

- Przejazdem? - zapytała, jakby nie potrafiąc sobie wyobrazić, że jakiś podróżny może zatrzymać się w tym mieście dłużej niż trwa napełnienie kubka kawą.

Gamay przytaknęła.

- Jedziemy z mężem wzdłuż wybrzeża.

- Nie ma tu wiele do oglądania - odrzekła z rezygnacją kasjerka.

Gamay miała łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi. Nikt nie mógł się oprzeć jej urokowi.

- Uważamy, że to piękna okolica - powiedziała z ujmującym uśmiechem. - Zostalibyśmy dłużej, gdybyśmy mieli czas. - Otworzyła przewodnik na założonej stronie. - Tu jest napisane, że w pobliżu macie śliczny mały port z przetwórną rybną.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem kasjerka.

Goście restauracji przysłuchiwali się każdemu słowu. Siwa, zylasta kobieta zagadkała jak kura:

- Nie łowi się już tak ryb, jak kiedyś. Przetwórnę sprzedali. Jakaś wielka firma kupiła ten interes. Wywalili wszystkich pracowników. Nikt nie wie, co tam robią. Ich ludzie nigdy nie przyjeżdżają do miasta. Czasem widzimy Eskimosów w dużych, czarnych samochodach.

Gamay zerknęła do przewodnika, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła.

- Eskimosów? Nie myślałam, że jesteśmy tak daleko na północy.

Jej niewinne pytanie wywołało dyskusję przy stolikach. Niektórzy z miejscowych twierdzili, że przetwórnicy pilnują Eskimosi. Inni mówili, że ludzie za kierownicami samochodów to Indianie lub może Mongołowie. Gamay zastanawiała się, czy przypadkiem

nie trafiła do domu wariatów. Utwierdziła się w tym, gdy kasjerka wymamrotała coś o “obcych”.

- Obcy? - zapytała Gamay.

Kasjerka zamrużyła powiekami za grubymi, okrągłymi okularami.

- To jak tajna baza UFO w Stanach! Strefa Pięćdziesiąt Jeden. To, co pokazują w Archiwum X.

- Widziałem raz UFO, jak polowałem niedaleko dawnej przetworni - wtrącił się starszerek wyglądający na sto lat. - Wielkie i srebrne. Tak się nagrzało, że całe świeciło.

- Do cholery, Joe - odpowiedziała chuda kobieta. - Widziałam cię wtedy. Sam się tak nagrzałeś, że zobaczyłbyś nawet purpurowe słońce.

Joe wyszczerzył w uśmiechu resztki zębów.

- Słońce też widziałem.

W restauracji rozległy się śmiechy.

Gamay uśmiechnęła się słodko do kasjerki.

- Byłoby wspaniale, gdybyśmy po powrocie mogli opowiedzieć naszym znajomym, że widzieliśmy bazę UFO. To daleko stąd?

- Jakieś trzydzieści kilometrów - odrzekła kasjerka i wyjaśniła Gamay, jak dojechać do przetworni. Gamay podziękowała jej, włożyła dziesięć dolarów do pustego słoika na napiwki, wzięła kubeczki z kawą i wyszła.

Paul stał z założonymi rękami, oparty o samochód.

- Udało się? - zapytał.

Gamay zerknęła przez ramię na budynek.

- Sama nie wiem. Czułam się jak na planie *Miasteczka Twin Peaks*. W ciągu kilku minut dowiedziałam się, że w tej części świata żyją Eskimosi, którzy jeżdżą dużymi, czarnymi limuzynami, jest baza UFO i purpurowe słońce.

- Myślisz, że miejscowi bawią się kosztem turystów? - zapytał Paul, wsiadając od strony pasażera.

- Powiem ci, kiedy znajdziemy wielkie, srebrne UFO w Strefie Pięćdziesiąt Jeden. - Na widok zdumionej miny męża roześmiała się. - Wyjaśnię ci po drodze.

Minęli skręt do centrum miasta i portu i wjechali w gęsty, sosnowy las. Mimo szczegółowych wskazówek kasjerki, która opisała każdy pniak i kamień na przestrzeni paru kilometrów, omal nie przegapili drogi. Nie było żadnego drogowskazu. Tylko ubite koleiny z dość świeżymi śladami opon odróżniały dojazd do przetworni od dróg pożarowych między drzewami.

Około kilometra od głównej drogi zjechali na bok. Kasjerka doradziła Gamay, żeby zaparkować na polanie w pobliżu wielkiego głazu polodowcowego i dalej pójść przez las. Powiedziała, że kilku miejscowych, którzy dojechali w pobliże bramy przetwórczej, zatrzymano i brutalnie zawrócono. Eskimosi, czy kimkolwiek byli ochroniarze, mieli zapewne ukryte kamery.

Gamay i Paul zostawili samochód i poszli lasem równoległe do drogi. Po jakichś dwustu metrach zobaczyli błyszczący w słońcu wysoki parkan z metalowej siatki. Wzdłuż szczytu ogrodzenia biegł czarny kabel. Siatka była pod napięciem. Nie zauważyli kamer, ale mogły zostać zamaskowane.

- Co dalej? - zapytała Gamay.

- Możemy spróbować zarzucić wędkę - odparł Paul.

Wyszedł pomiędzy drzew na pas trawy biegnący wzdłuż parkanu. Miał dobry wzrok, więc dostrzegł prawie niewidoczny drut na wysokości kostek. Pułapka. Odłamał suchą gałąź z pobliskiego drzewa, rzucił na drut i wrócił między sosny. Położyli się płasko na dywanie z igieł.

Wkrótce usłyszeli odgłos silnika i po drugiej stronie ogrodzenia zatrzymał się czarny samochód. Drzwi otworzyły się i w kierunku parkanu popędziły groźne, śnieżnobiałe psy arktyczne wielkości lwów. Po chwili dołączył do nich śniady ochroniarz o okrągłej twarzy. Był w czarnym mundurze, w rękach trzymał wycelowany przed siebie karabin szturmowy.

Kiedy psy biegały tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia, ochroniarz badał wzrokiem las. Zauważył gałąź leżącą na drucie. Uniósł radio do ust, powiedział coś w niezrozumiałym języku i zawrócił. Psy najwyraźniej wyczuły ludzi ukrytych między drzewami. Zamarły w miejscu, warcząc i wpatrując się w kryjówkę Troutów. Ochroniarz zawołał je. Wskoczyły do samochodu i patrol odjechał.

Paul spojrział na zegarek.

- Niezły czas. Dziewięćdziesiąt sekund.

- Może pora się stąd wynieść - odrzekła Gamay. - Na pewno wyślą kogoś, żeby usunął gałąź.

Troutowie znów wtopili się w las. Idąc i biegnąc, dotarli do samochodu. Po kilku minutach byli na głównej drodze.

Gamay ze zdziwieniem pokręciła głową.

- Czy ten ochroniarz przypominał ci Eskimosa?

- Chyba tak. Dawniej nie spotykało się ich na Cape Cod.

- Co on tu robi, tak daleko na południu? Sprzedaje lody?

- Jedyną rzeczą, jaką ten facet i jego pieski mogą sprzedawać, są bilety na szybką podróż do kostnicy. Zobaczmy, co się dzieje w wielkim mieście.

Gamay skinęła głową i kilka minut później skręciła do miasteczka. Nie było tu nic ciekawego. Teraz rozumiała, dlaczego przewodnik ledwie o nim wspominał. Spłowiałe zielone i brązowe domy miały kamienne podmurówki wysmołowane dla ochrony przed deszczem i blaszane dachy, żeby zsuwał się z nich śnieg. Na ulicach był mały ruch. Na niektórych sklepach wisiały wywieszki, że są zamknięte do odwołania. Miasteczko wyglądało jak opuszczone. W przewodniku napisano, że port jest malowniczy, ale nie cumowały tu żadne łodzie, co potęgowało wrażenie odludzia.

Na nabrzeżu rybackim drzemało tylko stadko mew. Gamay zauważyła neon "Restauracja - Bar" na małym, prostokątnym budynku z widokiem na port. Paul zaproponował, żeby zajęła stolik i zamówiła mu rybę z frytkami, a on pokręci się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby powiedzieć coś o przetwórni Oceanusa.

Gamay weszła do restauracji. W środku zobaczyła tylko tęgiego barmana i jednego klienta. Usiadła przy stoliku z widokiem na port. Barman podszedł przyjąć zamówienie. Podobnie jak ludzie w sklepie przy stacji benzynowej, okazał się przyjaźnie nastawiony. Przeprosił za brak ryby z frytkami i polecił Gamay grillowaną kanapkę z szynką i serem. Gamay wzięła dwie kanapki i kanadyjskie piwo Molson. Lubiła je, bo było mocniejsze od amerykańskiego.

Popijała piwo i rozglądała się po restauracji. Sufit był upstrzony przez muchy, na ścianie wisiała dekoracja z podartej sieci rybackiej i zniszczonej boi używanej przy łowieniu homarów. Klient siedzący przy barze zsunął się ze stołka, najwyraźniej zaintrygowany obecnością atrakcyjnej kobiety, popijającej samotnie w lokalu w środku dnia. Podszedł z butelką piwa w dłoni i obrzucił wzrokiem rude włosy i sprężyste ciało Gamay. Nie widział jej obrączki ślubnej, bo trzymała lewą rękę na kolanie.

- Dzień dobry - zagadnął z przyjaznym uśmiechem. - Można się przysiąść?

Gamay dobrze radziła sobie z mężczyznami, bo potrafiła myśleć jak oni. Patrząc na jej wysoką, szczupłą sylwetkę i długie, kręcone włosy, trudno było uwierzyć, że kiedyś rozrabiała razem z chłopakami, budowała domki na drzewach i grała w kosza na ulicach Racine. Była też doskonałym snajperem, bo ojciec nauczył ją strzelać do rzutków.

- Proszę bardzo - odrzekła swobodnie i wskazała mu krzesło.

- Mike Neal - przedstawił się. Był po czterdziestce. Nosił robocze ubranie i czarne, wysokie gumki. Miał ostre rysy i gęste czarne włosy. Wyglądałby całkiem dobrze, gdyby nie kilkudniowy zarost i czerwony, pijacki nos. - Mówi pani jak Amerykanka.

- Bo nią jestem. - Gamay wyciągnęła rękę i przedstawiła się.

- Ładne imię - stwierdził Neal. Był pod wrażeniem mocnego uścisku jej dłoni. Zapytał tak samo, jak kasjerka w sklepie przy stacji benzynowej: - Przejazdem?

Gamay przytaknęła.

- Zawsze chciałam zobaczyć tę część Kanady. Jest pan rybakiem?

- Tak. - Wskazał okno i powiedział z wyraźną dumą: - To moja ślicznotka, tam, w doku stoczni. "Tiffany". Nazwałem ją imieniem mojej dawnej dziewczyny. W zeszłym roku zerwaliśmy ze sobą, ale zmiana nazwy łodzi przynosi pecha.

- Dziś pan nie łowi? Dzień wolny?

- Niezupełnie. Naprawiali mi silnik. Nie chcą mi wydać "Tiffany", dopóki nie zapłacę. Boją się, że odpłynę i nie oddam im forsy.

- Zrobiłby pan to?

Uśmiechnął się.

- Kiedyś wykołowałem ich na kilka dolców.

- Mimo wszystko to krótkowzroczność z ich strony. Gdyby wydali panu łódź, wypłynąłby pan na połów, zarobił i zapłacił im.

Neal przestał się uśmiechać. Zmarszczył brwi.

- Mógłbym, gdyby w morzu były ryby.

- Słyszałam w sklepie przy stacji benzynowej, że rybakom źle idzie.

- Gorzej niż źle. Cała flota przeniosła się w górę wybrzeża. Niektórzy faceci wpadają do domu między połowami, żeby odwiedzić rodziny.

- Od kiedy tak jest?

- Mniej więcej od pół roku.

- Ma pan jakieś przypuszczenia, skąd te kłopoty?

Neal wzruszył ramionami.

- Kiedy rozmawialiśmy z ludźmi od rybołówstwa w stolicy prowincji, powiedzieli, że widocznie ryby przenoszą się gdzie indziej, szukając lepszego pożywienia. Nikogo tu nawet nie przysłali. Pewnie boją się zamoczyć nogi. Wszyscy biolodzy morscy muszą być cholernie zajęci. Siedzą na swoich grubych tyłkach i gapią się w komputery.

- Zgadza się pan z tym, co mówili o migracji ryb?

Neal uśmiechnął się szeroko.

- Jak na turystkę, zadaje pani dużo pytań.

- Jestem biologiem morskim.

Zaczerwienił się.

- Przepraszam. Nie mówiłem o pani grubym tyłku. O, cholera...

Gamay wybuchnęła śmiechem.

- Wiem doskonale, co pan myśli o komputerowych biologach, którzy nigdy nie ruszają się ze swoich pracowni. Uważam, że rybacy mają więcej praktycznej wiedzy o morzu niż jakikolwiek naukowiec. Ale fachowa ekspertyza nie zaszkodzi. Może mogłabym pomóc panu wyjaśnić, dlaczego nie ma tu ryb.

Neal spochmurniał.

- Nie powiedziałem, że w ogóle nie ma ryb. Są.

- Więc w czym problem?

- Chodzi o to, że nie są to ryby, jakie widywałem w dawnych czasach.

- Nie rozumiem.

Neal wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

- Studiuję pojawianie się i znikanie różnych gatunków ryb na całym świecie - powiedziała Gamay. - Niewiele może mnie zaskoczyć.

- Założę się, że to panią zaskoczy.

Gamay wyciągnęła rękę.

- Zgoda, zakład stoi. Ile ma pan zapłacić za naprawę silnika?

- Siedemset pięćdziesiąt dolarów. Kanadyjskich.

- Zapłacę ten rachunek, jeśli pokaże mi pan to, o czym pan mówił. A teraz postawię panu piwo, żeby przypieczętować umowę.

Nealowi opadła szczęka.

- Poważnie?

- Oczywiście. Postuchaj, Mike. W oceanie nie ma parkanów. Ryby płyną tam, gdzie im się podoba. W tych wodach może być coś, co zaszkodzi również amerykańskim rybakom.

Neal potrząsnął jej ręką.

- Zgoda. Kiedy możemy ruszać?

- Może jeszcze dzisiaj?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Powód jego zadowolenia nietrudno było odgadnąć. Ładna i miła Amerykanka zapłaci jego rachunek w stoczni i wypłynie z nim w morze, gdzie będzie mógł ją oczarować. W tym momencie w barze pojawił się Paul Trout i podszedł do stolika.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - powiedział. - Port jest zupełnie pusty.

- To Mike Neal - odrzekła Gamay. - Mike, przedstawiam ci mojego męża.

Neal zerknął w górę na ponaddwumetrową postać Trouta i jego fantazje na temat Gamay przysły jak bańka mydlana. Ale był praktycznym facetem - umowa to umowa.

- Miło mi - powiedział i uściśnęli sobie ręce.

- Mike zgodził się zabrać nas swoją łodzią na morze, żeby pokazać nam niezwykle ryby - wyjaśniła Gamay.

- Możemy wypłynąć za godzinę - dodał Neal. - Zdążycie zjeść lunch. Spotkamy się przy łodzi. - Wstał i ruszył do drzwi.

- Mamy coś zabrać? - zapytał Paul.

Neal zatrzymał się.

- Nie. Chyba że sztucer na słońce.

Na widok zaskoczonych min Troutów wybuchnął śmiechem. Słyszeli, jak wciąż rechocze za progiem.

Stary Eric palił fajkę z długim cybuchem, miał zęby jak połamany płot i twarz zniszczoną przez sztormy. Pia powiedziała, że ten emerytowany rybak mówi po angielsku i zna miejscowe wody lepiej od ryb. Teraz jest już za stary na łowienie i pracuje dorywczo na nabrzeżu. Eric natychmiast zrobił się bardzo uprzejmy, gdy tylko Austin wymienił imię Pii.

Austin przyjechał na nabrzeże rybackie wczesnym rankiem. Potrzebował informacji o tutejszej pogodzie i morzu. Mżyło. W wilgotnym powietrzu wisiała purpurowoniebieska mgiełka spalin miejscowych kutrów. Rybacy w sztormiakach i gumowych butach przygotowywali się do wyjścia w morze. Ładowali wiadra z przynętą i zwoje lin trałowych. Austin powiedział Ericowi, że bierze łódź profesora Jorgensena i wyrusza na ryby.

Stary rybak popatrzył zmrużonymi oczami na szare chmury i w zamyśleniu zacisnął wargi.

- Powinno przestać padać. Mgła niedługo się rozwieje. - Wskazał wysoki słup skalny, strzegący wejścia do portu. - Niech pan płynie po prawej stronie tej skały. Milę dalej znajdzie pan dobre miejsce do wędkowania. Koło południa wzmaga się wiatr, ale łódź profesora poradzi sobie. - Wyszczrzył w uśmiechu resztki zębów. - Wiem coś o tym. Sam ją budowałem.

- A gdybym popłynął w drugą stronę?

Eric zmarszczył nos.

- Przy gospodarstwie rybnym cuchnie, i w powrotnej drodze można się zmoczyć. Wysokie fale.

Austin podziękował staremu człowiekowi za radę, włożył do łodzi prowiant i sprzęt wędkarski, sprawdził poziom paliwa i wybrał wodę z zęzy. Silnik zaskoczył natychmiast i wkrótce zaczął równo pracować. Austin odcumował, odbił od brzegu i skierował dziób w stronę skały w kształcie komina. Miała sześćdziesiąt metrów wysokości i stała jak latarnia morska u wejścia do portu. Zamiast popłynąć z prawej strony skalnej kolumny, skręcił w lewo. Miał nadzieję, że stary Eric go nie zobaczy.

Wkrótce płynął już wzdłuż wysokich klifów, gdzie tysiące gnieźdzących się tam ptaków morskich szybowwały w powietrzu jak niesione wiatrem confetti. Silnik mruczał niczym napojony mlekiem kotek. Morze było lekko rozkołysane, ale dziób łodzi ciął jak nóż

grzbiety fal. Austinowi było ciepło i sucho w żółtym sztormiaku i gumiakach, które znalazł w schowku łodzi.

Skalne urwiska ustąpiły i w końcu ląd zszedł do poziomu morza, gdy Austin zbliżył się do starego portu. Nie widział żadnych łodzi. Miejscowi rybacy pracowali gdzie indziej, na bardziej wydajnych łowiskach. Dopiero kiedy okrążył cypel, przekonał się, że nie jest sam.

W małej zatoce pół mili od brzegu stał na kotwicy hiszpański jacht z niebieskim kadłubem, który poprzedniego dnia wchodził do portu. Niski, smukły statek miał ponad sześćdziesiąt metrów długości. Jego linia świadczyła o tym, że jest szybki i komfortowy. Na rufie widniała nazwa "Navarra". Pokład był pusty. Nikt nie wyszedł, żeby pomachać ręką, jak nakazuje zwyczaj przy spotkaniu dwóch statków, zwłaszcza na takich odludnych wodach. Austin czuł na sobie niewidoczne oczy, obserwujące go zza przyciemnionych szyb, kiedy mijał jacht w drodze do lądu. Przez chmury przeświecało słońce i odbijało się matowo w odległych metalowych dachach, które widział poprzedniego dnia z wysokiego wzgórza.

Od strony budynków pojawił się na niebie punkt. Szybko urósł i okazało się, że jest to czarny, nieoznakowany helikopter. Maszyna zeszła nisko nad łódź. Buczała jak rozdrażniony szerszeń. Zatoczyła dwa kręgi i zawisła w powietrzu kilkaset metrów na wprost Austina. Z kadłuba sterczały wysięgniki z rakietami. Przybywało towarzystwa. Zbliżała się motorówka. Płynęła szybko, wzbijając w górę fontanny piany. Z mniejszej odległości Austin rozpoznał niską cigarette z mocnym silnikiem, ulubiony model przemytników narkotykowych z Florydy.

Ślizgacz zwolnił i przepłynął obok na tyle blisko, że Austin mógł dokładnie zobaczyć trzech mężczyzn na pokładzie. Byli krępi, mieli okrągłe twarze, śniadą cerę i czarne włosy z grzywką nad azjatyckimi oczami. Jeden sterował, dwaj trzymali uniesione karabiny przy ramieniu i przyglądali się Austinowi z niezdrową ciekawością.

Motorówka zatrzymała się. Mężczyzna za kołem sterowym przyłożył do ust elektroniczny megafon. Krzyknął coś, zapewne po farersku. Austin odpowiedział głupkowatym uśmiechem, rozkładając ręce w uniwersalnym geście oznaczającym, że nie rozumie. Sternik ślizgacza spróbował po duńsku, potem po angielsku.

- Teren prywatny! Wstęp wzbroniony!

Austin nadal udawał głupiego i szczyrzył zęby. Uniósł wędkę nad głowę i pokazał ją palcem. Ponurzy strzelcy zrobili to samo ze swoimi karabinami. Austin kiwnął głową na znak, że zrozumiał, co chcieli mu przekazać. Odłożył wędkę, pchnął przepustnicę, pomachał przyjaźnie na pożegnanie i skierował łódź do wyjścia z portu.

Po minucie zerknął przez ramię. Cigarette pędziła z powrotem w kierunku lądu. Helikopter również tam się udał, wyprzedzając Ślizgacz. Austin znów minął jacht. Pokład wciąż był pusty. Popłynął dalej wzdłuż wybrzeża do cypla w kształcie papuziego dziobu. Kilka minut później zobaczył Wrota Syreny u podnóża pionowego klifu. Otwór był zaskakująco symetryczny jak na dzieło natury. Miał około sześciu metrów wysokości i niewiele mniej szerokości. Na tle ogromnej, brązowoczarnej ściany skalnej wyglądał jak mysia nora.

Wbrew lirycznej nazwie, Wrota Syreny nie zachęcały do wejścia. Morze było stosunkowo spokojne, ale fale rozbijały się tu o ostre skały. Rozbryzgi strzelały wysoko w powietrze. Woda przed otworem kipiała i wirowała wśród niebezpiecznych, krzyżujących się prądów niczym w gigantycznej pralce. Przez szum morza Austin słyszał głuchoe zawodzenie, dochodzące z wnętrza grotu. Włosy zjeżyły mu się na karku. Ponura pieśń pogrzebowa kojarzyła mu się z jękami żeglarzy, którzy utonęli. Niestety, nie zauważył żadnej syreny.

Zatrzymał łódź w bezpiecznej odległości od otworu. Próba dostania się tam teraz przypominałaby nawlekanie igły w szturchającym się tłumie. Austin spojrzął na zegarek, usadowił się wygodnie i wyjął kanapkę z serem, którą przygotowała mu troskliwa Pia. Kończył śniadanie, gdy wyczuł zmianę stanu morza, jakby król Neptun machnął trójzębem.

Woda dookoła nadal była niespokojna, ale fale we Wrotach Syreny przestały eksplodować z siłą armatnich pocisków. Pia mówiła, że można tam wpłynąć tylko podczas słabego prądu.

Austin zabezpieczył wszystkie luźne przedmioty w łodzi, włożył kamizelkę ratunkową, rozstawił szeroko nogi, pchnął przepustnicę i wycelował dziób we Wrota Syreny. Nawet przy słabym prądzie wokół otworu były wiry. Zacisnął zęby, modląc się w duchu, żeby wspomnienia Pii z dzieciństwa okazały się dokładne. Kilka metrów przed zabójczymi skałami zwiększył gwałtownie szybkość i skręcił lekko w prawo, zgodnie z instrukcją, choć był niebezpiecznie blisko kamieni. Łódź niczym piskorz prześliznęła się przez ciasny otwór z kilkucentymetrowym zapasem.

Pod kopułą jaskini Austin skręcił w lewo, skierował się ku wąskiej szczelinie skalnej i wpłynął do kanału szerszego zaledwie o parę centymetrów od łodzi. Burty obijały się o porośnięte wodorostami krawędzie. Przesmyk miał w przybliżeniu kształt litery S i rozszerzał się, tworząc okrągłą lagunę wielkości przydomowego basenu. Powierzchnia wody była czarna od wodorostów. Zapach morza aż dusił w ciasnej przestrzeni.

Austin dobił do brzegu i owinał linę cumowniczą wokół wystającej z wody skały. Zdjął kamizelkę ratunkową i sztormiak, wspiął się po uformowanych przez naturę stopniach i

wszedł do otworu w kształcie odwróconej dziurki od klucza. Natychmiast uderzył w niego wiatr o zapachu stęchlizny. Zawodził niczym duchy zmarłych marynarzy.

Włączył latarkę i doszedł tunelem do dużej groty. Rozgałęziała się na trzy mniejsze. Na ścianie przy każdym wejściu widniał rysunek ryby. Pamiętając o instrukcjach Pii, wszedł do groty oznaczonej leszczem. Wkrótce znalazł się w zdumiewającym labiryncie jaskiń i korytarzy. Zgubiłby się bez tych prymitywnych drogowskazów. Po kilku minutach dotarł do wysokiej groty z kolorowymi rysunkami na gładkich ścianach. Rozpoznał bizona i jelenie ze szkiców ojca Pii. Ochra i czerwień wciąż miały żywą barwę.

Sceny polowań ukazywały antylopy, dzikie konie, nawet włochate mamuty. Myśliwi w krótkich spódniczkach atakowali zwierzyne włóczniami i strzałami z łuków. Freski przedstawiały również życie codzienne, dostojnych ludzi w zwiewnych szatach, smukłe żaglowce, dwu- i trypoziomowe domy o ciekawej architekturze. Mamuty sugerowały, że rysunki pochodzą z epoki neolitu, ale ta cywilizacja była na wyższym poziomie.

Austin doszedł za leszczem do ciągu mniejszych jaskiń i napotkał pozostałości palenisk. Bardziej zainteresowały go jednak oznaki bytności współczesnych ludzi. Gdzieś przed sobą usłyszał szmer głosów. Przywarł plecami do ściany, podkraść się ostrożnie do rogu i wyjrzał. Zobaczył grotę, która wyglądała na naturalną jaskinię, powiększoną za pomocą materiałów wybuchowych i młotów pneumatycznych. Z wysokiego sufitu zwisały mocne lampy. Oświetlały setki plastikowych kartonów, piętrzących się na drewnianych paletach.

Obserwował z mrocznej kryjówki, jak dwunastoosobowa ekipa w czarnych kombinezonach zdejmuje pudła z wózka widłowego i układa na przenośniku taśmowym. Robotnicy byli śniadzi, jak mężczyźni w łodzi patrolowej. Mieli proste, kruczoczarne włosy z grzywką, wystające kości policzkowe i oczy w kształcie migdałów. Skończyli pracę i po chwili połowa z nich wyszła z magazynu. Reszta przez kilka minut sprzątała. Na polecenie mężczyzny o wyglądzie szefa oni też zniknęli.

Austin wyłonił się z ukrycia i sprawdził napisy na pudłach. Nadruki w kilku językach mówiły, że to uszlachetniona karma dla ryb. Minął wielkie wrota garażowe w jednej ze ścian, używane zapewne do wyładunku kartonów w magazynie, i skierował się do drzwi, za którymi zniknęła ekipa.

W następnym pomieszczeniu było mnóstwo pomp i rur, które wychodziły z dużego, okrągłego zbiornika. U góry prowadziły do niego pochylnie. Austin domyślił się, że tą drogą karma trafia do pojemnika i po wymieszaniu jest rozprowadzana rurami po terenie hodowli ryb.

Wziął z przyległej narzędziowni łom. Zważył go w dłoni i pomyślał, że niewiele tym zdziała przeciwko broni automatycznej, ale wetknął go za pasek. Rury prowadziły korytarzem do ściany z drzwiami. Austin uchylił je i poczuł na twarzy zimny powiew. Nasłuchiwał. Cisza. Wydostał się na zewnątrz. Z przyjemnością odetchnął świeżym powietrzem po pobycie w stęchłej atmosferze grot.

Rury przechodziły przez ścianę i biegły dalej szeroką, żwirowaną alejką między dwoma rzędami parterowych pawilonów z żużlobetonu, krytych blachą falistą. Odgałęzienia głównego ciągu rur wchodziły do budynków. Dookoła cuchnęło rybami, ze wszystkich stron szumiały maszyny.

Austin podszedł do najbliższego pawilonu. Stalowe drzwi nie były zaryglowane. Oceanus zapewne nie spodziewał się, że jakiś intruz przeniknie przez ochronę w łodzi i helikopterze. We wnętrzu oświetlonym przyćmionymi lampami sufitowymi panował półmrok. Szum, który słyszał na zewnątrz, pochodził z silników elektrycznych, napędzających pompy obiegu wody w dużych, niebieskich plastikowych zbiornikach. Stały rzędami wzdłuż ścian budynku. Zbiorniki były obsługiwane przez instalację wodną, rury zasilające, pompy, zawory i złącza elektryczne. Austin wspiał się na metalową drabinkę z boku jednego ze zbiorników. Snop światła z jego latarki spłoszył setki rybek wielkości ludzkiego palca.

Zszedł na dół i powędrował dalej. Pawilony wyglądały identycznie, różniły się tylko wielkością i rodzajem hodowanych ryb. W zbiornikach rozpoznał łososie, dorsze i inne znane gatunki. Mniejszy budynek w środku kompleksu był centrum komputerowym. Austin nie zastał tam nikogo. Przyjrzał się migoczącym wskaźnikom i wyświetlaczom na panelu centralnym i zrozumiał, dlaczego pracuje tutaj tak mało ludzi. Hodowla była niemal całkowicie zautomatyzowana.

Gdy wychodził z centrum komputerowego, usłyszał kroki i dał nura za róg. Minęli go dwaj ochroniarze z karabinami na ramionach. Śmiali się z jakiegoś dowcipu, nie podejrzewając, że tuż obok czai się intruz.

Kiedy przeszli, Austin przekradł się do portu. Przy długim falochronie mogły się zmieścić nawet duże statki. W basenie portowym stała przycumowana motorówka patrolowa, która wcześniej zagroziła mu drogę. Helikoptera nie było. Z wody wystawały setki klatek z rybami. Pracowali przy nich mężczyźni w odkrytych łodziach. Ochroniarze na brzegu przyglądali się temu beczynnemu w niedbałych pozach.

Austin zerknął na zegarek. Musiał się pośpieszyć, jeśli chciał zdążyć do Wrót Syreny, zanim prąd przybierze na sile. Okrążył kompleks i natrafił na samotny budynek, podobny do

reszty pawilonów. Wokół stały tablice ostrzegawcze. Wszedł głównym wejściem i ujrzał drugie drzwi. W przeciwieństwie do pozostałych wylęgarni ta była zamknięta.

Podważył łomem zamek, najciszej jak mógł, i pchnął drzwi. W przyćmionym świetle zobaczył zbiorniki dwukrotnie większe od tych, które widział wcześniej, ale było ich o połowę mniej. Coś go tutaj zaniepokoiło, choć nie wiedział co. Po raz pierwszy od początku tej wyprawy przeszły mu ciarki po plecach.

Okazało się, że ma towarzystwo. Wokół zbiorników spacerował samotny ochroniarz. Austin zaczekał, aż wartownik dojdzie do przeciwległego końca swojej trasy, położył łom, wspiął się po drabince do najbliższego zbiornika i zajrzał do środka.

Odór ryb był mocniejszy niż z mniejszych zbiorników w innych budynkach. Austin pochylił się i usłyszał cichy odgłos wirującej wody. W środku coś było. Oświetlił latarką wnętrze i woda zawrzała. Ukazała się rozwarta paszcza pełna ostrych zębów. Odruchowo cofnął się. Coś mokrego i śliskiego musnęło jego głowę. Stracił równowagę i runął z drabinki. Zamachał rękami, chwycił się plastikowego węża, urwał go i spadł na betonową podłogę. Z węża tryskała woda. Poderwał się i zobaczył jak przez mgłę, że nad zbiornikiem błyska czerwone światło. Zaklął. Został włączony alarm.

Ochroniarz usłyszał hałas i biegł w jego kierunku. Austin dał nura między dwa zbiorniki. Omal nie potknął się o stos metalowych rur. Wartownik minął go i zatrzymał się na widok tryskającej wody. Austin podniósł krótki kawałek rury i zaszedł go od tyłu. Ochroniarz musiał wyczuć jego obecność. Już się odwracał, ścigał z ramienia karabin, gdy dostał rurą w głowę i zwałił się na podłogę.

Wymachując rurą jak młotem kowalskim, Austin rozwalił kilka plastikowych złączy. Nad uszkodzonymi zbiornikami zaczęły błyskać czerwone światła alarmowe. Z roztrzaskanych rur trysnęła woda, zalewając podłogę.

Pobiegł przez kałuże do drzwi. Szum wody zagłuszył kroki drugiego ochroniarza. Spotkali się na skrzyżowaniu ścieżek między dwoma rzędami zbiorników i omal nie zderzyli ze sobą. Obaj się poślizgnęli i przewrócili. Wyglądało to na pewno komicznie, ale Austinowi nie było do śmiechu, gdy ochroniarz zerwał się na nogi i wyszarpnął pistolet z kabury przy pasie.

Austin podniósł się i zamachnął rurą. Pistolet poszybował w powietrze. Ochroniarz wytrzeszczył oczy, zaskoczony szybkością Austina. Sięgnął pod koszulę czarnego munduru i wyciągnął nóż z długim białym ostrzem. Cofnął się i przyjął postawę obronną. Przez ten krótki moment Austin miał okazję przyjrzeć się przeciwnikowi.

Ochroniarz był mniej więcej o głowę niższy od niego. Wydawał się nie mieć szyi. Muskularne ramiona świadczyły o sile tkwiącej w krępych ciele. Jak inni tutejsi ochroniarze, miał szeroką, okrągłą twarz, grzywkę i twarde spojrzenie czarnych oczu w kształcie migdałów. Wystające kości policzkowe zdobiły tatuaże. Pod płaskim nosem rozciągały się w uśmiechu szerokie, mięsiste wargi. Ale w tym szczerzeniu zębów nie było wesołości, tylko okrucieństwo.

Austin nie był w nastroju do konkursu uśmiechów. Czas działał przeciwko niemu. W każdej chwili mogli pojawić się inni ochroniarze. Nie mógł się wycofać. Musiał usunąć tę przeszkodę i prosić Boga, żeby nie było następnych. Zaciśnął dłonie na rurze. Oczy najwyraźniej zdradziły jego zamiary, bo przeciwnik natarł bez ostrzeżenia. Mimo przysadzistej sylwetki, zaatakował z szybkością skorpiona. Lewą stroną klatki piersiowej Austina przeszył piekący ból. Trzymał rurę jak kij baseballowy i nóż zsunął się po niej. Austin poczuł wilgoć w miejscu, gdzie ostrze przecięło sweter i koszulę.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej i przygotował do następnego pchnięcia zakrwawionym nożem. Austin zareagował odruchowo. Zamachnął się rurą jak baseballista, odbijający piłkę. Rozległ się trzask miażdżonej kości i chrząstki nosowej. Krew trysnęła niczym z fontanny. Austin nie mógł w to uwierzyć! Po ciosie, który powaliłby jelenia, przeciwnik nadal trzymał się na nogach. Ale jego oczy zmętniały, chwilę później wypuścił z ręki nóż i osunął się na ziemię.

Austin wystartował sprintem do drzwi, ale usłyszał krzyki i zanurkował pod zbiornik z rybami. Do budynku wpadło kilku ochroniarzy. Zobaczyli czerwone światła alarmowe i rzucili się do zbiorników. Austin wystawił głowę. Od strony portu dochodziły podniecone głosy. Wysunął się z kryjówki, popędził wzdłuż ściany pawilonu i dobiegł do głównego kompleksu wylęgarni. Ochroniarze skoncentrowali się na zniszczeniach, które po sobie zostawił, i dzięki temu zdołał dotrzeć do magazynu z karmą dla ryb.

Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że w hali nikogo nie ma. Niedługo zapuści się w labirynt grot. Przyciskał rękę do rany, ale nie mógł całkowicie zatamować krwawienia. Co gorsza, zostawiał za sobą krwawy ślad. W oddali zaczęła wyc syrena. Kiedy mijał wózek widłowy, wpadł na pomysł. Nie będzie ułatwiał zadania tym facetom.

Wskoczył na siedzenie wózka, uruchomił silnik, wycelował widły w wysoki stos pudeł z karmą i wdepnął gaz. Pojazd wyrwał do przodu, uderzył w kartony i przewrócił je. Pudła zwały się na przenośnik taśmowy i zablokowały przejście. Austin przewrócił jeszcze kilka stosów przed drzwiami i wrotami garażowymi. Na zakończenie wbił widły wózka w skrzynkę sterowniczą przenośnika.

Chwilę później biegł przez grotę. Zatrzymał się w głównej galerii rysunków i nasłuchiwał. Oprócz własnego ciężkiego oddechu słyszał krzyki. Co gorsza, szczekały psy. Jego prymitywna barykada nie na wiele się zdała. Pobiegł dalej za podskakującym snopem światła swojej latarki. W pośpiechu pomylił rysunki ryb, musiał zawrócić, szukać drogi i stracił cenne sekundy. Krzyki i szczekanie były coraz głośniejsze. Widział już za sobą światła latarek. Jaskinie zwielokrotniały hałas, głosy odbijały się echem. Miał wrażenie, że ściga go cała armia.

Rozległ się terkot broni automatycznej. Austin padł na ziemię i pociski trafiły w ścianę. Starając się ignorować przeszywający ból w zranionej piersi, wstał. Znowu do niego strzelano, ale zdążył schować się za zakretem. Kilka sekund później przeciskał się przez ostatni, wąski korytarz. Wydostał się na zewnątrz i zbiegł do łodzi.

Silnik zakrzuszył się przy próbie startu. Austin sięgnął ręką do zimnej wody, oczyścił śrubę z wodorostów i spróbował jeszcze raz. Tym razem silnik zaskoczył. Kiedy odbił od brzegu i skierował łódź w stronę kanału prowadzącego do Wrót Syreny, na krawędzi laguny pojawiły się dwie czarne sylwetki. Ich latarki oświetliły Austina, ale również wlot przesmyku.

Skierował tam dziób łodzi. Uderzył najpierw jedną, potem drugą burtą o brzegi kanału. Zobaczył przed sobą szare światło dzienne i wpłynął do Wrót Syreny. Obrócił mocno kołem sterowym. Łódź skręciła ostro w prawo, w kierunku wyjścia na morze, ale powróciły już tam diabelskie wiry i silne prądy. Łódź sunęła bokiem ku nieuchronnej kolizji z przeciwległą ścianą, ale następna fala skierowała ją szczęśliwie z powrotem w stronę wylotu kanału.

Austin pchnął przepustnicę, żeby przywrócić łodzi zdolność manewrową. Szarpnął kołem sterowym, by ominąć wyszczerbione skały, które przy zderzeniu przecięłyby łódź na pół. Śruba zawadziła o dno. Łódź straciła prędkość i morze cofnęło ją do grotę. Austin desperacko wycelował dziób w rozwidlenie fal, które oznaczało spokojniejsze miejsce między prądami.

W tym samym momencie zauważył, że ma towarzystwo. Przeciwnicy dostali się tu półkami skalnymi wzdłuż kanału. Czekali zaledwie kilka metrów przed jego nadpływającą łodzią.

Był teraz łatwym celem. Jeden z mężczyzn przyłożył karabin do ramienia, ale jego towarzysz odepchnął lufę w dół. Odczepił od pasa granat i kilka razy podrzucił go lekko, jak rozgrzewający się miotacz piłkę baseballową. Kiedy Austin przepływał obok, wyciągnął zawleczkę, nie puszczając dźwigni. Austin patrzył to na granat, to na bezlitosną twarz przeciwnika, który wcześniej dźgnął go nożem. Nos ochroniarza był czerwoną miazgą, na

jego policzkach krzepły strużki krwi. Musiał strasznie cierpieć z bólu, ale uśmiechał się szeroko, gdy leniwym łukiem wrzucił granat do łodzi Austina. Potem razem z kolegą dał nura za występ skalny i zatkał uszy.

Granat wpadł do łodzi i zatrzymał się u stóp Austina. Kurt wycisnął z silnika resztkę mocy. Łódź skręciła pod ostrym kątem i granat stoczył się po przechylonym pokładzie pod burzę.

Łódź wystrzeliła z półkolistych Wrót Syreny na otwartą przestrzeń. Austin znalazł się między młotem i kowadłem: albo za moment zostanie rozerwany na kawałki, albo za kilka minut zamarźnie na śmierć w zimnym morzu. Instynktownie wybrał to drugie. Wskoczył za burzę.

Zanurzył się w lodowatej wodzie i sekundę później usłyszał przytłumiony wybuch granatu. Potem eksplodował zbiornik paliwa. Austin został pod powierzchnią najdłużej jak mógł i wynurzył się w deszczu drewnianych szczątków. Łódź przestała istnieć. Znowo zanurkował, żeby uniknąć płonącego paliwa na powierzchni. Kiedy wyłonił się z wody drugi raz, był zdrętwiały z zimna, ale instynkt przetrwania działał. Zaczął płynąć w kierunku lądu, jednak po kilku ruchach stawy odmówiły mu posłuszeństwa, jakby ktoś napełnił je lodem.

Ponad grzbietami fal dostrzegł niewyraźnie łódź pędzącą w jego stronę. Bez wątplenia zbliżali się przeciwnicy, żeby go wykończyć. Roześmiał się gardłowo. Zanim tu dopłyną, będzie topielcem.

Podróż Austina na tamten świat została jednak przerwana, zanim zdążył zniknąć pod powierzchnią wody. Zza burty motorówki wysunęła się ręka i złapała go za włosy. Zęby szczękały mu jak kastaniety, miał wrażenie, że go skalpują. Inne ręce chwyciły Austina pod pachy i za kołnierz i wyciągnęły z morza. Prychał i kaszłał niczym kociak wyłowiony ze studni.

Wciąż miał nogi w wodzie, gdy motorówka pomknęła ponad falami z wysoko zadartym dziobem i rykiem silnika. Półprzytomny Austin z zaskoczeniem zobaczył, że podpływają do burty niebieskiego jachtu. Wciągnięto go na pokład i zaniecono do jakiegoś pomieszczenia, najwyraźniej ambulatorium. Tam zdjęto mu mokre ubranie i owinięto go w ciepłe ręczniki. Obejrzał go mężczyzna ze stetoskopem. Potem wpakowano Austina do sauny, gdzie wreszcie mógł poruszyć palcami rąk i nóg. Zbadano go drugi raz i ubrano w miękki niebieski dres. Wyglądało na to, że będzie żył.

Jego powrót do życia obserwowali czujnie dwaj mężczyźni zbudowani jak zawodowi zapaśnicy. Rozmawiali ze sobą po hiszpańsku. Ci sami goryle eskortowali go, gdy szedł na miękkich nogach do luksusowej kajuty. Posadzili Austina w wygodnym fotelu wypoczynkowym, przykryli miękkim kocem i zostawili, żeby odpoczął.

Zapadł w ciężki sen. Kiedy się obudził, zobaczył, że w fotelu klubowym siedzi jakiś mężczyzna i obserwuje go z niewielkiej odległości jak preparat na szkiełku mikroskopowym.

Uśmiechnął się szeroko, gdy Austin zatrzepotał powiekami.

- Świetnie. Ocknął się pan - powiedział. Miał głęboki, dźwięczny głos i mówił amerykańskim angielskim zaledwie ze śladem obcego akcentu.

Sięgnął po srebrną piersiówkę na stoliku obok i nalał Austinowi drinka. Kurt wziął drżącymi palcami kieliszek, zakręcił bursztynowym płynem na jego dnie, wciągnął mocny zapach i wypił solidny łyk. Palący alkohol spłynął mu do gardła i po jego ciele rozeszło się ciepło.

Austin zerknął na płaską butelkę.

- Za dobre na płyn do chłodnicy, ale efekt jest taki sam.

Mężczyzna zachichotał i pociągnął łyk z piersiówki.

- Zielona izarra ma sto procent alkoholu - wyjaśnił i otarł usta wierzchem dłoni. - Zwykle podaje się ją w kieliszkach niewiele większych od pańskiego kciuka. Ale pomyśleliśmy, że trochę większa porcja wyjdzie panu na zdrowie. Jak rana?

Austin dotknął żeber. Miał pod koszulą sztywny bandaż, nie czuł żadnego bólu, nawet gdy naciskał ranę palcami. Przypomnił sobie biały błysk, kiedy nóż z kości słoniowej przebijał mu skórę.

- Bardzo źle to wyglądało?

- Centymetr głębiej i pochowalibyśmy pana w morzu.

- Czuję się całkiem dobrze.

- Mój lekarz okrętowy to ekspert od urazów. Zaszyl i zamroził ranę.

Austin rozejrzał się. Wracała mu pamięć.

- Lekarz okrętowy? Jestem na niebieskim jachcie, tak?

- Zgadza się. Nazywam się Balthazar Aguirrez. To mój statek.

Z potężną klatką piersiową i wielkimi dłońmi Aguirrez wyglądał bardziej na robotnika portowego niż właściciela jachtu wartego zapewne kilka milionów dolarów. Miał wysokie czoło, gęste czarne brwi, wydatny nos, szerokie, uśmiechnięte usta, podbródek jak półka skalna i oczy o barwie dojrzałych oliwek. Był w jasnoniebieskim dresie, identycznym jak ten, który pożyczono Austinowi. Na gęstych, szpakowatych włosach miał przekrzywiony czarny beret.

- Miło mi pana poznać, panie Aguirrez. Nazywam się Kurt Austin. Dzięki za gościnność.

Aguirrez omal nie zmiądzzył mu ręki w uścisku.

- Nie ma o czym mówić, panie Austin. Lubimy przyjmować gości. - W jego ciemnych oczach błysnęła wesołość. - Choć większość wchodzi na pokład w bardziej konwencjonalny sposób. Jeszcze kieliszek izarry?

Austin odmówił gestem. Chciał mieć jasną głowę.

- Może zdecyduje się pan po jedzeniu. Jest pan głodny?

Kurt nie miał nic w ustach od skromnego śniadania.

- Przypomnił mi pan, że tak. Nie pogardziłbym kanapką.

- Byłbym kiepskim gospodarzem, gdybym poczęstował pana tylko kanapką. Jeśli czuje się pan na siłach, zapraszam na lekki posiłek do salonu.

Austin podniósł się z fotela. Trochę kręciło mu się w głowie.

- Poradzę sobie.

- Doskonale - odrzekł Aguirrez. - Proszę przyjść, kiedy będzie pan gotów. - Wstał i wyszedł z kajuty.

Austin popatrzył na zamknięte drzwi i potrząsnął głową. Wciąż był lekko zamroczony i osłabiony z upływu krwi. Wszedł do łazienki i spojrział w lustro. Wyglądał jak upiór. Nic dziwnego. Dostał nożem, strzelano do niego i omal nie utonął. Przemył twarz zimną, potem gorącą wodą. Zauważył elektryczną maszynkę do golenia i usunął zarost z twarzy. Kiedy wrócił do kajuty, okazało się, że ma towarzystwo.

Czekali na niego ponurzy goryle, którzy eskortowali go wcześniej. Jeden otworzył drzwi i ruszył przodem, drugi szedł z tyłu. Spacer pozwolił Austinowi rozruszać się. Z każdym krokiem mocniej trzymał się na nogach. Doszli do salonu na głównym pokładzie i jeden z mężczyzn dał znak, żeby wszedł do środka. Sami nie przekroczyli progu.

Austin widział wiele jachtów i wszystkie miały podobny wystrój. Normą był chrom, skóra i nowoczesne kształty. Ale salon "Navarry" przypominał wnętrze wiejskiego domu na południu Europy.

Białe stiukowe ściany przecinały grubo ciosane belki, na podłodze leżała czerwona terakota. W dużym kamiennym kominku potrzaskiwał ogień. Powyżej wisały obrazy. Jeden przedstawiał mężczyzn przy grze w *jai alai*. Podeszedł do martwej natury z owocami i studiował podpis, gdy usłyszał głęboki głos:

- Interesuje się pan sztuką, panie Austin?

Aguirrez podeszedł do niego od tyłu. Poruszał się bezszelestnie.

- Kolekcjonuję pistolety pojedynkowe - odparł Austin. - Myślę, że to też rodzaj sztuki.

- Bezwzględnie! Śmiercionośny rodzaj sztuki. Tego Cezanne'a dołączyłem do mojej małej kolekcji w zeszłym roku. Inne obrazy kupiłem na aukcjach i od osób prywatnych.

Austin przeszedł wolno obok Gauguinów, Degasów, Manetów i Monetów. "Mała kolekcja" była większa niż w wielu muzeach. Podeszedł do innej ściany z dużymi fotografiami.

- To też dzieła sztuki?

Aguirrez wzruszył ramionami.

- Kilka moich holdingów. Stocznie, huty - powiedział tonem zmęczonego kelnera, który recytuje dania z menu. - Ale dość o interesach. - Wziął Austina pod ramię. - Kolacja gotowa.

Wprowadził gościa przez rozsuwane drzwi do eleganckiej jadalni. Na środku stał owalny mahoniowy stół nakryty dla dwunastu osób. Aguirrez zdjął beret i szybkim ruchem rzucił go płasko przez pokój na krzesło. Wskazał wytwornym gestem dwa miejsca naprzeciw

siebie przy jednym końcu stołu. Kiedy obaj usiedli, pojawił się kelner i napełnił winem wysokie kielichy.

- Myślę, że będzie panu smakowała ta mocna hiszpańska rioja - powiedział Aguirrez i wznosił toast: - Za sztukę.

- Za gospodarza i załogę "Navarry".

- Bardzo pan uprzejmy - odrzekł Aguirrez z wyraźną aprobatą. Zabłyśły mu oczy. - Doskonale. Widzę, że możemy zaczynać ucztę.

Nie było zakąsek, od razu podano danie główne: fasolę, paprykę i żeberka wieprzowe z kapustą. Austin pochwalił szefa kuchni i zapytał, co to za potrawa.

- *Alubias de tolosa* - odpowiedział Aguirrez. - My, Baskowie, traktujemy ją z niemal mistyczną czcią.

- Bask! No, oczywiście! Nawarra to baskijski region. I ten obraz z grą *jai alai*. I czarny beret.

- Jestem pod wrażeniem, panie Austin! Dużo pan wie o moim narodzie.

- Każdy, kto interesuje się morzem, wie, że Baskowie byli największymi odkrywcami, żeglarzami i budowniczymi statków na świecie.

Aguirrez zaklaskał.

- Brawo. - Nalał Austinowi wina i pochylił się do przodu. - A na czym polega pańskie zainteresowanie morzem? - Nadal się uśmiechał, ale przeszywał Austina przenikliwym spojrzeniem.

Austin podziwiał, w jak zręczny Aguirrez potrafił zmienić temat. Postanowił nie odkrywać kart, dopóki nie pozna lepiej swojego gospodarza i nie dowie się, dlaczego niebieski jacht zakotwiczył w pobliżu hodowli ryb Oceanusa.

- Jestem specjalistą od ratownictwa morskiego - odparł. - Pracowałem nad pewnym projektem na Wyspach Owczych. Przyjechałem do Skaalshavn na ryby.

Aguirrez odchylił się do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam za złe maniery - powiedział ze łzami w oczach - ale to moi ludzie złowili pana w morzu.

Austin uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Nie miałem w planach zimnej kąpieli. Aguirrez spoważniał.

- O ile dobrze widzieliśmy, na pańskiej łodzi doszło do eksplozji.

- Przewietrzanie komory silnikowej było niewystarczające i zebrały się opary benzyny - wyjaśnił Austin. - Zdarza się to czasem na łodziach z wbudowanym silnikiem.

Aguirrez pokiwał głową.

- Dziwne. Z moich doświadczeń wynika, że takie eksplozje zdarzają się zwykle wtedy, gdy łódź stoi w porcie. Niewątpliwie zranił pana odłamek metalu.

- Niewątpliwie - odrzekł Austin z miną pokerzysty. Dobrze wiedział, że lekarz okrętowy musiał zauważyć, że na jego skórze nie ma śladów poparzeń i ranę spowodowało cienkie ostrze, a nie poszarpany kawałek metalu. Nie miał pojęcia, dlaczego Aguirrez bawi się z nim w kotka i myszkę, ale włączył się do zabawy. - Miałem szczęście, że byliście w pobliżu.

Aguirrez przytaknął z powagą.

- Obserwowaliśmy pańskie wcześniejsze spotkanie z łodzią patrolową i widzieliśmy, że popłynął pan wzdłuż wybrzeża. Kiedy później okrążyliśmy cypel, zniknął pan. Niedługo potem wyskoczył pan z grotu morskiej jak wystrzelony z armaty. - Klasnął w wielkie dłonie. - Bum! Pańska łódź w kawałkach, a pan w wodzie.

Austin uśmiechnął się lekko.

- Trafne podsumowanie.

Aguirrez poczęstował go krótkim, grubym cygarem, ale Austin nie miał na nie ochoty. Bask zapalił sam. Ciemne cygaro śmierdziało jak składowisko toksycznych odpadów.

- No więc, mój przyjacielu - powiedział, wypuszczając nosem dym - dostał się pan do grot?

Austin udął głupiego.

- Do grot?

- Na litość boską, człowieku, dlatego tu jestem, szukam grot. Na pewno zastanawiał się pan, co mój jacht robi na tym odludziu.

- Owszem.

- Więc wyjaśnię panu. Dobrze mi idzie w interesach...

- Skromnie powiedziane. Jest pan bardzo bogaty. Gratuluję.

- Dziękuję. Mój majątek umożliwia mi robienie tego, co lubię. Niektórzy wydają pieniądze na piękne młode kobiety. Ja jestem archeologiem amatorem.

- Jedno i drugie hobby jest godne uwagi.

- Lubię towarzystwo pięknych kobiet, zwłaszcza inteligentnych. Ale dla mnie przeszłość to więcej niż hobby. - Aguirrez wyglądał, jakby zamierzał poderwać się z krzesła. - To moja pasja. Jak sam pan powiedział, Baskowie byli wielkimi ludźmi morza. Pionierami rybołówstwa i wielorybnictwa u wybrzeży Ameryki Północnej. Docierali tam dziesiątki lat przed Kolumbem. Mój przodek, Diego Aguirrez, zrobił na tym majątek.

- Byłby dumny, że poszedł pan w jego ślady.

- Bardzo pan uprzejmy, panie Austin. Diego był bardzo odważny i miał żelazne zasady. Naraził się hiszpańskiej inkwizycji. Zwłaszcza jednemu z najbardziej bezwzględnych inkwizytorów.

- I został stracony?

Aguirrez uśmiechnął się.

- Był też bardzo zaradny. Wysłał żonę i dzieci w bezpieczne miejsce. Jestem w linii prostej potomkiem jego najstarszego syna. Diego uciekł podobno jednym ze swoich statków, ale nic nie wiadomo o jego losie.

- Morze jest pełne nierozwiązanych zagadek.

Aguirrez przytaknął.

- Zostawił jednak ślady, które wskazują, że zamierzał znaleźć się daleko poza zasięgiem inkwizycji. Tradycyjna trasa Basków do Ameryki Północnej prowadziła przez Wyspy Owcze. Zacząłem więc iść tym tropem. Zna pan pochodzenie nazwy Skaalshavn?

- To podobno Port Czaszki.

Aguirrez uśmiechnął się, wstał od stołu i wyjął z szafki ozdobnie rzeźbioną drewnianą skrzynkę. Otworzył wieko, wyciągnął czaszkę i wziął ją do ręki jak Hamlet rozmyślający o Joriku.

- Pochodzi z jednej z tamtych grot. Dałem ją do zbadania ekspertom. Ma wyraźne cechy baskijskie. - Rzucił czaszkę Austinowi jak piłkę, zapewne w nadziei, że go zaszokuje.

Austin złapał ją zgrabnie i obrócił w dłoni niczym geograf oglądający globus.

- Może to pański przodek Diego. - Odrzucił czaszkę z powrotem.

- Pomyślałem to samo i zleciłem zrobienie testów DNA. Niestety ten dżentelmen i ja nie jesteśmy spokrewnieni. - Aguirrez schował czaszkę do skrzynki i wrócił do stołu. - To moja druga wyprawa tutaj. Za pierwszym razem spodziewałem się, że groty będą dostępne z lądu. Okazało się jednak, że teren obejmujący jaskinie i port zakupiono na hodowlę ryb. Odnalazłem specjalistę od materiałów wybuchowych, który pracował przy budowie hodowli. Powiedział, że w czasie wysadzania skał, by zbudować magazyn, przebili się do grot. Prosiłem właścicieli, żeby pozwolili mi przeprowadzić badania archeologiczne w jaskiniach, ale odmówili. Próbowałem to załatwić różnymi drogami. Niestety, mimo moich znajomości, nie udało się przekonać Oceanusa. Więc wróciłem tutaj, żeby znów się temu przyjrzeć.

- Jest pan bardzo uparty.

- Ta sprawa stała się moją obsesją. Dlatego interesuje mnie pańska przygoda. Podejrzywałem, że z morza można dostać się do grot, ale wody wokół nich okazały się zbyt niebezpieczne dla naszych łodzi. Pan najwyraźniej znalazł drogę.

- Głupi ma szczęście - odparł krótko Austin.

Aguirrez zachichotał.

- Wątpię, żeby to była tylko kwestia szczęścia. Proszę mi opowiedzieć, co pan tam widział. Przekupię pana dolewką wina.

Strzelił palcami. Wszedł kelner z nową butelką, otworzył ją i napełnił kielichy.

- Łapówka nie jest potrzebna - odrzekł Austin. - Niech pan potraktuje to jako częściowy rewanż za pańską gościnność i doskonałą kolację. - Łyknął wina, napawając się narastającą atmosferą. - Ma pan rację, pod tym łukiem skalnym znajduje się droga do grot. Miejscowi nazywają to wejście Wrotami Syreny. Sieć jaskiń jest bardzo rozległa. Widziałem tylko jej część.

Austin opowiedział szczegółowo o rysunkach na ścianach, ale przemilczał wyprawę na teren hodowli ryb. Aguirrez chłonał każde słowo.

- Podobne obrazy z okresu paleolitu, sprzed dwunastu tysięcy lat, znaleziono na ścianach grot w Kraju Basków - mruknął w pewnym momencie. - Tutejsze rysunki wskazują, że z jaskiń musieli korzystać ludzie z zaawansowanej cywilizacji.

- Takie odniosłem wrażenie. Uważa się, że Wyspy Owcze nie były zamieszkane, dopóki nie osiedlili się tu irlandzcy mnisi i wikingowie. Może historycy się mylą.

- Nie byłbym zaskoczony. Naukowcy nie mają pojęcia, skąd pochodzi mój naród. Nasz język nie ma korzeni w Europie ani Azji. Wśród Basków jest najwyższy na świecie procent ludzi z grupą krwi Rh minus i dlatego niektórzy spekulują, że jesteśmy w prostej linii potomkami człowieka z Cro-Magnon. - Aguirrez uderzył lekko pięścią w stół. - Dałbym wszystko, żeby dostać się do tutejszych grot.

- Widział pan, jak ciepło mnie przyjęli.

- Jak szerszenie, kiedy potrafi się ich gniazdo. Kiedy pan spał, przyplłynęli tu z łądu łodziami patrolowymi. Zażądali, by wpuszczono ich na pokład. Oczywiście odmówiliśmy.

- W łodzi, którą widziałem, było paru ludzi z bronią automatyczną.

Aguirrez machnął ręką w kierunku ściany z obrazami.

- Kiedy zobaczyli, że moi ludzie mają nad nimi przewagę ogniową i liczebną, szybko się wycofali.

- Dysponują też helikopterem uzbrojonym w rakiety.

- Moi ludzie pokazali ręczną wyrzutnię pocisków woda - powietrze i przestał nas niepokoić.

Pociski raketowe i broń automatyczna. Uzbrojenie jak na okręcie wojennym.

Aguirrez jakby czytał w myślach Austina.

- Bogaci ludzie mogą stać się celem porywaczy. Dlatego postarałem się, żeby “Navarra” nie była całkiem bezbronna. Otoczyłem się lojalnymi i dobrze uzbrojonymi ludźmi.

- Jak pan przypuszcza, dlaczego Oceanus tak gwałtownie reaguje, kiedy ktoś wtyka nos w jego sprawę? - zapytał Austin. - Przecież chodzi o hodowlę ryb, nie o kopalnię diamentów.

Aguirrez wzruszył ramionami.

- Też zadaję sobie to pytanie.

Do jadalni wszedł jeden z mężczyzn, którzy wcześniej eskortowali Austina. Wręczył Aguirrezowi plastikową torbę i szepnął mu coś do ucha. Aguirrez skinął głową i powiedział:

- Dziękuję za relację z wizyty w grotach, panie Austin. Mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Nie odmówiłbym, gdyby zaproponował mi pan transport do miasteczka.

- Załatwione. Mój człowiek poinformował mnie, że mijamy komin skalny i za kilka minut powinniśmy rzucić kotwicę. - Aguirrez podał Austinowi torbę. - Pańskie rzeczy są już suche.

Austina zaprowadzono do kajuty, gdzie mógł się przebrać. W plastikowej torbie znalazł też swój portfel z legitymacją NUMA. Aguirrez musiał wiedzieć, że Kurt nie pracuje w ratownictwie morskim, ale nie zdradził się z tym. Włożył do torby własną wizytówkę z numerem telefonu. Austin schował ją do portfela.

Aguirrez czekał na pokładzie, żeby się pożegnać.

- Dzięki za gościnność - powiedział Austin i uścisnął mu dłoń. - Przepraszam, że uciekam od razu po obiedzie.

- Nic nie szkodzi - odrzekł Aguirrez z enigmatycznym uśmiechem. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy znów się spotkali.

- Zdarzają się różne dziwne rzeczy.

Po chwili Austin był w motorówce płynącej przez cichy port.

Sześćset metrów nad portem w Skaalshaven helikopter Bell 206 Jet Ranger, który śledził jacht płynący wzdłuż wybrzeża, zawisnął w powietrzu i skierował kamerę obserwacyjną Wescam o wysokiej rozdzielczości na łódź płynącą do brzegu. Mężczyzna w fotelu pilota wpatrzył się w monitor wideo. Przyglądał się, jak samotny pasażer motorówki schodzi na ląd.

Pilot helikoptera miał okrągłą twarz i wystające kości policzkowe z pionowymi tatuażami. Kruczoczarne włosy z grzywką nad niskim czołem mogłyby sugerować przypadkowemu obserwatorowi, że to mieszkaniec północnej tundry. Jednak na jego twarzy, zamiast wesołego uśmiechu, typowego dla Eskimosów, widniało okrucieństwo. Czarne oczy, które powinny błyszczeć naiwnym humorem, miały spojrzenie twarde jak diament. Brązowawa cera była ospowata, jakby porami skóry sączyło się wewnętrzne zepsucie. Jego niesamowity wygląd podkreślał opatrunek przyklejony pospiesznie w poprzek zmiażdżonego nosa.

- Cel w polu widzenia - powiedział pilot. Mówił archaicznym językiem, który zrodził się pod zorzą polarną.

Sygnal elektroniczny z kamery w głowicy pod kokpitem był przetwarzany w konwerterze na mikrofałę i natychmiast transmitowany do zaciemnionego pokoju po drugiej stronie kuli ziemskiej, gdzie bladoszare oczy śledziły obraz widziany z helikoptera.

- Widzę go całkiem wyraźnie - odrzekł mężczyzna o bladoszarych oczach. Jego cichy głos brzmiał spokojnie, ale czaiła się w nim groźba. - Kim jest ten człowiek, który tak łatwo przeniknął przez naszą ochronę?

- Nazywa się Kurt Austin.

Chwila ciszy.

- Ten sam Austin, który uratował duńskich marynarzy z zatopionego okrętu?

- Tak, wielki Toonooku. To inżynier morski z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Jesteś pewien? Zwykły inżynier nie byłby taki odważny ani zaradny, żeby dostać się na nasz teren. I dlaczego NUMA miałaby się interesować naszą operacją?

- Nie wiem, ale nasz człowiek potwierdził jego tożsamość.

- A ten jacht, który go zabrał i przegnał twoich ludzi? To statek NUMA?

- O ile wiemy, to prywatna jednostka, zarejestrowana w Hiszpanii. Sprawdzamy przez nasze źródła w Madrycie, kto jest właścicielem.

- Dopilnuj, żeby się pospieszyli. Jaki jest ostatni meldunek o naszych stratach?

- Jeden ochroniarz nie żyje. Udało nam się naprawić uszkodzenia i uratować najważniejsze okazy.

- Ochroniarz zasłużył na śmierć za swoją beztroskę. Okazy trzeba natychmiast przenieść do Kanady. Nasze eksperymenty są zbyt ważne, by narażać je na niebezpieczeństwo.

- Tak jest, wielki Toonooku.

- Nawet idiota zorientowałby się, o co chodzi. Pan Austin jakimś cudem powiązał Oceanusa z kolizją, którą tak zgrabnie zaaranżowaliśmy.

- To niemożliwe...

- Dowód masz przed oczami, Umealiq. Nie dyskutuj ze mną. Musisz opanować sytuację!

Pilot mocniej zacisnął ręce na sterach, gotów opaść helikopterem w dół jak jastrząb. Okrutne oczy obserwowały na monitorze, jak pasażer łodzi idzie z nabrzeża rybackiego do zaparkowanego samochodu. Umealiq mógł w każdej chwili odpalić rakiety lub podziurawić ciało kłopotliwego przeciwnika pociskami z broni maszynowej. Zaciśnięte wargi rozchyliły się w bezlitosnym uśmiechu.

- Mamy zlikwidować Austina, kiedy wejdzie nam w celowniki?

- Czyżbym wyczuwał żądzę zemsty za złamanie twojego drogiego nosa? - zadrwił głos. Nie czekając na odpowiedź, oznajmił: - To ja powinienem go zabić za to, że stwarza mi problemy. Gdyby pozwolił umrzeć tamtem duńskim marynarzom, uwaga świata skoncentrowałaby się na SOS i prasa przestałaby się zajmować Oceanusem.

- Zrobię to teraz...

- Nie! Cierpliwości. Trzeba sprawę załatwić dyskretnie, bez hałasu.

- Mieszka tutaj w domku na uboczu. To doskonałe miejsce, żeby się go pozbyć. Moglibyśmy zrzucić jego ciało z urwiska.

- Więc zajmij się tym. Ale ma to wyglądać na wypadek. Nie można dopuścić do tego, żeby Austin ujawnił swoje odkrycia. Nasz projekt jest w decydującej fazie.

- Wrócę do bazy i zorganizuję ludzi. Postaram się, żeby Austin długo umierał. Żeby czuł strach i ból, kiedy będzie żegnał się z życiem, żeby...

- Nie. Złeć to komuś. Mam wobec ciebie inne plany. Musisz natychmiast wyjechać do Kanady i dopilnować, żeby okazy bezpiecznie dotarły na miejsce. Potem do Waszyngtonu,

żeby wyeliminować tego senatora, który stwarza nam przeszkody prawne. Załatwiłem przykrywkę dla ciebie i twoich ludzi.

Pilot zerknął z mściwą tęsknotą na monitor i dotknął zmiażdżonego nosa.

- Tak jest - odparł niechętnie.

Po chwili wiszący w powietrzu helikopter odleciał w kierunku starego portu.

Nieświadomy tego, jak niebezpiecznie blisko była śmierć, Austin usiadł za kierownicą volvo profesora Jorgensena, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Wolał nie wracać do domku na uboczu. Popatrzył na światła miasteczka, chwycił worek marynarski i wysiadł z samochodu. Po drodze nie spotkał żywej duszy. Zatrzymał się przed domem za kościołem i zapukał do drzwi.

Pia rozpromieniła się na jego widok i zaprosiła go do środka. Przeżycia minionego dnia musiały być widoczne na jego twarzy, bo kiedy wszedł do oświetlonego wnętrza, przestała się uśmiechać.

- Coś się stało? - zapytała z niepokojem.

- Nic takiego, na co nie pomógłby kieliszek akavitu.

Zajęła się nim jak troskliwa kwoka, zaprowadziła go do kuchni, posadziła przy stole i naląła wysoki kieliszek akavitu. Przyglądała się, jak pije.

- I co? - zagadnęła w końcu. - Dużo ryb pan złowił?

- Nie, ale odwiedziłem syreny.

Pia roześmiała się radośnie, klasnęła w dłonie i dołąła mu trunku.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła z podnieceniem. - Czy grotty są takie piękne, jak opowiadał mój ojciec?

Słuchała jak dziecko opowieści Austina o przeprawie przez Wrota Syreny przy słabym prądzie i wędrówce przez sieć jaskiń. Powiedział jej, że zostałby dłużej, ale ścigali go ludzie z bronią. Pia zaklęła po farersku.

- Nie może pan dziś wrócić do domku. Gunnar twierdzi, że już nie pracuje dla tych ludzi, ale ja mu nie wierzę.

- Zastanawiałem się nad tym samym. Zostawiłem samochód przy nabrzeżu rybackim. Może powinienem stąd wyjechać?

- O, nie! W nocy zmyli pan drogę. Może pan tutaj przenocować i wyjechać rano.

- Na pewno chce pani przyjąć mężczyznę na noc? - zapytał Austin z uśmiechem. - Ludzie będą plotkować.

Odwzajemniła uśmiech.

- Mam nadzieję - odrzekła z figlarnym błyskiem w oczach.

Austin obudził się krótko przed świtem i wstał z sofy. Pia usłyszała go i też wstała, żeby przygotować mu śniadanie. Zrobiła omlet ziemniaczany z wędzoną rybą, na talerzu obok położyła pasztecik. Potem zapakowała mu na drogę kanapki z wędliną i serem i jabłko. Nie wypuściła go, dopóki nie obiecał, że kiedyś ją odwiedzi.

Poranek był wilgotny. Miasteczko budziło się do życia, gdy Austin doszedł do nabrzeża rybackiego. Kiedy otwierał drzwi samochodu, kilku rybaków jadących do pracy pomachało mu z pick-upów. On też im pomachał i wypadły mu kluczyki z ręki. Schylił się, żeby je podnieść. Wtedy poczuł zapach jakiejś substancji chemicznej i usłyszał ciche kapanie. Uklęknął i zajrzał pod samochód. Zapach był tutaj mocniejszy. Z przeciętego przewodu hamulcowego kapał płyn. Zagwizdał cicho i poszedł na nabrzeże, chcąc znaleźć jakiegoś mechanika. Kapitan portu zadzwonił pod znany sobie numer i wkrótce zjawił się chudy mężczyzna w średnim wieku.

Mechanik obejrzał uszkodzenie, wylazł spod samochodu i wręczył Austinowi kawałek przewodu hamulcowego.

- Ktoś pana nie lubi.

- Czy nie mogła to być zwykła awaria?

Małomówny Farer wskazał miejsce, gdzie droga z miasteczka biegła wzdłuż krawędzi klifu, i pokręcił głową.

- Na pierwszym zakręcie pofrunąby pan razem z ptakami. Ale łatwo to naprawić.

Niedługo potem hamulce były w porządku. Kiedy Austin chciał zapłacić, mechanik powstrzymał go gestem.

- Nie ma sprawy. Jest pan przyjacielem Pii.

- Ludzie, którzy chcieli mnie załatwić, mogą wiedzieć, że u niej byłem - powiedział Austin. - Chyba powinienem zawiadomić policję.

- Tu nie ma policji. Ale bez obaw, całe miasteczko będzie jej pilnowało.

Kurt podziękował i kilka minut później był w drodze. Popatrzył na komin skalny w lusterku wstecznym i podsumował w myślach krótki pobyt w Skaalshavn. Wywoził stąd więcej pytań niż odpowiedzi, ale zyskał nowych, wspaniałych przyjaciół.

Paul Trout wszedł na pokład trawlera o drewnianym kadłubie i rozejrzył się okiem eksperta. To, co zobaczył, zaskoczyło go. Neal był miłym luzakiem i pijaczkiem, ale jednocześnie rybakiem z głową, dumnym ze swojej łodzi. Bardzo o nią dbał. Drewno lśniło świeżą farbą, na pokładzie nie było plam oleju, metalu nie zżerała rdza. W sterówce znajdowały się najnowocześniejsze urządzenia do łowienia ryb i nawigacji.

Kiedy Trout pochwalił stan kutra, Neal rozpromienił się jak ojciec, któremu powiedziano, że jego pierworodny syn podobny jest do niego jak dwie krople wody. Potem obaj zaczęli sobie przypominać różne morskie opowieści. W pewnym momencie, gdy Neala nie było w pobliżu, Gamay powiedziała:

- Szybko się dogadaliście. Niedługo zaczniecie wymieniać między sobą przepisy kulinarne.

- Ciekawy facet. Jeszcze nie widziałem tak dobrze utrzymanego kutra.

- Cieszę się, że ci się podoba. Kawalek "Tiffany" jest teraz własnością NUMA.

Okup za wypuszczenie trawlera ze stoczni remontowej sięgnął prawie tysiąca dolarów, zamiast siedmiuset pięćdziesięciu. Po zatankowaniu paliwa, za które też zapłaciła Gamay, wyszli w morze.

- Strefa połowów jest niedaleko - krzyknął Neal przez warkot silnika. - Około siedmiu mil. Głębokość dziesięć sążni. Dno gładkie jak pupa noworodka. Doskonałe miejsce do trałowania. Niedługo tam będziemy.

Po pewnym czasie sprawdził pozycję na wyświetlaczu GPS-a, przymknął przepustnicę i zostawił silnik na jałowym biegu. Potem opuścił trał - stożkowy wór siatkowy o długości około czterdziestu pięciu metrów do ciągnięcia wzdłuż dna morskiego. Kuter zrobił dwie rundy, ale złowił tylko mnóstwo wodorostów, żadnej ryby.

- Bardzo dziwne - powiedział Trout, oglądając wąski koniec włoka, nazywany matnią, gdzie gromadzą się złapane ryby. - Zdarzają się kiepskie połowy, ale to wręcz nieprawdopodobne, żeby nic nie wyciągnąć. Sieć jest zupełnie pusta.

Neal uśmiechnął się z wyższością.

- Żebyś nie żałował, że taka nie została.

Znów opuścił trał, poholował go wzdłuż dna i powoli wciągnął z powrotem. Za pomocą bomu przetransportował matnię nad pokład. Tym razem coś się wściekle miało w

sieci. Widać było błyski srebrzystobiałej łuski. Wielka ryba walczyła dziko, żeby się uwolnić. Neal krzyknął ostrzegawczo przed opróżnieniem sieci.

- Cofnijcie się, mamy ostrą sztukę!

Ryba wylądowała z głuchym plaśnięciem na pokładzie. Po uwolnieniu z sieci nabrała jeszcze większej energii. Rzuciła się, wyginała długi tułów, wytrzeszczała groźne oczy, niepodobne do rybich, kłapała szeroką paszczą. Wreszcie wpadła na ścianę ładowni, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. W gwałtownych konwulsjach zaczęła się przesuwac po śliskim pokładzie.

- O, cholera! - krzyknął Neal, usuwając się szybko przed zębatymi szczękami. Wziął harpun i zbliżył trzonek do głowy ryby. Błyskawicznym ruchem przegryzła go na pół.

Paul i Gamay obserwowali to jak zahipnotyzowani z bezpiecznej wysokości sterty sieci.

- To największy łosoś, jakiego widziałem! - zawołał w końcu Paul.

Ryba miała około półtora metra długości.

- Łososie tak się nie zachowują - powiedziała Gamay. - Mają słabe zęby i połamałyby je na harpunie.

- Powiedz to tej cholernej rybie - mruknął Neal i cisnął za burtę zniszczony harpun.

Chwycił widły, przebił rybę za skrzelami i przygwoździł do pokładu. Nadal walczyła. Neal złapał stary kij baseballowy i uderzył rybę w łeb. Zamroczyło ją na moment, ale potem znów zaczęła się ciskać, choć słabiej.

- Czasem trzeba je walnąć kilka razy, żeby się uspokoiły - wyjaśnił.

Bardzo ostrożnie zapętlił linę wokół jej ogona. Potem przeciągnął linę przez krążek wyciągu, wyszarpnął widły z pokładu, uniósł rybę i zawiesił nad otworem ładowni, cały czas trzymając się z daleka od jej szczęk. Wyjął nóż i przeciął linę. Ryba wpadła do ładowni, gdzie zaczęła obijać się z hałasem o ściany.

Paul z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nigdy nie widziałem takiej zajadłej ryby. Zachowuje się bardziej jak barrakuda niż łosoś.

Gamay zajrzała w mrok ładowni.

- Wygląda jak łosoś atlantycki, ale nie mam pewności, co to jest. Te dziwnie białe łuski... Niemal albinos. Jest zbyt duża i agresywna na normalną rybę. Czyżby jakiś mutant? - Odwróciła się do Neala. - Kiedy po raz pierwszy złapaliście tu coś takiego?

Neal wyjął z ust niedopałek cygara, który trzymał w zębach, i splunął za burtę.

- Chłopaki zaczęli je wyciągać jakieś pół roku temu. Nazwali je diabłorybami. Rwały sieci, ale były duże, więc je kroiliśmy i dawaliśmy do sprzedaży. Mięso chyba było dobre, bo nikt nie umarł - dodał z krzywym uśmiechem. - Szybko się okazało, że udaje się złowić tylko to. Mniejsze ryby po prostu zniknęły. Z powodu tego. - Wskazał cygarem ładownię.

- Skontaktowaliście się z jakimiś naukowcami? Powiedzieliście komuś, co łowicie?

- Jasna sprawa. Ludziom od rybołówstwa. Ale nikogo tu nie przysłali.

- Dlaczego?

- Powiedzieli, że brakuje im personelu. Ty pewnie ich rozumiesz. Jesteś biologiem morskim. Ruszyłabyś się ze swojej pracowni, gdyby ktoś zadzwonił i powiedział ci, że diabłoryby zżerają mu ławice?

- Byłabym tu w ciągu minuty.

- Więc jesteś inna niż reszta. Chcieli, żebyśmy przywieźli im jedną z tych rybek, to ją obejrzą.

- Dlaczego tego nie zrobiliście?

- Chcieliśmy, ale po tym, co się stało z Charliem Marstonsem, chłopaki się wystraszyli i odpuścili to sobie.

- Kto to jest Charlie Marstons? - zapytał Paul.

- Był. Rybak starej daty. Łowił na tych wodach od lat. Nawet wtedy, jak już ciężko mu się było ruszać z chorą nogą. Ale stary matoł był uparty i lubił wypływać sam. Znaleźli go - a raczej to, co z niego zostało - kilka mil stąd na wschód. Wyglądało na to, że nałapał trochę tych przerośniętych łososi, podszedł za blisko i pewnie się wywrócił przez tę przetrąconą nogę. Nie było co wkładać do trumny.

- Te ryby go zabiły?!

- Nie ma innego wytłumaczenia. Wtedy chłopaki zaczęli się stąd wynosić. Też bym tak zrobił, gdybym miał swoją łódź. - Neal uśmiechnął się szeroko. - Zabawne, ale jedna z tych rybek to mój bilet na wyjazd stąd.

- Chcę ją zabrać do zbadania - powiedziała Gamay.

- Nie ma sprawy - odrzekł Neal. - Załadujemy ją do skrzyni, jak tylko przestanie być groźna.

Skierował "Tiffany" w stronę lądu. Zanim dobili do brzegu, ryba była prawie martwa, ale rzuciła się jeszcze kilka razy. Bezpieczniej było zostawić ją na razie w ładowni. Neal polecił Troutom pensjonat, gdzie mogli przenocować. Gamay dała mu sto dolarów ekstra i umówili się na następny dzień.

W pensjonacie - wiktoriańskim budynku na obrzeżach miasteczka - przywitało ich serdecznie sympatyczne małżeństwo w średnim wieku. Paul i Gamay wywnioskowali z entuzjasmu gospodarzy na ich widok, że interes nie idzie najlepiej. Pokój był tani i czysty, kolacja obfita. Troutowie dobrze spali i następnego ranka, po solidnym śniadaniu, pojechali na spotkanie z Nealem, żeby zabrać rybę.

Nabrzeże było puste. Co gorsza, nigdzie nie zauważyli Neala ani "Tiffany". Zapytali o niego w stoczni remontowej, ale nikt go nie widział od poprzedniego dnia, kiedy zapłacił za naprawę silnika. Kilku mężczyzn włóczyło się nad wodą z braku lepszego zajęcia. Żaden nie wiedział o Nealu. Pojawił się barman, którego Troutowie poznali poprzedniego dnia. Przyszedł otworzyć restaurację. Zapytali go, czy nie wie, gdzie może być Neal.

- Pewnie jeszcze leczy kaca - odrzekł barman. - Był tu wczoraj wieczorem, miał sto dolców. Większość wydał na stawianie kolejek stałym bywalcom. Wyszedł nieźle nabuzowany. Nie martwiłem się o niego, bo już mu się to zdarzało. Neal łatwiej znajduje drogę po pijaku niż niejeden na trzeźwo. Pożegnał się około jedenastej, potem już go nie widziałem. Mieszka na swojej łodzi. Spał tam nawet wtedy, jak stała w stoczni.

- Nie wie pan, dlaczego w porcie nie ma "Tiffany"? - zapytał Paul.

Barman przyjrzał się nabrzeżu i zaklął pod nosem.

- Cholerny palant. Nie nadawał się wczoraj do pływania łodzią.

- Czy ktoś z wczorajszych gości baru mógłby wiedzieć, gdzie jest Neal?

- Wątpię. Byli bardziej nabuzowani od niego. Tylko jeden nie pił. Fred Grogan. Ale wyszedł przed Nealem.

Trout nadstawił ucha.

- Kto to jest ten Grogan?

- Nieciekawy typ - odparł z pogardą barman. - Mieszka w lesie niedaleko dawnej przetwórni. Jedyne miejscowy facet, którego nowi właściciele nie wywalili z roboty po kupieniu tego interesu. Samotnik. Czasem wpada do miasteczka wielkim czarnym samochodem, jak te, które kręcą się w okolicy przetwórni.

Barman urwał, spojrzał na morze i osłonił ręką oczy. Do portu wpłynęła mała łódź. Zbliżała się do nabrzeża z dużą szybkością.

- To Fitzy. Latarnik. Chyba mu się strasznie spieszy.

Łódka z doczepnym silnikiem dobiła do brzegu i siwobrody mężczyzna rzucił cumę. Był wyraźnie podekscytowany. Nie wysiadając z łodzi, zaczął coś bełkotać.

- Spokojnie, Fitzy - powiedział barman. - Nie rozumiem ani słowa.

Brodacz złapał oddech.

- Dziś w nocy usłyszałem wielki huk. Aż szyby w oknach zadrżały. Pomyślałem, że pewnie odrzutowiec przeleciał nisko. Rano wyszedłem zobaczyć. Wszędzie kawałki drewna. Spójrz na to. - Rozwinął brezent, wyjął poszarpaną deskę i uniósł nad głowę. Widać było wyraźnie napis: "Tiffany".

Barman zacisnął wargi. Wszedł do restauracji i wezwał policję. Potem zadzwonił jeszcze w kilka miejsc. Zaczęły się zjeżdżać pick-upy i zorganizowano całą flotyllę poszukiwawczą. Kiedy przyjechał szeryf, łodzie z Fitzym na czele były już na morzu. Szef policji porozmawiał z barmanem i wysłuchał jego opowieści. Niektóre łodzie wróciły. Przywiozły następne szczątki "Tiffany". Ale nikt nie znalazł Neala.

Szeryf zadzwonił do straży przybrzeżnej. Obiecali przysłać helikopter, ale wszyscy byli zgodni co do tego, że Neal po pijanemu wyplłynął na przejażdżkę łodzią, zapewne uderzył w skałę w pobliżu portu i utonął. Troutowie nie skomentowali tego wytłumaczenia, ale w drodze powrotnej do pensjonatu Gamay powiedziała:

- Uważam, że Neala zamordowano.

- Chyba nie tylko ja widziałem ślady spalenizny na kawałkach drewna. Jego łódź musiała się zapalić albo po prostu wyleciała w powietrze. Pewnie Neal chwalił się rybą, którą złowił. Dlatego zginął.

W oczach Gamay błysnął gniew.

- O co tu chodzi? Ktoś go zabił z powodu ryby?

- Możliwe.

Pokręciła głową.

- Biedny facet. Nie mogę się pozbyć myśli, że częściowo jesteśmy odpowiedzialni...

- Jedynymi odpowiedzialnymi są jego zabójcy.

- I założę się, że Oceanus maczał w tym palce.

- Jeśli masz rację, my możemy być następni.

- Więc proponuję zabrać graty i wynieść się stąd.

Paul zaparkował wypożyczony samochód przed pensjonatem. Weszli do środka, zapłacili rachunek i zabrali swoje torby podróżne. Właściciele byli wyraźnie zawiedzeni, że Troutowie już ich opuszczają. Chcieli jeszcze porozmawiać, ale Gamay chwyciła Paula za rękaw i pociągnęła do samochodu. Wsiadła i pomachała gospodarzom na pożegnanie.

- Przepraszam, że przerwałam tę imprezę pożegnalną, ale kiedy rozmawialiśmy, przejeżdżał tędy czarny tahoe.

- Wygląda na to, że wilki się zbierają - odrzekł Paul. Skręcił w drogę wylotową z miasteczka i zerknął w lusterko. - Nie mamy jednak ogona.

Spotkali tylko kilka pojazdów, za granicami miasteczka jednopasmowa szosa była pusta. Wiła się przez gęste sosnowe lasy i wznosiła stopniowo na wysoki morski brzeg. Po jednej stronie mieli drzewa, po drugiej głęboką przepaść.

Około trzech kilometrów za miasteczkiem Gamay obejrzała się.

- Aha - powiedziała.

Paul rzucił okiem w lusterko i zobaczył zbliżającego się czarnego tahoe.

- Musieli czekać na bocznej drodze, aż ich miniemy.

Gamay sprawdziła zapięcie pasa.

- Dobra, pokaż im, co potrafisz.

Paul spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Zdajesz sobie sprawę, że jedziemy sześciocyndrowym sedanem rodzinnym o połowę mniejszym i lżejszym od tamtego czarnego potwora za nami?

- Do jasnej cholery, Paul, nie bądź taki dokładny! Wyobraź sobie, że jesteś piratem drogowym z Massachusetts. Po prostu wciśnij gaz do dechy.

- Tak jest, proszę pani - odrzekł pokornie Trout.

Wdepnął pedał do oporu. Samochód przyspieszył do przyzwoitej szybkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Tahoe z łatwością utrzymywał tę prędkość. Paulowi udało się wycisnąć z silnika jeszcze dziesięć kilometrów, ale ścigający ich samochód zbliżał się.

Zaczęła się seria zakrętów odpowiadających konturom nadbrzeżnych wzgórz. Wypożyczony sedan nie był autem sportowym, jednak na łukach lepiej trzymał się drogi niż wielki tahoe.

Ścigający zostawali w tyle, ale Trout jeszcze się nie cieszył. Nie odrywał wzroku od drogi, mocno trzymał kierownicę i jechał z szybkością zbliżoną do granicy utraty panowania nad samochodem. Wiedział, że wystarczy trochę piasku, kamień lub błąd w ocenie sytuacji, żeby wypadli z zakrętu i zginęli.

Gamay obserwowała tahoe i informowała Paula na bieżąco. Opony sedana piszczwały przy każdej zmianie kierunku. Trout kontrolował sytuację. Utrzymywał szybkość stu, stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Wyskoczył na długą prostą idącą w dół i zobaczył coś nieprawdopodobnego.

Zza wielkiego głazu wyjechał czarny tahoe. Paul pomyślał przez moment, że goniący wyprzedzili ich jakimś skrótem.

- Są dwa! - krzyknęła Gamay. - Chcą nas wziąć między siebie.

Tahoe z przodu blokował przejazd. Samochód z tyłu zbliżył się szybko. Paul próbował wyprzedzić pierwszego tahoe, ale ilekroć skręcał na pas ruchu z przeciwnego kierunku,

tamten zajeżdżał mu drogę. Zaczął hamować, żeby uniknąć zderzenia. Ścigający ich tahoe uderzył w tylny zderzak sedana, wgniół go do bagażnika.

Trout gwałtownie skontrował kierownicą i udało mu się uniknąć obrócenia auta. Tahoe znów zaatakował. Rozszedł się zapach benzyny z przedziurawionego zbiornika paliwa. Gdy spróbował zrobić to po raz trzeci, Gamay zdążyła ostrzec Paula.

- W prawo! - krzyknęła.

Paul skręcił w prawo i tahoe tylko drasnął jego zderzak.

- Zrezygnowali - powiedziała Gamay, gdy przeciwnicy przerwali tę zabawę.

- Pewnie nie na długo - odparł Paul.

- Więc trzeba coś zrobić. W wypożyczalni samochodów będą się zastanawiali, dlaczego ich auto ma tylko metr długości. O, cholera, znów nadjeżdża. W lewo!

Trout szarpnął kierownicę. Samochód zjechał na przeciwny pas i Paulowi zjeżyły się włosy na głowie. Szosa ostro skręcała w prawo. Przeciwnicy mogli ich blokować do ostatniej chwili. Tahoe z przodu zasłaniałby łuk drogi. Potem zwolniłby i skręcił, a samochód z tyłu zepchnąłby ich z klifu.

Paul zawołał do Gamay, żeby się mocno trzymała. Zacisnął spocone dłonie na kierownicy. Przestał myśleć o czymkolwiek, zdał się tylko na instynkt i czujnie obserwował widok w lusterku wstecznym.

Samochód z tyłu zaczął przyspieszać. Kiedy był kilkadziesiąt centymetrów od jego bagażnika, Paul szarpnął kierownicę w prawo.

Sedan wpadł na miękkie, piaszczyste pobocze i wjechał na skarpe powyżej szosy, jak samochód wyścigowy na wirażu toru. Przebijał się przez gąszcz krzaków i małych drzew. Gałęzie zgrzytały o karoserię.

Tahoe przemknął z jego lewej strony. Rozległ się przeraźliwy pisk opon i huk. Samochód ścigających przeciwników uderzył w tył pojazdu blokującego przejazd. Oba tahoe szczerły się zderzakami. Pierwszy próbował skręcić, ale rozpędzona masa drugiego samochodu spychała go z drogi. Złączone pojazdy wystrzeliły z klifu niczym pociski z procy i runęły w głęboką przepaść.

Trout miał swoje problemy. Skarpa skręcała wzdłuż krzywizny szosy, a samochód pędził prosto. Poszybował w powietrzu i Paul stracił nad nim kontrolę. Siła odśrodkowa przycisnęła go do drzwi. Sedan wylądował pod kątem, zawieszenie nie wytrzymało i rozległ się odgłos jak na złomowisku. Paul spróbował zerknąć na żonę, ale eksplodowały poduszki powietrzne i zobaczył tylko biały plastik.

Potem zapadła ciemność.

- Witamy z powrotem w Thorshavn, panie Austin - powiedział recepcjonista w hotelu Hania. - Mam nadzieję, że udała się panu wyprawa na ryby.

- Tak, dziękuję. Trafiłem na niezwykle okazy.

Recepcjonista wręczył Austinowi klucz i kopertę.

- Ten list przyszedł dzisiaj.

Austin otworzył kopertę i przeczytał wiadomość, napisaną starannie na firmowym papierze hotelowym: *Jestem w Kopenhadze. Mieszkam w hotelu Palace. Czy zaproszenie na kolację nadal aktualne? Therri.*

Austin uśmiechnął się na wspomnienie jej fascynujących oczu i melodyjnego głosu. Musi pamiętać, żeby zagrać na loterii. Chyba zaczyna mu sprzyjać szczęście. Na hotelowej papeterii napisał odpowiedź: *Może dziś wieczorem w Tivoli?* Złożył kartkę, dał recepcjoniście i poprosił o wysłanie wiadomości.

- Mógłby pan spróbować zarezerwować mi pokój na dziś w hotelu Palace?

- Oczywiście, panie Austin. Przygotuję panu rachunek.

Austin poszedł do swojego pokoju, wziął prysznic i ogolił się. Kiedy wycierał się ręcznikiem, zadzwonił telefon. Recepcjonista zawiadomił, że zrobił rezerwację w Palace i pozwolił sobie anulować wcześniejszą w hotelu przy lotnisku. Austin spakował się i zadzwonił do Jorgensena. Profesor właśnie prowadził wykład, więc Kurt zostawił wiadomość, że chciałby się z nim później spotkać. Przekazał, że leci do Kopenhagi i czeka na odpowiedź w hotelu Palace.

Austin dał recepcjoniście duży napiwek, potem złapał helikopter kursujący wahadłowo między Thorshavn a portem lotniczym Vagar i wsiadł do samolotu Atlantic Airways do Kopenhagi. Po przylocie na miejsce dojechał taksówką lotniskową do Radhuspladen, głównego placu miasta. Minął pomnik Hansa Christiana Andersena i tryskające fontanny i doszedł do okazałego, starego hotelu Palace z widokiem na ruchliwy plac. Czekwały na niego dwie wiadomości. Jedna była od Therri: *Tivoli to jest to! Do zobaczenia o szóstej.* Drugą zostawił profesor Jorgensen. Przekazał, że będzie całe popołudnie w swojej pracowni.

Austin wrzucił swój worek marynarski do pokoju i zadzwonił do profesora, że już jedzie. Kiedy wychodził z hotelu, przyszło mu do głowy, że golf i dzinsy nie są odpowiednie

na wieczorną randkę z piękną kobietą. Wstąpił do sklepu z męską odzieżą w pasażu handlowym i z pomocą doświadczonego sprzedawcy szybko wybrał to, czego potrzebował.

Z głównego placu miasta dojechał taksówką do kampusu Uniwersytetu Kopenhaskiego. Pracownia Biologii Morskiej należała do Instytutu Zoologii. Dwupoziomowy budynek z cegły otaczały trawniki. W klitce profesora z braku miejsca stało tylko biurko z komputerem i dwa krzesła. Wszędzie piętrzyły się stosy papierów, na ścianach wisiały mapy morskie i wykresy.

- Przepraszam za bałagan - powiedział Jorgensen. - Mam gabinet w kampusie w Helsingor. Z tego pokoiku korzystam tylko wtedy, kiedy prowadzę tutaj wykłady. - Uprzątnął krzesło, żeby Austin mógł usiąść. Nie bardzo wiedząc, co zrobić z trzymanymi w ręku dokumentami, w końcu położył je na biurku na chwiejącym się niebezpiecznie stosie innych papierów. Wyszczrzył w uśmiechu duże zęby. - Cieszę się, że znów pana widzę, Kurt. Wspaniale, że udało się panu wpaść do naszego pięknego miasta.

- Zawsze z przyjemnością odwiedzam Kopenhagę. Niestety, jutro mam samolot do Stanów, więc będę tu tylko jedną noc.

- Lepsze to niż nic - odrzekł profesor, sadowiąc się za biurkiem. - Miał pan jakieś dalsze wiadomości od tamtej pięknej kobiety, prawniczki, z którą był pan na kawie w Thorshavn?

- Therri Weld? Jestem z nią dziś umówiony na kolację.

- Szczęściarz z pana! Na pewno będzie atrakcyjniejszym towarzystwem niż ja - zachichotał Jorgensen. - Podobało się panu Skaalshavn?

- Skaalshavn to zaskakujące miejsce. Dziękuję, że pozwolił mi pan skorzystać z domku i łodzi.

- Cała przyjemność po mojej stronie. To fascynujący kraj, prawda?

Austin przytaknął.

- Skoro mowa o Skaalshavn, ciekaw jestem, co wykazały pańskie testy laboratoryjne.

Profesor poszperał w wysokiej stercie papierów na biurku. Jakimś cudem udało mu się znaleźć właściwy dokument. Zdjął okulary i włożył inne.

- Nie wiem, czy orientuje się pan, czym się głównie zajmuję. Specjalizuję się w badaniach wpływu niedoboru tlenu i zmiany temperatury na populację ryb. Nie uważam się za eksperta w każdej dziedzinie, skonsultowałem moje wnioski z kolegami pracującymi nad wirusami bakteryjnymi. Zbadaliśmy wiele próbek wody i ryb z różnych miejsc wokół hodowli Oceanusa w poszukiwaniu śladów anomalii. Nic nie znaleźliśmy.

- A co z pańską pierwotną teorią, że w wodzie mogą być ślady chemikaliów?

- Nie ma żadnych. Oceanus nie przesadza, chwając się, że jego system filtracyjny to cud techniki. Woda jest absolutnie czysta. Inne hodowle ryb, które sprawdzałem, zanieczyszczają środowisko odpadami karmy. Krótko mówiąc, nie znalazłem nic, co mogłoby szkodzić rybam wokół Skaalshavn.

- Więc dlaczego ich ubywa?

Jorgensen zsunął okulary na czoło.

- Mogą być inne przyczyny, których nie badaliśmy. Drapieżniki, degradacja środowiska, brak pożywienia.

- Wykluczył pan całkowicie winę hodowli?

- Nie, dlatego znów wybieram się do Skaalshavn, żeby zrobić więcej testów.

- Z tym może być problem - odparł Austin i opowiedział profesorowi w dużym skrócie o swojej wyprawie do hodowli ryb, która omal nie skończyła się tragicznie. - Chciałbym panu zapłacić za zniszczoną łódź.

Jorgensen był oszołomiony.

- Łódź to najmniejszy problem. Mógł pan zginąć. Ja też spotykałem patrole w motorówkach, kiedy robiłem testy. Tamci ludzie nie wyglądali przyjaźnie, ale nigdy mnie nie zaatakowali. Nawet mi nie grozili.

- Może nie podobała im się moja gęba.

- Też nie jestem gwiazdorem filmowym - odrzekł profesor - ale nikt nie próbował mnie zabić.

- Może wiedzieli, że wyniki pańskich testów będą negatywne. W takim wypadku nie mieli powodu pana straszyć. Rozmawiał pan o swoich badaniach z Gunnarem?

- Tak, był zawsze w domu, kiedy wracałem z terenu. Bardzo się interesował tym, co robię. - Jorgensena nagle olśniło. - Rozumiem! Uważa pan, że jest informatorem Oceanusa?

- Nie mam pewności, ale podobno pracował w tej firmie podczas budowy hodowli ryb. Możliwe, że nadal go zatrudniają.

Profesor zmarszczył brwi.

- Zawiadomił pan policję o swojej przygodzie?

- Jeszcze nie. Szczerze mówiąc, wszedłem na teren prywatny.

- Ale nie można zabić człowieka tylko dlatego, że jest wścibski!

- Owszem, trochę przesadzili. Jednak wątpię, żeby farerska policja coś zdołała. Oceanus zaprzeczy, że nasze drobne przepychanki w ogóle miały miejsce. Ich reakcja na moją niewinną ciekawość wskazuje, że coś ukrywają. Chciałbym się tam po cichu rozejrzeć, a policja tylko narobiłaby szumu.

- Jak pan uważa. Nie znam się na tym. Jestem naukowcem. - Jorgensen zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Czy to stworzenie w zbiorniku, które tak pana przestraszyło, to na pewno nie był rekin?

- Wiem tylko, że było wielkie, głodne i białe jak duch.

- Ryba-duch. Interesujące. Będę musiał to przemyśleć. Na razie przygotuję się do podróży na Wyspy Owcze.

- Chce pan tam jednak wrócić? Po mojej przygodzie może to być niebezpieczne.

- Tym razem popłynę statkiem badawczym. Oprócz tego, że będzie nas wielu, zapewni mi to dostęp do pełnego zestawu aparatury naukowej. Chętnie zabrałbym ze sobą archeologa do zbadania tamtych grot.

- Niezbyt dobry pomysł, ale w Skaalshavn jest kobieta, która pewnie mogłaby pomóc. Jej ojciec penetrował groty. Powiedziała mi, jak się tam dostać. Ma na imię Pia.

- Żona pastora?

- Tak, znają pan? Wspaniała kobieta.

- O, tak... - przyznał profesor i nagle się zaczerwienił. - Spotkaliśmy się kilka razy. Trudno jej nie zauważyć. Może zmieniłby pan plany i wrócił tam ze mną?

Austin pokręcił głową.

- Dziękuję za propozycję, ale wzywają mnie obowiązki w NUMA. Zostawiłem Joego samego z testami "Sea Lampreya". Proszę mnie informować o swoich odkryciach.

- Oczywiście. - Jorgensen podparł brodę dłonią i wpatrzył się w przestrzeń. - Nauczyłem się nie wyciągać wniosków, dopóki nie mam faktów na ich poparcie. Ale czuję przez skórę, że dzieje się coś niedobrego, Kurt. Coś niesamowitego.

- Jeśli to pana pocieszy, też mam takie wrażenie. To coś więcej niż banda facetów biegających z bronią. - Austin pochylił się do przodu i spojrzał profesorowi prosto w oczy. - Chciałbym, żeby mi pan obiecał pewną rzecz.

- Oczywiście, co tylko pan zechce.

- Niech pan będzie ostrożny w Skaalshavn - powiedział Austin tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, co ma na myśli. - Niech pan bardzo uważa.

Poczucie zagrożenia towarzyszyło Austinowi jeszcze po wyjściu od profesora, choć na zewnątrz świeciło jasne słońce. Podczas powrotu taksówką do hotelu kilka razy przyłapał się na tym, że zerka przez tylną szybę. W końcu dał sobie spokój. Gdyby gdzieś czaiło się niebezpieczeństwo, nie zobaczyłby go w gęstwinie samochodów.

Wstąpił do sklepu odzieżowego, żeby odebrać przygotowane ubranie. Z hotelu zadzwonił do Therri. Była godzina 17.30.

- Mam pokój piętro pod tobą. Zdawało mi się, że słyszę, jak śpiewasz z radości w niecierpliwym oczekiwaniu na naszą randkę.

- Musiałeś więc też słyszeć, jak tańczę.

- Nie do wiary, jak mój urok działa na kobiety - odrzekł Austin. - Zobaczymy się w holu. Możemy udawać dawnych kochanków, którzy spotkali się przypadkowo.

- Jest pan zaskakująco romantyczny, panie Austin.

- Czasem określano mnie jeszcze gorzej. Rozpoznasz mnie po czerwonym goździku w klapie marynarki.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, Therri wyszła jak na scenę i natychmiast zwróciła na siebie uwagę wszystkich obecnych mężczyzn. Austin nie mógł oderwać od niej oczu, gdy szła przez hol. Jej kasztanowe włosy opadały na ramiączka białej, koronkowej sukienki do kostek, która opinała wąską talię i uda.

Uśmiech Therri wskazywał, że ona też cieszy się z randki. Przyjrzała się jasnoszarej, jednorzędowej marynarce Austina, lekko wciętej w pasie, która uwydatniała jego szerokie ramiona jak wojskowy mundur. Niebieska koszula i biały jedwabny krawat podkreślały jego ciemną opaleniznę, niebieskozielony kolor oczu i siwe włosy. W klapie tkwił czerwony goździk.

Austin pocałował Therri w rękę.

- Co za cudowna niespodzianka - powiedziała z brytyjskim akcentem wyższych sfer. - Nie widzieliśmy się od czasów...

- Biarritz. A może Casablanki?

- Tak? Kto by pomyślał? Z upływem czasu wszystkie wspomnienia się zacierają.

Austin nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Ale zawsze będziemy mieli Marrakesz.

Potem podał jej ramię i wyszli z hotelu pod rękę, jakby znali się od wieków. Poszli przez ruchliwy plac w kierunku Tivoli, słynnego dziewiętnastowiecznego parku rozrywki, znanego z kolejki szynowej, karuzeli i widowisk. Park był oświetlony neonami i pełen gości, którzy oglądali teatralne przedstawienie i słuchali muzyki symfonicznej. Austin i Therri zatrzymali się na kilka minut, by popatrzeć na zespół tańca ludowego. Therri zaproponowała, żeby zjedli kolację w restauracji z tarasem. Dostali stół z widokiem na diabelski młyn.

Austin wziął menu.

- Skoro ty wybrałaś lokal, ja wybiorę dania, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Wręcz przeciwnie. Żyję sandwiczami *smorrebrod*.

Kiedy podszedł kelner, Austin zamówił na zakąskę małe krewetki z fiordów. Jako główne danie wziął dla siebie *flaekesteg*, pieczeń wieprzową ze skwarkami i kapustą, dla Therri *morbradbof*, małe filety wieprzowe w sosie pieczarkowym. Zamiast wina, poprosił o piwo carlsberg.

- Zgrabnie ci poszło z tym zamówieniem - powiedziała z podziwem Therri.

- Bywałem w tej restauracji w czasie ostatniego pobytu służbowego w Kopenhadze na zlecenie NUMA.

Stuknęli się szklankami i napili się chłodnego piwa z pianką. Podano krewetki. Gdy Therri ich spróbowała, przymknęła oczy z zachwytem.

- Pycha!

- Tajemnica przyrządzania owoców morza polega na tym, żeby przyprawy nie zabiły ich subtelnego smaku.

- Jeszcze jedna pozycja na mojej liście podziękowań.

- Twój dobry humor świadczy chyba o tym, że udało ci się spotkanie z Beckerem.

- Pan Becker był wręcz czarujący. Nie mógł się ciebie nachwalić. Twoje zdjęcia "Sentinela" zrobiły na nim wielkie wrażenie. Na moje nalegania sami zbadali statek i stwierdzili, że doszło do sabotażu. Zgodzili się wycofać zarzuty przeciwko Marcusowi.

- Moje gratulacje. Bez żadnych warunków?

- To by było zbyt piękne. Marcus i wszyscy związani z SOS, łącznie z moją skromną osobą, mają opuścić Danię w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Mamy rezerwację na jutrzejszy lot *concorde'em*.

- *Concorde'em*? SOS nie oszczędza na podróżach.

Therri wzruszyła ramionami.

- Ludzie, którzy pakują miliony w naszą organizację, chyba nie mają nic przeciwko temu, dopóki morza są chronione.

- Spróbuję w ten sam sposób przemówić do rozumu księgowym NUMA, którzy skąpią pieniądze na podróże. Kiedy ty będziesz jadła lunch u Kinkaida, ja będę żuł gumowatego kurczaka na wysokości jedenastu tysięcy metrów. Jakie jeszcze warunki postawił Becker?

- Żadnych konferencji prasowych na terenie Danii, żadnych prób wydobywania z morza "Sea Sentinel". W ogóle mam zamkniętą drogę do tego kraju. Nie wiem, jak ci dziękować za to, co dla nas zrobiłeś.

- Wszystko ma swoją cenę. Powiedz mi jak najwięcej o Oceanusie.

- Proszę bardzo. Jak już mówiłam ostatnim razem, Oceanus to międzynarodowa korporacja, zajmująca się przetwórstwem rybnym i transportem. Jej floty rybackie i handlowe pływają po morzach całego świata.

- Taki opis pasuje to wielu korporacji - uśmiechnął się Austin. - Dlaczego mam wrażenie, że coś ukrywasz?

Therri była zaszokowana.

- To aż takie oczywiste?

- Tylko dla kogoś stale mającego do czynienia z ludźmi, którzy uważają, że powiedzenie części prawdy to dobry unik, żeby nie ujawnić wszystkiego.

Zmarszczyła brwi.

- Należało mi się. My, prawnicy, lubimy mieć coś w rezerwie. SOS jest twoim wielkim dłużnikiem. Co chcesz wiedzieć?

- Na początek, kto jest właścicielem Oceanusa?

- Zadajemy sobie to samo pytanie. Natrafiliśmy na gąszcz powiązanych ze sobą tajemniczych korporacji, papierowych firm, podejrzanych trustów. Wciąż pojawiała się jedno imię: Toonook.

- Hm... Przypomina mi imię ze starego filmu dokumentalnego, który widziałem w dzieciństwie - *Nanook z północy*. To Eskimos?

- Chyba tak. Nie możemy tego potwierdzić, ale dogrzebaliśmy się do dowodu pośredniego, który na to wskazuje. Mieliśmy z tym mnóstwo roboty. Dowiedzieliśmy się, że jest obywatelem kanadyjskim i bardzo dobrze ukrywa swoją twarz. To wszystko, co mogę ci o nim powiedzieć.

Austin skinął głową, myśląc o śniadych ochroniarzach, którzy do niego strzelali.

- Wróćmy do Oceanusa. Co zwróciło na niego waszą uwagę?

- Jako jedna z nielicznych firm zignorował nasz bojkot Wysp Owczych. Uważamy, że przemysłowe hodowanie ryb jest szkodliwe dla środowiska naturalnego, ale to próby ukrycia

przez firmę swoich działań zainteresowały Marcusa. Kiedy dowiedzieliśmy się o hodowli ryb na Wyspach Owczych, uznał, że nagłośnienie sprawy może wywołać jakąś reakcję.

- Wasz statek i duński okręt na dnie morza dowodzą, że się nie mylił.

Therri spojrzała Austinowi prosto w oczy.

- Pozwól, że o coś cię zapytam. Co ty wiesz o Oceanusie, czego mi nie mówisz?

- Wystarczająco dużo. Kiedy negocjowałeś z panem Beckerem, powęszyłem trochę w hodowli ryb na Wyspach Owczych.

- Dowiedziałeś się czegoś?

Austin poczuł ukłucie bólu w ranie na piersi.

- Tego, że tamci nie lubią, kiedy ktoś wtyka nos w ich sprawy. Radzę tobie i twoim przyjaciółom omijać ich szerokim łukiem.

- I kto teraz robi uniki?

Austin tylko się uśmiechnął. Chciał ufać Therri, ale nie wiedział, na ile jest lojalna wobec SOS i swojego szefa.

- Ujawniłem ci tylko tyle, żebyś nie miała kłopotów.

- Powinieneś wiedzieć, że rzucenie mi ochłapu informacji tylko rozbudzi moją ciekawość.

- Pamiętaj, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Nie chciałbym, żebyś tam trafiła.

Therri uśmiechnęła się czarująco.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Proszę bardzo. Może kiedyś w Waszyngtonie wrócimy do tej rozmowy.

- Znam mnóstwo hoteli, gdzie można się przypadkowo spotkać w holu. Ale umówmy się, że nie będziemy rozmawiali o sprawach służbowych.

- Możemy od razu zmienić temat. - Austin przywołał gestem kelnera i zamówił dwa likiery wiśniowe Peter Heering.

- Więc o czym chciałbyś porozmawiać? - zapytała Therri.

- Opowiedz mi o SOS.

- To sprawy służbowe.

- Dobrze, zadam ci pytanie osobiste. W jaki sposób trafiłaś do Strażników Morza?

- Przeznaczenie - odrzekła z uśmiechem Therri. - Zanim zostałam obrońcą wielorybów, broniłam lasów. Było mi to pisane od urodzenia. Moja rodzina dała mi imię Thoreau od Henry'ego Davida.

- Zastanawiałem się, skąd się wzięło Therri.

- Chyba miałam szczęście, że nie ochrzczili mnie Henry. Mój ojciec był aktywnym obrońcą środowiska, zanim taki ruch w ogóle powstał. Moja matka pochodzi ze starej jankeskiej rodziny, która dorobiła się na niewolnikach i rumie. Kiedy skończyłam prawo na Harvardzie, wszyscy spodziewali się, że wejdę do rodzinnego interesu. Teraz twoja kolej. Jak trafiłeś do NUMA?

Austin podał Therri skróconą wersję swojej kariery zawodowej.

- W twoim życiorysie widzę dużą lukę czasową - zauważyła.

- Bystra jesteś. W tamtym okresie pracowałem w CIA. Po zakończeniu zimnej wojny mój wydział zlikwidowano. Więcej nie mogę ci powiedzieć.

- W porządku - zgodziła się. - Tajemniczość dodaje ci atrakcyjności.

Austin chciał odpowiedzieć jej w tym samym tonie, gdy zauważył, że Therri patrzy ponad jego ramieniem. Odwrócił się i zobaczył Marcusa Ryana, idącego w kierunku ich stolika.

- Therri! - wykrzyknął Ryan ze swoim uśmiechem idola. - Co za miła niespodzianka!

- Cześć, Marcus. Pamiętasz Kurta Austina z przesłuchania w Thorshavn?

- Oczywiście! Pan Austin jako jedyny złożył wówczas bezstronne zeznanie w tej farsie.

- Może się do nas przyłączysz? - zaproponowała Therri. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda, Kurt?

Austin miał. I to dużo. Na kilometr wyczuwał zaaranżowane spotkanie, ale był ciekaw, po co ta zabawa. Wskazał Ryanowi krzesło i uściśnął mu dłoń. Marcus miał zaskakująco mocny chwyt.

- Tylko na minutkę - powiedział Ryan. - Nie chcę wam przeszkadzać w kolacji, ale cieszę się, że mam okazję podziękować panu Austinowi za pomoc udzieloną SOS.

- Myli się pan. Nie zrobiłem tego, żeby pomóc SOS. To była osobista przysługa wyświadczona pani Weld. To ona namówiła mnie do obejrzenia waszego statku.

- Niewielu ludzi może się oprzeć jej namowom. Therri wzbudza duże zaufanie. Tak czy owak, wspaniale się pan przysłużył morskim stworzeniom.

- Niech pan sobie daruje ten mdły sentymentalizm, panie Ryan. Dostarczyłem Therri dowód sabotażu, bo uważałem to za słuszne, a nie dlatego, że wierzę w waszą sprawę.

- Zatem wie pan, że nie jestem odpowiedzialny za tę kolizję.

- Wiem, że celowo dążył pan do tego, by coś się wydarzyło, i żeby mówiono o tym w telewizji.

- Niektóre sytuacje wymagają desperackich kroków. Z tego, co wiem o NUMA, wynika, że pańska organizacja też nie jest święta, jeśli chodzi o metody osiągnięcia celu.

- To całkiem co innego. Każdy z nas, łącznie z admirałem Sandeckerem, bierze na siebie odpowiedzialność za to, co robi. Nie chowamy się za plakatami z pyszczkami małych fok.

Ryan poczerwieniał.

- Zawsze jestem gotów ponieść konsekwencje swoich czynów.

- Jasne, dopóki wie pan, że można się jakoś wykręcić.

Ryan uśmiechnął się.

- Trudny z pana facet, panie Austin.

- Staram się.

Zjawił się kelner z daniami głównymi.

- No cóż. Nie będę psuł wam wieczoru - powiedział Ryan. - Miło się z panem rozmawiało, panie Austin. Później do ciebie zadzwonię, Therri.

Pomachał im beztrudnie i wmieszał się w tłum ludzi na ulicy.

- Twój przyjaciel ma strasznie wysokie mniemanie o sobie - powiedział Austin. - A ja myślałem, że bogiem morza jest Neptun lub Posejdon.

Spodziewał się, że Therri będzie broniła Ryana, ale wybuchnęła śmiechem.

- Gratuluje, Kurt. Dobrze wiedzieć, że nie tylko Marcus potrafi irytować ludzi.

- To mój wrodzony talent. Powinnaś mu powiedzieć, że następnym razem będzie lepiej, jeśli zaaranżujesz przypadkowe spotkanie.

Therri zerknęła na diabelski młyn, żeby uniknąć wzroku Austina. Potem zaczęła się bawić widelcem.

- To było aż tak widoczne? - zapytała w końcu.

- Jasne jak słońce.

Westchnęła ciężko.

- Przepraszam za nieudolną próbę oszukania cię. Nie zasłużyłaś na to. Marcus chciał się z tobą zobaczyć, żeby ci podziękować. Mówił szczerze. Nie spodziewałam się, że dojdzie do takiej wymiany zdań. Wybacz mi.

- Wybaczę tylko pod warunkiem, że po spacerze wypijemy drinka w barze hotelowym.

- Twardo się targujesz.

Austin uśmiechnął się szelmowsko.

- Jak zauważył twój przyjaciel, pan Ryan, trudny ze mnie facet.

Atmosfera zabawy sugerowała, że w Kopenhadze trwa jakieś wielkie święto, ale tak wyglądał zwykły wieczór w jednym z najbardziej tętniących życiem miast europejskich. Z licznych kawiarni dochodziła muzyka. W parkach i na placach wzdłuż szerokiego deptaka Stroget roiło się od spacerowiczów i ulicznych artystów. Nastrój był przyjemny, ale utrudniał prowadzenie rozmowy. Austin zaproponował, żeby skręcili w cichą uliczkę z nieczynnymi już butikami i wrócili tamtędy do hotelu.

Pusty zaułek oświetlały tylko słabe lampy gazowe i kilka sklepowych witryn. Austin słuchał opowieści Therri o Beckerze, gdy zauważył z przodu dwie sylwetki, które wyszły z cienia.

Wiedział, że Duńczycy są spokojni i bardzo uprzejmi, a w Kopenhadze jest niska przestępczość. Nie zaniepokoił się, kiedy dwaj mężczyźni stanęli w takich pozach, że zablokowali przejście. Pomyślał, że może wypili za dużo akawitu. Chcąc ich ominąć, wziął Therri pod rękę. Nagle tamci wyjęli zza pleców kije baseballowe.

Austin usłyszał za sobą kroki i zerknął przez ramię. Z tyłu zbliżali się dwaj następni mężczyźni, też z kijami. Therri zdała sobie sprawę z zagrożenia, choć nie rozumiała, o co chodzi. Zamilkła. Cztery mężczyźni zaczęli ich okrążać. Wyglądało to na przeciwzoną strategię.

Austin rozejrzał się za jakąś bronią. Pomyślał, że lepsze jest cokolwiek niż nic i chwycił pokrywę od śmietnika. Zauważył z zadowoleniem, że jest zrobiona z solidnego, grubego aluminium. Wystąpił naprzód, zasłonił sobą Therri i użył pokrywy jak średniowieczny piechur tarczy do odbicia ciosu najbliższego napastnika. Mężczyzna znów uniósł kij, ale Austin przeszedł od obrony do ataku. Wsunął przed siebie ramię i uderzył przeciwnika pokrywą w twarz. Napastnik krzyknął z bólu i ugięły się pod nim kolana. Austin złapał pokrywę obiema rękami i walnął go z góry w głowę. Rozległ się dźwięk przypominający gong. Od siły uderzenia zabolaty go dłonie, ale mężczyzna zwałił się bezwładnie na chodnik.

Szybko zbliżył się drugi przeciwnik. Austin chciał go potraktować podobnie, ale tamten to przewidział. Cofnął się i odtrącił kijem pokrywę. Kurt starał się osłonić przed uderzeniem zranione miejsce z lewej strony klatki piersiowej. Napastnik wyczuł to i rąbnął go kijem w głowę. Austin zobaczył wirujące gwiazdy. W tym samym momencie usłyszał krzyk

Therri. Jeden z przeciwników trzymał ją, a drugi ciągnął w tył za włosy, by odsłonić jej gardło. Mocny cios w tchawicę mógłby być śmiertelny.

Austin ruszył na pomoc. Jego prześladowca zastąpił mu drogę i zamachnął się oburącz kijem jak mieczem. Austin sparował cios, ale upuścił pokrywę i stracił równowagę. Opadł na jedno kolano i zasłonił ramieniem głowę. Zobaczył szerokie twarze, błyszczące oczy, uniesione kije i przygotował się na serię uderzeń w czaszkę. Zamiast tego usłyszał łomot i krzyki w dwóch językach. Rozróżnił hiszpański, drugiego nie znał. Napastnicy wokół niego rozplynęli się jak płatki topniejącego śniegu.

Podniósł się z trudem i zobaczył uciekających, rzucających kije przeciwników. Towarzyszyły im jakieś cienie. Chwilę potem został tylko z Therri, jeśli nie liczyć leżącego na chodniku pierwszego napastnika, który dostał pokrywę w głowę. Kumple najwyraźniej go opuścili.

Austin wziął Therri za ramię.

- Nic ci się nie stało?

- Nie, ale cała się trzęsę, chyba to czujesz. A tobie?

Dotknął lekko włosów.

- Mam głowę jak surowy hamburger i ćwierkają w niej ptaszki, ale poza tym w porządku. Mogło być gorzej.

Wzdrygnęła się.

- Wiem. Dzięki Bogu, tamci mężczyźni nas uratowali.

- Jacy mężczyźni?

- Zjawili się nie wiadomo skąd. Chyba było ich dwóch. Przegonili tych z kijami.

Austin kopnął pogiętą pokrywę od śmietnika.

- A myślałem, że wystraszyłem ich moim tłuczkiem do głów. - Otrzeptał z kurzu brudne, rozdarte spodnie. - Niech to szlag, to pierwszy nowy garnitur, jaki kupiłem od lat.

Therri nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Nie do wiary! O mało cię nie zatłukli, a ty się przejmujesz garniturem. - Przytuliła go mocno.

Nawet nie protestował, że uciska mu ranę od noża. Ale Therri nagle zeszywniała, cofnęła się, spojrzała ponad jego ramieniem i wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

- Kurt, uważaj!

Austin odwrócił się. Napastnik leżący na chodniku powoli wstawał. Patrzył na nich jeszcze półprzytomny. Kurt zacisnął pięści i ruszył na niego, żeby z powrotem go uśpić. Zatrzymał się w pół kroku, kiedy na czole mężczyzny pojawił się czerwony punkt.

- Padnij! - krzyknął do Therri.

Zawahala się, więc pociągnął ją na ziemię i nakrył własnym ciałem.

Mężczyzna zaczął iść w ich kierunku, potem stanął, jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Osunął się na kolana i upadł twarzą na chodnik. Austin usłyszał kroki i zobaczył postać uciekającą w głąb uliczki. Pomógł wstać Therri.

Była oszołomiona.

- Co się stało?

- Ktoś zastrzelił naszego przyjaciela. Zobaczyłem punkcik celownika laserowego.

- Dlaczego to zrobili?

- Może w jego firmie należy eliminować tych, co nie nadążają za innymi.

Therri patrzyła na zwłoki.

- Albo nie chcieli, żeby coś wyśpiewał.

- Tak czy inaczej, nie jest to bezpieczne miejsce.

Wziął Therri za ramię i szybko odeszli. Po drodze rozglądał się czujnie, wypatrując napastników. Odprężył się dopiero na widok świateł hotelu Pałace. Cocktail-bar wydawał się innym światem. Usiedli w kącie. Wokół rozbrzmiewały wesole głosy. Pianista jazzowy grał utwory Cole'a Portera. Austin zamówił dwie podwójne szkockie.

Therri wypijała duży łyk whisky i rozejrzała się po sali.

- Czy to się naprawdę wydarzyło, tam, na ulicy?

- To nie był film *West Side Story*. Co z tego zapamiętałaś?

- Wszystko działo się tak szybko. Tamci dwaj faceci z kijami złapali mnie... - Zmarszczyła brwi. - Zobacz, co zrobili z moimi włosami. - Jej strach zastąpiła złość. - Kim byli ci psychole?

- Atak został dobrze skoordynowany. Wiedzieli, że jesteśmy w Kopenhadze i musieli nas obserwować dziś wieczorem, żeby urządzić zasadzkę. Co podejrzewasz?

- Oceanus - odparła bez wahania.

Austin ponuro skinął głową.

- Przekonałem się na Wyspach Owczych, że Oceanus ma swoich mięśniaków, skłonność do przemocy i dobrą organizację. Co było potem?

- Puścili mnie. I uciekli ścigani przez tych, którzy nie wiadomo skąd się zjawili. - Pokręciła głową. - Szkoda, że nasi dobrzy samarytanie nie zostali, żebym mogła im podziękować. Zawiadomimy policję?

- Nie wiem, czy to by coś dało. Pewnie uznaliby to za napad chuligański. Biorąc pod uwagę twoje stosunki z duńskimi władzami, mogliby zatrzymać cię tu dłużej, niż byś chciała.

- Masz rację - zgodziła się Therri i dopiła drinka. - Lepiej wróć do pokoju. Mój samolot odlatuje bardzo wcześnie.

Austin odprowadził ją na górę. Zatrzymali się przed drzwiami.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał.

- Nie, wszystko w porządku. Dzięki za interesujący wieczór. Wiesz, jak zapewnić dziewczynie atrakcje.

- To jeszcze nic. Zaczekaj do naszej następnej randki.

Uśmiechnęła się i pocałowała go lekko w usta.

- Nie mogę się doczekać.

Podziwiał ją, że tak szybko doszła do siebie.

- Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Skinęła głową. Austin życzył jej dobrej nocy i wszedł do windy. Patrzyła za nim, dopóki drzwi się nie zasunęły. Potem wyjęła klucz z zamka i zapukała do innego pokoju. Drzwi otworzył Marcus Ryan. Na widok napięcia na jej twarzy przestał się uśmiechać.

- Coś się stało? - zapytał z troską w głosie. - Jesteś taka blada.

- Wystarczy odrobina makijażu. - Wyminęła go i wyciągnęła się na sofie. - Zrób mi filiżankę mocnej herbaty, potem usiądź i posłuchaj.

Opowiedziała mu o napadzie i o tym, jak nagle zostali uratowani. Ryan splótł palce dłoni i zapatrzył się w przestrzeń.

- Austin ma rację. To Oceanus. Jestem tego pewien.

- Ja też. Tylko nie wiem, kto nas uratował.

- Austin też nie wie?

Pokręciła głową.

- Powiedział, że nie.

- Mówił prawdę?

- Może podejrzewa, kim są, ale nie naciskałam go.

- No, proszę, mój twardy doradca prawny ma jednak jakąś słabość. Austin ci się podoba, co? - zapytał Ryan z chytrym uśmiechem.

- Nie przeczę. Jest... inny.

- Musisz przyznać, że ja też.

- Owszem - przytaknęła z uśmiechem. - Dlatego jesteśmy kolegami po fachu, a nie kochankami.

Ryan westchnął teatralnie.

- Chyba zawsze będę druhną, nigdy panną młodą.

- Byłbyś odrażającą panną młodą. Poza tym miałaś okazję nią być. Jak pamiętasz, nie chciałam grać drugich skrzypiec w SOS.

- Nie mam o to pretensji. Jednak gdy chodzi o pracę, jestem jak rycerz zakonny.

- Bzdura! Przypadkiem wiem, że masz dziewczynę w każdym porcie.

- Do diabła, Therri, nawet mnich musi czasem trochę się zabawić. Porozmawiajmy jednak o twojej intrygującej znajomości z Austinem. Myślisz, że owiniesz go sobie dookoła palca?

- Chyba żadna kobieta nie potrafi tego dokonać. - Zmrużyła oczy. - Co ty kombinujesz?

- Pomyślałem, że chciałbym mieć NUMA po naszej stronie. Potrzebujemy silnych ludzi, żeby wziąć się za Oceanusa.

- A jeśli NUMA nam nie pomoże?

Wzruszył ramionami.

- Zrobimy to sami.

Therri pokręciła głową.

- Nie damy rady. To nie gang uliczny. Są zbyt potężni. Sam widziałeś, jak łatwo dokonali sabotażu na naszym statku. Jeśli nawet Kurt Austin jest zaniepokojony, powinniśmy uważać. Nie możemy ryzykować, że będą następne ofiary.

- Nie doceniasz SOS, Therri. Siła bierze się z wiedzy.

- Nie mów do mnie zagadkami, Marcus.

Ryan uśmiechnął się.

- Możemy mieć asa w rękawie. Wczoraj dzwonił Josh Green. Natrafił na coś ciekawego. Chodzi o działania Oceanusa w Kanadzie.

- Jakie działania?

- Josh nie był pewien. Dowiedział się o tym od Bena Nighthawka.

- Od tego studenta college'u, który pracuje u nas?

Ryan przytaknął.

- Jak wiesz, Nighthawk to kanadyjski Indianin. Dostaje dziwne listy od rodziny w Norm Woods. Jakaś korporacja weszła w posiadanie dużego terenu w pobliżu ich wioski. Josh zrobił Renowi przysługę i sprawdził, kto jest właścicielem. Ziemię kupiła fikcyjna firma, założona przez Oceanusa.

Therri zapomniała o niedawnych obawach.

- To może być ślad, którego szukamy!

- Też tak pomyślałem. Dlatego kazałem Joshowi rozejrzeć się na miejscu.

- Wysłałeś go samego?

- Kiedy zadzwonił, był w drodze do Kanady na spotkanie z Benem. Nighthawk zna tamte okolice. Bez obaw. Będą ostrożni.

Therri zagryzła wargi. Wróciła myślami do brutalnego napadu w cichej kopenhaskiej uliczce. Szanowała Ryana z wielu różnych powodów, ale czasami jego zapał w dążeniu do celu przeszkadzał mu w ocenie sytuacji.

- Mam nadzieję - mruknęła z niepokojem.

Gigantyczne pnie drzew wznosiły się jak kolumny w starożytnej świątyni. Splątane gałęzie nie przepuszczały słońca i tworzyły sztuczny mrok przy ziemi. Stary pick-up kołysał się i podskakiwał na wystających korzeniach i gałęziach niczym łódź podczas sztormu.

Na twardym siedzeniu obok kierowcy trząsał się Joshua Green. Trzymał rękę w górze, by chronić głowę przed uderzeniami w dach samochodu. Był ekspertem prawnym Strażników Morza od ochrony środowiska. Miał jasne włosy i szczupłą twarz. Ptasi nos i duże, okrągłe okulary nadawały mu wygląd wymizerowanej sowy. Dzielnie znosił jazdę i nie narzekał, dopóki na kolejnym wyboju omal nie wyleciał przez dach kabiny.

- Czuję się jak ziarno kukurydzy w maszynie do popcornu - powiedział do kierowcy. - Długo jeszcze?

- Około pięciu minut. Dalej pójdziemy pieszo - odparł Ben Nighthawk. - Nie twoja wina, że masz dosyć tej jazdy. I przepraszam za taki transport. Ale tylko to mógł załatwić mój kuzyn.

Green z rezygnacją skinął głową i znów wpatrzył się w gęsty las po obu stronach samochodu. Zanim dostał przydział do centrali SOS, był w specjalnej terenowej grupie operacyjnej. Bito go i strzelano do niego, miał nawet na swoim koncie kilka krótkich, lecz niezapomnianych pobytów w więzieniach przypominających średniowieczne lochy. Uchodził za człowieka, który nigdy nie traci zimnej krwi. Jego profesorski wygląd maskował prawdziwego twardziela. Ale nienaturalna ciemność dookoła działała mu na nerwy bardziej niż cokolwiek podczas jego dotychczasowych przygód na morzu.

- Droga mi nie przeszkadza. To ten cholerny las - odrzekł, patrząc na drzewa. - Ciarki człowieka przechodzą. Środek dnia, świeci słońce, a tu jest ciemno jak w Hadesie. Od razu przypominają mi się powieści Tolkiena. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyskoczył na nas ork albo ogr. O, chyba widziałem Shreka.

Nighthawk roześmiał się.

- Las rzeczywiście może być straszny dla kogoś, kto nie jest do niego przyzwyczajony. Co innego, jeśli się tu wychowałeś. Drzewa i ciemność są twoimi przyjaciółmi, bo zapewniają ci ochronę. - Urwał i dodał smutno: - W większości wypadków.

Kilka minut później Nighthawk zatrzymał samochód. Wysiedli i stanęli w mroku. Nad ich głowami krążyły chmary muszek. Nighthawk wdychał mocny zapach sosen jak najlepsze

perfumy. Chłonał widoki i zapachy z wyrazem szczęścia na twarzy. Potem wraz z Greenem założyli plecaki z aparatami fotograficznymi i filmami, sprzętem biwakowym, wodą i jedzeniem.

Nighthawk ruszył, nie patrząc na kompas.

- Tędy - powiedział z taką pewnością siebie, jakby widział na ziemi narysowaną linię.

Szli w ciszy po grubym dywanie sosnowych igieł, lawirując między pniami drzew. Był dokuczliwy upał i po kilku minutach koszule mieli mokre od potu. Z wyjątkiem kęp paproci i pagórków mchu, pod drzewami nic nie rośło. Brak zarośli pozwalał na szybki marsz. Green kluczył za Nighthawkiem i rozmyślał o tym, co przywiodło go z wygodnego, klimatyzowanego gabinetu do tego mrocznego lasu.

Oprócz pracy w SOS, wykładał na niepełnym etacie na uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Poznał tam Bena Nighthawka, który był jego studentem. Młody Indianin chciał w przyszłości wykorzystać swoją wiedzę do uratowania środowiska naturalnego North Woods. Lasom groziła zagłada, spowodowana masowym wycinaniem drzew. Green zwrócił uwagę na inteligencję i entuzjazm Bena. Zaproponował mu stanowisko asystenta naukowego w SOS.

Chudego ekologa i krępego, młodego Indianina dzieliła niewielka różnica wieku. Szybko się zaprzyjaźnili. Nighthawk cieszył się z tego, bo rzadko jeździł do domu. Jego rodzina mieszkała nad wielkim jeziorem w odludnej, niemal niedostępnej części wschodniej Kanady. Mieszkańcy wioski mieli hydroplan, który raz na tydzień latał do najbliższego miasta po zaopatrzenie i przewoził pocztę. Używano go też w razie nagłych wypadków.

Matka informowała Nighthawka na bieżąco o dużej budowie nad jeziorem. Ben pomyślał z rezygnacją, że pewnie ktoś chce tu stworzyć ośrodek łowiecki. Właśnie takim inwestorom zamierzał po studiach wypowiedzieć wojnę. Przed tygodniem matka napisała jednak, że dzieją się jakieś podejrzane rzeczy. Prosiła, żeby jak najszybciej przyjechał.

Green powiedział mu, żeby wziął tyle wolnego, ile potrzebuje. Kilka dni po wyjeździe do Kanady Nighthawk zadzwonił do biura SOS. Miał zdesperowany głos.

- Pomożesz mi? - zapytał błagalnie.

Green myślał, że Benowi skończyły się pieniądze.

- Nie ma sprawy - odrzekł. - Ile chcesz?

- Nie chodzi o forszę. Boję się o moją rodzinę!

W mieście położonym najbliżej wioski Nighthawk dowiedział się, że hydroplan nie przylatuje od dwóch tygodni. Przypuszczano, że są jakieś problemy techniczne z samolotem i w końcu ktoś z lasu przyjedzie drogą lądową po części zamienne.

Nighthawk pożyczył pick-upa od krewnego w mieście i pojechał wyboistą drogą do wioski. Natknął się na parkan. Ochroniarze powiedzieli mu, że to teraz teren prywatny. Kiedy wytłumaczył, że chce się dostać do rodzinnej wioski, kazali mu zawracać, pogrozili bronią i ostrzegli, żeby się więcej nie pokazywał.

- Nie rozumiem - powiedział do słuchawki Green. - Czy twoja rodzina nie mieszkała na terenie rezerwatu?

- Została nas tylko garstka. Właścicielem ziemi był wielki konglomerat papierniczy. Formalnie rzecz biorąc, mieszkaliśmy tam bezprawnie, ale firma nas tolerowała. Wykorzystywali nawet naszą wioskę w reklamach, żeby pokazać, jacy są dobrzy. Potem sprzedali ziemię i nowi właściciele rozpoczęli dużą budowę po drugiej stronie jeziora.

- To ich teren. Mogą robić, co chcą.

- Wiem, ale to nie wyjaśnia, co się stało z moją rodziną.

- Słusznie. Zawiadomiłeś władze?

- To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. Rozmawiałem z miejscową policją. Powiedzieli, że skontaktował się z nimi prawnik z miasta i poinformował, że mieszkańcy wioski zostali wysiedleni.

- Gdzie się przenieśli?

- Policja zapytała o to samo. Prawnik odpowiedział, że pewnie osiedlili się bezprawnie na innym prywatnym terenie. Potrzebuję pomocy.

Podczas rozmowy Green sprawdził swój terminarz.

- Przylecę jutro rano firmowym samolotem - obiecał. SOS wynajmowała mały odrzutowiec, który był w pogotowiu.

- Na pewno?

- A dlaczego nie? Marcus ugrzązł w Danii, więc ja tu teraz rządę. I szczerze mówiąc, mam już dość tutejszych rozgrywek personalnych. Powiedz mi, gdzie jesteś.

Green dotrzymał słowa i następnego dnia przyleciał do Quebecu. Złapał samolot lokalnej linii lotniczej i wylądował w mieście, z którego dzwonił Nighthawk. Ben czekał na małym lotnisku. Pick-up wyładowany sprzętem kempingowym i prowiantem był gotowy do podróży. Jechali kilka godzin bocznymi drogami i na noc rozbili obóz.

W świetle lampy kempingowej Green obejrzał mapę. Las zajmował wielki teren z dużymi jeziorami. Rodzina Nighthawka mieszkała nad wodą. Żywiła się tym, co złowiła i upolowała, pieniądze zarabiała na wędkarzach i myśliwych.

Green zaproponował wynajęcie hydroplanu, żeby dostać się na miejsce, ale Nighthawk obawiał się dobrze uzbrojonych ochroniarzy, którzy go zatrzymali. Dali mu jasno

do zrozumienia, że zastrzela każdego intruza. Powiedział, że do wioski prowadzi nie tylko ta droga, której pilnują. Następnego ranka ruszyli dalej. W czasie kilkugodzinnej jazdy nie spotkali żadnego samochodu. W końcu dotarli do szlaku w głębi lasu.

Zostawili pick-upa i szli już od godziny. Poruszali się jak cienie w ciszy panującej wśród wysokich drzew. Wreszcie Nighthawk zatrzymał się i uniósł rękę. Zamarł w miejscu, przymknął oczy i zaczął lekko obracać głową tam i z powrotem niczym antena radarowa szukająca celu. Wydawało się, że zapomniał o wzroku i słuchu i korzysta tylko z jakiegoś wewnętrznego zmysłu kierunku.

Green obserwował go zafascynowany. Pomyślał, że można wyciągnąć Indianina z lasu, ale nie las z Indianina. W końcu Nighthawk odprężył się, sięgnął do plecaka i odkręcił manierkę. Podał ją Greenowi.

Green łyknął ciepłej wody.

- Daleko jeszcze?

Nighthawk wskazał linię drzew.

- Około stu metrów w tamtą stronę jest ścieżka myśliwych, która doprowadzi nas do jeziora.

- Skąd wiesz?

Ben dotknął swego nosa.

- To nic trudnego. Kieruję się zapachem wody. Sam spróbuj.

Green kilka razy wciągnął powietrze i ku swojemu zaskoczeniu poczuł woń gnijącej roślinności i ryb zmieszaną z aromatem sosu. Nighthawk wypił trochę wody i z powrotem wetknął manierkę do plecaka.

- Od tego miejsca musimy zachować wielką ostrożność - uprzedził cicho. - Będziemy się porozumiewali na migi.

Znów ruszyli naprzód. Niemal natychmiast sceneria zaczęła się zmieniać. Drzewa były niższe i cieńsze, ziemia piaszczysta. Pojawiły się gęste zarośla. Musieli przedzierać się przez ciernie, które rozdzierały ubrania.

Przez gałęzie w górze przebijały smugi światła. Nagle zobaczyli błysk wody. Na sygnał Nighthawka padli na ziemię i podkradli się na czworakach do brzegu jeziora.

Do chwiejącego się pomostu był przycumowany stary hydroplan. Nighthawk obejrzał samolot. Nie zauważył uszkodzeń. Zdjął pokrywę silnika i zawołał:

- Josh, zobacz!

Green popatrzył na silnik.

- Wygląda, jakby ktoś walił w niego siekierą.

Przecięte węże i przewody zwisały smętnie, w kilkunastu miejscach widać było ślady uderzeń czymś twardym.

- Dlatego nikt nie mógł stąd przylecieć - powiedział Nighthawk. Wskazał wydeptaną ścieżkę. - To droga do wioski.

Po kilku minutach zbliżyli się do skraju polany. Nighthawk uniósł rękę i przystanął. Przykucnął i popatrzył bystrym wzrokiem przez zarośla.

- Nikogo tu nie ma - odezwał się w końcu.

- Jesteś pewien?

- Niestety, tak - odrzekł Nighthawk i wyszedł bez obaw na otwartą przestrzeń. Green z wahaniem zrobił to samo.

Na polanie stało w dwóch rzędach kilkanaście domów z drewnianych bali. Większość miała ganki. Przez środek wioski prowadziła bita droga, przypominająca ulice w małych miasteczkach. Na jednym z budynków wisiał szyld sklepu wielobranżowego. Green spodziewał się, że lada chwila ktoś wyjdzie przed drzwi, ale w sklepie i całej wiosce było cicho jak w grobie.

Nighthawk zatrzymał się przed jednym z większych domów.

- To nasz. Mieszkali tu moi rodzice i siostra. - Wszedł do środka. Po kilku minutach pojawił się z powrotem, kręcąc głową. - Nikogo. Ale wszystko jest na swoim miejscu, jakby wyszli tylko na chwilę.

- Zajrzałem w parę innych miejsc - odrzekł Green. - Wszędzie to samo. Ilu ludzi tu mieszkało?

- Około czterdziestu.

- Gdzie mogli się podziać?

Nighthawk podszedł do jeziora. Stał i wsłuchiwał się w cichy plusk fal. Po chwili wskazał drugi brzeg.

- Może tam?

Green zmrugał oczy i popatrzył w tamtym kierunku.

- Skąd to możesz wiedzieć?

- Matka pisała, że działy się tam dziwne rzeczy. Trzeba to sprawdzić.

- Jakie dziwne rzeczy?

- Podobno dzień i noc przylatywały wielkie helikoptery i wyładowywały materiały. Kiedy mężczyźni z wioski poszli to zbadać, przepędzili ich ochroniarze. Potem, pewnego dnia, zjawili się tu faceci z bronią. Rozejrzeli się, nikomu nic nie zrobili, ale matka przypuszczała, że wrócą.

- Nie lepiej zawiadomić władze? Mogliby tam wysłać samolot.

- Nie mamy czasu - odparł Nighthawk. - Jej list jest sprzed dwóch tygodni. Poza tym czuję w powietrzu niebezpieczeństwo i śmierć.

Green wzdrygnął się. Znalazł się na jakimś zadupiu, a jedyny człowiek, który może go stąd wyprowadzić, bredzi jak szaman w kiepskim filmie.

Nighthawk wyczuł zdenerwowanie przyjaciela i uśmiechnął się.

- Bez obaw, nie postradałem zmysłów. Wezwanie glin to dobry pomysł, ale poczułbym się lepiej, gdybyśmy najpierw sami to sprawdzili. Chodź.

Wrócili na wzgórze, które opuścili kilka minut wcześniej. Doszli do nawisu skalnego. Nighthawk odsunął gałęzie zasłaniające otwór. Na stojaku leżało dnem do góry kanu z kory brzozej. Nighthawk czule przesunął dłonią po lśniącej powierzchni.

- Sam je zrobiłem. Używałem tylko tradycyjnych materiałów i technik.

- Piękne - pochwalił Green. - Takie, jak w filmie Ostatni Mohikanin.

- Lepsze. Pływam nim po całym jeziorze.

Przeciągnęli kanu na plażę i zjedli puszkę wołowiny. Potem odpoczywali w oczekiwaniu na zachód słońca.

Z nadejściem zmroku wrzucili plecaki do łodzi, zepchnęli ją na wodę i zaczęli wiosłować. Zanim zbliżyli się do drugiego brzegu, zapadła noc. Musieli się zatrzymać, gdy kanu uderzyło w coś twardego.

Nighthawk sięgnął w dół. Myślał, że wpadli na skałę.

- To jakaś metalowa klatka. Jak na przynętę. - Przyjrzał się powierzchni jeziora. - Pełno ich tutaj. Czuję zapach ryb. To musi być jakaś wylęgarnia.

Znaleźli wyłom w podwodnej barykadzie i skierowali łódź w stronę lądu. W metalowych klatkach coś się ruszało i pluskało, jakby na potwierdzenie teorii Nighthawka o wylęgarni ryb. Przybili do krańca pływającego pomostu, oświetlonego na wysokości kostek przyćmionymi lampami, które widzieli z wody. Przy odgałęzieniach nabrzeża zobaczyli kilka skuterów wodnych i motorówek. Dalej stał duży katamaran z przenośnikiem taśmowym między kadłubami. Nighthawk domyślił się, że jest używany do obsługi wylęgarni.

- Mam pomysł - powiedział Green.

Wyjął kluczyki zapłonowe z motorówek i skuterów i wrzucił do jeziora. Wpłynęli między łodzie i przykryli kanu pożyczonym brezentem.

Od nabrzeża biegła w głąb lądu asfaltowa alejka. Nighthawk i Green woleli jednak iść między drzewami. Po kilku minutach zobaczyli szeroki pas zrytej ziemi. Wyglądał tak, jakby

przez las przejechał buldożer. Ruszyli wzdłuż niego i dotarli do ciężarówek i roboczych maszyn ustawionych w równych rzędach za wielkim magazynem. Wyjrzeni zza rogu budynku. Otwartą przestrzeń wykarczowaną w lesie oświetlały ustawione w krąg halogenowe reflektory. Spychacze niwelowały teren, wielkie maszyny do budowy dróg kładły nawierzchnię. Ekipy robotników z łopatami wygładzały gorący asfalt, żeby mogły go wyrównać walce drogowe.

- Co dalej, profesorze? - zapytał Nighthawk.

- Ile zostało czasu do świtu?

- Około pięciu godzin. Dobrze byłoby wrócić na jezioro przed wschodem słońca.

Green usiadł i oparł się plecami o drzewo.

- Do tego czasu popatrzymy sobie, co się tu dzieje. Będę czuwał pierwszy.

Krótko po pomocy zmienił go Ben. Green wyciągnął się na ziemi i zamknął oczy. Wykarczowany teren niemal opustoszał. Przechadzało się tam tylko kilku uzbrojonych mężczyzn. Nighthawk zamrugał powiekami i klepnął Greena w ramię.

- Josh...

Green usiadł i spojrzał na plac.

- Co za cholera?

Za polaną, gdzie przedtem były tylko drzewa, stała teraz ogromna budowla w kształcie kopuły. Pojawiła się jakby za sprawą magii. Żarzyła się niebieskawobiałym blaskiem.

- Co to jest? - szepnął Ben. - i skąd się wzięło?

- Mnie nie pytaj - odparł Green.

- Może to hotel?

- Wątpię - odrzekł Green. - Zamieszkałbyś w czymś takim?

- Wychowałem się w drewnianej chacie. Dla mnie każdy większy budynek to hotel.

- Nic nie ujmując twoim rodzinnym stronom, wyobrażasz sobie tutaj tłumy wędkarzy i myśliwych? Takie coś pasuje do Las Vegas.

- Raczej do bieguna północnego. Przypomina monstrualne igloo. Green musiał przyznać, że budowla ma kształt eskimoskich domków, które widział w "National Geographic". Ale najwyraźniej zrobiono ją z półprzezroczystego plastiku, zamiast z ubitego śniegu. U podstawy kopuły widać było wielkie wrota hangarowe, wychodzące na budowany plac. Znow coś zaczęło się dziać. Na placu ponownie zapanował ruch. Ekipa budowlana wróciła w towarzystwie większej liczby ochroniarzy, którzy zerkali na niebo. Wkrótce w

górze rozległ się odgłos silników. W powietrzu ukazał się gigantyczny obiekt, który przesłonił gwiazdy.

- Spójrz na kopułę - odezwał się Nighthawk.

Na szczycie budowli pojawiła się pionowa linia. Rozszerzyła się do szczeliny, potem górna połowa kopuły rozłożyła się niczym cząstki obranej pomarańczy i całkowicie się otworzyła. Blask z wnętrza budowli oświetlił srebrzyste poszycie obiektu w kształcie torpedy, który wolno ustawił się dokładnie nad wielkim otworem.

- Obaj myliliśmy się - powiedział Nighthawk. - Nasz hotel z Las Vegas to hangar dla sterowca.

Green przyglądał się uważnie ogromnemu statkowi powietrznemu.

- Widziałeś kiedyś stare materiały filmowe o "Hindenburgu", wielkim zeppelinie, który spłonął w latach trzydziestych XX wieku?

- Ale co taki sterowiec robi tutaj?

- Chyba niedługo się dowiemy - odparł Green.

Ładujący sterowiec opuścił się do wnętrza budowli, jej ruchome części wróciły na miejsce i kopuła odzyskała półkulisty kształt. Wkrótce potem rozsunęły się wrota od strony placu i pojawiła się grupa mężczyzn. Mieli czarne mundury i śniadą cerę. Otoczyli mężczyznę z dużą głową i potężnymi ramionami.

Mężczyzna podszedł do krawędzi placu i przyjrzał się postępom w budowie. Nighthawk nie zwracał wcześniej większej uwagi na robotników. Ale teraz zauważył, że w przeciwieństwie do umundurowanych mężczyzn są w dżinsach i koszulach roboczych i pilnują ich uzbrojeni ochroniarze.

- O, cholera! - szepnął.

- Co takiego? - zapytał Green.

- To ludzie z mojej wioski. Są tam mój brat i ojciec. Ale nie widzę matki ani innych kobiet.

Przywódca szedł wzdłuż krawędzi placu, kontynuując inspekcję. Ochroniarze pilnujący robotników obserwowali swojego szefa. Korzystając z ich nieuwagi, jeden z pracujących przesunął się bliżej drzew. Rzucił łopatę i zaczął uciekać. W biegu lekko utykał i jego ruchy wydały się Benowi znajome.

- To mój kuzyn! Poznaję po tym, jak biegnie. Kiedy byliśmy dziećmi, uszkodził sobie stopę.

Jeden z ochroniarzy zerknął za siebie i zobaczył uciekiniera. Uniósł broń do strzału, ale na rozkaz przywódcy opuścił lufę. Mężczyzna z dużą głową podszedł do sterty narzędzi i

chwycił metalowy łom z ostrym końcem. Odchylił się do tyłu jak oszczepnik i rzucił go z całą siłą krępego, muskularnego ciała.

Pocisk poszybował w powietrzu z metalicznym błyskiem. Lecił po wysokiej, zakrzywionej trajektorii. Trafił robotnika prosto między łopatkę. Uciekinier upadł, przygwożdżony do ziemi niczym motyl w albumie kolekcjonera. Przywódca zdążył się już odwrócić i nawet tego nie widział.

Cała scena - nieudana ucieczka i zabójstwo - trwała zaledwie kilka sekund. Nighthawk obserwował ją nieruchomo, teraz rzucił się naprzód i wypadł z ukrycia. Green próbował go zatrzymać, ale Ben wyrwał mu się i podbiegł do zabitego kuzyna.

Green dogonił młodego Indianina, złapał w pole i powalił na ziemię. Byli wyraźnie widoczni w jasnym świetle reflektorów. Nighthawk zobaczył lufy wycelowane w ich kierunku i jego instynkt zwyciężył.

Dali nura między drzewa. Huknęły strzały i Green upadł. Nighthawk zatrzymał się i wrócił po przyjaciela, ale pocisk roztrzaskał Joshowi czaszkę. Nighthawk pobiegł dalej, spod jego stóp wytryskiwały fontanny ziemi. Zagłębiał się w las. Na głowę sypały mu się gałęzie ścinane kulami. Przedzierał się między drzewami, dopóki nie dotarł do jeziora. Jego kroki zadudniły na pomoście.

Szkoda, że Green nie zachował jednego kluczyka zapłonowego skuterów wodnych. Wydobył z pochwy nóż myśliwski i przeciął cumy. Odepchnął łódź jak najdalej od nabrzeża. Zerwał brezent z kanu, odbił od pomostu i zaczął szaleńczo wiosłować. Był na jeziorze, gdy zobaczył błyski z luf i usłyszał terkot broni automatycznej. Ochroniarze strzelali na ślepo i pociski trafiały w wodę daleko od łodzi.

Kanu mknęło po jeziorze, dopóki nie znalazło się poza zasięgiem ognia. Nighthawk nadal wiosłował z całych sił. Na drugim brzegu mógł zniknąć w gęstym lesie. Na wodzie nigdy nie jest zupełnie ciemno, jej powierzchnia odbija i powiększa nawet najmniejszą plamkę światła. Ale teraz jezioro wokół Bena rozjarzyło się jak po dodaniu chemicznego środka luminescencyjnego. Odwrócił się i przekonał, co to takiego.

Z tyłu bił w niebo szeroki snop światła. Otwierała się kopuła. Sterowiec unosił się wolno. Kiedy był kilkadziesiąt metrów nad wierzchołkami drzew, skierował się w stronę jeziora. Oświetlony z dołu upiornym blaskiem, przypominał jakiegoś mitycznego potwora. Skręcił ostro i poleciał wzdłuż brzegu. Pod jego brzuchem rozbłysły reflektory i zaczęły badać wodę.

Po pierwszym przelocie statek powietrzny zawrócił równoległym kursem. Nie kręcił się nad jeziorem na chybił trafił, lecz prowadził metodyczne poszukiwania, poruszając się tam

i z powrotem jak kosiarka do trawy. Nighthawk wiosłował co sił, ale wiedział, że za kilka minut światła płasające po powierzchni wody wyłowią z mroku jego łódź.

Sterowiec znów zawrócił i leciał teraz prosto na kanu. Po wykryciu łódź byłaby łatwym celem. Nighthawk wiedział, że ma tylko jedno wyjście.

Wyciągnął nóż myśliwski i przebił dno kanu. Do wnętrza wtargnęła zimna woda i zalała go do pasa. Sięgała mu do szyi, kiedy statek powietrzny przesłonił niebo niemal dokładnie nad nim. Warkot silników zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Nighthawk schylił głowę i przytrzymał pod powierzchnią tonącą łódź. Woda w górze zrobiła się biała od światła szperaczy, potem znów zapadła ciemność. Ben nie wynurzał się, dopóki starczyło mu tlenu. Wreszcie wystawił głowę nad wodę, łapiąc gwałtownie powietrze.

Sterowiec znów zawracał. Nighthawk usłyszał nowy dźwięk, zmieszany z odgłosem silników - wycie skuterów wodnych. Musieli mieć zapasowe kluczyki zapłonowe. Popłynął na skos, żeby oddalić się od wioski.

Kilka minut później zobaczył na jeziorze reflektory pędzących skuterów. Kierowały się prosto do opuszczonej wioski. Nighthawk płynął, dopóki nie poczuł pod stopami miękkiego mułu. Wypełzył na brzeg. Był wykończony, ale odpoczywał tylko przez chwilę, kiedy wyżymał mokrą koszulę.

Wzdłuż plaży zbliżały się do niego światła.

Nighthawk po raz ostatni spjrzał smutno na drugą stronę jeziora, a potem wtopił się w las jak widmo.

Na opalonej twarzy Austina pojawił się szeroki uśmiech, kiedy pod oponami taksówki zachrzęścił żwir na długim podejździe w Fairfax w Wirginii. Austin zapłacił za kurs z lotniska Dullesa i wbiegł po stopniach do starej wiktoriańskiej przystani z widokiem na Potomac. Wrzucił worek marynarski za próg, rozejrzał się po mieszkaniu-pracowni i przypomniał mu się znajomy fragment wiersza Roberta Louisa Stevensona: *Żeglarz powrócił do domu, powrócił z morza.*

Pełen kontrastów dom przypominał swojego właściciela. Austin był człowiekiem czynu - silnym, odważnym i szybkim - z którym należało się liczyć. Jednocześnie jednak potrafił wyważyć każdą sprawę i często inspirowały go wielkie umysły przeszłości. W pracy używał najnowszych zdobyczy techniki, ale jego szacunek dla historii symbolizowała para pistoletów pojedynkowych, wiszących nad kominkiem. Miał ponad dwieście kompletów i stale powiększał kolekcję, mimo ograniczonych możliwości finansowych.

Jego podwójną osobowość odzwierciedlały wygodne, kolonialne meble z ciemnego drewna, kontrastujące z gładkimi białymi ścianami, jak w nowojorskiej galerii sztuki, ozdobionymi oryginałami współczesnego malarstwa. Długie półki ugięły się pod ciężarem setek książek, wśród których były pierwsze wydania Josepha Conrada i Hermana Melville'a oraz dzieła wielkich filozofów. Austin potrafił godzinami studiować Platona i Kanta, natomiast w jego obszernej kolekcji muzycznej dominował nowoczesny jazz. Niewiele wskazywało na to, że niemal cały czas spędza na morzu i pod wodą. Wyjątkiem był obraz klipra i kilku innych żaglowców, zdjęcie jachtu Austina pod pełnymi żaglami i model jego wyścigowego hydroplanu w szklanej gablotce.

Kurt włożył dużo serca w przebudowę przystani na dom mieszkalny. Wiele rzeczy zrobił sam. Pracując w NUMA, a przedtem w CIA, podróżował po całym świecie. Jednak po wykonaniu zadania zawsze wracał do swojego zacisznego portu, gdzie mógł opuścić żagle i rzucić kotwicę. Pomyślał, że do pełnej analogii z zakończeniem rejsu brakuje tylko grogu.

Wszedł do kuchni i wlał do szklanki ciemny rum jamajski i piwo imbirowe. Lód przyjemnie dźwięczał o szkło, gdy Austin otwierał wszystkie drzwi, żeby pozbyć się zapachu stęchlizny. Wyszedł na pomost, odetchnął głęboko świeżym powietrzem znad rzeki i popatrzył na wolno płynący Potomac w ostatnim blasku dnia. Nic się nie zmieniło. Rzeka była piękna i spokojna jak zawsze.

Wyciągnął się na drewnianym leżaku i wpatrzył w niebo, jakby szukał w gwiazdach odpowiedzi na to, co kryje się za wydarzeniami ostatnich kilku dni. Niemiłe przygody na Wyspach Owczych i w Kopenhadze byłyby jak sen, gdyby nie swędzenie gojącej się rany po dźgnięciu nożem w pierś i boląca przy dotyku opuchlizna na głowie po uderzeniu kijem baseballowym. Sabotaż na statku SOS niewątpliwie miał bezpośredni związek z napadem w cichej kopenhaskiej uliczce. Ktoś zorganizował dywersję, żeby uziemić Strażników Morza. Komuś zależało, żeby ta organizacja zniknęła ze sceny. Kiedy Austin zaczął węszyć, stał się celem. Najpierw w Skaalshavn, potem w Kopenhadze.

Sytuację można było podsumować krótko: ilekroć ktoś zbliży się za bardzo do firmy Oceanus, skutki są fatalne. Austin wrócił myślami do hodowli ryb na Wyspach Owczych i stworzenia w zbiorniku, które go tak cholernie wystraszyło. Nad działaniami Oceanusa wydawały się unosić opary samego zła. Jak to określił Jorgensen? Coś niesamowitego. Jest jeszcze baskijski potentat Balthazar Aguirrez i jego donkiszotowskie poszukiwania. O co w tym wszystkim chodzi?

Austin rozmyślał o wydarzeniach ostatnich kilku dni, dopóki nie zaczęły mu opadać powieki. Dopił drinka, wspiał się po schodach do sypialni w wieżycze wieńczącej mansardowy dach i położył się do łóżka. Dobrze się wyspał i wczesnym rankiem wstał wypoczęty. Ubrał się i na pobudzenie wypił mocną kawę Kona. Zatelefonował do starego przyjaciela w CIA, żeby go uprzedzić o swojej wizycie. Potem zadzwonił do swojego biura w NUMA, że się spóźni.

W przeciwieństwie do swojego kolegi Dirka Pitta, który kolekcjonował zabytkowe auta i rozkoszował się ich prowadzeniem, Austinowi było obojętne, czym jeździ. Usiadł za kierownicą sedana z garaży NUMA, niewyróżniającego się niczym poza turkusowym kolorem, i wyruszył do Langley. Pojechał trasą, którą dobrze znał z czasów pracy w CIA. Zaparkował obok licznych samochodów rządowych. Po 11 września 2001 roku wzmocniono środki bezpieczeństwa w całym wielkim kompleksie.

Uprzedzony telefonicznie Herman Perez czekał w pomieszczeniu dla gości. Był szczupłym mężczyzną o oliwkowej cerze i ciemnobrązowych oczach, taki sam kolor miały jego przerzedzone włosy. Przyspieszył procedurę kontrolną i poprowadził Austina labiryntem korytarzy do gabinetu bez jednego skrawka papieru leżącego na wierzchu. Na biurku stały tylko komputer, telefon i zdjęcie atrakcyjnej kobiety z dwojgiem ładnych dzieci.

- Cieszę się, że mogę znów cię widzieć, Kurt! - powiedział Perez i wskazał Austinowi krzesło. - Myślisz o wyskoczeniu ze statku Sandeckera i powrocie do Firmy? Powitalibyśmy

cię z otwartymi rękami. W Langley znów docenia się takich speców od tajnych operacji, jak ty. Byłeś w tym naprawdę dobry.

- Admirał Sandecker miałby tu coś do powiedzenia. Ale przyznam, że wciąż wspominam, jaką zabawę mieliśmy przy ostatniej robocie.

Perez wyszczerzył zęby w chłopięcym uśmiechu.

- Mówisz o odzyskaniu tajnego pocisku w pobliżu Gibraltaru? Chłopie, to dopiero było coś!

- Myślałem o tym w drodze tutaj. Ile to już lat?

- Cholernie dużo, Kurt. Zbyt dużo. Wiesz, że jeszcze słyszę tamte tancerki flamenco, ilekroć piję hiszpańskie wino? - Perez zrobił rozmarzoną minę. - Chryste, to były czasy, co?

Austin przytaknął.

- Od tamtej pory świat bardzo się zmienił.

Perez roześmiał się.

- Nie dla ciebie, stary! Czytałem o twojej wspaniałej akcji ratowniczej u wybrzeży Wysp Owczych. Nic się nie zmieniłeś, stary wilku morski. Ciągle ten sam bohaterski Austin.

Austin jęknął.

- W dzisiejszych czasach na każdą minutę mojego bohaterstwa przypada godzina siedzenia za biurkiem nad raportami.

- Rozumiem cię. Mnie też papierki nie są potrzebne do szczęścia, choć odkąd jestem ojcem, nawet polubiłem robotę od dziewiątej do siedemnastej. Dwójka dzieciaków, dasz wiarę? Bycie urzędasem nie jest wcale takie złe. Możesz kiedyś spróbować.

- Nie, dzięki. Prędzej dałbym sobie wytatuować oczy.

Perez roześmiał się.

- No, dobra. Nie przyszedłeś tu, żeby wspominać stare dobre czasy. Mówiłeś przez telefon, że potrzebujesz informacji o Balthazarze Aguirrezie. Dlaczego on cię interesuje, jeśli wolno spytać?

- Natknąłem się na niego na Wyspach Owczych. Fascynujący facet. Wiem, że jest magnatem okrętowym, ale podejrzewam, że kimś jeszcze.

- Poznałeś go?

- Był na rybach, jak ja.

- No oczywiście - odrzekł Perez. - Kłopoty przyciągają kłopoty.

- Jaki jest z nim kłopot?

- Co wiesz o baskijskim ruchu separatystycznym?

- Istnieje od dawna. Co jakiś czas terroryści baskijski wysadzają w powietrze budynki publiczne lub zabijają niewinnych urzędników państwowych.

- Dość trafne podsumowanie - przyznał Perez. - Od kilkudziesięciu lat mówi się o oddzielnym państwie baskijskim, które miałyby powstać pomiędzy Hiszpanią i Francją. Najbardziej radykalna grupa separatystyczna, ETA, zaczęła walczyć o autonomiczne państwo baskijskie w 1968 roku. Po śmierci Franco w 1975 roku nowy rząd hiszpański dał Baskom większą niezależność, ale ETA chce cały tort. Od początku walki o swoją sprawę zabili ponad osiemset osób. Kto nie jest z nimi, jest przeciwko nim.

- Historia znana w różnych częściach świata.

- Polityczne skrzydło ruchu separatystycznego to partia Batasuna. Niektórzy porównują ten układ do Sinn Fein i IRA. Po kolejnych zamachach i wykryciu dużych zapasów broni ETA, władze hiszpańskie straciły cierpliwość. Z autonomii nic nie wyszło, więc zdelegalizowały Batasunę i zabrały się do rozbijania całego ruchu separatystycznego.

- A co Aguirrez ma wspólnego z tym krwawym obrazem?

- Masz rację, że jest nie tylko magnatem okrętowym. To główna podpora Batasuny. Rząd hiszpański oskarża go o finansowanie terroryzmu.

- Polubiłem go. Nie wygląda na terrorystę - powiedział Austin, przypominając sobie zachowanie i manieri swojego dobroczyńcy.

- Jasne, Józio Stalin też wyglądał jak dobry dziadek.

Austin przypomniał sobie ochroniarzy na jachcie i ciężkie uzbrojenie "Navarry".

- Więc te zarzuty są słuszne?

- Aguirrez chętnie przyznaje się do wspierania Batasuny, ale zaznacza, że kiedy dawał partii pieniądze, działała legalnie. Władze hiszpańskie podejrzewają, że nadal pompuje forszę w ruch separatystyczny. Nie mają dowodu, a Aguirrez jest zbyt ustosunkowany, żeby postawić go przed sądem na podstawie mętnych poszlak.

- Co o nim myślisz?

- W czasie mojego wieloletniego pobytu w Hiszpanii nie miałem okazji go poznać, dlatego byłem zaskoczony, że tobie się udało. Uważam, że jest zwolennikiem umiarkowanej linii i pokojowego rozwiązania kwestii separatyzmu. Jednak zamachy ETA niweczą jego starania. Obawia się, że represje zaostrzą konflikt i narażają na niebezpieczeństwo spokojnych obywateli. Może mieć rację.

- Wygląda na to, że balansuje na bardzo cienkiej linii.

- Niektórzy twierdzą, że z powodu presji traci równowagę. Mówi o jakimś sposobie zdobycia poparcia europejskiej opinii publicznej dla narodu baskijskiego. Nie zdradził ci

przypadkiem, co mu chodzi po głowie? - Perez zmrużył ciemne oczy. - Chyba nie rozmawialiście tylko o wędkowaniu?

- Zrobił na mnie wrażenie bardzo dumnego ze swojego baskijskiego rodowodu. Jego jacht nazywa się "Navarra". Nie powiedział ani słowa o polityce. Rozmawialiśmy głównie o archeologii. To jego hobby. Interesuje się bardzo swoimi przodkami.

- Słuchając cię, można by pomyśleć, że to jakiś nawiedzony profesor. Ale ostrzegam cię, przyjacielu. Policja hiszpańska nie może się doczekać, kiedy go przygwoździ. Nie mają bezpośredniego dowodu jego powiązań z terrorystami, ale jak coś znajdą, lepiej żeby cię nie było na ich drodze.

- Będę o tym pamiętał. Dzięki za informacje.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić dla dawnego towarzysza broni.

Zanim Perez zdążył wrócić do wspomnień, Austin zerknął na zegarek.

- Muszę lecieć. Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas.

- Nie ma za co. Musimy kiedyś wybrać się na lunch. Brakuje nam tu ciebie.

Kierownictwo ciągle jest wkurzone na Sandeckera, że porwał cię do NUMA.

Austin wstał.

- Może któregoś dnia przeprowadzimy wspólną operację.

Perez uśmiechnął się.

- Chciałbym.

Ruch na ulicach Waszyngtonu był już teraz mniejszy i Austin zobaczył wkrótce lśniąca w słońcu zieloną szklaną fasadę trzydziestopiętrowego budynku NUMA z widokiem na Potomac. Jęknął, kiedy wszedł do swojego gabinetu. Sekretarka ułożyła mu na środku biurka stos różowych karteczek z wiadomościami od osób, które dzwoniły. W dodatku czekało go przekopanie się przez lawinę e-maili i przygotowanie raportu o testach "Sea Lampreya".

Ach, jakie ekscytujące jest życie bohatera! Przejrzał e-maile, połowę usunął jako nieważne i zabrał się za stos różowych karteczek. Znalazł wiadomość od Paula i Gamay. Wybrali się do Kanady, żeby przyjrzeć się działaniom Oceanusa. Zawała zostawił informację na automatycznej sekretarce, że wieczorem wróci do domu, bo ma atrakcyjną randkę. Austin pokręcił głową. Pomyślał, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jego przystojny, czarujący partner miał duże powodzenie u waszyngtońskich kobiet. Austin westchnął i wziął się za raport o przygodach z Oceanusem. Kiedy kończył, zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, panie Austin. Spodziewałam się, że zastanę pana w biurze.

Austin uśmiechnął się na dźwięk głosu Therri.

- Już tęsknię za pełnym morzem. Mam nadzieję, że lot concorde'em do domu był przyjemny.

- Owszem, choć nie wiem, do czego się tak spieszyłam. Mam pełną skrzynkę e-mailową zawiadomień z sądu. Ale nie dzwonię, żeby narzekać. Chciałabym się z tobą zobaczyć.

- Już jestem w drzwiach. Najpierw spacer. Później koktajle i kolacja. A potem, kto wie?

- "Kto wie" będziemy musieli odłożyć na kiedy indziej. To sprawa służbowa. Chce z tobą porozmawiać Marcus.

- Naprawdę zaczynam nie lubić twojego przyjaciela. Ciągłe przeszkadza nam w tym, co może być romanssem stulecia.

- To ważne, Kurt.

- Zgoda, spotkam się z nim, ale pod jednym warunkiem. Dziś wieczorem mamy randkę.

- Załatwione.

Podawała Austinowi godzinę i miejsce spotkania. Pomijając urok Therri, Austin zgodził się porozmawiać z Ryanem, bo był w ślepych zaułku i pomyślał, że może dowie się czegoś nowego. Wyciągnął się na obrotowym krześle i założył ręce za głowę. Nietrudno było mu wrócić myślami do Oceanusa. Przy podniesieniu ręki zabolęła go rana na piersi. Skutecznie odświeżała pamięć.

Był ciekaw, czy Troutowie coś odkryli. Nie odzywali się od chwili zostawienia wiadomości. Spróbował dodzwonić się do nich na komórkę, ale bez skutku. Nie zaniepokoiło go to. Paul i Gamay potrafili sobie radzić. Zatelefonował do Rudiego Gunna, wicedyrektora NUMA, i umówił się na spotkanie podczas lunchu. Rudi słynął z analitycznych zdolności. Mógł mu pomóc przebić się przez gąszcz zagadek, otaczających tajemniczą korporację.

Gunn weźmie Aguirreza pod lupę i zbada, czy jest jakiś związek między baskijskimi terrorystami i Oceanusem. Aguirrez wspominał o swoim przodku Diego. Austin zadumał się nad obsesją Baska na tym punkcie i doszedł do wniosku, że Aguirrez mógł na coś trafić. Austin wiedział z własnego doświadczenia, że przeszłość zawsze jest kluczem do teraźniejszości. Potrzebował kogoś, kto poprowadzi go wstecz przez pięć wieków. Natychmiast przyszła mu do głowy właściwa osoba. Sięgnął po telefon i wystukał numer.

Światowej sławy historyk morski i smakosz, St. Julien Perlmutter, cierpiał w ekstazie. Siedział na ocienionym tarasie trzystuletniej tokańskiej willi z zapierającym dech widokiem na rozległe winnice. W oddali nad renesansową Florencją dominowała katedra Duomo. Szeroki, dębowy stół przed Perlmutterem ugiął się pod ciężarem włoskich potraw, od pikantnych kiełbasek miejscowego wyrobu do grubych, krwistych befsztyków florenckich. Wspaniałego jedzenia, kolorów i zapachów było tyle, że Perlmutter nie mógł się zdecydować od czego zacząć.

- Weź się w garść, stary - mruknął do siebie, szarpiąc siwą brodę i wpatrując się w smakołyki. - Głupio byłoby umrzeć z głodu wśród tego wszystkiego.

Ważył sto osiemdziesiąt kilogramów i raczej nie groziła mu śmierć z niedożywienia. Gościł we Włoszech od dziesięciu dni w podróży promującej włosko-amerykański magazyn kulinarny. Odwiedzał winiarnie, trattorie i wędzarnie. Pozował do zdjęć w chłodniach pełnych wiszącego prosciutto i wygłaszał wykłady o historii żywienia od czasów Etrusków. Ucztował wszędzie, gdzie się zatrzymał. W końcu przesyty doprowadził go do obecnego impasu.

Odezwała się komórka w kieszeni jego garnituru. Na szczęście telefon wybawił go z kłopotu.

- Proszę się streszczać.

- Trudno cię złapać, St. Julien.

Na dźwięk znajomego głosu Kurta Austina niebieskie oczy rozbłyły wesoło.

- Wręcz przeciwnie, mój chłopcze. Jestem jak Jaś i Małgosia. Idź tropem okruczeń, a znajdziesz mnie skubiącego domek z piernika.

- Łatwiej było pójść tropem wskazówek twojej gospodyni. Powiedziała mi, że jesteś we Włoszech. Jak przebiega wycieczka?

Perlmutter poklepał się po pełnym brzuchu.

- Bardzo treściwa. Mam nadzieję, że w dystrykcie Kolumbii wszystko w porządku?

- O ile wiem, tak. Wczoraj wieczorem wróciłem z Kopenhagi.

- Ach, to miasto Hansa Christiana Andersena i Małej Syrenki... Pamiętam, że kiedy byłem tam kilka lat temu, trafiłem do pewnej restauracji, gdzie jadłem...

Austin przerwał Perlmutterowi, zanim ten zaczął wymieniać kolejno wszystkie dania.

- Wysłuchałbym tego z przyjemnością, ale w tej chwili jest mi potrzebna twoja znajomość historii.

- Zawsze chętnie rozmawiam o jedzeniu i historii. Strzelaj. - Perlmutter często wspomagał NUMA swoją wiedzą.

- Natknąłeś się kiedykolwiek na baskijskiego żeglarza Diego Aguirreza? Piętnasty lub szesnasty wiek.

Perlmutter sięgnął w głąb swego encyklopedycznego umysłu.

- Owszem. Miało to coś wspólnego z *Pieśnią o Rolandzie*, francuskim poematem epickim.

- *Chanson de Roland*? Męczyłem się z tym w szkole na lekcjach francuskiego.

- Więc znasz tę legendę. Roland był siostrzeńcem cesarza Karola Wielkiego. Swoim magicznym mieczem Durendalem powstrzymywał Saracenów w wąwozie Roncesvalles. Kiedy umierał, uderzył mieczem o skałę, chcąc go zniszczyć, żeby nie wpadł w ręce wroga. Ale klinga nie pękła. Zadał w róg, wzywając pomocy. Cesarz usłyszał to i przybył ze swoimi wojskami, ale było za późno. Roland już nie żył. Z biegiem lat stał się bohaterem Basków, symbolem ich uporu.

- A jak to się wiąże z Aguirrezem?

- Przypominam sobie wzmiankę o rodzinie Aguirrezów w osiemnastowiecznej rozprawie naukowej o wyprawach do obu Ameryk przed Kolumbem. Aguirrez podobno wiele razy pływał na łowiska na wodach Ameryki Północnej, kilkadziesiąt lat przed dotarciem tam Kolumba. Niestety, naraził się hiszpańskiej inkwizycji. Podobno powierzono mu relikwie Rolanda.

- Z tego, co mówisz, wynika, że opowieść o Rolandzie to nie tylko legenda. Miecz i róg istniały naprawdę.

- Inkwizycja najwyraźniej tak uważała. Obawiała się, że relikwie mogą być wykorzystane do zjednoczenia Basków.

- Co się stało z Aguirrezem i relikwiami?

- Zniknął razem z nimi. I nie ma nigdzie mowy o katastrofie jego statku. Mogę spytać, dlaczego się tym interesujesz?

- Poznałem potomka Diego Aguirreza. Podróżuje tropem swojego przodka, ale nic mi nie mówił o relikwiach.

- Nie jestem zaskoczony. Separatyści baskijscy nadal podkładają bomby w Hiszpanii. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby wpadły im w ręce takie cenne symbole.

- Pamiętasz coś jeszcze o Aguirrezie?

- W tej chwili nic więcej nie mogę powiedzieć. Po powrocie do domu pogrzebię w moich książkach. - Perlmutter miał jedną z największych na świecie bibliotek marynistycznych. - Będę w Georgetown za kilka dni, po wizycie w Mediolanie.

- Bardzo mi pomogłeś, jak zwykle. Jeszcze pogadamy. *Buon appetito*.

- *Grazie* - odrzekł Perlmutter i wyłączył się.

Znów skoncentrował się na zastawionym stole. Już miał się wziąć za półmisek marynowanych karczochów, gdy jego gospodarz, właściciel willi i okolicznych winnic, wrócił z butelką wina, po którą poszedł.

- Nie tknął pan jedzenia - zdziwił się. - Żle się pan czuje?

- Ach, nie, senior Nocci. Miałem właśnie telefon z trudnym pytaniem z dziedziny historii.

Siwy Włoch skinął głową.

- Może odświeży panu pamięć *chingali* z dzika. Sos jest zrobiony z trufli z moich lasów.

- Wspaniała propozycja, mój przyjacielu.

Tama pękła i Perlmutter zabrał się do jedzenia ze zwykłym apetytem. Nocci uprzejmie powstrzymywał swoją ciekawość, kiedy jego gość pochłaniał dokładki. Ale gdy Perlmutter wytarł usta i odłożył serwetkę, Nocci powiedział:

- Jestem historykiem amatorem. Trudno nim nie być, kiedy mieszka się w kraju pełnym pozostałości po niezliczonych cywilizacjach. Może mógłbym pomóc.

Perlmutter nalał sobie drugi kieliszek chianti rocznik 1997 i zrelacjonował mu swoją rozmowę z Austinem. Włoch przechylił głowę na bok.

- Nic nie wiem o tym Basku, ale pańska opowieść przypomina mi coś, na co natknąłem się podczas moich badań w Biblioteca Laurenziana.

- Byłem tam wiele lat temu. Zafascynowały mnie manuskrypty.

- Mają ich ponad dziesięć tysięcy - przytaknął Nocci. - Jak pan wie, bibliotekę założył ród Medyceuszy, by umieścić tam swoje bezcenne zbiory. Piszę pracę o Wawrzyńcu Wspaniałym, którą mam nadzieję kiedyś opublikować, choć wątpię, czy ktoś ją przeczyta.

- Ja na pewno - obiecał uroczyście Perlmutter.

- Więc mój wysiłek nie pójdzie na marne - odrzekł Włoch. - W każdym razie jednym z niebezpieczeństw badań naukowych jest pokusa zbaczania z głównego kierunku poszukiwań. Uległem jej w bibliotece i doszedłem do osoby papieża Leona X z rodu Medyceuszy. Po śmierci króla Ferdynanda w 1516 roku zaczęto naciskać, siedemnastoletniego następcę tronu, Karola V, żeby przeciwstawił się potędze inkwizycji. W rodzinie Medyceuszy istniały wielkie

tradycje humanistyczne i papież chciał ograniczyć uprawnienia inkwizytorów. Jednak doradcy Karola przekonali młodego króla, że bez inkwizycji nie utrzyma się przy władzy i prześladowania trwały jeszcze przez trzysta lat.

- Smutny rozdział w historii ludzkości. To pocieszające, że Aguirrez miał odwagę wyrazić własne zdanie, ale ciemne moce były silne.

- Najgorszy był Hiszpan Martinez. Wysłał do króla list z przynagleniem do poparcia inkwizycji i rozszerzenia jej uprawnień. Udało mi się ustalić, że list został przekazany Leonowi X z prośbą o komentarz i trafił do biblioteki wraz z innymi dokumentami papieża. - Nocci pokręcił głową. - Martinez nienawidził Basków, chciał ich zetrzeć z powierzchni ziemi. Pamiętam wzmiankę o Rolandzie i przypominam sobie, że wydała mi się niezwykła w tym kontekście.

- O co w niej chodzi?

Włoch westchnął ciężko i postukał się palcem w głowę.

- Zapomniałem. Skleroza. Starzeję się.

- Może pan sobie przypomni po dolewce wina.

Nocci uśmiechnął się.

- Bardziej ufam chianti niż własnej pamięci. Zastępczyni kustosa biblioteki to moja przyjaciółka. Proszę poczekać, a ja pójdę do niej zadzwonić.

Wrócił po kilku minutach.

- Powiedziała, że w każdej chwili z przyjemnością pokaże nam ten list.

Perlmutter odsunął wielkie cielsko od stołu i wstał.

- Trochę ruchu chyba dobrze mi zrobi.

Jazda do Florencji nie trwała nawet piętnastu minut. Nocci miał fiata, ale na czas wizyty Perlmuttera wypożyczył mercedesa, żeby gościowi było wygodniej. Zaparkowali w pobliżu straganów z wyrobami skórzanymi i pamiątkami na Piazza San Lorenzo i skierowali się na lewo od starej kaplicy parafialnej rodu Medyceuszy.

Przeszli przez ciche krużganki klasztorne, zostawili za sobą ruchliwy rejon handlowy i wspięli się do czytelnicy po schodach będących dziełem Michała Anioła. Zwinność ogromnej postaci Perlmuttera wydawała się przeczyć prawu grawitacji. Mimo to u szczytu schodów zasapał się z wysiłku i chętnie zgodził się, gdy Nocci zaproponował, że przyprowadzi tu przyjaciółkę. Perlmutter przechadzał się między rzędami rzeźbionych ław z prostymi oparciami, płał w słońcu, wpadającym przez wysokie okna, i wdychał stęchły zapach staroci.

Nocci wrócił po chwili z przystojną kobietą w średnim wieku. Przedstawił ją jako Marę Maggi, zastępczynię kustosa. Mara była rudawą blondynką i miała jasną cerę jak z obrazów Botticellego.

Perlmutter uściskał jej dłoń.

- Dziękuję, że tak szybko znalazła pani dla nas czas, seniora Maggi.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Nie ma za co. To przyjemność udostępnić nasze zbiory tak znanej osobie. Proszę ze mną. List jest w moim biurze.

Zaprowadziła gości do pomieszczenia z widokiem na ogród klasztorny. Posadziła Perlmuttera przy wolnym biurku. W otwartej drewnianej kasetce obciągniętej skórą leżało kilka kartek pomarszczonego pergaminu. Mara zostawiła mężczyzn samych i powiedziała, żeby ją zawołali, gdyby była potrzebna.

Nocci ostrożnie wyjął pierwszą kartkę.

- Znam hiszpański całkiem nieźle. Jeśli pan pozwoli...

Perlmutter skinął głową i Włoch zaczął głośno czytać. Pełen jadu, nienawiści i żądy krwi list był litanią oskarżeń pod adresem Basków - między innymi o czarnoksiężstwo i satanizm. Jako dowodu użyto nawet odmienności ich języka. Martinez najwyraźniej był obłąkany. Ale w jego bredniach kryło się ostrzeżenie dla młodego króla z rodu Medyceuszy: ograniczenie władzy inkwizycji zagrozi potędze tronu.

- O - powiedział Nocci i poprawił okulary - tu jest ten fragment, o którym wspominałem. Martinez pisze: "Ale najbardziej obawiam się ich skłonności do rebelii. Są przywiązani do relikwii. Mają Miecz i Róg. Przypisują tym przedmiotom wielką moc. To im daje siłę do buntu. Może zagrozić potędze Kościoła i Twojego królestwa, Panie. Jest wśród nich człowiek nazwiskiem Aguirrez, przywódca spisku. Przysięgłem ścigać go choćby na koniec świata i odzyskać relikwie. Obawiam się, Panie, że jeśli nasza święta misja nie będzie mogła trwać aż do wykorzenia herezji, dźwięk rogu Rolanda wezwie naszych wrogów do boju, a jego miecz zniszczy wszystko, co nam drogie".

Perlmutter zmarszczył brwi.

- Interesujące. Po pierwsze, według niego relikwie naprawdę istnieją. Po drugie, ma je ten Aguirrez. To potwierdza legendę o śmierci Rolanda.

Zajrzała seniora Maggi i zapytała, czy czegoś potrzebują. Nocci podziękował i powiedział:

- To fascynujący dokument. Czy jest tu coś jeszcze, co napisał Martinez?

- Nie przypominam sobie nic takiego.

Perlmutter splótł palce.

- Martinez robi na mnie wrażenie człowieka bardzo ambitnego. Zdziwiłbym się, gdyby nie prowadził dziennika swoich działań. Byłoby wspaniale, gdybyśmy dotarli do takiego dokumentu. Może jest coś w archiwach państwowych w Sewilli.

Seniora Maggi, słuchając go niezbyt uważnie, czytała kartkę przyklejoną do pudła z innymi dokumentami.

- To lista wszystkich manuskryptów w tym zbiorze. Najwyraźniej poprzedni kustosz zabrał stąd jeden z rękopisów i wysłał do archiwów państwowych w Wenecji.

- Co to za dokument? - zapytał Perlmutter.

- Jest tu określony jako *Oczyszczenie z zarzutów człowieka morza*. Napisał go Anglik, kapitan Richard Blackthorne. Manuskrypt powinien tutaj wrócić, ale archiwa obejmujące tysiąc lat historii mają ponad dziewięćdziesiąt kilometrów półek, więc czasem coś może się zawieruszyć.

- Bardzo chciałbym przeczytać rękopis Blackthorna - powiedział Perlmutter. - Jutro miałem być w Mediolanie, ale może wybiorę się do Wenecji.

- Chyba nie będzie to konieczne - odrzekła Maggi. Zabrała akta do swojego gabinetu, skąd rozległo się ciche stukanie w klawiaturę komputera. Po chwili Maggi wróciła. - Skontaktowałam się z archiwum państwowym w Wenecji i poprosiłam o odszukanie dokumentu. Jak tylko się znajdzie, zrobią kopię i prześlą przez Internet.

- Serdeczne dzięki - powiedział Perlmutter.

Seniora Maggi pocałowała go na pożegnanie w oba mięsiste policzki. Wkrótce on i Nocci jechali przez przedmieścia Florencji. Zmęczony wydarzeniami dnia Perlmutter zdrzemnął się i obudził w samą porę na kolację. Jedli z Noccim na tarasie. Perlmutter odzyskał apetyt i nie miał kłopotu z pochłanianiem cielęciny i makaronu. Zakończył sałatką szpinakową i deserem ze świeżych owoców. Potem patrzyli na zachód słońca, w milczeniu sącząc ze szklanek limoncello.

Zadzwoił telefon i Nocci poszedł odebrać. Perlmutter siedział w ciemności i rozkoszował się zapachem ziemi i winogron, niesionym przez lekki wieczorny wiatr. Nocci wrócił po kilku minutach i zaprosił go do małego pokoju komputerowego, wyposażonego w sprzęt ostatniej generacji. Widząc zdziwienie gościa, powiedział:

- Nawet taka mała firma jak moja musi mieć najnowsze urządzenia telekomunikacyjne, żeby utrzymać się na światowym rynku. Dzwoniła seniora Maggi - wyjaśnił i usadowił się przed monitorem. - Przeprasza za opóźnienie, ale interesujący pana

dokument musieli wydobyć z Museo Storico Navale, muzeum morskiego, gdzie leżał bezużytecznie. Proszę... - Wstał i ustąpił gościowi miejsca.

Solidne, drewniane krzesło zaskrzypiało w proteście pod ciężarem Perlmuttera. St. Julien przyjrzał się pierwszej stronie, na której autor stwierdzał, że jego dziennik to: “relacja niechętnego najemnika w służbie hiszpańskiej inkwizycji”.

Perlmutter pochylił się do przodu, wpatrzył się w ekran i zaczął czytać słowa napisane przed pięcioma wiekami.

Ciężarówka z piwem wyjechała zza ostrego zakrętu i kierowca z całej siły wdepnął hamulec, żeby nie uderzyć w poturbowany wrak na szosie. Samochód leżał na boku kilka metrów od krawędzi drogi. Wyglądał tak, jakby spadł z dużej wysokości. Na dnie przepaści dymiły dwa inne wraki. Kierowca wyskoczył z ciężarówki i zajrzał przez szybę do samochodu. Był zaskoczony, że ludzie wewnątrz jeszcze żyją.

Wezwał pomoc przez CB radio. Ekipa ratownicza musiała użyć nożyc hydraulicznych, żeby wydobyć Troutów. Zabrano ich do małego, lecz dobrze wyposażonego szpitala. Paul miał złamany nadgarstek, Gamay doznała wstrząsu mózgu. Oboje byli potłuczeni i posiniaczeni. Spędzili noc na obserwacji, rano ponownie ich zbadano i wypisano. Kiedy załatwiali formalności w rejestracji, podeszli do nich dwaj mężczyźni w pogniecionych garniturach. Przedstawili się jako miejscowi policjanci i zapytali, czy mogliby porozmawiać.

Usiedli w pustej poczekalni i zaczęli wypytywać Troutów o to, co się wydarzyło. Starszy z mężczyzn nazywał się MacFarlane i był klasycznym dobrym gliną. Jego partner, zły glina o nazwisku Duffy, starał się znaleźć luki w ich relacji.

Po odpowiedzi na kolejne podchwytliwe pytanie Gamay popatrzyła na Duffy'ego z uśmiechem.

- Może się mylę, ale mam wrażenie, że jesteśmy o coś oskarżeni.

- Och nie - wtrącił MacFarlane - ale niech pani spojrzy na to z naszego punktu widzenia. Nie wiadomo czemu pojawili się państwo w tym mieście. W ciągu dwudziestu czterech godzin zniknął rybak, z którym się państwo widzieli. Jego łódź też. Potem czterech mężczyzn zginęło w bardzo dziwnym wypadku.

- Jakaś cholernie tajemnicza plaga zgonów - warknął Duffy.

- Powiedzieliśmy panom wszystko - odrzekł Paul. - Byliśmy na wakacjach i wypłynęliśmy w morze z rybakiem o nazwisku Mike Neal, którego poznaliśmy w restauracji portowej. Można to sprawdzić u barmana. Neal szukał pracy i zaproponował nam rejs.

- Dość drogi rejs - zadrwił Duffy. - Stocznia twierdzi, że zapłaciliście za Neala rachunek na prawie tysiąc dolarów.

- Oboje jesteśmy biologami morskimi. Kiedy dowiedzieliśmy się, że rybacy mają problemy z połowami, powiedzieliśmy Nealowi, że chcemy to zbadać.

- Co było dalej?

- Przenocowaliśmy w pensjonacie. Następnego ranka dowiedzieliśmy się, że Neal zaginął wraz ze swoją łodzią. Kontynuowaliśmy naszą podróż, gdy nagle dostaliśmy się między dwóch piratów drogowych w dużych samochodach.

Duffy nie ukrywał sceptycyzmu.

- Z pańskich słów wynika, że tamci faceci chcieli zepchnąć was z drogi.

- Na to wyglądało.

Duffy podrapał się po nieogolonym podbródku.

- Nie bardzo możemy to sobie wyobrazić. Dlaczego mieliby próbować zabić parę niewinnych turystów?

- Będzie pan musiał ich zapytać - odparł Paul.

Rumiana twarz Duffy'ego poczerwieniała jeszcze bardziej. Otworzył usta, ale MacFarlane powstrzymał go gestem uniesionej ręki.

- Tamci goście nie są w stanie nic powiedzieć - wyjaśnił z lekkim uśmiechem. - I tu mamy następny problem. Pańska żona wstąpiła do sklepu przy stacji benzynowej i pytała o przetwórnę ryb za miastem. Tak się składa, że ci czterej martwi dżentelmeni pracowali w tej przetwórni.

- Jestem biologiem morskim - odrzekła Gamay. - Moje zainteresowanie rybami to chyba nic dziwnego. Nie chcę pana pouczać, jak ma pan wykonywać swoją robotę - dodała tonem, który świadczył o tym, że właśnie to robi - ale może powinien pan porozmawiać z kimś w przetwórni.

- To następna ciekawa rzecz - wtrącił się Duffy. - Przetwórnę zamknięto.

Gamay z trudem ukryła zaskoczenie i przygotowała się na kolejne pytania. Ale w tym momencie odezwała się komórka MacFarlane'a, co uratowało Troutów przed następną rundą przesłuchania trzeciego stopnia. Gliniarz przeprosił, wstał i odszedł na bok. Po kilku minutach wrócił i oznajmił:

- Są państwo wolni. Dziękujemy.

- Nie chcę być niegrzeczny - powiedział Paul - ale czy mógłby nam pan wyjaśnić, co się dzieje? Przed chwilą byliśmy wrogami publicznymi numer 1 i 2.

Na stale zakłopotanej twarzy MacFarlane'a pojawił się przyjazny uśmiech.

- Dzwonili z posterunku. Przeprowadziliśmy małe śledztwo, kiedy zobaczyliśmy w państwa portfelach dokumenty tożsamości. Właśnie był telefon z Waszyngtonu. Wygląda na to, że jesteście dość ważnymi osobami w NUMA. Przygotujemy parę oświadczeń i damy państwu do ewentualnego uzupełnienia i podpisania. Może gdzieś podwieźć? - Wyraźnie mu ulżyło, że znalazło się wyjście z trudnej sytuacji.

- Najpierw do wypożyczalni samochodów - powiedziała Gamay.

- A potem do pubu - dodał Paul.

Podczas jazdy do wypożyczalni samochodów Duffy przestał grać złego glinę. Wy tłumaczył Troutom, jak trafić do pubu z dobrym piwem i dobrym jedzeniem. Policjanci właśnie kończyli służbę i też dali się tam zaprosić. Przy drugim kuflu detektywi rozgadali się. Opowiedzieli, że poszli tropem Troutów. Rozmawiali z właścicielami pensjonatu i kilkoma bywalcami okolic portu. Mike Neal nie znalazł się, Grogan też gdzieś przepadł. Przetwórnia Oceanusa nie ma numeru telefonu. Próbowali skontaktować się z międzynarodowym biurem korporacji, ale na razie bez skutku.

Po wyjściu gliniarzy Gamay zamówiła następne piwo. Zdmuchnęła pianę i odezwała się oskarżycielskim tonem:

- Ostatni raz pojechałam z tobą w teren.

- Ty przynajmniej nic sobie nie złamałaś. A ja muszę trzymać kufel w lewej ręce. I jak będę teraz wiązał muszkę?

- Nie daj Boże, żebyś zaczął używać takich na gumkę, biedaku. Widzisz moje podbite oko? Kiedy byłam dzieckiem, nazywaliśmy to śliwą.

Paul nachylił się i lekko pocałował żonę w policzek.

- Wyglądasz z tym egzotycznie.

- Przynajmniej coś zyskałam - odparła Gamay z uśmiechem. - Co dalej? Nie możemy wrócić do Waszyngtonu tylko z rachunkiem za naprawę nieistniejącej łodzi i kilkoma siniakami.

Paul łyknął piwa.

- Jak się nazywa ten naukowiec, z którym próbował się skontaktować Mike Neal?

- Throckmorton. Neal mówił, że jest z Uniwersytetu McGilla.

- To Montreal! Skoro jesteśmy w pobliżu, może wpadniemy do niego?

- Wspaniały pomysł! - pochwaliła Gamay. - Ciągnij swoje piwko, mańkucie, a ja zawiadomię Kurta o naszych planach.

Gamay poszła z komórką do bardziej cichego kąta pubu i zadzwoniła do NUMA. Nie zastała Austina, więc zostawiła wiadomość, że wybierają się tropem Oceanusa do Quebecu i będą w kontakcie. Poprosiła sekretarkę Austina o odnalezienie numeru telefonu Throckmortona i zarezerwowanie dwóch miejsc w samolocie do Montrealu. Sekretarka oddzwoniła kilka minut później. Podała Gamay telefon do naukowca i powiedziała, że zrobiła rezerwację.

Gamay zadzwoniła do Throckmorta. Wyjaśniła, że jest biologiem morskim z NUMA i chciałyby porozmawiać o jego pracy. Zgodził się bardzo chętnie. Samolot Air Canada wylądował w porcie lotniczym Dorval późnym popołudniem. Troutowie zostawili bagaże w hotelu Queen Elizabeth, złapali taksówkę i pojechali do kampusu Uniwersytetu McGilla, kompleksu starszych budynków z szarego granitu i bardziej nowoczesnych konstrukcji na zboczu wzgórza Mont Royal.

Profesor Throckmorton skończył właśnie wykład i wyszedł z sali w otoczeniu grupy rozgadanych studentów. Zauważył rude włosy Gamay i wysoką postać Paula. Odprawił studentów i podszedł przywitać się z gośćmi.

- Doktorostwo Trout, jak się domyślam - powiedział, potrząsając ich dłońmi.

- Dziękujemy, że tak szybko znalazł pan dla nas czas - odrzekła Gamay.

- Nie ma za co - odpowiedział ciepło. - To zaszczyt poznać naukowców z NUMA.

Bardzo mi to pochlebia, że interesują się państwo moją pracą.

- Podróżujemy po Kanadzie - wyjaśnił Paul - i kiedy Gamay dowiedziała się o pańskich badaniach, uparła się, żeby do pana wpaść.

Krzaczaste brwi Throckmorta podskoczyły jak przestraszone gąsienice.

- Mam nadzieję, że nie jestem przyczyną niezgody małżeńskiej.

- Ależ nie - uspokoiła go Gamay. - Montreal to jedno z naszych ulubionych miast.

- W takim razie, skoro już to sobie wyjaśniliśmy, zapraszam do pracowni. Zobaczmy, co tam mamy na warsztacie, jak to mówią.

- Czy to nie z *The Rocky Horror Picture Show*? - zapytała Gamay.

- Zgadza się! Niektórzy koledzy już mnie nazywają szalonym naukowcem, Frankiem N. Furterem.

Throckmorton był niski, gruby i pucołowaty. Kształt jego ciała i twarzy podkreślały okrągłe okulary. Ale w drodze do pracowni poruszał się z szybkością lekkoatlety.

Wprowadził Troutów do dużego, jasno oświetlonego pomieszczenia i wskazał im krzesła przy stole laboratoryjnym. Wszędzie stały komputery. W rzędach akwariów w głębi sali bulgotały napowietrzacze, czuć było słony zapach ryb. Throckmorton nalał mrożoną herbatę do trzech zlewek laboratoryjnych i usiadł.

- Jak dowiedzieli się państwo, nad czym pracuję? - zapytał po wypiciu łyka herbaty. - Z jakiegoś periodyku naukowego?

Troutowie wymienili spojrzenia.

- Szczerze mówiąc - wyznała Gamay - nie wiemy, nad czym pan pracuje.

Na widok zaskoczonej miny Throckmorta włączył się Paul.

- Dostaliśmy pańskie nazwisko od pewnego rybaka, Mike'a Neala. Podobno skontaktował się z panem w imieniu swoich kolegów po fachu. Skończyły się im połowy i podejrzewali, że to ma związek z dziwnym rodzajem ryb, które wyławiali.

- A, pan Neal! Zadzwoił do mojego biura, ale nie rozmawiałem z nim. Nie było mnie wtedy w kraju. A potem miałem za dużo roboty, żeby do niego oddzwonić. Intrygująca sprawa. Chodziło o jakąś diabłorybę. Może skontaktuję się z nim dzisiaj.

- Mam nadzieję, że ma pan zniżkę na telefony zamiejscowe - powiedział Paul. - Neal jest na tamtym świecie.

- Nie rozumiem...

- Zginął podczas eksplozji na swojej łodzi - wyjaśniła Gamay. - Policja nie zna przyczyn wybuchu.

Throckmorton był zaszokowany.

- Biedny facet... - Zamilkł, potem dodał: - Może zabrzmi to bezdusznie, ale najbardziej żałuję, że niczego się już nie dowiem o tej diabłorybie.

- Chętnie powiemy panu to, co wiemy - odrzekła Gamay.

Throckmorton słuchał z uwagą, gdy Troutowie na zmianę opowiadali mu o wyprawie z Nealem. Coraz bardziej poważniał, spoglądając ponuro to na Paula, to na Gamay.

- Są państwo absolutnie pewni tego wszystkiego? - zapytał w końcu. - Wielkości tej ryby, jej dziwnie białego koloru, agresywności?

- Niech pan sam zobaczy - odparł Paul i wyjął kasetę wideo.

Po obejrzeniu filmu nakręconego na łodzi Neala Throckmorton wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem z rękami założonymi do tyłu.

- Niedobrze, bardzo niedobrze - mamrotał w kółko.

- Proszę nam wyjaśnić, o co chodzi, profesorze - odezwała się Gamay.

Throckmorton zatrzymał się i usiadł.

- Jako biolog morski musiała pani słyszeć o rybach transgenicznych. Pierwszą stworzono niemal na pani podwórku, w Instytucie Biotechnologii Uniwersytetu Maryland.

- Czytałam różne rzeczy na ten temat, ale nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. O ile wiem, do ikry wprowadza się geny, żeby ryby szybciej rosły.

- Zgadza się. Geny pochodzą od innych gatunków, nawet od owadów i ludzi.

- Ludzi?

- Ja nie używam ludzkich genów do moich eksperymentów. Zgadzam się z Chińczykami, bardzo zaangażowanymi w badania nad biorybami, że używanie ludzkich genów jest nieetyczne.

- Co dają geny?

- Produkują niezwykle dużo hormonów wzrostu i stymulują apetyt ryb. Pracuję nad rybami transgenicznymi razem z ośrodkiem naukowym Federalnego Departamentu Rybołówstwa i Gospodarki Morskiej w Vancouver. Hodowane tam łososie są karmione dwadzieścia razy dziennie, co jest bardzo istotne. Te superłososie są zaprogramowane tak, żeby w pierwszym roku rosły osiem razy szybciej i były czterdzieści razy większe niż normalne. Rozumie pani, jaka to korzyść dla hodowcy. W krótkim czasie dostarcza na rynek znacznie większe sztuki.

- I ma znacznie większy zysk.

- Oczywiście. Ci, którzy domagają się dostarczania na rynek bioryb, nazywają to "Błękitną rewolucją". Przyznają, że chcą mieć większe zyski, ale twierdzą, że mają też motywy altruistyczne. Ryby modyfikowane za pomocą DNA staną się źródłem taniej żywności dla biednych krajów świata.

- Chyba te same argumenty przytaczano w związku z modyfikowanym zbożem.

- Nie bez powodu. Ryby modyfikowane genetycznie to logiczny skutek wprowadzania żywności transgenicznej. Skoro można zaprojektować zboże, to dlaczego nie zrobić tego samego z wyższymi organizmami żywymi? Choć to zapewne jest bardziej kontrowersyjne. Już zaczęły się protesty. Przeciwnicy twierdzą, że ryby transgeniczne zaszkodzą środowisku naturalnemu, zniszczą dziko żyjące gatunki i zrujną drobnych rybaków. Nazywają te biotechniczne stworzenia *Frankenfish*.

- Sprytna nazwa - wtrącił Paul, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

- Nie zrobi tym rydom dobrej reklamy.

- Jakie jest pańskie stanowisko w tej sprawie? - zapytała Gamay.

- Ponieważ sam stworzyłem część tych ryb, czuję się szczególnie odpowiedzialny za skutki. Chciałbym przeprowadzić więcej badań, zanim zaczniemy przemysłowo hodować te stworzenia. Nie podoba mi się pęd do komercjalizacji tego, co robię. Musimy dobrze ocenić ryzyko, zanim weźmiemy się za coś, co może doprowadzić do katastrofy.

- Jest pan bardzo zaniepokojony - zauważyła Gamay.

- Martwi mnie to, czego nie wiem. Sprawa wymyka się spod kontroli. Wiele firm chce wprowadzać na rynek własne ryby. Oprócz łososia, bada się kilkadziesiąt innych gatunków. Niektórzy hodowcy nie chcą ryb transgenicznych z powodu związanych z nimi kontrowersji. Ale do gry wchodzi wielkie korporacje. W Kanadzie i Stanach Zjednoczonych wydaje się liczne patenty na zmiany genetyczne u ryb.

- Kiedy ta machina ekonomiczna i naukowa ruszy, trudno będzie ją zatrzymać.

- Czuję się jak król Kanut, próbujący unieruchomić fale morskie - powiedział Throckmorton z wyraźną frustracją w głosie. - Chodzi o miliardy dolarów, więc presja jest ogromna. Dlatego rząd kanadyjski finansuje badania transgeniczne. Uważa się, że jeśli nie będziemy pierwsi, znajdą się inni. Chcemy być gotowi, kiedy pęknie tama.

- Jeśli jest taka wielka presja i w grę wchodzi takie wielkie pieniądze, to co powstrzymuje ten cały proces?

- Obawa przed ewentualną antyreklamą w mediach. Dam pani przykład. Nowozelandzka firma King Salmon pracowała nad biorybami, ale rozeszła się pogłoska o dwugłowym stworze z ciałem pokrytym guzami. Wybuchła panika i firma musiała przerwać eksperymenty, bo ludzie bali się, że te *Frankenfishes* mogą się wydostać na wolność i zacząć zapładniać normalne ryby.

- Czy coś takiego jest możliwe? - zapytała Gamay.

- W zamkniętych hodowlach nie, ale ryby transgeniczne mogą uciec, jeśli umieści się je w klatkach na otwartych wodach. Są agresywne i wечно głodne. Rządowy ośrodek badawczy rybołówstwa w Vancouver jest strzeżony jak Fort Knox. Mamy tam alarmy elektroniczne, ochroniarzy i zbiorniki rybne o podwójnych ścianach. Jednak w prywatnym ośrodku mogą nie zachowywać takich ostrożności.

Gamay skinęła głową.

- W wodach amerykańskich mamy inwazję zagranicznych gatunków, co może mieć katastrofalne skutki. Na przykład pojawiły się azjatyckie węgorze błotne - żarłoczne stworzenia, potrafiące pełzać po suchym lądzie. W rzece Missisipi żyją karpie azjatyckie, gotowe wkrótce przedostać się do jeziora Michigan. Mają metr dwadzieścia długości i krążą o nich opowieści, że wyskakują z wody i strącają ludzi z łodzi. Ale naprawdę niepokojące jest to, że wchłaniają plankton jak odkurzacze. Są jeszcze ryby-lwy, prawdziwa ciekawostka. Mają kolce grzbietowe trujące dla człowieka i walczą o pokarm z miejscowymi gatunkami.

- Otóż to, ale sytuacja z rybami transgenicznymi jest bardziej skomplikowana niż walka o pożywienie. Niektórzy moi koledzy obawiają się efektu "genu trojańskiego". Oczywiście pamięta pani historię o koniu trojańskim.

- Drewniany koń pełen greckich żołnierzy - wtrącił się Paul. - Trojanie myśleli, że to podarunek, wciągnęli go za mury swojego miasta i to był koniec Troi.

- W tym wypadku to odpowiednia analogia - przytaknął Throckmorton.

Postukał palcem w okładkę grubego raportu, leżącego na stole.

- Opublikowała to English Nature, grupa doradców rządu brytyjskiego do spraw zasobów naturalnych. Są tu wyniki dwukrotnych badań naukowych. English Nature jest

przeciwna hodowli ryb transgenicznych, chyba że będą sterylizowane. Komisja Izby Lordów chce całkowitego zakazu hodowli ryb modyfikowanych genetycznie. Pierwsze badania przeprowadzono na uniwersytecie Purdue. Naukowcy odkryli, że męski osobnik ryby transgenicznej ma czterokrotnie większą zdolność zapładniania, a osobniki żeńskie woła większych partnerów.

- I kto mówi, że wielkość nie jest ważna? - odezwał się Paul ze swoim typowym poczuciem humoru.

- W środowisku ryb jest bardzo ważna. Naukowcy badali japońską medakę. Jej potomstwo transgeniczne było o dwadzieścia dwa procent większe od rodzeństwa. Te duże osobniki męskie zapładniały osiemdziesiąt procent ryb, mniejsze tylko dwadzieścia.

Gamay pochyliła się do przodu i zmarszczyła brwi.

- To byłaby klęska dla naturalnej populacji.

- Gorzej niż klęska. Prawdziwa katastrofa. Jedna ryba transgeniczna w populacji stu tysięcy sztuk doprowadziłaby do tego, że w szesnastym pokoleniu pięćdziesiąt procent populacji stanowiłyby ryby zmodyfikowane genetycznie.

- Co nie jest długim okresem w środowisku ryb - zauważyła Gamay.

Throckmorton przytaknął.

- Można to jeszcze przyspieszyć. Symulacje komputerowe pokazują, że jeśli do populacji sześćdziesięciu tysięcy ryb wprowadzi się sześćdziesiąt sztuk o zmienionym DNA, to zaledwie w czterdziestym pokoleniu wyginą zwykłe ryby.

- Mówił pan, że był też drugi cykl badań.

Throckmorton zatarł ręce.

- A, tak. Wypadł jeszcze lepiej. Naukowcy z uniwersytetów w Alabamie i Kalifornii wprowadzili łososiowe geny promotora wzrostu do organizmów niektórych zębaczy z kanału La Manche. Okazało się, że te ryby transgeniczne potrafią łatwiej unikać drapieżników niż ich naturalne odpowiedniki.

- Krótko mówiąc, obawia się pan, że któreś z tych superyb mogą wydostać się na wolność, gdzie zapłodnią i przeżyją naturalne gatunki i szybko doprowadzą do ich wyginięcia.

- Zgadza się.

Paul z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Więc po co rządy i różne firmy bawią się tym genetycznym dynamitem?

- Rozumiem, o co panu chodzi, ale w rękach profesjonalistów ten dynamit może być wyjątkowo użyteczny - Throckmorton wstał. - Chodźmy do warsztatu doktora Frankensteina...

Zaprowadził Troutów w drugi koniec pracowni. Ryby w akwariach miały długość od ludzkiego palca do ponad metra. Zatrzymał się przed jednym z większych akwariów. Ryba o srebrzystej łusce i ciemnym grzbiecie pływała wolno od jednego jego krańca do drugiego.

- I co państwo myślą o naszym ostatnim genetycznie zmodyfikowanym potworze?

Gamay przysunęła się tak blisko, że omal nie dotknęła nosem szyby.

- Wygląda jak dobrze odżywiony łosoś atlantycki. Może trochę większy w obwodzie od normalnego.

- Wygląd może być mylący. Na ile ocenia pani wiek tego przystojniaka?

- Na jakiś rok.

- Wylął się zaledwie kilka tygodni temu.

- Niemożliwe!

- Zgodziłbym się z panią, gdybym osobiście nie odbierał porodu. Patrzy pani na maszynę do pochłaniania pokarmu. Udało nam się przyspieszyć jego metabolizm. Gdyby to stworzenie żyło na wolności, szybko pożarłoby naturalną populację. Jego mały mózg w kółko wykrzykuje jedną wiadomość: "Jestem głodny, nakarm mnie!" Proszę zobaczyć.

Throckmorton otworzył chłodziarkę, wyjął wiadro małych rybek na przynętę i cisnął garść do akwarium. Łosoś rzucił się na pokarm i momentalnie wszystko pożarł. Potem pochłonał pływające resztki.

Paul patrzył na to wytrzeszczonymi oczami.

- Wychowałem się na kutrze rybackim. Widziałem rekiny, rzucające się na dorsze na haczyku, i ławice błękitków, goniące przynętę aż do brzegu, ale jeszcze nie spotkałem się z czymś takim. Jest pan pewien, że to pańskie małeństwo nie dostało genów piranii?

- Nie zrobiliśmy nic aż tak skomplikowanego, choć dokonaliśmy również pewnych zmian fizycznych. Łososie mają słabe, łamliwe zęby, więc temu daliśmy ostrzejsze i mocniejsze, żeby mógł szybciej jeść.

- Niesamowite - powiedziała Gamay.

- Ta ryba jest tylko trochę zmodyfikowana. Stworzyliśmy też istne potwory, prawdziwe *Frankenfishes*. Natychmiast je zniszczyliśmy, więc nie było mowy, żeby wydostały się na wolność. Okazało się, że możemy kontrolować wielkość, ale zaniepokoiła mnie agresja naszych stworzeń, choć wyglądały całkiem normalnie.

- Ryba, którą złowiliśmy - powiedziała Gamay - była agresywna i nie miała normalnej wielkości.

Na twarz Throckmorton powrócił wyraz niepokoju.

- Nasuwa się tylko jeden wniosek. Wasza diabłoryba była mutantem stworzonym w laboratorium. Ktoś prowadzi badania, które wymykają się spod kontroli. Zamiast niszczyć mutanty, pozwala im żyć na wolności. Szkoda, że tamta ryba przepadła. Mogę mieć tylko nadzieję, że była wysterylizowana.

- Co by się stało, gdyby taka genetycznie zmodyfikowana ryba zaczęła się rozmnażać?

- Ryby transgeniczne to w zasadzie obce gatunki. To tak, jakby przywieźć z Marsa jakieś formy życia i wprowadzić do naszego środowiska naturalnego. Obawiam się strat ekologicznych i ekonomicznych na niespotykaną skalę. Takie ryby mogą doprowadzić do ruiny całe floty rybackie, spowodować takie problemy, jakie miał pan Neal i jego koledzy, zniszczyć równowagę w naszych wodach przybrzeżnych, gdzie są najbardziej wydajne łowiska. Nie mam pojęcia, jakie byłyby długofalowe skutki.

- Zabawię się w adwokata diabła - zaproponowała po krótkim namyśle Gamay. - Przypuśćmy, że te superryby zajęłyby miejsce naturalnej populacji. Rybacy zastąpiliby drapieżniki, utrzymujące ich liczebność w rozsądnych granicach. Nadal łowiliby ryby i sprzedawali je. Tyle że większe.

- I groźniejsze - zauważył Paul.

- Jest zbyt wiele niewiadomych, by podejmować takie ryzyko - odparł Throckmorton.

- W Norwegii hybrydowe łososie uciekły do morza i z powodzeniem zapłodniły miejscowe ryby, ale były gorzej przystosowane do życia na wolności. Więc może się zdarzyć, że superryby zastępujące naturalne gatunki wymrą, eliminując siebie i dziko żyjącą populację.

- Mój drogi Throckmortonie - rozległ się sardoniczny głos - próbujesz nastraszyć tych biednych ludzi swoimi przerażającymi ostrzeżeniami?

Mężczyzna w laboratoryjnym fartuchu wśliznął się cicho do pracowni i obserwował całą scenę z szerokim uśmiechem na twarzy. Profesor Throckmorton rozpromienił się.

- Frederick! - Odwrócił się do Troutów. - To mój szacowny kolega, doktor Barker. Fredericku, to doktorostwo Trout z NUMA. - Potem dodał teatralnym szeptem: - Mogą mnie nazywać Frankensteinem, ale to jest doktor Strangelove.

Obaj mężczyźni roześmiali się z żartu. Barker podszedł i uściśnął gościom dłonie. Był po pięćdziesiątce, miał imponującą sylwetkę, ogoloną głowę i jasną karnację. Oczy ukrywał za przeciwsłonecznymi okularami.

- To wielka przyjemność poznać kogoś z NUMA. Proszę nie dać się nastraszyć Throckmortonowi. Po wysłuchaniu go już nigdy nie zjedzą państwo łososia *amondine*. Co państwa do nas sprowadza?

- Jesteśmy na wakacjach i dowiedzieliśmy się o pracy doktora Throckmorta - wyjaśniła Gamay. - Jestem biologiem morskim i pomyślałam, że może to zainteresować NUMA.

- Urlop poświęcony na pracę zawodową! Pozwolą państwo, że zadam kłam oszczerstwom, które padły tu przed chwilą. Jestem wielkim zwolennikiem ryb transgenicznych, co czyni ze mnie podejrzanego typu w oczach mojego przyjaciela.

- Doktor jest więcej niż ich zwolennikiem. Współpracuje z pewnymi firmami, które chciałyby wprowadzić te stworzenia na rynek.

- Robisz z tego jakąś aferę, Throckmorton. Mój przyjaciel zapomniał dodać, że pracuję przy pełnej aprobacie i wsparciu finansowym rządu kanadyjskiego.

- Doktor Barker chciałby stworzyć takiego łososia, żeby inaczej smakował każdego dnia tygodnia.

- To niezły pomysł, Throckmorton. Mogę go wykorzystać?

- Pod warunkiem, że weźmiesz na siebie pełną odpowiedzialność za stworzenie takiego potwora.

- Profesor jest zbyt ostrożny. - Barker wskazał akwarium. - Ten okaz to dowód, że nie trzeba tworzyć ryb transgenicznych o monstrualnych rozmiarach. I jak sam powiedział, ryby zmodyfikowane genetycznie są gorzej przystosowane do życia na wolności. Łatwo je wysterylizować, żeby się nie rozmnażały.

- Tak, ale techniki sterylizacyjne zapewniają mniej niż jeden procent skuteczności. Nie byłbyś taki beztroski, gdybyś usłyszał wiadomość, którą przy wieźli mi państwo Trout.

Throckmorton poprosił Troutów o powtórzenie opowieści i ponowne pokazanie kasety wideo. Kiedy skończyli, zapytał:

- I co ty na to, Fredericku?

Barker pokręcił głową.

- Niestety, to częściowo moja wina. Nie porozmawiałem z Nealem, kiedy dzwonił. Mielibyśmy jakieś ostrzeżenie.

- I co o tym myślisz?

Barker przestał się uśmiechać.

- Gdyby nie relacja fachowców i kasety wideo, nie uwierzyłbym. Wszystko wskazuje na to, że popełniono błąd przy jakimś eksperymencie transgenicznym.

- Kto mógł być na tyle nieodpowiedzialny, żeby pozwolić takiej rybie uciec na wolność? Jeśli wierzyć rybakom, tych stworzeń jest więcej. Natychmiast musimy tam kogoś wysłać.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. To pewne, że ta biała diabłoryba już walczy z naturalnymi gatunkami o pożywienie. Czy może przekazać dalej swoje geny, to już inna sprawa.

- Cały czas niepokoi mnie nieprzewidywalność tego wszystkiego - powiedział Throckmorton.

Barker zerknął na zegarek.

- Przewidywalne jest natomiast to, że za kilka minut zacznę następny wykład. - Skłonił się lekko i podał rękę Paulowi i Gamay. - Przepraszam, ale muszę uciekać. Miło było poznać państwa.

- Pański kolega jest fascynujący - stwierdziła Gamay. - Wygląda bardziej na zawodowego zapaśnika niż na genetyka.

- O tak. Frederick jest jedyny w swoim rodzaju. Studentki go uwielbiają. Jeździ po mieście na motocyklu i uważają, że jest super.

- Ma coś z oczami?

- Oczywiście zauważyła pani okulary przeciwsłoneczne. Frederick cierpi na albinizm. Jak widać po braku opalenizny, unika słońca i ma oczy bardzo wrażliwe na światło. Jednak choroba nie przeszkadza mu w robieniu kariery. Jest geniuszem, choć w przeciwieństwie do mnie wykorzystuje swoją wiedzę do pracy w sektorze prywatnym. Zapewne zostanie milionerem. W każdym razie obaj jesteśmy państwu wdzięczni za zaalarmowanie nas. Natychmiast biorę się za organizowanie grupy terenowej.

- Zajęliśmy panu już zbyt dużo czasu - odrzekła Gamay.

- Ależ nie. Przyjemnie było porozmawiać. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Throckmorton zapytał, czy mogłoby skopiować nagranie wideo. Wkrótce potem Paul i Gamay jechali taksówką do hotelu.

- Interesujące popołudnie - powiedział Paul.

- Bardziej niż myślisz. Przy kopiowaniu kasety zapytałam Throckmorta, dla kogo pracuje Barker. Pomyślałam, że nie zaszkodzi mieć jeden trop więcej. Firma nazywa się Aurora.

Paul ziewnął.

- Ładna nazwa. Co jeszcze powiedział?

Gamay uśmiechnęła się tajemniczo.

- Że Aurora należy do większej firmy.

Paul zamrugał oczyma.

- Tylko mi nie mów...

Skinęła głową.

- Do Oceanusa.

Paul zastanowił się.

- Próbowałem na to spojrzeć tak, jakbym tworzył grafikę komputerową, ale ten problem bardziej przypomina rysunkową zagadkę dla dzieci. Barker to jedna kropka. Faceci, którzy próbowali zepchnąć nas z szosy, to druga. Jeśli obie połączymy, będziemy mogli zacząć rysować obrazek. Więc kierunek naszych działań jest bardzo wyraźny.

- To znaczy? - zapytała sceptycznie Gamay.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Musimy mieć więcej kropek.

Ryan zaproponował spotkanie w miejscu odległym tylko o kilka minut drogi od centrali NUMA. Austin dojechał wzdłuż George Washington Parkway do znaku wskazującego Theodore Roosevelt Island. Zaparkował samochód, przeszedł przez most dla pieszych nad wąskim kanałem Little River i dotarł do Roosevelt Memorial, szerokiego placu, otoczonego niskimi ławkami. Ryan stał plecami do brązowego pomnika prezydenta i najwyraźniej wypatrywał Austina. Pomachał do niego.

- Dzięki, że przyszedłeś, Kurt.

Odwrócił się i spojrzał w górę na pomnik. Prezydent stał na szeroko rozstawionych nogach z zaciśniętą pięścią, uniesioną wysoko w górę.

- To stary Teddy na tym cokole wpakował mnie w ten zwariowany interes. Objął ochroną federalną miliony akrów ziemi, uratował zagrożone gatunki ptaków przed myśliwymi i zrobił z Wielkiego Kanionu park narodowy. Nie obawiał się naginania prawa, kiedy uważał, że działa dla dobra publicznego. Ilekroć mam wątpliwości na temat tego, co robię, myślę o tym facecie, patrzącym surowo na dzisiejszych ważniaków.

Austin nie mógł się pozbyć wrażenia, że Ryan pozuje do zdjęcia.

- Trudno uwierzyć, że masz wątpliwości na temat czegokolwiek, Marcus.

- Wierz mi, że mam. Zwłaszcza kiedy myślę o zadaniu, które sobie wyznaczyłem: o ochronie mórz i żyjących w nich stworzeń.

- O ile znam mitologię, stanowisko boga mórz jest zajęte od kilku tysięcy lat.

Ryan uśmiechnął się krzywo jak skarcone dziecko.

- Fakt, chyba czasami zachowuję się jak bóg. Ale mitologia mówi też, że bogowie zwykle sami zdobywali swoje stanowiska.

- Będę o tym pamiętał, jeśli kiedyś stracę posadę w NUMA. Therri powiedziała, że chcesz ze mną pogadać o czymś ważnym.

- Tak - odrzekł Ryan, patrząc ponad ramieniem Austina. - Zresztą ona już tu jest.

Therri szła przez plac z młodym, dwudziestoletnim mężczyzną. Miał czerwonawobrazową skórę, szeroką twarz i wystające kości policzkowe.

- Miło znów cię widzieć, Kurt - powiedziała Therri i wyciągnęła rękę. Przy świadkach zachowywała się jak na spotkaniu służbowym, ale jej oczy mówiły, że nie zapomniała

pocałunku na dobranoc w Kopenhadze. Przynajmniej Austin miał taką nadzieję. - To Ben Nighthawk, asystent naukowy w naszym biurze.

Ryan zaproponował, żeby odeszli kawałek w bok od pomnika. Kiedy upewnił się, że są poza zasięgiem słuchu spacerujących turystów, przeszedł do rzeczy.

- Ben zdobył ważne informacje o Oceanusie.

Skinął głową i młody Indianin zaczął opowiadać.

- Pochodzę z maleńkiej wioski na północy Kanady. Leży na odludziu nad dużym jeziorem i zwykle jest tam bardzo spokojnie. Kilka miesięcy temu matka napisała mi w liście, że ktoś kupił cały teren po drugiej stronie jeziora. Jakaś duża korporacja. Po skończeniu college'u zamierzam walczyć z inwestycjami w kanadyjskich lasach, więc zainteresowała mnie wiadomość, że dzień i noc trwa tam budowa i całą dobę przylatują helikoptery i hydroplany. Poprosiłem matkę, żeby informowała mnie na bieżąco. Ostatni list przysłała ponad dwa tygodnie temu. Była bardzo zaniepokojona.

- Czym? - zapytał Austin.

- Nie wyjaśniła. Napisała tylko, że chodzi o to, co się dzieje po drugiej stronie jeziora. Pojechałem do domu, żeby to sprawdzić. Okazało się, że moja rodzina gdzieś przepadła.

- Zniknęła? - upewnił się Austin.

Nighthawk przytaknął.

- Jak wszyscy mieszkańcy wioski.

- Kanada to duży kraj, Ben. Gdzie dokładnie położona jest twoja wioska?

Nighthawk zerknął na Ryana.

- Po kolei, Kurt - powiedział Ryan. - Ben, opowiedz panu Austinowi, co było dalej.

- Zacząłem szukać mojej rodziny - ciągnął Nighthawk. - Odkryłem, że są przetrzymywani jako więźniowie po drugiej stronie jeziora. Faceci z bronią zmuszał i mężczyzn z mojej wioski do pracy, oczyszczania terenu wokół wielkiego budynku.

- Wiesz, co to za ludzie?

- Nigdy przedtem ich nie widziałem. Mieli czarne mundury. - Nighthawk znów spojrzał na Ryana, jakby szukał zachęty. - To jakiś obłąd. Kiedy tam podeszliśmy...

- My?

- Z Benem był mój zastępca - wyjaśnił Ryan. - Josh Green. Nie obawiaj się powiedzieć panu Austinowi wszystkiego, co widziałeś, Ben. Nieważne, że to może brzmieć niewiarygodnie.

Nighthawk wzruszył ramionami.

- Dobra. Kiedy tam podeszliśmy, najpierw zobaczyliśmy tylko las i teren, który oczyszczali. Potem nagle pojawił się jakby znikąd ogromny budynek. - Urwał, jakby spodziewał się, że Austin roześmieje się niedowierzająco.

Austin patrzył na niego niebieskozielonymi oczami.

- Mów dalej - zachęcił z obojętną miną.

- Zamiast drzew zobaczyliśmy gigantyczną kopułę. Josh i ja pomyśleliśmy, że wygląda jak igloo, tylko setki razy większe. Górna część otworzyła się w ten sposób... - Nighthawk ułożył dłonie jak otwartą skorupę - i okazało się, że to hangar dla sterowca.

- Takiego jak sterowiec Goodyeara? - zapytał Austin.

Nighthawk w zamyśleniu skrzywił usta.

- Nie. Ten był większy i dłuższy. Przypominał raketę. Miał nawet nazwę na stateczniku. "Nietzsche".

- Jak ten niemiecki filozof?

- Chyba tak - przyznał Ben. - Wylądował w hangarze i dach znów się zamknął. Potem wyszła drzwiami grupa ludzi. Wśród robotników był mój kuzyn. Próbował uciec i jeden z tych skurwieli zabił go. - Głos mu się załamał z emocji.

Ryan położył mu rękę na ramieniu.

- Na razie wystarczy, Ben.

- Chciałbym pomóc - powiedział Austin - ale potrzebuję więcej szczegółów.

- Chętnie ci ich dostarczymy - odrzekł Ryan. - Jednak informacje kosztują.

Austin uniósł brwi.

- Nie mam dziś drobnych, Marcus.

- Pieniądze nas nie interesują. Chcemy, żeby NUMA pomogła SOS wykończyć Oceanusa. Wymienimy się wiadomościami i włączysz nas do akcji.

Austin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Lepiej wezwij marines, Ryan. NUMA to organizacja naukowa. Jej zadaniem jest gromadzenie wiedzy. To nie jednostka wojskowa.

- Daj spokój, Kurt, nie udawaj. Sprawdziliśmy, co robisz w NUMA. Ten twój zespół specjalny załatwił już sporo trudnych spraw. I nie rozprawami naukowymi waliłeś po głowach swych przeciwników.

- Przecieniasz mnie, Marcus. Nie jestem upoważniony do organizowania wspólnej akcji. Musiałbym uzgodnić to z górą.

- Wiedziałem, że się zgodzisz! - wykrzyknął triumfalnie Ryan. - Wielkie dzięki.

- Powoli. Nie zamierzam z tym iść do szefa.

- Dlaczego?

- NUMA naraziłaby na szwank swoją reputację, współpracując z taką ekstremistyczną organizacją, jak SOS. A ty pod parasolem NUMA zdobyłbyś poparcie opinii publicznej dla Strażników Morza. Wybacz, ale ten układ byłby korzystny tylko dla jednej strony.

Ryan odgarnął do tyłu włosy.

- Jeszcze nie powiedzieliśmy ci wszystkiego, Kurt. Mam osobisty powód do działania. Oprócz kuzyna Bena tamci zabili również Josha Greena.

- Z mojej winy - wtrącił się Nighthawk. - Pobiegłem do mego kuzyna, a on próbował mnie zatrzymać. Zastrzelili go.

- Każdy by tak zrobił na twoim miejscu - pocieszył go Ryan. - Josh był odważnym człowiekiem.

- Więc mamy już dwa zabójstwa - podsumował Austin. - Zawiadomiliście policję?

- Nie. Chcemy to załatwić sami. I może zmienisz zdanie, jeśli usłyszysz jeszcze coś. Wytropiliśmy, kto jest nowym właścicielem ziemi wokół jeziora Bena. Fikcyjna firma handlu nieruchomościami, założona przez... Oceanusa.

- Jesteś tego pewien?

- Owszem. Przyłączasz się?

Austin pokręcił głową.

- Zanim weźmiecie rewolwery i pojedziecie tam, pozwólcie, że przypomnę wam, na kogo się porywacie. Oceanus ma pieniądze, międzynarodowe powiązania i, jak sami przekonaliście się, nie waha się zabijać z zimną krwią. Rozgniecie was i całą SOS jak muchy. Współczuję wam z powodu zamordowania kuzyna Bena i twojego przyjaciela, ale ich śmierć stanowi tylko dowód na to, o czym mówię. Narazicie swoich ludzi na podobne niebezpieczeństwo.

Zerknął znacząco na Therri.

- Nasi ludzie podejmą każde ryzyko w obronie środowiska naturalnego - zapewnił Ryan. - Jednak NUMA najwyraźniej ma je gdzieś.

- Zamknij się, Marcus - wtrąciła się szybko Therri na widok groźnej miny Austina. - Kurt ma rację. Proponuję kompromis. SOS mogłaby współpracować z NUMA nieoficjalnie.

- Typowa postawa prawnika - mruknął Austin.

Therri nie spodziewała się takiej reakcji.

- Co to ma znaczyć? - zapytała chłodnym tonem.

- Podejrzewam, że bardziej tu chodzi o ambicje twojego szefa niż o wieloryby, morsy i zabitych przyjaciół. - Austin odwrócił się do Ryana. - Wciąż jesteś wkurzony po stracie "Sea

Sentinelą”. Był twoją dumą i radością. Zamierzałeś odgrywać męczennika przed kamerami kablówek, ale Duńczycy uziemili cię, kiedy wycofali oskarżenia i po cichu wykopali cię ze swojego kraju.

- To nieprawda - zaprotestowała Therri. - Marcus jest...

Ryan uciszył ją gestem.

- Szkoda słów. Widać wyraźnie, że Kurt to przyjaciel na dobre czasy.

- Lepszy taki przyjaciel niż żaden - odrzekł Austin i wskazał pomnik Roosevelta. - Może powinieneś jeszcze raz przeczytać życiorys tego faceta. Nie prosił innych, żeby nadstawiali głowy. Przykro mi z powodu śmierci twojego kuzyna, Ben, i Josha Greena. Miło było znów cię zobaczyć, Therri.

Austin miał dosyć Ryana i jego manii wielkości. Nabrał nadziei, gdy usłyszał opowieść Nighthawka, ale Ryan wszystko zepsuł. Nagle usłyszał za sobą kroki. Dogoniła go Therri.

- Kurt, proszę cię, przemyśl to. Marcus naprawdę potrzebuje twojej pomocy.

- Wiem. Ale nie mogę się zgodzić na jego warunki.

- Spróbujmy coś wymyślić - poprosiła błagalnie.

- Jeśli ty i Ben chcecie, żeby NUMA wam pomogła, musicie się odciąć od Ryana.

- Nie mogę tego zrobić - odrzekła, próbując go oczarować spojrzeniem pięknych oczu.

- Uważam, że możesz - odparł Austin, wpatrując się w nią równie intensywnie.

- Do jasnej cholery, Austin - wybuchnęła. - Ale z ciebie uparty skurwiel.

Austin zaśmiał się.

- Czy to znaczy, że nie pójdziesz ze mną na kolację?

Twarz Therri pociemniała z gniewu. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Austin patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za zakrętem ścieżki. Pokręcił głową. Nikt tak jak on nie poświęca się dla dobrej sprawy. Ruszył w kierunku parkingu, ale po minucie przystanął. Spomiędzy drzew wyłoniła się jakaś postać. Ben Nighthawk.

- Znalazłem wymówkę, żeby się na chwilę urwać - wysapał. - Powiedziałem Marcusowi, że muszę iść do toalety. Chciałbym z panem porozmawiać. Nie winię pana za to, że nie chce pan współpracować z SOS. Marcusowi uderza do głowy popularność. Uważa się za Wyatta Earpa. Jednak tamci faceci na moich oczach zabili mojego kuzyna i Josha. Próbowałem wytłumaczyć Marcusowi, na kogo się porywa, ale nie chciał mnie słuchać. Jeśli SOS wkroczy do akcji, moja rodzina zginie.

- Powiedz mi, gdzie oni są. Zrobię, co będę mógł.

- To trudno wytłumaczyć. Narysuję panu mapę. O, cholera...

W ich kierunku szedł z gniewną miną Ryan.

- Zadzwoń do mnie - powiedział Austin.

Ben skinął głową i skierował się w stronę Ryana. Wdali się w ostrą dyskusję. Potem Ryan otoczył Bena ramieniem i poprowadził z powrotem do pomnika. Obejrzał się raz i wściekle popatrzył na Austina. Kurt wzruszył ramionami i poszedł do samochodu.

Dwadzieścia minut później Austin wszedł do Muzeum Lotnictwa i Astronautyki na Independence Avenue. Wjechał windą na trzecie piętro i skierował się do biblioteki, gdy z bocznej sali wyłonił się mężczyzna w średnim wieku, w pogniecionym brązowym garniturze.

- Niech skonam! Kurt Austin! - wykrzyknął.

- Zastanawiałem się, czy na ciebie wpadnę, Mac.

- Tutaj zawsze jest taka szansa. Prawie nie opuszczam tych murów. Jak się miewa bohater NUMA?

- Świetnie. A jak się miewa smithsoniański odpowiednik St. Julienu Perlmuttera?

Wysoki i szczupły MacDougal zachichotał. Miał jasne włosy, orli nos i pociągłą twarz. Z wyglądu był przeciwieństwem pulchnego Perlmuttera. Jednak brak tuszy rekompensowała jego encyklopedyczna znajomość historii lotnictwa, odpowiadająca morskiej wiedzy Perlmuttera.

- St. Julien dźwiga dużo większy, hm... balast historyczny niż ja - powiedział z wesołym błyskiem w szarych oczach. - Co cię sprowadza do rozrzedzonej atmosfery Wydziału Archiwalnego?

- Prowadzę pewne badania nad starym statkiem powietrznym. Miałem nadzieję znaleźć coś w bibliotece.

- Nie ma potrzeby chodzić do archiwum. Idę na spotkanie, ale możemy pogadać po drodze.

- Natknąłeś się kiedykolwiek na wzmiankę o statku powietrznym "Nietzsche"? - zapytał Austin.

- Oczywiście. Był tylko jeden o takiej nazwie. Zaginał podczas tajnej wyprawy polarnej w roku 1935.

- Więc znasz ten sterowiec?

MacDougal przytaknął.

- Chodziły słuchy, że Niemcy wysłali go w tajnej misji na biegun północny. Gdyby ekspedycja się powiodła, nastraszyliby aliantów i rozstawili niemiecką *Kultur* w wojnie propagandowej. Niemcy zaprzeczali, ale nie potrafili wyjaśnić zaginięcia dwóch swoich

pionierów podróży sterowcami - Heinricha Brauna i Hermana Lutza. Wybuchła wojna i sprawa poszła w zapomnienie.

- To wszystko?

- O, nie. Po wojnie znaleziono dokumenty, które wyraźnie wskazywały, że tamten lot rzeczywiście miał miejsce. Sterowiec był podobny do "Grafa Zeppelina". Przypuszczalnie nadał wiadomość radiową z okolic bieguna. Załoga odkryła na lodzie coś ciekawego.

- Nie wyjaśnili, co to było?

- Nie. I niektórzy uważają, że to wszystko zostało sfabrykowane. Możliwe, że przez samego Josefa Goebbelsa.

- Ale ty w to nie wierzysz?

- Taka wyprawa była całkiem możliwa. Ówczesna technika na pewno na to pozwalała.

- Co mogło się stać z tym sterowcem?

- Jest mnóstwo możliwości. Awaria silnika. Nagła burza. Lód. Ludzki błąd. "Graf Zeppelin" był bardzo udaną konstrukcją, ale mówimy o ekstremalnych warunkach. Podobny los spotkał inne statki powietrzne. Sterowiec mógł się rozbić o powłokę lodową, a potem dryfować na krze setki mil i wpaść do morza, kiedy lód się roztopił. - MacDougala nagle olśniło. - Czyżbyś znalazł jego szczątki na dnie morza?

- Niestety, nie. Ktoś mi o nim wspomniał i... ciekawość wzięła górę.

- Dobrze znam to uczucie. - MacDougal zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. - Tutaj mam spotkanie. Wpadnij jeszcze, to pogadamy dłużej.

- Dobra. Dzięki za pomoc.

Austin był zadowolony, że Mac nie pytał go o szczegóły. Nie lubił kręcić w rozmowach ze starymi przyjaciółmi. MacDougal położył rękę na klamce.

- Zabawne, że wspomniałeś o Arktyce. Tak się składa, że dziś wieczorem jest uroczyste otwarcie wielkiej wystawy kultury i sztuki eskimoskiej. *Ludzie mroźnej północy*, czy coś takiego. Wyścigi psich zaprzęgów i inne atrakcje.

- Wyścigi psich zaprzęgów w Waszyngtonie?

- Też się zdziwiłem, ale widocznie można to zorganizować. Wybierz tam, to zobaczysz.

- Chyba tak zrobię.

Wychodząc z muzeum, Austin przystanął przy stanowisku informacyjnym i wziął broszurę o wystawie. Nazywała się *Mieszkańcy mroźnej północy*. Wstęp na uroczyste otwarcie tylko z zaproszeniami. Austin spojrzał niżej i zauważył nazwę sponsora: Oceanus.

Wetknął broszurę do kieszeni i wrócił do swojego biura. Po kilku telefonach załatwił sobie zaproszenie. Popracował trochę nad raportem dla Gunna, potem pojechał do domu, żeby się przebrać. Kiedy mijał półki z książkami w swoim salonie-bibliotece, przesuwał palcami po grzbietach starannie ustawionych tomów. Wydawało mu się, że Arystoteles, Dante i Locke przemawiają do niego.

Wielcy filozofowie zafascynowali go jeszcze w college'u. Miał na to wpływ profesor, zmuszający studentów do myślenia. Później filozofia stała się dla Austina odpoczynkiem od pracy. Pomagała mu też zrozumieć ciemne strony ludzkiej natury. Podczas wykonywania swoich zadań Austin zabijał i ranił przeciwników. Poczucie obowiązku i sprawiedliwości oraz instynkt samozachowawczy chroniły go przed niebezpiecznymi wątpliwościami. Kiedy jednak potem zastanawiał się na słusznością swoich działań, filozofia służyła mu za kompas moralny.

Wziął gruby tom i włączył stereo. Z głośników popłynęły tony saksofonu Johna Coltrane'a. Wyszedł na pomost i usadowił się w fotelu. Przerzucił strony książki i szybko znalazł cytaty, o którym myślał od chwili, gdy MacDougal wspomniał o sterowcu "Nietzsche": *Ktokolwiek walczy z potworami, powinien uważać, by sam nie stał się potworem. A kiedy zagładasz w otchłań, ona również zagląda w ciebie.*

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń. Czy widział otchłań? A może, co ważniejsze, ona patrzyła na niego? Zamknął książkę, odłożył na półkę i poszedł przygotować się do uroczystości.

Nad wejściem do Narodowego Muzeum Historii Naturalnej od strony Mall wisiał wielki transparent z napisem MIESZKAŃCY MROŻNEJ PÓŁNOCY. Żeby nie było wątpliwości co do tematu wystawy, na transparencie wymalowano również postacie w futrzanych parkach z kapturami, pędzące przez śnieżne równiny na saniach zaprzężonych w psy. W tle widniały góry lodowe.

Austin wszedł do rozległej, oktagonalnej rotundy muzeum. Na środku pomieszczenia o szerokości dwudziestu czterech metrów stał wypchany afrykański słoń, szarżujący przez wymyśloną sawannę. Stojąca przy tym kolosie dziewczyna wyglądała jak karzełek.

- Dobry wieczór - powitała z uśmiechem Austina i wręczyła mu program. Miała na sobie kopię tradycyjnego stroju eskimoskiego, uszytego z cienkiego materiału. - Witamy na wystawie "Mieszkańcy mroźnej północy". Proszę wejść tamtymi drzwiami do sali wystawowej i obejrzeć eksponaty. Co dwadzieścia minut w kinie Imax wyświetlamy film o kulturze eskimoskiej. Za piętnaście minut na Mall rozpoczną się zawody harpunników i psich zaprzęgów. Warto zobaczyć.

Austin podziękował i wszedł za innymi gośćmi do sali. W jasno oświetlonych gablotach znajdowały się eskimoskie wyroby artystyczne, rzeźby z kości słoniowej, przybory myśliwskie i rybackie, skórzane ubrania i buty, chroniące przed zimnem i wilgocią w arktycznych temperaturach, oraz sanie, kanu i łodzie wielorybnicze z pni drzew. Z głośników w różnych punktach sali dochodziły smutne, monotonne śpiewy w rytm bębnów.

Rozgadany tłum stanowił typową mieszanię waszyngtońskich polityków, urzędników i dziennikarzy. Mimo światowego znaczenia, Waszyngton pozostał małym miastem i Austin zauważył znajome twarze. Rozmawiał z historykiem z Muzeum Marynarki, entuzjastą kajakarstwa, gdy usłyszał swoje nazwisko. Między gośćmi przeciskał się Angus MacDougal z Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Wziął Austina za ramię.

- Chodź, Kurt. Chcę, żebyś kogoś poznał.

Zaprowadził Austina do dostojnego, siwego mężczyzny. Przedstawił ich sobie nawzajem. Był to Charles Gleason, kurator wystawy.

- Mówiłem Chuckowi, że interesują cię Eskimosi - powiedział.

- Wolą, żeby nazywać ich "Inuit", co tłumaczy się jako "Lud" - wyjaśnił Gleason. - Nazwa "Eskimosi", którą nadali im Indianie, oznacza "zjadaczy surowego mięsa". Oni sami

nazywają siebie "Nakooruk", czyli "dobrymi". - Uśmiechnął się. - Przepraszam za ten wykład. Przez wiele lat uczyłem w college'u i stale odzywa się we mnie pedagog.

- Nie ma za co przepraszać - odrzekł Austin. - Zawsze chętnie korzystam z okazji dowiedzenia się czegoś nowego.

- Bardzo pan uprzejmy. Ma pan jakieś pytania na temat wystawy?

- Zastanawiałem się nad sponsorem - odparł Austin. Przeczytał na plakacie, że eksponaty wypożyczyła firma Oceanus i zdecydował się strzelić w ciemno. - Słyszałem, że szefem Oceanusa jest niejaki Toonook.

- Toonook?

- Zgadza się.

Gleason przyjrzał mu się niepewnie.

- Mówi pan poważnie?

- Jak najbardziej. Chciałbym poznać tego dżentelmena.

Gleason parsknął śmiechem.

- Przepraszam, ale nie nazwałbym Toonooka dżentelmenem. To inuicki zły duch. Jest uważany za twórcę i niszczyciela.

- Więc to mitologiczna postać?

- Tak. Inuici twierdzą, że jest w morzu, powietrzu i na ziemi. Każdy nieoczekiwany hałas, na przykład skrzypnięcie lodu pod stopami, tłumaczą tym, że Toonook szuka ofiary. Kiedy wiatr wyje niczym stado głodnych wilków, jest to głos Toonooka.

Austin zmieszał się. Therri podała mu imię Toonooka jako szefa Oceanusa.

- Teraz rozumiem, dlaczego rozbawiło pana moje pytanie. Musiałem coś pokręcić.

- Dla Inuitów sprawa jest prosta - odrzekł Gleason. - Kiedy podróżują samotnie, wszędzie spodziewają się ujrzeć Toonooka. Noszą kościane noże i wymachują nimi dookoła siebie, żeby trzymać go na dystans.

Austin spojrzał ponad ramieniem Gleasona.

- Takie noże, jak tamten w gablocie?

Gleason postukał w szybę, gdzie leżał nóż z ozdobnie rzeźbionym białym ostrzem.

- To bardzo rzadki, niezwykleksponat.

- W jakim sensie?

- Większość inuickich noży służy głównie do zdejmowania skór ze zwierząt. Ten został zrobiony tylko w jednym celu - do zabijania ludzi.

- Dziwne - powiedział Austin. - Zawsze słyszałem, że Eskimosi są spokojni i życzliwi.

- To prawda. Żyją blisko siebie w trudnych warunkach naturalnych. Wiedzą, że do przetrwania konieczna jest współpraca i dlatego mają wiele rytuałów i zwyczajów zapobiegających agresji.

- Ten nóż wygląda bardzo groźnie.

Gleason przytaknął.

- Innuici ulegają takim samym mrocznym żądzom, jak reszta ludzkości. Tę broń zrobiło plemię, które wyłamało się z pokojowego współżycia. Przypuszczamy, że w czasach prehistorycznych przywędrowało z Syberii i osiedliło się w północnym Quebecu. Gwałciło, rabowało, składało ofiary z ludzi... Aż wreszcie inne wspólnoty zjednoczyły się i przepędziły to plemię, które nazwały Kiolya.

- Nic mi to nie mówi.

- To innuicka nazwa zorzy polarnej, którą mieszkańcy Arktyki uważają za symbol zła. Nikt nie zna prawdziwej nazwy tego plemienia.

- Co się z nim stało?

- Rozproszyło się po Kanadzie. Wielu jego członków trafiło do miast, gdzie ich potomkowie założyli organizacje przestępcze. Głównie zabójstwa na zlecenie i wymuszenia. Niektórzy zachowali dawne zwyczaje plemienne, jak na przykład tatuowanie pionowych kresek na kościach policzkowych, dopóki nie zorientowali się, że policja łatwo może ich rozpoznać.

- Jestem ciekaw, jak się urządza takie wystawy, jak ta.

- Jest wiele różnych sposobów. W tym wypadku firma public relations, wynajęta przez Oceanusa, zwróciła się do muzeum z zapytaniem, czy bylibyśmy zainteresowani takim pokazem. Powiedzieli, że sponsorom bardzo zależy na upowszechnieniu wiedzy o kulturze Inuitów, więc zorganizują wystawę i pokryją wszystkie koszty. No, cóż... Nie mieliśmy nic przeciwko temu. To fascynujący pokaz, prawda?

Austin patrzył na kiolyański nóż. Identyczna broń przebiła mu klatkę piersiową w hodowli ryb na Wyspach Owczych. Myślał o pionowych tatuażach na twarzy tamtego nożownika.

- Owszem, fascynujący - odpowiedział.

- Skoro nie mogę przedstawić panu Toonooka, może chciałby pan poznać pełnomocnika Oceanusa?

- Jest tutaj?

- Rozmawiałem z nim zaledwie kilka minut temu w sali dioramicznej. Proszę ze mną.

Lampy w pomieszczeniu były przyćmione, żeby stworzyć nastrój nocy polarnej. Lasery rzucały na sufit ruchome światła dalekiej północy. Przed dioramą naturalnej wielkości, ukazującą polowanie na fokę, stał samotny mężczyzna. Był wysoki i dobrze zbudowany. Miał ogoloną głowę, jego oczy osłaniały ciemne okulary przeciwsłoneczne.

Gleason podszedł do niego.

- Doktorze Barker, chciałbym panu przedstawić pana Kurta Austina z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Zna pan tę organizację?

- Musiałbym pochodzić z innej planety, żeby nie słyszeć o NUMA.

Uścisnęli sobie ręce. Barker miał dłoń zimną jak zamrożony befszyk.

- Pozwoli pan, że opowiem o naszym zabawnym nieporozumieniu - zwrócił się Gleason do Kurta. - Pan Austin myślał, że szef Oceanusa nazywa się Toonook.

- Pan Gleason wyjaśnił mi, że to nie człowiek, lecz zły duch - dodał Austin.

Barker przyjrzał mu się przez ciemne szkła.

- To trochę bardziej skomplikowane. W kulturze Inuitów Toonook jest uważany za zło. Ale, jak w innych regionach na przestrzeni wieków, ludzie Północy czczą to, czego się najbardziej boją.

- Więc Toonook jest bogiem?

- Czasami. Jednak zapewniam pana, że szef Oceanusa to człowiek z krwi i kości.

- Więc jak się naprawdę nazywa?

- Woli zachować swoją tożsamość w tajemnicy. Jeśli chce go pan nazywać Toonookiem, proszę bardzo. Konkurenci nazywali go już gorzej. Trzyma się na uboczu i powierza personelowi reprezentowanie swoich interesów. Ja pracuję w firmie Aurora, należącej do Oceanusa.

- Czym się pan zajmuje w Aurorze?

- Genetyką.

Austin rozejrzał się po sali.

- Ten pokaz nie ma z nią wiele wspólnego.

- Lubię pewną odmianę. To ja zasugerowałem Oceanusowi sponsorowanie tej wystawy. Jestem osobiście zainteresowany Kiolya. Mój prapradziadek z Nowej Anglii był kapitanem statku wielorybniczego. Próbował powstrzymać polowania na morysy, co doprowadziło do wyginięcia Kiolya.

- Pan Gleason mówił mi, że inni Eskimosi wypędzili Kiolya, bo członkowie tego plemienia byli złodziejami i mordercami.

- Musieli tak postępować, żeby przetrwać - odparł Barker.

- Chętnie kontynuowałbym tę dyskusję - wtrącił się Gleason - ale widzę, że jeden z asystentów potrzebuje mojej pomocy. Proszę do mnie kiedyś zadzwonić, panie Austin, to porozmawiamy dłużej.

Po odejściu Gleasona Austin zapytał:

- Jakie interesy prowadzi Oceanus, że potrzebuje usług genetyka?

Lodowaty uśmiech zniknął z twarzy Barkera.

- Daj spokój, Austin. Jesteśmy teraz sami, więc już nie musimy udawać. Dobrze wiesz, co robi Oceanus. Wdarłeś się na nasz teren na Wyspach Owczych, narobiłeś mnóstwo szkód i zabiłeś jednego z moich ludzi. Nie zapomnę ci tego.

- Nic z tego nie rozumiem - odrzekł Austin. - Musiał mnie pan z kimś pomylić.

- Wątpię. Prasa duńska wszędzie publikowała twoje zdjęcie. Jesteś bohaterem. Uratowałeś ich marynarzy po tamtej kolizji.

- Po kolizji, którą zaaranżowała twoja firma.

- Wszystko poszłoby dobrze, gdybyś się nie wmieszał. - Cichy dotąd, kulturalny głos stał się opryskliwy. - Ale na tym koniec. Ostatni raz wtrąciłeś się do mojego interesu.

- Twojego interesu? Myślałem, że jesteś skromnym pracownikiem Oceanusa, doktorze Barker. A może powinienem nazywać cię Toonookiem?

Barker zdjął okulary i popatrzył na Austina bladymi oczami. Kolorowe światła pląsały po jego białej twarzy jak po ekranie.

- Nieważne, kim jestem. Ale to, czym jestem, ma bezpośredni związek z twoją przyszłością. Jestem narzędziem twojej śmierci. Obejrzyj się.

Austin zerknął przez ramię. Za jego plecami stali dwaj śniadzi mężczyźni. Blokowali mu drogę. Zamknęli drzwi, żeby nikt nie wszedł do sali. Austin zastanawiał się, co zrobić: pchnąć Barkera na szybę czy przebić się między jego ludźmi do wyjścia. Nie spodobała mu się żadna z tych możliwości i zaczął rozważać jeszcze inną, gdy ktoś zapukał i do sali zajrzał MacDougal.

- Hej, Kurt! - zawołał. - Szukam Charliego Gleasona. Przepraszam, że przeszkadzam.

- Wcale nie - zapewnił Austin. MacDougal nie był wprawdzie komandosem, ale musiał wystarczyć.

Goryle spojrzeli pytająco na swojego szefa. Barker z powrotem włożył ciemne okulary i uśmiechnął się do Austina lodowato.

- Do następnego spotkania - powiedział.

Jego ludzie odsunęli się na bok, żeby go przepuścić i po chwili wszyscy trzej zniknęli w tłumie.

Austin zdążył zamienić z MacDougalem zaledwie kilka słów. Mac zauważył senatora zaprzyjaźnionego ze Smithsonian Institution i popędził, żeby prosić go o dodatkowe fundusze. Austin kręcił się wśród gości, dopóki nie usłyszał komunikatu, że zaraz zacznie się wyścig psich zaprzęgów. Kiedy wracał do rotundy, dostrzegł kasztanowe włosy opadające na nagie ramiona. Therri musiała wyczuć jego spojrzenie. Odwróciła się.

- Kurt, co za miła niespodzianka - powiedziała z uśmiechem. Uścisnęli sobie ręce. - W smokingu jesteś całkiem przystojny.

Austin nie spodziewał się tak miłego powitania po ich burzliwym rozstaniu na Roosevelt Island.

- Dzięki - odrzekł. - Mam nadzieję, że nie pachnie zbyt mocno naftaliną.

Poprawiła mu klapę niczym jego partnerka na balu.

- Pachniesz całkiem przyjemnie.

- Ty też. Czy ta kwiecista wymiana komplementów oznacza, że znów jesteśmy przyjaciółmi?

- Nie byłam na ciebie zła. No, może trochę. - Boczyła się, ale jej oczy błyszczały zmysłowo.

- Więc zawrzyjmy rozejm i zacznijmy wszystko od początku.

- Bardzo chętnie. - Therri rozejrzała się wokół. - Ciekawa jestem, co cię tu sprowadza.

- To samo, co ciebie. Na pewno nie uszło twojej uwagi, że te eksponaty są własnością Oceanusa.

- Tak, dlatego tu jesteśmy.

Therri zerknęła w bok, gdzie pod ścianą rotundy stał Ben Nighthawk. Czuł się niepewnie w czarnym smokingu. Nie wiedział, co zrobić z rękami i przestępował z nogi na nogę. Przywołała go gestem.

- Pamiętasz Bena - zwróciła się do Kurta.

- Miło znów cię widzieć, Ben - powiedział Austin i uścisnęli sobie dłonie. - Ładny smoking.

- Dzięki - odrzekł bez entuzjazmu Nighthawk. - Wypożyczony. - Zerknął dookoła na innych gości. - Nie jestem tu w swoim żywiole.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Austin. - Większość ludzi przychodzi na takie imprezy, żeby coś zjeść i poplotkować.

- Marcus uznał, że Ben może tu zobaczyć coś, co odświeży mu pamięć - wyjaśniła Therri.

- I zobaczył?

- Jeszcze nie - odrzekła Therri. - A ty? Dowiedziałeś się czegoś?

- Owszem - przytaknął Austin z lekkim uśmiechem. - Przekonałem się, że nie słuchasz ostrzeżeń o potencjalnym niebezpieczeństwie.

- To zamierzchła historia - odparła Therri takim tonem, jakby mówiła do niegrzecznego dziecka.

Austin uznał, że przekonywanie jej to strata czasu.

- Wychodzę na zewnątrz, żeby zobaczyć wyścig psich zaprzęgów - oznajmił. - Przyłączycie się?

- Owszem - odpowiedziała Therri i wzięła Nighthawka pod rękę. - Też się tam wybieraliśmy.

Hostessa wskazała im drogę. Zatrzymano ruch na Madison Drive, żeby widzowie mogli przejść na drugą stronę do National Mall. Wieczór był piękny. Reflektory oświetlały wieżyczki z czerwonego piaskowca, wieńczące Smithsonian Castle za trawnikiem o szerokości dwustu pięćdziesięciu metrów. W kierunku Potomacu na tle nocnego nieba widać było biały obelisk Waszyngtona.

Dużą część trawnika odgrodzono żółtymi taśmami policyjnymi i oświetlono mocnymi reflektorami. Wewnątrz zrobiono czworokąt z pomarańczowych słupków. Wzdłuż taśm zebrały się setki gości w strojach wieczorowych i przechodniów, zwabionych światłami i tłumem. Widać było mundury Narodowej Służby Parkowej. Z drugiej strony toru wyścigowego, gdzie stało rzędem kilka ciężarówek, dochodziła wrzawa jak podczas karmienia psów. Potem podekscytowane okrzyki i szczekanie zagłuszył męski głos, płynący z głośników.

- Panie i panowie, witamy na wystawie *Mieszkańcy mroźnej północy*. Za chwilę zobaczą państwo najbardziej ekscytującą część dzisiejszego pokazu - zawody psich zaprzęgów. To więcej niż wyścig. Zawodnicy z dwóch różnych wspólnot Inuitów w Kanadzie zademonstrują umiejętności potrzebne do przetrwania w Arktyce. Myśliwy musi dogonić zwierzynę i celnie rzucić harpunem. Jak państwo wiedzą, o tej porze roku nie mamy w Waszyngtonie zbyt dużych opadów śniegu. - Konferansjer urwał, żeby przeczekać śmiechy. - Toteż sanie, zamiast płóz, będą miały koła. Dobrej zabawy!

Wokół ciężarówek pojawiły się jakieś postacie. Podzieliły się na dwie grupy. Każda pchała sanie ku otwartej przestrzeni wewnątrz odgrodzonego terenu. Jeden pojazd był jasnoniebieski, drugi jaskrawoczerwony. Ustawiono je obok siebie na linii startu. Z przyczep przyprawdzono psy podobne do wilków i zapięto im uprząż.

Podniecone perspektywą biegu zwierzęta ożywiły się jeszcze bardziej. Szczekały coraz głośniej i szarpały się niecierpliwie. W każdym zaprzęgu było dziewięć psów: cztery pary i jeden przewodnik. Razem miały zdumiewającą siłę. Mimo wciśniętych hamulców, obsługa nie mogła utrzymać sań w miejscu.

Dwaj zawodnicy odłączyli się od innych i wsiedli do sań. Sekundę później rozległ się huk pistoletu startowego. Woźnice krzyknęli komendy, psy wbiły łapy w ziemię i oba pojazdy wystrzeliły do przodu niczym rakiety. Zwierzęta natychmiast przeszły do pełnego biegu. Zawodnicy, niepewni przyczepności trawiastej nawierzchni, trochę zwolnili przed pierwszym zakrętem. Sanie wpadły w lekki poślizg i wyszły z łuku obok siebie. Jednocześnie weszły w drugi zakręt i pokonały go bez problemów.

Z pełną szybkością zbliżały się do miejsca, gdzie za żółtą taśmą stali Austin, Therri i Ben. Zawodnicy popędzali psy głośnymi cmoknięciami. Z powodu ciepłego wieczoru nie byli ubrani w futrzane parki z kapturami. Mieli na sobie skórzane spodnie wpuszczone w wysokie buty. Ich nagie torsy lśniły od potu.

Stalowe sanie miały konstrukcję rurową. Między czterema gumowymi kołami samolotowymi znajdowała się platforma z metalowej siatki o długości około dwóch metrów i szerokości jednego metra. Z przodu umieszczono małą, okrągłą kierownicę. Zawodnicy stali na wąskich stopniach, wystających z obu stron platformy głównej. Pochylali się nad kierownicami, żeby zmniejszyć opór powietrza i obniżyć środek ciężkości pojazdów. Ich twarze rozmazywały się w pędzie, gdy z szumem opon mijali widzów.

Sanie nadal pędziły równo, kiedy weszły w trzeci łuk. Czerwone jechały po wewnętrznej. Zawodnik tak ostro ściał zakręt, że dwa koła oderwały się od ziemi. Umiejętnie skontrolował przechył ciężarem ciała i muśnięciem hamulca. Zawodnik w niebieskich saniach wykorzystał błąd przeciwnika. Po mistrzowsku zacieśnił łuk i wyszedł na prostą ćwierć długości pojazdu przed rywalem.

Rozgorączkowany tłum zupełnie oszalał, gdy niebieskie sanie zwiększyły przewagę do połowy długości. Za chwilę mogły wysunąć się przed czerwone, zablokować je i kontrolować wyścig. Niebieski zawodnik ciągle zerkał przez ramię i szukał okazji. Znalazł ją na czwartym, ostatnim zakręcie.

Prowadzący pojazd wszedł w łuk po zewnętrznej. Miał optymalną szybkość i pusty tor do wyprzedzenia przeciwnika. Ale czerwone sanie nagle skrzyły w prawo i zawadziły przednim kołem o lewą tylną oponę niebieskich. Lidera wyścigu zarzuciło od uderzenia. Psy wyczuły zbliżające się trzaśnięcie bata i zaczęły mocniej ciągnąć, żeby wyrównać tor jazdy. Jednak siła odśrodkowa działająca na lekkie sanie okazała się zbyt duża.

Niebieski pojazd jechał przez chwilę na dwóch kołach i przewrócił się. Woźnica poszybował w powietrzu jak cyrkowiec wystrzelony z armaty. Wylądował ciężko na trawie, przetoczył się kilka razy i znieruchomiał. Psy pędziły dalej, wlokąc leżące na boku sanie. W końcu zatrzymały się i zaczęły ze sobą walczyć. Obsługa zanurkowała pod żółtymi taśmami i pobiegła do zwierząt, żeby je uspokoić. Część ekipy zajęła się leżącym zawodnikiem.

Woźnica czerwonego pojazdu nie zwalniał, choć już wygrał wyścig. Minął linię mety z pełną szybkością i dopiero wtedy przyhamował. Zeskoczył w biegu z sań i chwycił harpun stojący w beczce. Nie celując, rzucił nim w tarczę łuczniczą obok toru i trafił w dziesiątkę. Potem wyszarpnął zza pasa toporek i cisnął w cel. Znów dziesiątka.

Uniósł do góry pięści i wydał mrozący krew w żyłach okrzyk zwycięstwa. Ruszył dumnie wzdłuż toru wyścigowego, wykrzywiając w uśmiechu szerokie usta. Jego twarz przypominała latarnię zrobioną z wydrążonej dyni, imitującej ludzką głowę. Arogancka postawa nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że kolizja na torze nie była przypadkowa. Z zaszokowanego tłumu dobiegł pojedynczy gwizd, po chwili dołączyły inne. Widzowie gniewnym chórem wyrażali dezaprobatę dla taktyki zwycięzcy. Rozczarowani wyścigiem goście zaczęli wracać do muzeum.

Zawodnik gestykulował do rozchodzących się widzów, jakby zachęcał ich do podejścia bliżej. Przyglądał się tłumowi w poszukiwaniu kogoś, kto będzie na tyle odważny lub głupi, by stawić mu czoło. W końcu jego wzrok padł na Austina. Ciemne oczy zwięzły się. Austin stęzał. Zaledwie kilka metrów od niego stał człowiek, który zranił go nożem i wrzucił granat do jego łodzi u Wrót Syreny. Rozpoznałby go po nienawiści płonącej w dzikich oczach, nawet bez pionowych tatuaży na policzkach i bezkształtnego kawałka mięsa w miejscu zmiążdżonego nosa.

Grube wargi wymówiły bezgłośnie: "Austin".

Kurt był zdumiony, że tamten zna jego nazwisko, ale ukrył zaskoczenie.

- Dawno nie widzieliśmy się, Nanook - powiedział najbardziej drwiącym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Wisisz mi za operację plastyczną, którą zrobiłem na twojej przystojnej buźce.

Woźnica podszedł tak blisko, że rozdzielała ich tylko żółta taśma. Austin poczuł jego cuchnący oddech.

- Nazywam się Umealiq - odparł. - Chcę, żebyś wołał moje imię, kiedy będziesz błagał o litość.

- Nie dziwię ci się, że jesteś niezadowolony z nowego nosa - odrzekł spokojnie Austin. - Nie dałeś mi nad nim popracować. Zapłać mi za rozwaloną łódź i będzie po sprawie.

- Jedyną zapłatą, jaką dostaniesz, będzie śmierć - warknął tamten. Grube palce sięgnęły do pasa i zaczęły wyciągać z pochwy kościany nóż. Choć większość widzów już się rozeszła, w pobliżu kręciły się jeszcze grupki ludzi. Austin wyczuwał, że mimo ich obecności nie jest bezpieczny. Ten człowiek nie zawaha się go zabić nawet przy świadkach. Zacisnął prawą pięść, gotów walnąć w zmiążdżony nos, by zadać przeciwnikowi jak najwięcej bólu.

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Na woźnicę rzucił się Ben Nighthawk. Indianin był za lekki i zaatakował zbyt niezdarnie, żeby zrobić mu krzywdę. Krepy woźnica stęknął i zachwiał się lekko, ale utrzymał się na nogach i powalił Nighthawka potężnym ciosem.

Znów sięgnął po nóż, dał krok naprzód, ale nagle znieruchomiał. Przez Mall szedł woźnica niebieskich sań w towarzystwie swojej rozwścieczonej ekipy. Miał brudną, zakrwawioną twarz. Umealiq odwrócił się do nadchodzących. Wymienili kilka gwałtownych zdań, najwyraźniej na temat wyścigu. Woźnica czerwonych sań zerknął wściekle przez ramię na Austina i odszedł w kierunku ciężarówek.

Therri klęczała przy leżącym Nighthawku. Austin podszedł bliżej i zobaczył, że Indianin ma tylko podbite oko. Pomogli mu wstać.

- To on zabił mojego kuzyna - wyrzucił z siebie Ben.

- Jesteś pewien? - zapytała Therri.

Nighthawk bez słowa skinął głową. Wpatrzony błędnym wzrokiem w postać idącą przez Mall, zrobił krok w jej stronę. Austin zastąpił mu drogę.

- On i jego kolesie zatłuką cię.

- Nieważne.

- To nie jest dobry moment - powiedział Austin zdecydowanym tonem.

Nighthawk zrozumiał, że nie poradzi sobie z barczystym Austinem. Zaklął w swoim języku i poszedł przez Mall w kierunku muzeum.

- Dobrze, że go powstrzymałeś - odezwała się Therri. - Powinniśmy zawiadomić policję.

- Niezły pomysł. Ale może być z tym problem.

Od strony muzeum nadchodziła grupa mężczyzn z doktorem Barkerem na czele. Genetyk powitał Austina jak dawno niewidzianego przyjaciela.

- Miło znów cię spotkać, Austin. Chciałem się pożegnać.

- Ja jeszcze nigdzie się nie wybieram.

- Ależ tak! Umealiq czeka na ciebie i twoją przyjaciółkę. Zaraz się dowiesz, dlaczego nazywa się tak, jak oszczep z kamiennym grotem, używany przez Inuitów do polowań na foki.

Barker wskazał miejsce, gdzie na środku toru wyścigowego stał nieprzejednany wróg Austina. Potem odszedł w eskorcie dwóch goryli do czekającej limuzyny. Reszta jego ludzi została.

Od strony zaparkowanych ciężarówek nadbiegli następni. Austin szybko policzył, że w sumie jest ich około dwudziestu. Niezbyt równe szanse. Sytuacja nie poprawiła się, gdy kilku mężczyzn podbiegło do reflektorów oświetlających tor wyścigowy i wyłączyło je.

Najbliższym policjantem był gliniarz z drogówki, który zatrzymywał samochody na Madison Drive, żeby goście mogli wrócić do muzeum. Resztki zaproszonych osób kierowały się z powrotem na wystawę, przechodnie szli dalej. Bystre oko Austina śledziło cienie przesuwane się po trawie w klasycznym manewrze okrążającym.

Wziął Therri za ramię i spróbował poprowadzić ją w kierunku muzeum, ale ludzie Barkera zablokowali mu drogę. Powtarzała się sytuacja z Kopenhagi, tylko że tym razem Austin nie miał do obrony pokrywy od śmietnika. Dostrzegł kilku spacerowiczów i nawet parę mundurów Narodowej Służby Parkowej. Wszyscy szli beztrąsko przez Mall, nieświadomi rozgrywającego się dramatu. Austin postanowił nie wzywać pomocy. Nie chciał nikogo narażać na niebezpieczeństwo.

Jeden reflektor pozostał włączony. Umealiq stał w kręgu światła niczym aktor na scenie. Trzymał dłoń na pochwie noża. Jego ludzie zbliżali się z obu stron i z tyłu. Austin nie miał wyboru. Wziął Therri za rękę i zaczęli wolno iść ku pewnej śmierci.

Mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, Austin zachowywał całkowity spokój. Potrafił przestawić umysł na tryb pracy, który najlepiej można by określić jako “psychiczny nadbieg”. Wewnętrzny głos spowalniał proces myślowy, chłodno analizował szczegóły dostarczane przez zmysły i układał plan działania.

On i Therri mieli przed sobą dwie ewentualności. Na sygnał przywódcy zbliżający się mężczyźni mogli posiekać ich toporkami. Jednak Austin przypuszczał, że raczej zrobi to sam Umealiq, jak przed chwilą obiecał. Austin zerkał strachliwie dookoła, żeby wywołać wrażenie, że jest całkiem zdezorientowany. W rzeczywistości planował drogę ucieczki i kalkulował szansę.

Therri ścisnęła jego dłoń, aż zaboląły go kostki.

- Co robimy, Kurt? - zapytała z ledwo wyczuwalnym drżeniem w głosie.

Austin poczuł ulgę. Pytanie świadczyło o tym, że Therri nie zamierza się poddać i też szuka wyjścia z sytuacji. Jej determinacja sugerowała, że ma w sobie ukryte rezerwy. Będzie ich potrzebowała.

- Idziemy dalej. Traktuj to jako spacer po parku.

Therri zerknęła w bok na ich milczącą eskortę.

- Spacer po parku. Nie miałam takiej zabawy od naszej randki w Kopenhadze.

Iskierka humoru była dobrym znakiem. Zrobili jeszcze kilka kroków.

- Kiedy powiem odjazd, rób to, co ja - mruknął Austin.

- Odjazd?

- Tak. Trzymaj się mnie. Możesz nawet dosłownie deptać mi po piętach. Cokolwiek będzie się działo, masz być blisko mnie.

Skinęła głową. Szli dalej w ślimaczym tempie. Zbliżyli się na tyle do Umealiqa, że widzieli jego bezlitosne oczy, błyszczące niczym czarne diamenty pod nisko obciętą grzywką. Przeciwnicy nie spieszyli się. Zapewne chcieli, by ta zabawa trwała jak najdłużej. W czarnych kombinezonach przypominali kondukt żałobny. Austin traktował ich tylko jak niebezpieczną przeszkodę, którą trzeba ominąć. Skoncentrował uwagę na stojących bez opieki czerwonych saniach wyścigowych. Psy siedziały lub leżały skulone na trawie z przymkniętymi oczami i rozwartymi pyskami.

Austin wziął głęboki oddech. Życie jego i Therri będzie zależało od dobrej koordynacji.

Zrobili następny krok ku śmierci.

Umealiq czekał, aż podejda. Opuścił dłoń na rękojeść kościanego noża w pochwie i wykrzywił okrutne usta w szerokim uśmiechu, jakby oblizywał się na widok smakowitego steku. Powiedział coś w niezrozumiałym języku. Kilka słów, być może o szykującej się zabawie, przykuło uwagę jego ludzi. Wszyscy spojrzeli w kierunku swojego przywódcy.

Austin mocno ścisnął dłoń Therri.

- Gotowa? - szepnął.

Odpowiedziała mu takim samym uściskiem.

- Odjazd!

Austin gwałtownie skręcił w lewo, omal nie odrywając Therri od ziemi. Rzucił się w kierunku luki między przeciwnikami. Spróbowali go zablokować, niczym obrońcy na boisku, powstrzymując szarżującego napastnika. Jednak Austin w ostatniej chwili zmienił kierunek. Puścił dłoń Therri i z całej siły walnął ręką w brzuch przeciwnika po lewej stronie. Facet wydał odgłos zepsutej maszyny parowej i zgiał się wpół.

Zaatakowali następni z toporkami w rękach. Austin wykorzystał odbicie od pierwszego przeciwnika, uniósł się z przysiadu i zmiotł innego drugą ręką. Uderzenie poderwało tamtego do góry. Toporek poleciał na trawę.

Therri nie odstępowała Austina. W kilku susach dopadli sań. Psy zauważyły ich i nadstawiły uszu. Austin chwycił i mocno przytrzymał ramę pojazdu, żeby zaprzęg nie wyrwał naprzód. Therri wskoczyła na platformę z metalowej siatki, usiadła, wyciągnęła nogi do przodu i złapała się pionowych wsporników przed sobą. Austin kopnięciem zwolnił hamulec.

- Jazda! - krzyknął wyraźnym, rozkazującym głosem.

Woźnica zaprzęgu zapewne używał inuickich komend, ale psy zrozumiały ton Austina. Mimo że Kurt był człowiekiem morza, nie brakowało mu umiejętności przydatnych na lądzie. Niestety nie potrafił prowadzić psich zaprzęgów. Próbował parę razy przy okazji wypraw na narty, ale przekonał się, że nie jest to łatwa sprawa. Zawodnik musi balansować na płozach o szerokości ostrza noża i panować nad stadem zwierząt, które zaledwie kilka pokoleń wcześniej były dzikimi wilkami. Psy zaprzęgowe są niepozornie małe, ale w krótkich łapach całej grupy drzemie niewiarygodna siła.

Austin wiedział również, że woźnica musi być liderem stada, żeby zwierzęta reagowały na jego komendy. Psy zerwały się na nogi, zanim zdążył wydać rozkaz. Lina łącząca je z saniami napięła się i szarpnięcie omal nie wyrwało mu kierownicy z rąk.

Przebiegł kilka kroków, żeby pojazd łatwiej się rozpędził, potem wskoczył na sanie i pozwolił psom działać. Ujadały głośno, zadowolone, że mogą robić to, co najlepiej umieją, czyli pędzić przed siebie.

Od momentu, kiedy Austin chwycił ramę sań, minęły zaledwie sekundy. Ludzie Umealiq próbowali przeciąć pojazdowi drogę. Psy były szybsze. Szczekały radośnie, oddalając się od pościgu. Kiedy sanie znalazły się w bezpiecznej odległości od przeciwników, Austin zaczął eksperymentować z prowadzeniem zwierząt. Wykrzykiwał kierunki, każąc psom skręcać w lewo lub w prawo, i z zadowoleniem stwierdził, że zaprzęg jest wielojęzyczny. Sterowanie wymagało poruszania kierownicą z wyczuciem, zwłaszcza na zakrętach. Zbyt gwałtowny obrót powodował zarzucanie pojazdu, choć przy obciążeniu dwiema osobami koła nie odrywały się od ziemi.

Ciężar ograniczał również prędkość, ale Austin nie przejmował się tym. Uważał, że jada szybciej niż biegnący człowiek, zwłaszcza tęgi Umealiq i jego krótkonoga banda. Stracił pewność siebie, kiedy się obejrzał. Umealiq ścigał ich drugimi saniami. Austin skręcił z trawy w alejkę. Pojazd nabrał prędkości na gładkim asfalcie, jednak jazdę utrudniało teraz omijanie ludzi. Lawirował między przeszkodami jak slalomista. Omal nie potracił młodej pary, potem otarł się o mężczyznę z małym pudełkiem, który zaczął wrzaskliwie szczekać. Zepchnął na trawę dziewczynę na rolkach. Obrzuciła go wyzwiskami. Poganiał psy, żeby jeszcze przyspieszyły. Towarzyszyły mu gniewne okrzyki i przekleństwa.

Austin zastanawiał się, jak długo wytrzyma zaprzęg pędzący z pełną szybkością. Doszedł do wniosku, że nie ma zbyt wiele czasu. Psy były przyzwyczajone do biegania na mrozie po śniegu. Miały grubą warstwę sierści i mogły się wkrótce przegrzać w ciepły wieczór. Rozejrzał się dookoła. Jechali w poprzek Mall i oddalali się od muzeum w kierunku Smithsonian Castle. Spojrzał do tyłu. Umealiq zbliżał się. Było tylko kwestią czasu, kiedy ich dogoni.

- Luz! - rozkazał psom i nacisnął hamulec, żeby dobrze zrozumiały jego komendę. Zwolniły.

- Co ty robisz? - zdziwiła się Therri.

- Wyskakuj!

- Co?!

- Wyskakuj i biegnij do Smithsonian. Tam jest jasno i są ludzie. Nie ucieknę mu z tobą na pokładzie. On chce dopaść tylko mnie.

Therri zamierzała protestować, ale uświadomiła sobie niebezpieczeństwo. Zeskoczyła z platformy i zaczęła biec. Austin popędził krzykiem psy. Zaprzęg znów wystartował na

złamanie karku. Sanie były teraz lżejsze, zwrotniejsze i szybsze. Zauważył, że Umealiq nadal go ściga. Therri była bezpieczna. Kiedy jednak przyhamował, żeby mogła wysiąść, Umealiq zmniejszył dzielący ich dystans.

Oczy Austina zalewał pot spływający po czole. Wytrzeł twarz rękawem smokingu i zerknął przez ramię. Pościg zbliżał się. Austin ominął kolejnego przechodnia i spojrzął przed siebie. W oddali widział biały obelisk Waszyngtona. Koło pomnika mogli znajdować się uzbrojeni ludzie z ochrony, ale wątpliwe, żeby dotarł tak daleko. Psy zaczynały odczuwać zmęczenie. Biegły trochę wolniej. Sanie zachowywały się jak samochód, kiedy kończy się benzyna. Popędził zaprzęg cmokaniem, które słyszał u zawodników podczas wyścigu.

Ulicą przed nim przejeżdżały samochody. Jeśli dopisze mu szczęście, ruch uliczny może go odgrodzić od pościgu. Sanie wypadły z Mall na chodnik. Austin zobaczył lukę między dwoma jadącymi autami i wycelował w nią w nadziei, że zdąży przedostać się na drugą stronę. Psy zawahały się, ale popędził je. Przewodnik zaprzęgu zeskakiwał z krawężnika, gdy przed saniami, jak spod ziemi, pojawiła się ciężka limuzyna.

Austin mocno szarpnął kierownicę. Pies przewodnik zdążył zmienić kierunek i skrócić w prawo. Sanie przechyliły się niczym lawirująca żaglówka. Austin skontrował ciałem, sanie opadły z powrotem na cztery koła. Psy pociągnęły je po chodniku. Umealiq ściał zakręt i znalazł się kilka metrów od Austina.

Dwa pojazdy pędziły chodnikiem jak rydwany w filmie Ben Hur. Austin zrezygnował z kierowania i zdał się na psy, które lepiej od niego omijały przechodniów. Koncentrował się tylko na tym, żeby nie spaść. Sanie jechały tuż obok siebie, niemal się stykały. Umealiq wyciągnął pistolet i wycelował w Kurta.

Austin poczuł się tak, jakby miał namalowaną na czole tarczę strzelniczą. Ale oddanie celnego strzału nie było łatwe. Ponieważ Umealiq trzymał teraz kierownicę jedną ręką, sanie jechały wężykiem i nie mógł dokładnie wycelować. Mimo to nacisnął spust.

Pocisk chybił, poszedł za wysoko. Austin pomyślał, że to słaba pociecha. Umealiq będzie strzelał, dopóki nie opróżni magazynka. Przy okazji może zranić lub zabić kogoś innego. Kurt zadziałał instynktownie - mocno nacisnął hamulec. Sanie Eskimosa wysunęły się trochę do przodu. Austin powtórzył sztuczkę Umealiq z wyścigu i skrócił w prawo. Jego przednie koło zawadziło o tylną oponę drugiego pojazdu i Umealiq musiał walczyć o utrzymanie kontroli nad saniami.

Manewr był ryzykowny, ale dał pożądany efekt. Przy uderzeniu kierownica wyslizgnęła się ze spoczonej dłoni Umealiq. Przednie koła sań skróciły ostro, pojazd zarzucił

i przewrócił się. Eskimos wypadł na chodnik, wypuścił z ręki pistolet, przetoczył się kilka razy i znieruchomiał. Jego psy pędziły dalej, wlokąc leżące na boku sanie.

Zapręgę Austina pędził w kierunku Constitution Avenue. Zawołał do przestraszonych hukiem wystrzału psów, żeby stanęły i wdepnął hamulec, ale bez skutku. Wypadli na ruchliwy bulwar.

Sanie oderwały się od krawężnika, uniosły w powietrze i opadły na cztery koła, aż Austinowi zagrzechotały zęby. Rozległ się przeraźliwy pisk opon, kiedy kierowca wielkiego jak dom samochodu rozpaczliwie nacisnął hamulec i potężna, chromowana osłona chłodnicy zatrzymała się centymetry od Austina. Kurt dostrzegł przerażoną twarz za przednią szybą. Kierowcy oczy wychodziły z orbit, gdy patrzył na woźnicę w smokingu, pędzącego psim zaprzęgiem przez najbardziej ruchliwy bulwar w Waszyngtonie.

Dookoła piszczały opony hamujących samochodów, potem rozległ się łomot, gdy ktoś uderzył w czyjś tylny zderzak. Nastąpiła reakcja łańcuchowa kolejnych zderzeń. Śmierdziało spaloną gumą. Austin dotarł cało na drugą stronę szerokiej alei i psy wdrapały się na chodnik. Sanie jechały na tyle wolno, że zdążył z nich zeskoczyć, zanim uderzyły w krawężnik. Psy były wykończone gonitwą w obcym im upale i nie zamierzały dalej biec. Położyły się, ciężko dysząc z wywieszonymi językami.

Kurt spojrzał na chaos, który po sobie zostawił na Constitution Avenue. Ruch po tej stronie alei zamarł, wściekli kierowcy wysiadali z samochodów, żeby ustalić winnych stłuczek. Na przeciwległym chodniku stał Umealiq. Po jego twarzy spływała krew. Wyciągnął zza pasa nóż. Trzymając go przy piersi, zszedł z krawężnika. Na dźwięk syren policyjnych zatrzymał się. Nagle pojawiła się jedna z psich ciężarówek, które Austin widział przy torze wyścigowym. Zahamowała przed Eskimosem i zasłoniła go na kilka sekund. Kiedy odjechała, Umealiq zniknął.

Austin podszedł do ciężko dyszących psów i poklepał każdego po łbie.

- Kiedyś będziemy musieli to powtórzyć - powiedział.

Otrzeptał kolana i łokcie, ale wiedział, że wygląda, jakby wracał z weekendowej balangi. Wzruszył z rezygnacją ramionami i poszedł z powrotem w kierunku muzeum. Therri stała przy czteropiętrowym, granitowym budynku od strony Constitution Avenue. Na widok Austina jej twarz rozjaśniła się. Podbiegła i objęła go.

- Dzięki Bogu, nic ci się nie stało - powiedziała, przytulając go mocno. - A co z tamtym strasznym typem?

- Przestraszył się waszyngtońskiego ruchu i zrezygnował z jazdy. Przepraszam, że po drodze musiałem się ciebie pozbyć.

- Nie ma sprawy. Faceci nieraz mnie rzucali, choć jeszcze żaden nie kazał mi się wynosić z sań zaprzężonych w psy.

Therri opowiedziała, że znalazła radiowóz policyjny, zaparkowany w pobliżu Castle. Powiedziała gliniarzom, że jej przyjacielowi grozi w parku śmiertelne niebezpieczeństwo. Popatrzyli na nią jak na wariatkę, ale pojechali to zbadać. Wróciła do muzeum poszukać Bena, jednak nie było po nim śladu. Kiedy zastanawiała się, co ma dalej robić, usłyszała syreny. Wyszła na bulwar i zobaczyła Austina.

Złapali taksówkę i dojechali do swoich samochodów. Pocałowali się na pożegnanie i umówili na spotkanie następnego dnia.

Kiedy Austin wrócił do domu, na podjeździe stał turkusowy samochód NUMA. Drzwi frontowe nie były otwarte. Wszedł do środka i usłyszał z głośników stereo Take Five w wykonaniu kwartetu Dave'a Brubecka. W jego ulubionym czarnym skórzanym fotelu siedział ze szklanką w ręku Rudi Gunn, zastępca szefa NUMA, niski, żyłasty mężczyzna o wąskich ramionach i biodrach. Gunn był mistrzem logistyki, absolwentem Annapolis i byłym komandorem marynarki.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi to włamanie do ciebie - powitał Austina.

- Jasne. Przecież dałem ci szyfr zamka.

Gunn wskazał szklankę.

- Kończy ci się szkocka whisky Highland - oznajmił z typowym dla niego figlarnym uśmiechem.

- Pogadam o tym z lokajem. - Austin rozpoznał książkę, którą trzymał Gunn. - Nie wiedziałem, że lubisz Nietzschego.

- Znalazłem to na stoliku do kawy. Ciężka rzecz.

Kurt podszedł do baru, żeby zrobić sobie drinka.

Gunn odłożył książkę na bok i wziął ze stolika plik dokumentów.

- Dzięki za raport. Zainteresował mnie dużo bardziej niż dzieła pana Nietzschego.

- Domyślałem się, że tak będzie - odparł Austin i usadowił się ze szklanką na sofie.

Gunn podniósł na czoło grube okulary w rogowej oprawie i przerzucał stronicę raportu.

- W takich momentach uświadamiam sobie, jakie nudne prowadzę życie. Naprawdę minąłeś się z powołaniem. Powinieneś pisać scenariusze do gier wideo.

Austin rozkoszował się smakiem ciemnego rumu z dodatkiem jamajskiego piwa imbirowego.

- Nie. Ta historia jest za bardzo naciągana.

- Pozwolę sobie być innego zdania, stary. Co jest naciągane w opowieści o tajemniczej korporacji, która na odległość zatapia statki? Dawno zapomniana jaskinia na Wyspach Owczych z fantastyczną sztuką ścienną... Stwór z filmu *Szczęki*, przez którego wylądowałeś na tyłku... - Gunn nie mógł powstrzymać chichotu. - Chciałbym to zobaczyć.

- Nie ma już takich rzeczy, jak szacunek dla człowieka - poskarżył się Austin.

Gunn przeczucił kilka następnych stron.

- Lista ciągnie się w nieskończoność. Eskimoskie bandziory polujące na ludzi zamiast na foki... Jest też prawniczka z radykalnej grupy obrońców środowiska... - Podniósł wzrok znad papierów. - Założę się, że ma ładne, długie nogi.

Austin zastanowił się.

- Powiedziałbym, że przeciętnej długości, ale całkiem zgrabne.

- Nie można mieć wszystkiego. - Gunn położył raport na kolanach i przyjrzał się Austinowi. Popatrzył na przekrzywioną muszkę, dziurę na kolanie smokingowych spodni i zdarte buty. - Bramkarz wywalił cię z imprezy w muzeum? Jesteś trochę, hm... wymiętoszony.

- Impreza była w porządku. Ale przekonałem się, że Waszyngton schodzi na psy.

- To nic nowego - odrzekł Gunn. - Mam nadzieję, że nie wypożyczyłeś tego stroju.

- Gorzej - odparł Austin. - To mój własny smoking. Może NUMA kupi mi nowy.

- Pogadam o tym z admirałem Sandeckerem - obiecał Gunn.

Austin zrobił następne drinki, a potem opowiedział o spotkaniu z Marcusem Ryanem i o tym, co wydarzyło się tego dnia. Gunn postukał palcem w raport na swoich kolanach.

- Jaki ma to związek z tym, co tu opisałeś?

- Szefowie Oceanusa rozprawiają się bezlitośnie z każdym, kto wejdzie im w drogę.

- Też tak uważam. - Gunn zamilkł na chwilę i zmarszczył czoło. Potrafił analizować dane jak komputer. W końcu zapytał: - A co z tym Baskiem, Aguirrezem?

- Interesujący facet. To zakryta karta w tym pokerze. Gadałem z kumplem z CIA. Nie wiadomo, czy Aguirrez jest powiązany z separatystami baskijskimi. Perlmutter grzebie dla mnie w historii jego rodziny. Na razie wiem tylko tyle, że to albo baskijski terrorysta, albo archeolog amator.

- Może sam mógłby nam to wyjaśnić. Szkoda, że nie masz z nim kontaktu.

Austin odstawił drinka, wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął wizytówkę, którą Aguirrez dał mu na jachcie. Na odwrocie napisany był numer telefonu.

- No to zadzwoń - powiedział Gunn.

Austin podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. Był zmęczony po wieczornych wyczynach i nie robił sobie wielkich nadziei.

- Co za miła niespodzianka, panie Austin. Czułem, że jeszcze porozmawiamy - usłyszał znajomy głos.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w niczym ważnym.

- Ależ nie.

- Jest pan jeszcze na Wyspach Owczych?

- Nie. Przyjechałem w interesach do Waszyngtonu.

- Do Waszyngtonu?

- Tak, wędkowanie na Wyspach Owczych jest przereklamowane. Czym mogę służyć, panie Austin?

- Dzwonię, żeby podziękować za wyciągnięcie mnie z tarapatów w Kopenhadze.

Aguirrez nie próbował zaprzeczyć, że to jego ludzie przepędzili napastników z kijami, którzy zaatakowali Austina i Therri Weld.

- Ma pan talent do pakowania się w kłopoty, mój przyjacielu - zaśmiał się.

- Większość moich kłopotów ma związek z firmą o nazwie Oceanus. Liczyłem na to, że znów będziemy mogli o tym pogawędzić. I że opowie mi pan, jak postępują pańskie badania archeologiczne.

- Bardzo chętnie - odrzekł Aguirrez. - Jutro rano mam spotkania, ale po południu jestem wolny.

Uzgodnili godzinę i Austin zanotował waszyngtoński adres Aguirreza. Zaczął relacjonować Gunnowi treść rozmowy, gdy znów odezwał się telefon. Dzwonił Joe Zavała. Wrócił z Europy. Rozwiązał problemy z "Sea Lampreym" i opuścił statek, kiedy "Beebe" został zaproszony przez duńską jednostkę "Thor" do współpracy przy projekcie badawczym na Wyspach Owczych.

- Chciałem cię tylko zawiadomić, że już jestem w domu. Uściskałem moją corvette i właśnie wybieram się na wieczornego drinka z pewną młodą, piękną damą - powiedział Zavała. - Czy wydarzyło się coś nowego od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz?

- Normalka. Dziś wieczorem pewien stuknięty Eskimos ścigał mnie psim zaprzęgiem przez Mall z żądzą mordy w oczach. Poza tym cisza i spokój.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie.

- Żartujesz? - zapytał w końcu Zavała.

- Nie. Rudi jest tutaj. Wpadnij, to wszystkiego się dowiesz.

Zavała mieszkał w małym budynku dawnej biblioteki okręgowej w Arlington.

- Widzę, że muszę odwołać randkę. Będę za kilka minut - obiecał. - Zaczekaj. Masz jeszcze tę flaszkę tequili, którą chcieliśmy rozpić na Wyspach Owczych?

- Jasne, jest w moim worku marynarskim.

- To ją przywieź.

Następnego ranka, w drodze do centrali NUMA, Austin wstąpił do Muzeum Historii Naturalnej. W sali wystawowej ujrzał Gleasona. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Nie pozostało śladu po wieczornej imprezie, a gabloty świeciły pustkami. Pozdejmowano nawet wszystkie plakaty.

- To straszne - powiedział Gleason. - Straszne.

- Czyżby zdarzył się pożar? - zapytał Austin.

- Gorzej. Sponsorzy zwinęli wystawę.

- Mogli to zrobić? - zdziwił się Austin i natychmiast zdał sobie sprawę, że to głupie pytanie.

Gleason zamachał rękami.

- Tak, zgodnie z aneksem do umowy. Naciskali nas, żebyśmy go podpisali. Mieli prawo zlikwidować wystawę w każdej chwili i wypłacić nam niewielkie odszkodowanie.

- Dlaczego się wycofali?

- Nie wiem. Firma public relations, która to wszystko załatwiała, wyjaśniła, że tylko wykonuje polecenia.

- A doktor Barker?

- Próbowałem się z nim porozumieć, ale zniknął bez śladu.

- Miał pan bliższy kontakt z Oceanusem niż większość ludzi - powiedział Austin, przechodząc do rzeczy. - Co pan wie o doktorze Barkerze?

- Niestety, niewiele. Więcej wiem o jego przodku.

- Kapitanie statku wielorybniczego, o którym wspominał?

- Tak, o Fredericku Barkerze seniorze. Widział pan wczoraj noże Kiolya. Jeden z nich należał kiedyś do niego. Ma ponad sto lat. Przeróżająca broń, ostra jak brzytwa. Od samego patrzenia na nią dostawałem rozstroju żołądka.

- Gdzie mógłbym się dowiedzieć czegoś o kapitanie Barkerze?

- Może pan zacząć od mojego biura. - Gleason obrzucił ponurym spojrzeniem puste gabloty. - Chodźmy. Nic tu po mnie.

Biuro mieściło się w skrzydle administracyjnym. Gleason wskazał Kurtowi krzesło i wziął z półki starą książkę Kapitanowie statków wielorybniczych z New Bedford. Otworzył ją i podsunął Austinowi.

- Wziąłem to z naszej biblioteki z okazji wystawy. Oto kapitan Barker. Wielorybnicy z Nowej Anglii byli twardzi. Wielu zostało szyprami tuż po dwudziestce. Bunty załóg, niszczycielskie sztormy i wrogość krajowców stanowiły dla nich chleb powszedni.

Austin przyjrzał się ziarnistej, czarno-białej fotografii w książce. Barker miał na sobie strój eskimoski i trudno było rozpoznać jego rysy. Twarz kapitana otaczał kaptur futrzanej parki, oczy chroniły kościane gogle z poziomymi szczelinami. Podbródek pokrywała siwa szczecina.

- Ciekawe okulary - zauważył Austin.

- Przeciwsłoneczne. Innuici bali się oślepnąć od bieli śniegu. Barker miał zapewne bardzo wrażliwe oczy. Jego rodzinę prześladował albinizm. Podobno dlatego spędził tyle zim na północy, ponieważ unikał słońca.

Gleason wyjaśnił, że w 1871 roku statek Barkera, "Orient", rozbił się. Ocalał tylko kapitan.

- Krajowcy uratowali mu życie i spędził zimę w eskimoskiej osadzie. Wspomina, jak żona wodza ściągnęła mu buty i rozgrzała jego zmarznięte stopy ciepłem swojego nagiego łona.

- Znam gorsze sposoby rozgrzewania. Co ma z tym wspólnego plemię Kiolya?

- To oni go uratowali.

- Nie pasuje mi to do ich krwiożerczości, o której pan mówił. Spodziewałbym się raczej, że zabiją obcego.

- Normalnie tak by było, ale niech pan nie zapomina, że Barker różnił się wyglądem od innych wielorybników. Miał białe włosy, bladą skórę i jasne oczy. Pewnie wzięli go za boga śniegu.

- Może za Toonooka.

- Wszystko jest możliwe. Barker pomija niektóre szczegóły. Społeczność kwakerska w New Bedford nie zaaprobowałaby tego, że ktoś z jej członków udawał jakiegoś boga. Ale to przeżycie zmieniło go.

- W jakim sensie?

- Stał się zagorzałym obrońcą morsów. Po powrocie do domu namawiał swoich kolegów wielorybników do zaprzestania rzezi tych stworzeń. Kiolya opanowywali tereny łowieckie niczym gangi uliczne, kontrolujące w miastach handel narkotykami. Zabierali pokonanym nawet kobiety i narzędzia. Inne plemiona Inuitów głodowały, dopóki nie zjednoczyły się i nie przepędziły Kiolya. Barker miał dług wdzięczności wobec Kiolya i

myślał, że po zaprzestaniu polowań na morsy plemię zrezygnuje ze swoich bandyckich zwyczajów.

- Miał rację?

- Moim zdaniem, był naiwny. Wątpię, żeby cokolwiek mogło ich zmienić. Chyba tylko użycie siły.

Austin zastanowił się. Jako miłośnik filozofii, wierzył w teorię, że przeszłość to teraźniejszość. Kiolya mogli być kluczem do rozwiązania zagadki Oceanusa.

- Gdzie mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym plemieniu?

- Pewnie w kartotece aresztowanych policji kanadyjskiej. Nie ma zbyt wielu informacji z okresu między rozproszeniem Kiolya i dniem dzisiejszym, ale znalazłem pewną niesamowitą historię, która zdaje się potwierdzać to, co powiedziałem wcześniej o bogu śniegu. - Gleason poszperał w szafce na akta i wyjął wycinek z "New York Timesa" z 1935 roku. Przechowywał go w plastikowej kopercie. Doniesienie prasowe pochodziło znanad Zatoki Hudsona. Austin przeczytał:

Historia badań Arktyki wzbogaciła się o kolejną zagadkę, gdy na wpół obłąkany Niemiec wypętl z tundry, twierdząc, że jest jedynym ocalałym z katastrofy statku powietrznego. Władze kanadyjskie poinformowały nas, że Niemca, podającego się za Gerhardta Heinza, przyprowadzili Eskimosi, którzy najwyraźniej go uratowali. Odwiedziliśmy pana Heinza w szpitalu, gdzie wkrótce zmarł. Podczas wywiadu powiedział nam:

"Brałem udział w tajnej wyprawie na biegun północny ku chwale Vaterlandu. Wylądowaliśmy na biegunie, ale w drodze powrotnej zauważyliśmy wrak statku, zamrożony w lodzie. Nasz kapitan uparł się, żeby wylądować na powłoce lodowej i zbadać to. Statek był prawdziwym antykiem, miał zapewne setki lat. Wyjęliśmy zamrożone ciało i umieściliśmy w chłodni naszego sterowca wraz z kilkoma niezwykłymi przedmiotami. Po wystartowaniu i przebyciu pewnego dystansu pojawiły się problemy techniczne i znów musieliśmy lądować. Nasi ludzie postanowili przeprowić się pieszo przez lód, ale ja zostałem na straży zeppelin. Byłem bliski śmierci, gdy znaleźli mnie krajowcy".

Pan Heinz powiedział, że krajowcy nie mówili po angielsku, ale dowiedział się, że nazywali się Kiolya. Myśleli, że jest bogiem przybyłym z nieba. Kiedy poprosił językiem migowym, żeby zabrali go do najbliższej osady, zgodzili się.

Władze niemieckie, z którymi skontaktowaliśmy się, nie znają pana Heinza i nic nie wiedzą o podróży sterowcem do bieguna północnego.

Austin poprosił Gleasona o zrobienie kopii artykułu i podziękował za poświęcenie mu czasu.

- Przykro mi z powodu wystawy - dodał przy wyjściu.

Gleason pokręcił głową.

- Po prostu mnie zamurowało, gdy tak nagle się zwinęli. A przy okazji, słyszał pan o senatorze Grahamie? Następne nieszczęście. To jeden z naszych największych sprzymierzeńców.

- Chyba widziałem go tu wczoraj - odrzekł Austin.

- Na pewno. Kiedy wracał do siebie do Wirginii, jakaś ciężarówka zepchnęła go z drogi. Jest w stanie krytycznym. Sprawca uciekł. Mam nadzieję, że to nieprawda, że nieszczęścia chodzą trójkami.

- Może być prostsze wytłumaczenie pańskiego pecha - odparł Austin.

- Tak? Jakie?

Austin wskazał niebo i z całą powagą odrzekł:

- Toonook.

St. Julien Perlmutter wszedł do swojego przestronnego, przerobionego z wozowni domu w Georgetown i spojrzął z lubością na setki starych i nowych książek. Wylewały się z przeciążonych półek pod ścianami niczym rozległa rzeka słów, której odnogi sięgały do każdego pokoju.

Zwykły śmiertelnik uciekłby na widok tego bałaganu, jednak Perlmutter uśmiechał się błogo, pieszcząc wzrokiem stosy tomów. Mógł wyrecytować tytuły, nawet zacytować całe strony ze swojej kolekcji, którą powszechnie uznawano za najbardziej kompletną bibliotekę marynistyczną.

Perlmutter umierał z głodu po rygorach lotu transatlantyckiego. Nie miał problemu z pomieszczeniem swojego wielkiego cielska w samolocie: po prostu zarezerwował dwa miejsca. Ale nawet w pierwszej klasie oferta kulinarna była, według jego standardów, odpowiednikiem kościelnej zupki dla bezdomnych. Skierował się do kuchni niczym rakieta i z zadowoleniem stwierdził, że gospodyni zrobiła zakupy zgodnie z jego instrukcjami.

Mimo wczesnej pory, pochłaniał wkrótce faszerowaną jagnięcinę po prowansalsku z ziemniakami przyprawionymi tymiankiem i popijał bordeaux. Kiedy wycierał serwetką usta i siwą brodę, zadzwonił telefon.

- Kurt! - wykrzyknął Perlmutter na dźwięk znajomego głosu w słuchawce. - Skąd, u diabła, wiedziałeś, że wróciłem?

- CNN podała, że we Włoszech zabrakło makaronu. Domyśliłem się, że wrócisz do domu, żeby się porządnie najeść.

- Nie - zagrzmał Perlmutter. - Wróciłem dlatego, że brakowało mi telefonicznych drwin impertynenckich gówniarzy.

- Jesteś w świetnej formie, St. Julien. Musiałeś mieć udaną podróż.

- Owszem. I rzeczywiście czuję się tak, jakbym zjadł cały makaron we Włoszech. Ale dobrze być z powrotem na swoich śmieciach.

- Jestem ciekaw, co dla mnie ustaliłeś.

- Miałem zadzwonić do ciebie później. Znalazłem fascynujący materiał. Możesz wpaść? Zaparzę kawę i pogadamy.

- Będę za pięć minut. Tak się składa, że właśnie przejeżdżam przez Georgetown.

Po przyjeździe Austina Perlmutter postawił na stole dwie wielkie filiżanki kawy z mlekiem. Odsunął na bok stertę książek, żeby zwolnić fotel dla gościa, potem drugi stos, by zrobić miejsce na dużej sofie dla swojego szerokiego siedzenia.

- Przechodząc do rzeczy... - powiedział. - Po twoim telefonie do Florencji porozmawiałem o relikwiach Rolanda z moim gospodarzem, seniorem Noccim. Przypomniał sobie wzmiankę historyczną w liście do papieża z rodu Medyceuszy, napisanym przez niejakiego Martineza, fanatycznego zwolennika inkwizycji hiszpańskiej i zagorzałego wroga Basków. Pan Nocci skontaktował mnie z zastępczynią kustosza Biblioteki Laurenziana. Wygrzebała manuskrypt, w którym Martinez wyraża się z nienawiścią o Diego Aguirrezie.

- Przodku Balthazara, mojego nowego znajomego. Dobra robota.

Perlmutter uśmiechnął się.

- To dopiero początek. Martinez stwierdza stanowczo, że Aguirrez ma miecz i róg Rolanda. Zapowiada, że będzie go ścigał, cytuję, "na koniec świata", żeby odzyskać te przedmioty.

Austin gwizdnął cicho.

- Wynika z tego, że relikwie Rolanda naprawdę istniały i były w rękach rodziny Aguirrezów.

- To wydaje się potwierdzać plotki, że Diego miał miecz i róg.

Perlmutter podsunął Austinowi dokument.

- Oto kopia rękopisu z Archiwów Państwowych w Wenecji. Znalaziono go w muzeum morskim w aktach dotyczących galer wojennych.

Austin przeczytał tytuł na pierwszej stronie: OCZYSZCZENIE Z ZARZUTÓW CZŁOWIEKA MORZA. Na frontispisie była podana data: 1520 roku. We wstępie do publikacji autor napisał: *Relacja Richarda Blackthorne'a, najemnika w służbie hiszpańskiej inkwizycji, skromnego marynarza, który zawsze stawał w obronie dobrego imienia Jej Królewskiej Mości, dowodzi, że oskarżenia pod jego adresem są nieprawdą, oraz stanowi ostrzeżenie dla wszystkich, by nigdy nie ufali zdradzieckim Hiszpanom.*

Austin zerknął na Perlmuttera.

- Co Blackthorne ma wspólnego z Rolandem i dawno nieżyjącym Aguirrezem?

- Wszystko, mój chłopcze. Wszystko. - Perlmutter zajrzał do swojej filiżanki. - Ponieważ wstajesz, czy mógłbyś mi dolać kawy? Czuję się osłabiony po trudach podróży. Sobie też nalej.

Austin wcale nie zamierzał wstawać, ale podniósł się z fotela i poszedł po kawę. Wiedział, że Perlmutter najlepiej funkcjonuje, kiedy pije lub je.

Gospodarz łyknął kawy i przesunął dłonią po manuskrypcie, jakby czytał go palcami.

- Możesz to przestudiować w wolnej chwili. Blackthorne'a najwyraźniej gnębiły plotki, że chętnie służył znieawidzonym Hiszpanom i chciał to sprostować.

- Mówi o tym jasno i wyraźnie we wstępie.

- Blackthorne obawiał się plamy na swoim nazwisku. Pochodził z szanowanej rodziny kupieckiej z Sussex. W młodości wyruszył na morze, zaczął pracę od chłopca okrętowego, aż w końcu został kapitanem statku handlowego, pływającego po Morzu Śródziemnym. Wpadł w ręce berberyjskich piratów i jako niewolnik został przykuty do wiosł na algierskiej galerze. Statek zatonął, a Blackthorne'a uratowali Genuńczycy i przekazali Hiszpanom.

- Przypominaj mi, żebym nigdy nie korzystał z pomocy Genuńczyków.

- Hiszpanie mieli z Blackthorne'em problem. Według inkwizycji, każdy Anglik był heretykiem, zasługiwał na więzienie, tortury i śmierć. Angielscy i holenderscy żeglarze omijali hiszpańskie porty z obawy przed aresztowaniem. Jeśli kogoś złapano z Biblią króla Jakuba lub z dziełami starożytnych klasyków uznawanymi za heretyckie, był ugotowany, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Austin spojrział na manuskrypt.

- Blackthorne albo przeżył, albo te wspomnienia napisał jego duch.

- Nasz kapitan Blackthorne uciekł Hiszpanom, ale go złapali. W końcu wywlekli go w kajdanach z ciemnej celi i postawili przed sądem. Oskarżyciel nazwał go wrogiem wiary i obrzucił "innymi obelżywymi słowami", jak sam wspomina. Skazano go na śmierć i zostałby spalony na stosie, gdyby nie El Brasero.

- Czy to nie nazwa meksykańskiej restauracji w Falls Church?

- Pytasz niewłaściwą osobę. Zawsze uważałem, że słowa "meksykańska" i "restauracja" to taka sama sprzeczność, jak "wojskowy" i "inteligent". "El Brasero" znaczy po hiszpańsku "kotlarz". Takie przydomko miał wspomniany przeze mnie wcześniej Martinez. Zawdzięczał je gorliwości w paleniu heretyków.

- Nie zaprosiłbym takiego typa na grilla.

- Jednak okazał się wybawcą Blackthorne'a. Anglik zaimponował Martinezowi zaradnością i znajomością hiszpańskiego, ale najważniejsze, że znał się na galerach wojennych i żaglowcach.

- To dowodzi, jak daleko Martinez był gotów się posunąć, żeby dopaść Aguirreza. Potrafił nawet oszczędzić skazańca.

- O, tak! Wiemy z jego zapisków, że uważał Aguirreza za wyjątkowo niebezpiecznego, gdyż powierzono mu opiekę nad relikwiami Rolanda, które mogły

zjednoczyć Basków przeciwko Hiszpanom. Kiedy w 1515 roku Aguirrez uciekł swoim statkiem przed aresztowaniem, Brasero ruszył za nim. Galerą Martineza, płynącą na czele pościgu, dowodził Blackthorne. Dogonili karawelę Aguirreza u wybrzeży Francji. Mimo braku wiatru i przewagi ogniowej przeciwnika Aguirrez zdołał zatopić dwie galery i zmusił Martineza do ucieczki.

- Im więcej wiem o Aguirrezie, tym bardziej go lubię.

Perlmutter skinął głową.

- Jego strategia była genialna. Zamierzam wspomnieć o tej walce w książce o bitwach morskich, którą przygotowuję. Niestety, Brasero miał informatora i wiedział od niego, że Aguirrez zawsze zatrzymuje się na odpoczynek na Wyspach Owczych przed rejsem przez ocean do Ameryki Północnej.

Austin pochylił się w fotelu.

- Skaalshavn - mruknął.

- Więc wiesz?

- Byłem tam kilka dni temu.

- Nie mogę powiedzieć, żebym znał to miejsce.

- Nie dziwię się, to raczej odludzie. Małe, malownicze miasteczko rybackie. W pobliżu są ciekawe grotty.

W niebieskich oczach Perlmuttera ukazał się błysk ożywienia.

- Grotty?

- Widziałem je. Sądząc po rysunkach na ścianach, były znane już w starożytności. Baskowie, czy ktoś inny, mogli z nich korzystać przez setki, może nawet tysiące lat.

- Blackthorne wspomina o nich w swojej opowieści. Odgrywają ważną rolę w tej historii.

- W jakim sensie?

- Aguirrez mógłby łatwo uciec swoim przeciwnikom do Ameryki Północnej, gdzie Brasero nigdy by go nie znalazł. W tamtych czasach tylko Baskowie potrafili przepłynąć Atlantyk. Jednak Aguirrez wiedział, że Brasero będzie tropił jego rodzinę. Wiedział też, że jeśli nawet ukryje relikwie w Ameryce Północnej i wróci do Europy, Brasero będzie czekał.

- Może postanowił zostać - odrzekł Austin. - Chciał się zemścić na człowieku, który zniszczył mu życie i ukradł majątek.

- Zgadza się. Brasero również był zdecydowany dokończyć to, co zaczął. Przesiadł się z galery na okręt wojenny dwukrotnie większy od karaweli Diego. Dowództwo powierzył Blackthorne'owi. Okręt był najeżony działami i szybko rozprawiłby się z uciekinierami.

Jednak Aguirrez wiedział już, że Brasero ma informatora, i przezornie trzymał się z dala od jaskiń. Umieścił na ładzie garstkę swoich ludzi, żeby Brasero ich zobaczył. Kiedy Martinez spuścił na wodę szalupy, Baskowie uciekli do grot i wciągnęli za sobą przeciwników.

- Czuję pułapkę.

- Więc masz lepszy nos niż Martinez, zaprzątnięty wizją spalenia na stosie Aguirreza i jego załogi.

- Te jaskinie to labirynt. Doskonałe miejsce do zorganizowania zasadzki.

- Więc na pewno nie będziesz zaskoczony, kiedy usłyszysz, co się stało. Baskowie zastosowali strategię ataku z dwóch kierunków. Karawela ruszyła na okręt wojenny i postraszyła jego nieliczną załogę kilkoma strzałami armatnimi. Potem Baskowie dokonali abordażu i opanowali okręt. Poza tym Aguirrez przygotował pułapkę. Wciągnął do grot jedno ze swoich dział i otworzył ogień do przeciwników. - Perlmutter uniósł pulchną pięść, jakby przeżywał tamtą walkę. - Brasero był dobrym szermierzem, ale Aguirrez lepszym. Zamiast od razu zabić Martineza, pobawił się z nim, zanim go wykończył.

- A jaką rolę odegrał w tym wszystkim Blackthorne?

- Gdy jeden z ludzi Brasero chciał strzelić do Aguirreza, Blackthorne zabił go. Aguirrez kazał sprowadzić do siebie Anglika i wysłuchał historii jego życia. Ponieważ Blackthorne był doświadczonym kapitanem, powierzono mu dowodzenie zdobyczym okrętem wojennym, na pokładzie którego zamierzano odstawić do domu część ludzi Aguirreza. Kilka tygodni później okręt wpłynął na Tamizę.

- A co się stało z relikwiami Rolanda?

- Blackthorne nie wspomina o tym. Píše jednak, że przed wysłaniem swoich ludzi do domu Aguirrez zebrał małą grupę ochotników, którzy z nim zostali. Nie potrzebował już strzelców i kanonierów, tylko doświadczonych żeglarzy. Wiedział, że mimo śmierci Brasero relikwie nie będą bezpieczne, dopóki istnieje inkwizycja. Popłynął więc na zachód i przepadł bez śladu. Jeszcze jedna niewyjaśniona tajemnica morska.

- Może nie - odparł Austin i wręczył Perlmutterowi wycinek prasowy o katastrofie zeppelinu.

Perlmutter przeczytał artykuł i podniósł wzrok.

- Te "niezwykłe przedmioty" mogły być dawno zaginionymi relikwiami.

- Otóż to. Co oznacza, że są w rękach Oceanusa.

- Czy oddadzą je?

Austin pomyślał o swoich starciach z ludźmi Oceanusa i zaśmiał się ponuro.

- Wątpię.

Perlmutter popatrzył na niego ponad złączonymi czubkami palców.

- W tej całej historii jest chyba coś, czego jeszcze nie wiem.

- Mnóstwo rzeczy. Chętnie opowiem ci wszystkie krwawe szczegóły przy następnej kawie. - Austin uniósł filiżankę. - Skoro wstajesz, stary, mógłbyś mi dolać? Sobie też nalej.

Austin przyszedł na spotkanie z Aguirrezem trzy minuty przed czasem. Po wyjściu od Perlmuttera pojechał Embassy Row. Bogowie czuwający nad waszyngtońskimi kierowcami byli dla niego łaskawi i bez problemu znalazł miejsce parkingowe. Poszedł Pennsylvania Avenue i stanął przed kilkupiętrowym budynkiem z fasadą z ciemnego szkła. Przeczytał szyld obok drzwi i pomyślał, że chyba źle zapisał adres. Biorąc pod uwagę kilkusetletnie kłopoty rodziny Aguirrezów z władzami hiszpańskimi, ambasada Hiszpanii była ostatnim miejscem, gdzie spodziewałby się znaleźć Balthazara.

Austin podał swoje nazwisko ochronie przy wejściu i został przekazany recepcjonistce. Wystukała numer na interkomie i porozmawiała z kimś po hiszpańsku. Potem uśmiechnęła się i z uroczym kastlijskim akcentem oznajmiła, że pan Aguirrez jest u ambasadora i za chwilę przyjdzie.

Kilka minut później z korytarza wyłonił się Aguirrez. Zrezygnował z niebieskiego dresu i czarnego beretu i był nienagannie ubrany w ciemnoszary garnitur, który kosztowałby Austina tygodniową pensję. Jednak nawet najlepszy krawiec nie mógł ukryć jego chłopskich dłoni i mocnej budowy ciała. Aguirrezowi towarzyszył siwy mężczyzna. Szedł obok niego z opuszczoną głową i rękami założonymi do tyłu, uważnie słuchając jego słów. Aguirrez zobaczył Austina i pomachał mu. Obaj mężczyźni z uśmiechem uścisnęli sobie ręce i rozstali się. Aguirrez podszedł do Austina i otoczył go ramieniem.

- Pan Austin - powiedział wesoło. - Miło znów pana widzieć. Przepraszam, że nie przedstawiłem pana ambasadorowi, ale był już spóźniony na spotkanie. Tędy, proszę...

Zaprowadził Austina korytarzem do drzwi salonu w starej części kompleksu ambasady. W wygodnie urządzonej sypialni był duży marmurowy kominek, miękkie dywany i ciężkie drewniane meble. Na ścianach wisały obrazy olejne, przedstawiające sceny z życia hiszpańskiej wsi.

Aguirrez najwyraźniej zauważył zdumioną minę Austina. Kiedy usiedli, powiedział:

- Wygląda pan na zaskoczonego.

Kurt nie widział powodu, żeby kluczyć.

- Zdziwiłem się, że zastałem pana, człowieka oskarżanego o to, że jest baskijskim terrorystą, w murach hiszpańskiej ambasady.

Aguirrez nie wydawał się urażony.

- Zebrał pan o mnie informacje, czego się spodziewałem, więc wie pan, że te zarzuty są bezpodstawne.

- Mimo to nie włożył pan dziś swojego czarnego beretu.

Aguirrez wybuchnął śmiechem.

- Zrezygnowałem z niego przez szacunek dla moich gospodarzy. Obawiałem się, że niektórzy w tym budynku będą podejrzewać, że pod beretem mam bombę, co może przeszkodzić nam w załatwieniu sprawy.

- To znaczy?

- W pokojowym rozwiązaniu problemu Basków.

- Ambitne zadanie po setkach lat konfliktu.

- Jestem pewien, że się uda.

- A co z poszukiwaniami pańskiego przodka?

- W tym wypadku nie można oddzielić przeszłości od teraźniejszości. Separatyści baskijski chcą mieć ojczyznę. Rząd hiszpański eksperymentował z autonomią, ale z marnym skutkiem. Gdybym znalazł relikwie, których szukam, ujawnienie ich istnienia mogłoby wywołać falę baskijskiego nacjonalizmu. Znam moich rodaków. To by podzieliło Hiszpanię.

- Więc nagle stał się pan bardzo ważny dla rządu hiszpańskiego.

Aguirrez przytaknął.

- Rozmawiałem z wysoko postawionymi osobami w Madrycie. Poproszono mnie, żebym poinformował wasz Departament Stanu o sytuacji i zapewnił, że nie jestem terrorystą. Zgodziłem się, że jeśli znajdę relikwie, będą przechowywane w bezpiecznym miejscu.

- Co pana powstrzyma przed wycofaniem się z tego?

Bask zmarszczył brwi.

- Logiczne pytanie. Rząd hiszpański też je zadał. Powiedziałem, że uszanuję pamięć mojego przodka, którego wybrano na strażnika relikwii. W zamian rząd hiszpański podejmie właściwe kroki, by zapewnić Baskom autonomię.

- Używa pan relikwii jako karty przetargowej?

Aguirrez wzruszył ramionami.

- Wolę nazywać to działaniem w obopólnym interesie.

- Niezły układ, biorąc pod uwagę fakt, że jeszcze nie ma pan relikwii.

Bask uśmiechnął się szeroko.

- To drobiazg. Dokopałem się do informacji o trasach morskich, którymi mój przodek podróżował do Nowego Świata. Baskowie byli na Wyspach Owczych już w 875 roku. Po zatrzymaniu się tam, Diego popłynąłby w kierunku Nowej Fundlandii lub Labradoru. Tę

teorię potwierdzają wcześniejsze wyprawy. Moi rodacy już w średniowieczu łowili dorsze i polowali na wieloryby u wybrzeży Ameryki Północnej.

- Czytałem, że Cabot natrafił na Indian używających słów, które mogły się wywodzić z języka baskijskiego.

Aguirrez dostał wypieków z podniecenia.

- Nie ma co do tego wątpliwości! Moje badania wskazują, że w pobliżu Channel-Port aux Basques w Nowej Fundlandii są niespenetrowane jaskinie. Zostawiłem tam jacht. Wrócę na jego pokład, kiedy tylko załatwię tutaj wszystkie sprawy. Jestem pewien, że niedługo odzyskam miecz i róg Rolanda.

Austin zastanawiał się, jak delikatnie przekazać Baskowi to, co wie.

- Może być z tym pewien problem.

Aguirrez przyjrzał mu się uważnie.

- Co pan ma na myśli?

Austin wręczył Baskowi kopertę z kopią manuskryptu Blackthorne'a.

- Ten dokument sugeruje, że relikwii może nie być tam, gdzie pan się spodziewa.

Powtórzył Aguirrezowi to, co usłyszał od Perlmuttera. Bask spochmurniał.

- Znam St. Juliana Perlmuttera z moich badań. Jest bardzo ceniony jako historyk morski.

- Nikt nie wie więcej niż on.

Aguirrez uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Wiedziałem, że Diego nie zginął z ręki Brasero. Uciekł z relikwiami.

- To nie wszystko - odrzekł Austin i wręczył Baskowi wycinek prasowy z wywiadem udzielonym przez uratowanego członka załogi zeppelinu.

- Nadal nie rozumiem - powiedział Aguirrez po przeczytaniu artykułu.

- Zeppelin, którego załoga znalazła statek pańskiego przodka uwięziony w lodzie, jest teraz własnością Oceanusa.

- Uważa pan, że relikwie ma Oceanus?

- Tak to wygląda.

- Czy nie można dogadać się z Oceanusem w tej sprawie?

Austin zaśmiał się ponuro.

- Wątpię, czy z Oceanusem można się dogadać w jakiegokolwiek sprawie. Pamięta pan mój wypadek na łodzi? Muszę panu coś wyznać. Wyleciała w powietrze od eksplozji granatu wrzuconego do środka przez jednego z ochroniarzy Oceanusa.

- A ja muszę powiedzieć, że nie uwierzyłem w bajkę o wybuchu oparów paliwa.

- Skoro jesteśmy w nastroju do zwierzeń, może mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego pańscy ludzie śledzili mnie w Kopenhadze.

- Na wszelki wypadek. Szczerze mówiąc, nie mogłem pana rozgryźć. Dowiedziałem się z pańskiej legitymacji służbowej, że pracuje pan w NUMA, ale nie wiedziałem, dlaczego węszył pan na terenie Oceanusa. Zaciekało mnie to, więc postanowiłem mieć pana na oku. Kiedy pana zaatakowano, moi ludzie akurat byli w pobliżu. A przy okazji, jak się miewa młoda dama, która była wtedy z panem?

- Dobrze, dzięki czujności pańskich ludzi.

- Więc nie jest pan zły, że pana śledziliśmy?

- Nie, ale wolałbym, żeby nie weszło wam to w nawyk.

- Rozumiem - odrzekł Aguirrez i zamyślił się na chwilę. - Czy zaatakowali pana ludzie z Oceanusa?

- Chyba tak. Z wyglądu przypominali tamtych ochroniarzy Oceanusa z Wysp Owczych.

- Dwa razy chcieli pana zabić. Niech pan będzie ostrożny, mój przyjacielu. Mogą znów spróbować.

- Już spróbowali.

Aguirrez nie zapytał o szczegóły. Najwyraźniej myślał o czymś innym. Wstał i zaczął spacerować po pokoju z kopią manuskryptu Blackthorne'a w ręku.

- Ludzie w tym budynku nie mogą się dowiedzieć o tej historii. Bez relikwii rząd hiszpański nie zechce przyznać Baskom autonomii. Ale chodzi tu nie tylko o politykę - dodał.

- Zawiodę mojego przodka Diego, jeśli nie znajdę relikwii.

- Może jeszcze jest na to sposób.

Aguirrez przystanął i utkwiał w Austinie badawcze spojrzenie.

- Jaki?

- Obaj chcemy przygwoździć Oceanusa. Pogadajmy o tym we wspólnym interesie.

Bask uniósł krzaczaste brwi, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu. Podeszedł do barku, skąd przyniósł dwa małe kieliszki i butelkę zielonkawo-żółtego alkoholu. Napełnił kieliszki i podał jeden gościowi.

Godzinę później Austin usiadł za kierownicą swojego samochodu. Zastanawiał się, czy zawarł korzystną umowę. Ufał jednak swojemu instynktowi. Obaj mieli ten sam cel, więc byłoby głupotą nie utworzyć sojuszu.

Sprawdził komórkę. Były do niego dwa telefony. Pierwszy od Troutów. Ulżyło mu, że się odezwali. Pracował z nimi w zespole specjalnym i wiedział, że Paul i Gamay potrafią sobie radzić, ale wyruszyli tropić Oceanusa, nie znając skali zagrożenia.

Oddzwonił do nich. Odebrała Gamay. Wrócili z Kanady przed kilkoma godzinami. Zostawili w domu bagaże i przyjechali do centrali NUMA na spotkanie z Zawalą, który miał ich zapoznać z aktualną sytuacją.

- Dostaliście się na teren Oceanusa? - zapytał Austin.

- Nie - odrzekła Gamay. - Ale spotkaliśmy się z jego ludźmi.

Powiedziała to trochę zbyt nonszalancko.

- Wiem z własnego doświadczenia, że spotkania z nimi mogą się źle skończyć. Nic wam się nie stało?

- Wszystko gra. Miałam tylko lekki wstrząs mózgu, a Paul złamał nadgarstek. Skaleczenia i siniaki dobrze się goją.

Austin zaklął pod nosem. Był zły na siebie, że naraził swoich partnerów na niebezpieczeństwo.

- Nie zdawałem sobie sprawy, w co was pakuję. Przepraszam.

- Nie ma za co. Prosiłeś tylko, żebyśmy spróbowali się czegoś dowiedzieć o Oceanusie. Wyprawa do Kanady i wtykanie nosa tam, gdzie nie byliśmy mile widziani, to był nasz pomysł. Ale opłaciło się. Inaczej nie dowiedzielibyśmy się o diabłorybach.

Jedyną diabłorybą, o jakiej Austin kiedykolwiek słyszał, była manta.

- Na pewno wyleczyłaś się już z tamtego wstrząsu?

- Nigdy nie miałam jaśniejszej głowy, Kurt, W ciągu całej mojej kariery biologa morskiego jeszcze nie spotkałam się z czymś takim. Paul nazwał to "białą śmiercią".

Austina przeszedł dreszcz na wspomnienie spotkania z wielkim, zębatym stworzeniem w hodowli ryb Oceanusa.

- Opowiecie mi wszystko, kiedy przyjadę.

Wyłączył się i wystukał numer Gunna.

- Cześć, Rudi - powiedział bez zwykłej wymiany uprzejmości. - Chyba czas, żebyśmy się spotkali z Sandeckerem.

Wielki ekran wideo w sali konferencyjnej żarzył się przez moment na niebiesko, potem pojawił się obraz. W sieci błysnęła srebrzysto-biała łuska i Mike Neal krzyknął: *Cofnijcie się, ludzie, mamy ostrą sztukę!* Ryba upadła na pokład i na zbliżeniu zębaty pysk przegryzł harpun. W tle słychać było zdumione głosy Troutów.

Paul zatrzymał pilotem obraz. Zapaliło się światło i energiczny, władczy głos powiedział:

- Wygląda na to, że Szczęki mają groźną konkurencję.

Admirał James Sandecker, szef NUMA, siedział przy długim stole konferencyjnym. Wokół jego głowy kłębił się dym z grubego cygara, które trzymał w ręku.

- Ten stwór na ekranie to coś niezwykłego, panie admirale - odparła Gamay, siedząc przy stole z Austinem, Zawalą i Rudim Gunnem. - Wielki biały rekin atakuje, kiedy jest głodny lub czuje się zagrożony. Stworzenie, które tu widzieliśmy, to urodzony zabójca, samo zło.

Sandecker wypuścił kłęb dymu i spojrzał na obecnych.

- Wyjaśnijcie mi łaskawie, co ten potwór ma wspólnego z gipsem na nadgarstku Paula.

Gamay i Paul opowiedzieli o swojej kanadyjskiej przygodzie. Zaczęli od wyprawy do przetwórci rybnej Oceanusa, skończyli na rozmowie z genetykami na Uniwersytecie McGilla.

- Spotkałaś Fredericka Barkera? - wtrącił się Austin.

Gamay przytaknęła.

- Znasz go?

- To przelotna znajomość. Wczoraj wieczorem jego ludzie próbowali mnie zabić.

Austin szybko zdał relację ze swojego spotkania z Barkerem i szaleńczego wyścigu psich zaprzęgów przez Mali.

- Moje gratulacje, Kurt. Karambol, który spowodowałeś, trafił na pierwszą stronę "Washington Post". - Sandecker urwał i zamyślił się. - Nie wiem, czy wszystko dobrze rozumiem. Uważasz, że Oceanus zorganizował zatonięcie okrętu i statku na wodach farerskich, żeby odwrócić uwagę od tajnego projektu, kierowanego przez Barkera, mającego coś wspólnego z rybami mutantami. Z takimi jak ta, na którą Paul i Gamay natrafili w

Kanadzie. A ludzie z tego bandyckiego plemienia eskimoskiego próbowali cię zabić na Wyspach Owczych, w Kopenhadze i w Waszyngtonie.

Austin pokręcił głową.

- Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie.

- Przelicytowałeś chyba barona Munchhausena. Na szczęście Paul i Gamay potwierdzili istnienie tych krwiożerczych Eskimosów. - Sandecker odwrócił się do Gunna. - Co sądzisz o tej fantastycznej opowieści, Rudi?

- Zanim odpowiem, chciałbym zapytać Gamay, co by się stało, gdyby te sztucznie zmutowane superryby trafiły do mórz i zaczęły się rozmnażać?

- Według doktora Throckmorta, kolegi Barkera, stałyby się biologiczną bombą zegarową - odrzekła Gamay. - Na przestrzeni kilku pokoleń mogłyby wyprzeć naturalne gatunki ryb.

- A co w tym złego? - zapytał Sandecker, bawiąc się w adwokata diabła. - Rybacy łowiliby większe ryby zamiast drobnicy.

- To prawda, ale nie znamy efektów długofalowych. A jeśli te *Frankenfishes* byłyby niejadalne dla ludzi? A jeśli powstałaby jakaś nieprzewidziana mutacja? Może potomstwo tych superryb nie potrafiłoby przetrwać na wolności? Nie mielibyśmy wówczas ani naturalnych gatunków, ani mutantów. Równowaga w środowisku morskim zostałaby zachwiana. Rybacy, przetwórcy i dystrybutorzy na całym świecie straciliby pracę. Społeczności żywiące się rybami zaczęłyby głodować. Kraje wysoko uprzemysłowione też by ucierpiały.

- Czarny scenariusz - zauważył Sandecker.

- Staram się być ostrożna w moich ocenach. Jest za dużo niewiadomych. Wiemy, że programy modyfikacji genetycznej obejmują ponad dwadzieścia pięć gatunków ryb. Jeśli te stworzenia wydostaną się na wolność, może dojść do katastrofy na niewyobrażalną skalę.

- Zakładamy, że ten potwór na ekranie uciekł z laboratorium badawczego - powiedział Rudi. - A jeśli on i jemu podobne stwory celowo wypuszczono do morza?

Gamay popatrzyła na Gunna zaskoczona.

- Dlaczego ktoś miałby ryzykować, że wyginą całe gatunki? To byłaby katastrofa.

Gunn pokręcił głową.

- Nie dla wszystkich.

- Co ty mówisz? - wtrącił się Sandecker.

- Ryby zniknęłyby z mórz, ale nie z hodowli Oceanusa. Ta firma uzyskuje międzynarodowe patenty na rybnie geny. Gatunki zostałyby zachowane w jej bankach DNA.

- Bardzo sprytnie, Rudi - przyznał Sandecker. - Oceanus miałby monopol na produkcję głównego światowego źródła protein.

- Taki monopol byłby wart miliardy dolarów - dodał Paul.

- Nie chodzi tylko o pieniądze - odparł Sandecker. - Rybie proteiny to główne źródło wyżywienia dla dużej części świata. Żywność to władza.

- To wyjaśnia, dlaczego Oceanus tak się z tym kryje - powiedział Austin. - Gdyby wyszło na jaw, że zamierza wytepić ryby w morzach świata, nietrudno sobie wyobrazić reakcję opinii publicznej.

- Brzmi prawdopodobnie - zgodził się Gunn. - Zakładasz wylęgarnie bioryb na całym świecie i w krótkim czasie możesz zarybić główne łowiska.

- Nie potrzeba do tego wielu bioryb - dodała Gamay. - Każdy uwolniony osobnik męski może zapłodnić mnóstwo osobników żeńskich. Chciałabym jednak zaznaczyć, że wpuszczanie ryb do morza nie jest sprzeczne z prawem.

- Oceanus zatopił okręt i statek oraz zabił kilka osób, żeby zachować w tajemnicy swoje kombinacje - zauważył Austin. - Trzyma w niewoli całą wioskę indiańską. Prawo nie akceptuje morderstw i porwań.

- Ponieważ jednak na razie nie możemy Oceanusowi nic udowodnić - odrzekł Sandecker - musimy postępować ostrożnie. Nawet rząd kanadyjski nie może wiedzieć, co robimy. Oceanus ściągnąłby nam na kark policję. Zespół specjalny został stworzony do zadań poza oficjalną kontrolą, więc doskonale się nadaje do zrealizowania naszego planu.

- Nie wiedziałem, że mamy jakiś plan - odezwał się Zawała.

- Mnie wydaje się to oczywiste - odparł admirał. - Rozwalimy Oceanusa i jego cholerny projekt. Zdaję sobie sprawę, że to nie będzie łatwe. Rodzina Nighthawka może się znaleźć w niebezpieczeństwie, kiedy wkroczymy na scenę.

- Musimy wziąć pod uwagę jeszcze coś - powiedział Austin. - Marcus Ryan jest zdecydowany wprowadzić do akcji SOS. Mogą pokrzyżować nam plany i narazić więźniów na duże ryzyko.

- To przesądza sprawę - odrzekł Sandecker. - Ruszamy natychmiast. Musimy uderzyć w samo serce Oceanusa, w tamto miejsce w kanadyjskich lasach. Kurt, czy ten młody Indianin podał ci lokalizację swojej wioski?

- Ryan trzymał go na krótkiej smyczy. Ben gdzieś zniknął, ale postaram się go znaleźć.

- Nie możemy czekać tak długo. - Sandecker przeniósł wzrok na mężczyznę o niechlujnym wyglądzie, który w czasie dyskusji wśliznął się cicho do sali i usiadł w rogu. - Hiram, masz coś dla nas?

Hiram Yeager był szefem centrum komputerowego, zajmującego całe dziesiąte piętro budynku NUMA. Ośrodek przetwarzał i przechowywał taką ilość danych o morzach, jakiej nigdy odtąd nie zgromadzono pod jednym dachem. Człowiek kierujący tą niewiarygodną machiną do zbierania informacji był ubrany w swój zwykły strój - dżinsy i kurtkę Levisa, biały T-shirt i kowbojskie buty. Długie włosy miał związane w kucyk i patrzył na świat przez okulary w drucianej oprawce.

- Rudi prosił mnie, żebym sprawdził, czy Max uda się zrobić listę miejsc, gdzie nagle giną ryby, oraz powiązać to z pobliskimi przetwórniami lub hodowlami.

- Chcesz, żebyśmy przenieśli to spotkanie do centrum komputerowego? - zapytał Sandecker.

Chłopięca twarz Yeagera rozpromieniła się z podniecenia.

- Zostańcie tutaj. Zaraz zademonstruję wam przenośną Max.

Sandecker skrzywił się. Chciał jak najszybciej wysłać swoich ludzi w teren i nie interesowały go eksperymenty Yeagera. Jednak z szacunku dla komputerowego geniusza wykazał wyjątkową cierpliwość. Z tego samego powodu pozwalał Yeagerowi ignorować obowiązujący w NUMA strój.

Yeager podłączył laptop do różnych końcówek i ekranu wideo. Wcisnął przycisk uruchamiający. Jeśli ktoś spodziewał się zwykłej prezentacji, nie znał Hiram Yeagera. Na ekranie wideo pojawił się obraz kobiety. Miała oczy jak brązowe topazy, lśniące kasztanowe włosy i nagie ramiona.

Trudno było uwierzyć, że piękna kobieta na ekranie to system sztucznej inteligencji, produkt końcowy najbardziej skomplikowanych obwodów elektronicznych. Yeager nagrał swój głos i zmienił cyfrowo jego brzmienie na kobiece. Do stworzenia programu wykorzystał twarz żony, znanej artystki. Max była równie wrażliwa i drażliwa jak ona.

Podczas pracy w centrum komputerowym Yeager siedział przy wielkiej konsoli i wyświetlał trójwymiarową Max na ogromnym ekranie.

- Przy przenośnej Max nie musicie przychodzić z pytaniami do centrum komputerowego. Laptop jest połączony z głównym komputerem, więc mogę ją zabierać ze sobą, dokąd chcę. Zgadza się, Max?

Normalnie Max odpowiadała na to pytanie czarującym uśmiechem, ale teraz miała taki wyraz twarzy, jakbyssała cytrynę. Yeager pomanipulował przy złączach i spróbował jeszcze raz.

- Max? Wszystko gra?

Spojrzała w dół ekranu.

- Czuję się jakaś... płaska.

- Ależ skąd, wyglądasz świetnie - odrzekł Yeager.

- Tylko świetnie?

- Cudownie!

Sandecker stracił cierpliwość.

- Może powinienes posłać tej młodej damie bukiet róż.

- W moim wypadku to zawsze działa - wtrącił się Zavała.

Sandecker zmiażdżył go wzrokiem.

- Dzięki, że zechciałeś podzielić się z nami swoim ogromnym doświadczeniem, Joe.

Możesz to umieścić w pamiętnikach. Hiram, bądź tak dobry i przejdź do rzeczy.

Max uśmiechnęła się.

- Cześć, admirale Sandecker.

- Cześć, Max. Hiram ma rację, że wyglądasz cudownie. Uważam jednak, że powinniśmy zakończyć ten eksperyment z przenośną Max. W przyszłości będziemy cię odwiedzali w centrum komputerowym.

- Dzięki za zrozumienie, admirale. Czym mogę służyć?

- Pokaż nam dane, o które prosił Hiram.

Twarz natychmiast zniknęła. Zastąpiła ją mapa świata.

- Ta mapa ukazuje miejsca, gdzie w pobliżu akwakultur giną ryby. Mogę podać szczegóły - powiedziała Max.

- Nie fatyguj się na razie. Pokaż nam akwakultury należące do Oceanusa. Niektóre kółka zniknęły, ale dużo pozostało.

- A teraz poproszę Kanadę - powiedział Sandecker.

Pojawiło się powiększenie Cape Breton.

- To tam Gamay i ja mieliśmy spotkanie z Oceanusem! - wykrzyknął Paul Trout.

- Max - odezwał się Austin - mogłabyś poprowadzić linię prostą od terenu Oceanusa do najbliższego jeziora w północnej Kanadzie?

Na mapie wyświetliła się linia prowadząca od nadmorskiego terenu firmy w głąb kraju, ale wskazane jezioro było zbyt małe i znajdowało się za blisko cywilizacji. Po kilku

próbach Max połączyła akwakulturę z jedynym jeziorem na tyle dużym i odludnym, że odpowiadało opisowi Nighthawka.

- Możemy zrobić zdjęcia satelitarne tego miejsca - zaproponował Austin. - Jednak instynkt mówi mi, że to tu.

- Dziękuję, Max. Możesz się wyłączyć - powiedział Sandecker.

Ekran zgasł. Sandecker, najwyraźniej zadowolony z siebie, odwrócił się do Zavali.

- Tak się postępuje z kobietami. - Po chwili spowaźniał. - Chyba czas ruszać.

Zavala odchrząknął.

- To dość dziki rejon. Założmy, że bez kłopotu znajdziemy tych *hombres*. I co dalej?

Po prostu rzucimy się na nich?

Sandecker zrobił minę, jakby pytanie go zaskoczyło.

- Czekam na propozycje.

- Mam jedną. Wezwać Królewską Kanadyjską Policję Konną.

Sandecker pokazał w krokodylim uśmiechu równe zęby.

- Jestem pewien, że poradzicie sobie bez nich. Daję wam wolną rękę.

- Wołałbym Kanadyjską Konną - odparł Zavala. - Jeśli są zajęci, może być kontyngent Sił Specjalnych.

Austin przyszedł partnerowi z pomocą.

- Nie dziwię się, że Joe ma wątpliwości. Troutowie i ja już przekonaaliśmy się, że Oceanus najpierw strzela, potem zadaje pytania.

- Formalności potrzebne do wezwania kanadyjskiej policji czy wojska trwałyby za długo. Co do Sił Specjalnych, musielibyśmy mieć zgodę prezydenta na przekroczenie granicy kanadyjskiej. Wątpię, żebyśmy ją dostali.

- W takim razie mam propozycję - odrzekł Austin.

Powtórzył swoją rozmowę z Aguirrezem.

Sandecker przez chwilę w zamyśleniu palił cygaro.

- Chcesz skorzystać z pomocy tego Baska, który może być terrorystą, żeby przeprowadzić operację NUMA w obcym kraju?

- Jeśli nie możemy liczyć na amerykańskich marines ani Kanadyjską Konną, tylko on nam pozostaje.

- Hm... - mruknął Sandecker. - Można mu ufać?

- Wiem, że zrobi wszystko, żeby znaleźć relikwie. Więcej nie potrafię powiedzieć. Ale dwa razy uratował mi życie.

Sandecker zaczął skubać precyzyjnie przyciętą bródkę. Pomysł wykorzystania Baska w gruncie rzeczy odpowiadał mu, ale nie chciał tracić kontroli nad sytuacją. Miał jednak całkowite zaufanie do Austina i jego zespołu.

- Sam zdecyduj - odparł.

- Jest jeszcze coś. - Austin opowiedział o nagłym zamknięciu wystawy w muzeum i wypadku senatora Grahama.

- Dobrze go znam - odrzekł Sandecker.

Gunn przytaknął.

- I zgadnijcie, czym się ostatnio zajmowała jego komisja handlu? Likwidowaniem luk prawnych, które pozwoliłyby na przywóz bioryb do Stanów.

- Co za zbieg okoliczności - zauważył Austin. - Zwłaszcza że wracał z imprezy zorganizowanej przez Oceanusa.

- Sugerujesz - odezwał się Sandecker - że ta wystawa była sprytną przykrywką dla zabójców?

- To by pasowało. Bez Grahama być może nie uda się zlikwidować tych luk prawnych.

- Słusznie - zgodził się Sandecker. - W tym towarzystwie z pewnością jest wielu chętnych do brania w łapę. - Miał kiepską opinię o Kongresie.

- Oceanus usunął główną przeszkodę - powiedział Austin. - Podejrzewam, że teraz wykona następny ruch.

Sandecker wstał i zmierzył ich zimnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Więc najwyższy czas, żebyśmy przystąpili do działania.

Kiedy Austin wrócił do swojego biura, czekała na niego wiadomość od kapitana statku badawczego NUMA "William Beebe", pracującego wspólnie z Duńczykami u wybrzeży Wysp Owczych. *Zadzwoń natychmiast* - przeczytał Austin. Poniżej był numer telefonu.

- Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć - powiedział kapitan, kiedy Austin zadzwonił do niego. - Zdarzył się tutaj wypadek. Wyleciał w powietrze statek badawczy. Zginęło osiem osób. Łącznie z duńskim naukowcem, profesorem Jorgensenem.

Austin przypomniał sobie, że Jorgensen zamierzał kontynuować badania w pobliżu hodowli ryb Oceanusa. Ostrzegął profesora, żeby był ostrożny.

- Dzięki, kapitanie - odrzekł. - Wiadomo, co spowodowało eksplozję?

- Jedyna uratowana kobieta mówiła coś o helikopterze w pobliżu statku tuż przed wybuchem, ale brzmiało to bez sensu. To ona zasugerowała, żeby cię zawiadomić. Chyba była gościem profesora na pokładzie. Nazywa się Pia, czy coś w tym rodzaju.

- To moja znajoma. Co z nią?

- Kilka złamanych kości i poparzeń. Lekarze oceniają, że wyjdzie z tego.

- Mógłbyś przekazać jej wiadomość?

- Oczywiście.

- Powiedz, że odwiedzę ją, kiedy tylko poczuje się lepiej.

- Załatwione.

Austin podziękował kapitanowi i rozłączył się. Zapatrzył się w przestrzeń. Drgały mu mięśnie szczęki, niebieskozielone oczy miały twarde wyraz. Myślał o końskim uśmiechu Jorgensena i uprzejmości Pii. Barker, Toonook, czy jakkolwiek się nazywał ten typ, popełnił życiowy błąd. Zabijając profesora i raniąc Pię, wypowiedział Austinowi prywatną wojnę.

Jednosilnikowy hydroplan leciał nisko, wyglądając jak zabawka na tle rozległych kanadyjskich lasów. Therri Weld siedziała obok pilota na przednim fotelu. Widziała ostre wierzchołki drzew, które mogły bez trudu rozpruć podbrzusze kadłuba.

Na początku podróży Therri bardzo się denerwowała, ale lot przebiegał bez problemów. Doszła do wniosku, że wielki, niedźwiedziowaty pilot o nazwisku Bear najwyraźniej zna się na rzeczy.

- Nie latam tu zbyt często - powiedział Bear, przekrzykując ryk silnika. - Za duże odludzie dla tych, którzy przyjeżdżają na ryby i polowania. Muszą mieć domki z kanalizacją.
- Wskazał przez przednią szybę monotony teren. - Zbliżamy się do jeziora Looking Glass. To właściwie dwa jeziora połączone krótkim przesmykiem. Miejscowi nazywają je Bliźniakami. Za kilka minut usiądziemy na mniejszym z nich.

- Widzę tylko drzewa - odezwał się Marcus Ryan, siedzący za pilotem.

Bear wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- W tych stronach to jest najważniejsze.

Zerknął na Therri, żeby sprawdzić, czy podobał jej się żart. Uśmiechnęła się bez przekonania. Czułaby się dużo pewniej, gdyby był z nimi Ben Nighthawk. Nie odbierał telefonów w swoim mieszkaniu. Chciała próbować dalej, ale Marcusowi spieszyło się do wyjazdu.

- Możesz się wycofać, jeśli chcesz - powiedział. - Chuck i ja polecimy sami. Ale musimy się pospieszyć, bo samolot czeka.

Therri ledwo zdążyła się spakować. Ryan wpadł po nią i wkrótce potem załadowali się do dyrektorskiego odrzutowca SOS razem z Chuckiem Mercerem, byłym pierwszym oficerem na "Sea Sentinelu". Po zatonięciu statku Mercer rwał się do działania.

Therri byłaby większą entuzjastką tej wyprawy, gdyby nie miała zastrzeżeń do strategii Ryana. Dowiedział się od Bena, jak trafić na miejsce. Dostał od niego nazwę i lokalizację jeziora. Ben zarekomendował mu też Beara.

Pilot przemycił kiedyś narkotyki i nie zadawał pytań, jeśli mógł dobrze zarobić. Nawet nie mrugnął okiem, gdy Marcus powiedział mu, że robi film dokumentalny o kulturze tubylców i chce potajemnie obejrzeć wioskę Bena.

Bear był zazwyczaj dyskretny, ale mieszkał w osadzie, gdzie wszyscy znali jego przeszłość i przestał być ostrożny. Przy tankowaniu samolotu wymknęło mu się kilka słów o pracy dla SOS. Nie mógł wiedzieć, że ktoś zwrócił na to uwagę, a potem obserwował start jego hydroplanu.

Nagle wyłoniło się jezioro. Therri dostrzegła lśnienie wody w ukośnych promieniach popołudniowego słońca. Sekundę później samolot opadł, jakby dostał się w dziurę powietrzną. Serce podskoczyło jej do gardła. Potem hydroplan wyrównał i zszedł ślizgiem w dół. Pływaki dotknęły powierzchni wody.

Bear podpłynął do brzegu. Kiedy samolot był blisko stromej plaży o szerokości kilku metrów, wygramolił się z kokpitu na pływak i zeskoczył do wody, która sięgała mu do pasa. Przywiązał do wspornika linę, drugi jej koniec przełożył przez ramię i doholował maszynę bliżej lądu. Przycumował ją do pniaka, potem pomógł innym wyładować bagaż. Za pomocą butli z dwutlenkiem węgla szybko napompowali ponton o długości około dwóch i pół metra. Bear stał z rękami na biodrach i przyglądał się z zainteresowaniem, jak Ryan sprawdza cichy, akumulatorowy silnik doczepny.

- Wrócę po was jutro - powiedział. - Gdybym był potrzebny, macie radio. Uważajcie na siebie.

Samolot podkołował do końca jeziora, wystartował i poleciał z powrotem. Therri podeszła do Ryana i Mercera. Mercer otworzył pakunek z materiałem wybuchowym C-4 i obejrzał detonatory. Uśmiechnął się.

- Jak za starych, dobrych czasów.

- Na pewno dasz sobie z tym radę, Chuck?

- Mówisz do człowieka, który sam jeden zatopił islandzki statek wielorybiczny.

- To było dawno. Teraz jesteśmy dużo starsi.

Mercer dotknął detonatora.

- Nie potrzeba siły, żeby wcisnąć przycisk. Odpłacę tym skurwielom za nasz statek. - Był wściekły, odkąd się dowiedział, że statki Oceanusa są obsługiwane w tej samej stoczni na Szetlandach, gdzie prawdopodobnie dokonano sabotażu na "Sea Sentinelu".

- O Joshu też nam nie wolno zapominać - dodał Ryan.

- Pamiętam o nim - odrzekła Therri - ale czy jesteś pewien, że nie ma innego sposobu?

- Nie ma. Musimy to rozegrać ostro.

- Nie spieram się, że trzeba coś zrobić. Chodzi mi o środki. Co będzie z rodziną Bena? Narazisz ich na niebezpieczeństwo.

- Nie możemy zrezygnować z osiągnięcia naszego podstawowego celu. Musimy powstrzymać zarazę, zanim się rozprzestrzeni.

- Zarazę? Przerażasz mnie, Marcus. Mówisz jak biblijny prorok.

Ryan poczerwieniał, ale opanował się.

- Nie zamierzam zaszkodzić rodzinie Bena. Oceanus będzie za bardzo zajęty naszymi drobnymi prezentami, żeby robić co innego. W każdym razie, kiedy tylko skończymy swoje, wezwiemy władze.

- Wystarczy kilka serii z broni automatycznej, żeby zabić rodzinę Bena. Dlaczego od razu nie wezwiemy pomocy?

- Bo to wymagałoby czasu, którego nie mamy. Byłyby potrzebne nakazy rewizji i cała procedura prawna. Zanim Kanadyjska Konna zdecydowałaby się wkroczyć, wieśniacy mogliby już nie żyć. - Ryan urwał. - Pamiętaj, że próbowałem wciągnąć do tego NUMA i Austin odmówił.

Therri przygryzła dolną wargę. Była całkowicie lojalna wobec Ryana, ale nie bezkrytyczna.

- Nie czepiaj się Kurta. Gdyby nie on, jadłbyś teraz sardynki w duńskim więzieniu.

Ryan uśmiechnął się do niej promiennie.

- Masz rację. Nie pomyślałem o tym. Ale jeszcze zdążymy wezwać Beara, żeby cię stąd zabrał.

- Nie ma mowy, Ryan.

Mercer skończył pakować plecaki. Włożył pas z pistoletem, drugi wręczył Ryanowi. Therri nie przyjęła broni. Władowali bagaż do pontonu, odepchnęli się od brzegu, uruchomili silnik i odpłynęli z cichym szumem. Trzymali się blisko łądu, nawet po wydostaniu się na większe jezioro.

Ryan korzystał z mapy topograficznej z naniesionymi informacjami od Bena. W pewnym momencie zatrzymał ponton i popatrzył przez lornetkę na drugi brzeg. Zobaczył pomost i kilka łodzi, ale nie zauważył budowli opisanej przez Nighthawka.

- Dziwne. Nie widzę kopuły. Ben mówił, że była wyższa niż drzewa.

- Co robimy? - zapytała Therri.

- Zaczekamy w wiosce Bena. Potem przeprawimy się przez jezioro, podłożymy ładunki tam, gdzie narobią najwięcej szkód, i nastawimy detonatory na późny ranek, kiedy już nas tu nie będzie.

Popłynęli dalej. Słońce chowało się za drzewami, gdy zobaczyli polanę z domami, które tworzyły wioskę Bena. Panowała śmiertelna cisza. Słysząc było tylko lekki szum lasu i

plusk fal, uderzających o brzeg. Zatrzymali się około pięćdziesięciu metrów od lądu. Najpierw Ryan, potem pozostali przyjrzeni się wiosce przez lornetki. Nikogo nie zauważyli, więc podpłynęli do plaży, wciągnęli ponton na piasek i wyszli na brzeg.

Ryan był ostrożny. Nalegał, żeby sprawdzić domy i sklep. Wioska okazała się opuszczona, tak jak mówił Ben. Zjedli kolację. Zanim skończyli, zapadła ciemność. Powierzchnia jeziora lśniła granatowoczarным blaskiem, na drugim brzegu paliło się kilka świateł. Czuwali kolejno, kiedy reszta spała. Koło północy przygotowali się do drogi. Zepchnęli ponton na wodę i odpłynęli.

W połowie jeziora Ryan spojrział przez lornetkę.

- Jezu!

Niebo na wprost rozświetliło się. Podał lornetkę Therri, ale nawet gołym okiem widziała żarzącą się, zielonkawoniebieską budowlę, która górowała nad drzewami. Wyglądała tak, jakby spadła z kosmosu.

Ryan kazał Mercerowi sterować w bok, z dala od pomostu. Kilka minut później przybili do brzegu, wciągnęli ponton na ląd i przykryli gałęziami. Potem ruszyli wzdłuż plaży w kierunku pomostu. Niedaleko przystani skręcili w głąb lądu i dotarli do drogi, którą Ben i Josh Green doszli do hangaru statku powietrznego. Błotniste koleiny, opisane przez Nighthawka, zostały już wyrównane i wyasfaltowane.

Szukali konkretnego budynku i rozpoznali go po szumie pomp. Mercer szybko uporał się z kłódkami za pomocą miniaturowego palnika.

Od ściany do ściany ciągnęły się wielkie szklane zbiorniki. Cuchnęło rybami, hałasowały silniki elektryczne. W półmroku widać było duże, jasne kształty, poruszające się w akwariach. Mercer zabrał się do pracy. Umieścił ładunki C-4 w strategicznych punktach. Materiał wybuchowy przypominał kit. Oblepił nim pompy i złącza elektryczne, gdzie eksplozje miały spowodować największe zniszczenia. Resztę przykleił na zewnątrz akwariów.

Szybko uzbroili ładunki i ustawili zegary. Cała operacja zajęła im trzydzieści minut. W oddali widzieli ludzi. Wrócili na brzeg jeziora. Po drodze znów nikogo nie spotkali. Ryan zaczynał się czuć niepewnie, ale parł naprzód. Zgodnie z planem, Bear miał ich zabrać tuż przed wybuchem.

Niestety, wszystko poszło nie tak. Okazało się, że zniknął ich ponton. Ryan pomyślał, że może zabłądzili w ciemności. Wysłał przyjaciół na poszukiwania, sam został na straży. Minęło pięć minut i nikt nie wrócił. Ryan ruszył śladem Therri i Mercera. Stali obok siebie i patrzyli na jezioro.

- Znaleźliście? - zapytał.

Nie odpowiedzieli i nie poruszyli się. Podszedł bliżej i zrozumiał. Mieli ręce związane drutem za plecami i usta zaklejone taśmą. Zanim zdążył ich oswobodzić, z zarośli przy plaży wyskoczyło kilkunastu ludzi.

Jeden z mężczyzn zabrał Ryanowi pistolet, inny podszedł blisko, zapalił latarkę i skierował snop światła na swoją dłoń. Trzymał w niej jeden z ładunków założonych przez Mercera w budynku z akwariami. Rzucił materiał wybuchowy do jeziora i oświetlił swoją twarz. Ryan zobaczył ospowatą cerę i okrutny uśmiech.

Mężczyzna wyciągnął nóż z białym ostrzem i przystawił Ryanowi do gardła. Nacisnął lekko i po skórze spłynęła kropelka krwi. Potem powiedział coś w dziwnym języku i schował nóż do pochwy. Wszyscy razem poszli w kierunku hangaru statku powietrznego.

Austin obejrzał pod szkłem powiększającym zdjęcie satelitarne leżące na jego biurku i pokręcił głową. Podsunął fotografię i lupę Zawali. Joe przez chwilę oglądał zdjęcie, a potem powiedział:

- Widać jezioro i polanę z jakimiś domami. Może to być wioska Nighthawka. Po drugiej stronie widać pomost i łodzie, ale nie ma żadnego hangaru dla statku powietrznego. Chyba że jest gdzieś ukryty.

- W przeciwnym wypadku okaże się, że nasza wyprawa to robota głupiego.

- Nie po raz pierwszy. Jednak Max twierdzi, że to tutaj, a ja powierzyłbym jej własne życie.

- Może będziesz musiał - odrzekł Austin i zerknął na zegarek. - Nasz samolot będzie gotowy do startu za parę godzin. Lepiej zacznijmy się pakować.

- Jeszcze nie zdążyłem się rozpakować po ostatniej podróży - odparł Zawała. - Do zobaczenia na lotnisku.

Austin zrobił szybki obchód swojego domu w dawnej przystani. Kiedy szedł do drzwi, zauważył, że na automatycznej sekretarce miga lampka. Zawahał się, czy odsłuchać wiadomość. Gdy wcisnął przycisk, uznał, że dobrze zrobił. Próbował go złapać Ben Nighthawk i zostawił numer telefonu.

Austin rzucił worek marynarski i szybko oddzwonił.

- Cieszę się, że cię słyszę - powiedział Nighthawk. - Czekałem przy telefonie w nadziei, że się odezwiesz.

- Próbowałem się z tobą skontaktować parę razy.

- Przepraszam, że zachowałem się tak głupio. Tamten facet zabiłby mnie, gdybyś nie wkroczył. Potem trochę zabawiłem się z kumplami. Kiedy wróciłem do domu, zastałem wiadomość od Therri, że SOS wyrusza do Kanady na własną rękę. Pewnie Ryan ją namówił.

- Cholerni idioci. Zabiją ich tam.

- Też się tego obawiam. I martwię się o moją rodzinę. Musimy ich powstrzymać.

- Zamierzam to zrobić, ale potrzebuję twojej pomocy.

- Nie ma sprawy.

- Kiedy możesz wyjechać?

- W każdej chwili.

- Więc wpadnę po ciebie w drodze na lotnisko.
- Będę czekał.

Po wyjściu z budynku NUMA Zavala pojechał corvetta kabriolet rocznik 1961 do swojego domu w Arlington. O ile na górze panował idealny porządek, czego można się było spodziewać po kimś, kto stale pracuje z zegarmistrzowską dokładnością, o tyle podziemie wyglądało jak skrzyżowanie warsztatu kapitana Nemo z wiejską stacją benzynową. Było zavalone modelami pojazdów podwodnych, narzędziami do cięcia metalu i stosami rysunków technicznych z odciskami brudnych palców.

Jedynym wyjątkiem w tym bałaganie była zamknięta metalowa szafka, gdzie Zavala trzymał swoją kolekcję broni. Oficjalnie miał stanowisko inżyniera konstruktora, ale jego praca w Zespole Specjalnym wymagała czasem strzelania. W przeciwieństwie do Austina, który najchętniej posługiwał się rewolwerem Bowen, zrobionym na zamówienie, Zavala korzystał z takiego uzbrojenia, jakie było najbardziej skuteczne w danej sytuacji. Przyjrzał się kolekcji w szafce i zastanowił, co - poza bombą neutronową - byłoby odpowiednie do walki z bezwzględną międzynarodową organizacją, posiadającą własną armię. Wybrał wielostrzałową strzelbę Ithaca model 37, podstawowe uzbrojenie komandosów SEAL w Wietnamie.

Zavala zapakował ją starannie razem z dużym zapasem amunicji i wkrótce potem był w drodze do portu lotniczego Dullesa. Jechał z opuszczonym dachem i rozkoszował się prowadzeniem samochodu. Wiedział, że następną jazdę corvetta odbędzie dopiero po zakończeniu operacji. Zaparkował przy hangarze, w ustronnym miejscu lotniska, gdzie mechanicy kończyli przegląd dyrektorskiego odrzutowca NUMA. Ze smutkiem pożegnał się z samochodem i wspiął się na pokład samolotu.

Kiedy przeglądał plan lotu, zjawił się Austin. Przyprowadził ze sobą Bena Nighthawka. Przedstawił Zawali młodego Indianina. Nighthawk rozejrzał się dookoła, jakby czegoś szukał.

Austin zauważył wyraz konsternacji na jego twarzy i uspokoił go.

- Bez obaw. Joe tylko wygląda na takiego nierozgarniętego. Naprawdę potrafi pilotować samolot.

Zavala podniósł wzrok znad clipboardu.

- Zgadza się. Skończyłem kurs korespondencyjny. Nie zaliczyłem tylko lądowania.
- Joe lubi żartować - wyjaśnił Austin, żeby uspokoić Bena.
- Nie o to mi chodzi. Lecimy tylko we trzech?

Zavala uśmiechnął się. Przypomniał sobie sceptycyzm Beckera, kiedy on i Austin przybyli na ratunek duńskim marynarzom.

- Często to słyszymy. Zaczynam mieć kompleks niższości.

- Nie jesteśmy samobójcami - powiedział Austin. - Po drodze zabierzemy jeszcze kogoś. Na razie rozgość się. W dzbanku jest kawa. Będę asystował Joemu w kokpicie.

Szybko dostali pozwolenie na start i polecili na północ. Utrzymywali prędkość ośmiuset kilometrów na godzinę i po trzech godzinach byli nad wodami Zatoki Świętego Wawrzyńca. Wylądowali na małym nadmorskim lotnisku. Rudi Gunn sprawdził wcześniej, że w zatoce pracuje statek badawczy NUMA. Austin, Zavala i Ben bez przeszkód przeszli przez kanadyjską kontrolę celną i wsiedli na statek, który zawinął do portu. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, "Navarra" czekała dziesięć mil morskich od brzegu.

Kiedy zbliżyli się do jachtu, Zavala z uznaniem przyjrzał się jego długiej, smukłej sylwetce.

- Piękny - powiedział. - I chyba szybki. Ale nie wygląda na odpowiedni do walki z Oceanusem.

Austin uśmiechnął się z wyższością.

- Zaczekaj, to zobaczysz.

Z "Navarry" wysłano po nich motorówkę. Aguirrez czekał na pokładzie w czarnym berecie, nałożonym na bakier. Obok stali dwaj goryle, którzy eskortowali Austina po wyłowieniu go z wody przy Wrotach Syreny.

Aguirrez mocno uścisnął dłoń Kurta.

- Miło znów pana widzieć, panie Austin. Cieszę się, że pan i pańscy przyjaciele jesteście już na pokładzie. To moi dwaj synowie, Diego i Pablo.

Austin po raz pierwszy zobaczył uśmiech na twarzach tych dwóch mężczyzn i zauważył ich podobieństwo do ojca. Przedstawił Zavalę i Nighthawka. Jacht ruszył w drogę. Goście poszli za Aguirrezem do salonu. Gospodarz wskazał im miejsca, steward podał gorące napoje i kanapki. Aguirrez zapytał, jaką mieli podróż. Zaczekał cierpliwie, aż skończą lunch. Potem wziął pilota i wcisnął przycisk. Część ściany odsunęła się do góry i odsłoniła wielki ekran. Po naciśnięciu następnego przycisku pojawiło się na nim zdjęcie zrobione z powietrza. Ukazywało las i wodę.

Nighthawk wstrzymał oddech.

- To moje jezioro i moja wioska.

- Wykorzystałem współrzędne dostarczone mi przez pana Austina i wprowadziłem je do komercyjnego satelity - wyjaśnił Aguirrez. - Nie ma tu jednak żadnego śladu hangaru dla statku powietrznego, o którym słyszałem.

- Mieliśmy ten sam problem z naszymi zdjęciami satelitarnymi - odrzekł Austin. - Jednak z symulacji komputerowej wynika, że to tutaj.

Nighthawk wstał i podszedł do ekranu. Wskazał część lasu przy jeziorze.

- To tu, jestem tego pewien. Widać miejsce po wycince drzew i pomost. - Zmieszał się. - Ale tam, gdzie powinien być hangar, jest tylko las.

- Opowiedz nam jeszcze raz, co wtedy widziałeś - poprosił Austin.

- Wielką kopułę, ale zobaczyliśmy ją dopiero po przylocie statku powietrznego. Miała panelową powierzchnię.

- Panelową? - upewnił się Zavala.

- Tak. Jak kopuła, którą zbudowano na olimpiadę w Montrealu. Składającą się z setek części.

Zavala skinął głową.

- Nie wiedziałem, że technologia kamuflażu adaptacyjnego jest już tak zaawansowana. Austin wskazał ekran.

- Mówimy raczej o niewidzialności.

- Kamuflaż adaptacyjny to nowa technika. Powierzchnia, którą chce się ukryć, zostaje pokryta płaskimi panelami. Sensory wyświetlają na nich to, co widzą dookoła. W tym wypadku są to drzewa. Kopuła wtapia się w tło lasu. Ktoś najwyraźniej wziął pod uwagę obserwację satelitarną.

Austin pokręcił głową.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać swoją wiedzą, Joe.

- Chyba wyczytałem to w magazynie "Mechanika dla Każdego".

- Być może rozwiązał pan zagadkę - powiedział Aguirrez. - W nocy panele są zapewne zaprogramowane na ciemność dookoła. Kiedy kopuła otworzyła się dla zeppelinu, pan Nighthawk zobaczył więcej, niż zamierzano pokazać. Jest jeszcze coś, co może panów zainteresować. Zachowałem zdjęcia zrobione wcześniej. - Przeszukał wstecz bazę danych i pokazał inny widok z lotu ptaka. - To zdjęcie zostało zrobione wczoraj. W rogu widać kontury małego samolotu. Powiększę ten fragment.

Cały ekran wypełnił obraz hydroplanu. Na brzegu stały cztery postacie.

- Samolot zniknął wkrótce po zrobieniu zdjęcia, ale proszę spojrzeć na to.

Pojawił się mały ponton z trzema osobami na pokładzie. Kobieta patrzyła w niebo, jakby wiedziała, że są obserwowani z kosmosu. Austin zaklął cicho. Aguirrez uniósł krzaczaste brwi.

- Chyba wiem, kim są ci ludzie - powiedział Austin. - Ich obecność może skomplikować sytuację. Kiedy tam dotrzemy?

- Płyniemy w górę wybrzeża do punktu, skąd w linii prostej jest najkrótsza droga na miejsce. Zajmie to jakieś dwie godziny. Tymczasem pokażę panom, co mogę zaproponować.

Aguirrez ruszył przodem, goście za nim, a synowie na samym końcu. Zeszli pod pokład do jasno oświetlonego hangaru.

- Mamy dwa helikoptery - powiedział Bask. - Cywilnym, który stoi na rufie, latamy na co dzień. Sea cobra trzymamy w rezerwie na specjalne okazje. Pewną liczbę tych maszyn zamówiła hiszpańska marynarka wojenna. Dzięki znajomościom udało mi się zdobyć jeden z nich. Ma standardowe uzbrojenie. - Aguirrez mówił tonem sprzedawcy samochodów, który chce wcisnąć klientowi dodatkowe wyposażenie do buicka.

Austin przyjrzał się morskiej wersji śmigłowca, używanego przez wojska lądowe. Pod krótkimi, grubymi skrzydłami wisiały rakiety i działka.

- Standardowe uzbrojenie wystarczy.

- W porządku - odrzekł Aguirrez. - Moi synowie polecą z panem i pańskim przyjacielem eurocopterem, a sea cobra będzie was ubezpieczać. - Zmarszczył brwi. - Niepokoję się jednak, czy ludzie na tyle sprytni, żeby używać takiego kamuflażu, nie będą mieli najnowszych urządzeń wykrywających. Jeśli traficie na komitet powitalny, nawet dobrze uzbrojony helikopter może okazać się bezbronny.

- Zgadza się z tym - przytaknął Austin. - Dlatego podejmiemy tam lądem. Przyczaimy się w opuszczonym obozie drwali i Ben doprowadzi nas lasem do celu. Podejrzewam, że po poprzedniej wyprawie Bena tamci spodziewają się intruzów od strony jeziora, więc zajdziemy ich od tyłu. Wycofamy się tą samą drogą i mam nadzieję, że z rodziną i przyjaciółmi Bena.

- Podoba mi się ten plan, bo jest prosty - powiedział Aguirrez. - Co zrobicie po dotarciu do celu?

- To najtrudniejsza część operacji - odparł Austin. - Możemy polegać tylko na opisie Bena i zdjęciach z powietrza. Będziemy musieli improwizować, co zdarza się nam nie po raz pierwszy.

- A więc ruszajcie.

Dał znak jednemu z synów. Diego podszedł do telefonu, powiedział coś i nacisnął kilka guzików na konsoli sterującej. Rozległ się szum silników elektrycznych, odezwał się sygnał alarmowy i wrota w suficie rozsunęły się wolno. Podłoga zaczęła się unosić i po chwili wszyscy wraz z helikopterem znaleźli się na pokładzie. Zawiadomiona telefonicznie załoga podbiegła do sea cobry, żeby przygotować ją do akcji.

Statek doktora Throckmorton'a był przerobionym, przysadzistym traulerem, używanym przez Kanadyjską Służbę Rybołówstwa. Stał przy nabrzeżu blisko miejsca, gdzie cumowała łódź Mike'a Neala podczas pierwszej wizyty Troutów w porcie.

- Dziwne uczucie znowu być tutaj. Tak tu spokojnie... - powiedziała Gamay.

- Jak na cmentarzu - odparł Paul.

Pojawił się Throckmorton i przywitał ich ze swoją zwykłą wylewnością.

- Doktorostwo Trout! To prawdziwa przyjemność gościć państwa na pokładzie. Cieszę się, że zadzwoniliście. Nie spodziewałem się, że po naszej rozmowie w Montrealu tak prędko się zobaczymy.

- My też nie - odrzekła Gamay. - Pańskie odkrycia narobiły w NUMA sporo zamieszania. Dzięki, że zgodził się pan nas zabrać.

- Ależ nie ma za co. - Throckmorton zniżył głos. - Zwerbowałem do pomocy dwójkę moich studentów. Chłopaka i dziewczynę. Bardzo zdolni. Jestem jednak zadowolony, że mam na pokładzie prawdziwych naukowców. Widzę, że jeszcze nosi pan gips. Jak ręka?

- W porządku - odpowiedział Paul i rozejrzał się. - Nie ma doktora Barkera?

- Nie mógł przyjechać. Przeszkodziły mu jakieś sprawy osobiste - wyjaśnił Throckmorton. - Może dołączy do nas później. Mam nadzieję, że się zjawi. Przydałaby mi się jego wiedza na temat genetyki.

- Ma pan jakieś problemy? - zapytała Gamay.

- Ależ nie, wszystko gra. Jednak w tej dziedzinie można mnie porównać zaledwie do mechanika, który potrafi połączyć nadwozie z podwoziem, podczas gdy Frederick projektuje samochody sportowe.

Gamay uśmiechnęła się.

- Nawet najdroższe samochody sportowe nie będą jeździły wiecznie bez mechanika, który zadba o silnik.

- Bardzo pani uprzejma. Ale to skomplikowana sprawa i jest kilka nowych aspektów, dość zagadkowych. - Throckmorton zmarszczył brwi. - Zawsze uważałem rybaków za doskonałych obserwatorów tego, co się dzieje na morzu. Jak państwo wiedzą, miejscowa flotylla kutrów przeniosła się na bardziej wydajne łowiska. Rozmawiałem jednak z kilkoma

starszymi kapitanami, którzy widzieli, jak znikają ławice ryb i zastępują je tak zwane diabłoryby. Teraz one też są na wymarciu. I nie wiem, dlaczego giną.

- Szkoda, że nie udało się panu żadnej złowić.

- Tego nie powiedziałem. Chodźmy, pokażę państwu.

Throckmorton poprowadził Troutów przez "suchą" pracownię, gdzie znajdowały się komputery i inny sprzęt elektryczny. Weszli do "mokrej" pracowni - małego pomieszczenia z bieżącą wodą, zlewami, akwariami i stołami sekcijnymi do badania okazów. Throckmorton włożył rękawice i sięgnął do wielkiej chłodziarki. Przy pomocy Troutów wyjął zamrożonego łososia o długości ponad stu dwudziestu centymetrów i położył na stole. Paul pochylił się nisko i przyjrzał białej łusce.

- Podobny do ryby, którą złowiliśmy.

- Musieliśmy go zabić. Rozerwał sieć i gdyby żył, pożarłby cały statek.

- Teraz, kiedy już obejrzał pan z bliska jeden z tych okazów, jakie są pańskie wnioski?

- zapytała Gamay.

Throckmorton wyduł pulchne policzki.

- Jest tak, jak się obawiałem. Sądząc po jego niezwyklej wielkości, powiedziałbym, że na pewno został zmodyfikowany genetycznie. Krótko mówiąc, to mutant, który powstał w laboratorium. Taki sam gatunek, jaki pokazywałem państwu w mojej pracowni.

- Jednak pańska ryba była mniejsza i wyglądała bardziej normalnie.

Throckmorton przytaknął.

- Obie zaprogramowano przy użyciu genów wzrostu, tyle tylko, że mój eksperyment był pod kontrolą. W wypadku tego łososia najwyraźniej nie starano się ograniczyć jego rozmiarów. Jakby ktoś chciał zobaczyć, co stanie się dalej. Jednak wielkość i agresja doprowadziły do zagłady tych okazów. Kiedy wytrzebiły i zastąpiły naturalne gatunki, zwróciły się przeciwko sobie.

- Innymi słowy, były zbyt głodne, żeby się rozmnażać?

- Możliwe. Albo po prostu nie były przystosowane do życia na wolności. To tak, jak z dużym drzewem, które huragan wyrwie z korzeniami, podczas gdy karłowate przetrwa. Natura eliminuje mutanty niepasujące do otoczenia.

- Jest jeszcze inna możliwość - powiedziała Gamay. - Doktor Barker wspominał coś o tworzeniu bezpłodnych bioryb, żeby nie mogły się rozmnażać.

- Teoretycznie jest to całkowicie możliwe.

- Co zamierza pan teraz robić? - zapytał Paul.

- Zobaczą, co uda nam się złowić przez następne kilka dni. Potem zabiorę te okazy do Montrealu i zbadamy geny. Spróbuję dopasować je do tego, co mam w komputerze. Ustalimy, kto to zaprojektował.

- Można to zrobić?

- O, tak. Program genetyczny jest jak podpis. Powiadomiłem doktora Barkera o tym, co znalazłem. Frederick to guru w tych sprawach.

- Ocenia go pan bardzo wysoko - zauważył Paul.

- Mówiłem już, jest genialny. Żałuję tylko, że zajął się działalnością komercyjną.

- Skoro mówimy o działalności komercyjnej, słyszeliśmy, że niedaleko jest przetwórnia ryb. Może ma coś wspólnego z tym, co się tu dzieje?

- W jakim sensie?

- Może zanieczyszcza środowisko. W skażonych wodach czasem znajduje się dwugłowe żaby.

- Interesujące, choć nieprawdopodobne. Zdarzają się zdeformowane ryby, ale ten potwór nie pojawił się przypadkowo. Zaproponuję coś państwu. Możemy tam popłynąć, stanąć w nocy na kotwicy w pobliżu przetwórni i rano spróbować coś złapać w sieć. Jak długo zamierzają państwo tutaj zostać?

- Dopóki pan z nami wytrzyma - odrzekł Paul. - Nie chcemy sprawiać kłopotu.

- O tym nie ma mowy. - Throckmorton z powrotem włożył łososia do chłodziarki. - Kiedy zobaczycie państwo swoją kajutę, możecie stracić ochotę na dłuższy pobyt tutaj.

W kajucie z trudem mieściła się piętrowa koja. Gdy Paul spróbował położyć się na dolnym pośłaniu, nogi wystawały mu poza jego krawędź. Gamay wspięła się na górę.

- Myślałam o tym, co powiedział nam Throckmorton. Przypuśćmy, że jesteś doktorem Barkerem i pracujesz dla Oceanusa. Chciałbyś, żeby sprawdzono materiał genetyczny, który mógłby wykazać, kto stworzył bioryby?

- Nie. Wiemy z własnego doświadczenia, że Oceanus potrafi być bezwzględny, jeśli ktoś węszy wokół niego.

- Jaki z tego wniosek?

- Możemy zaproponować Throckmortonowi, żeby na noc zarzucił kotwicę gdzie indziej.

- Ale nie zrobimy tego, prawda?

- Wybrałem się tutaj dlatego, że nie mogłem być z Kurtem i Joem.

- Nie musisz mi tego przypominać.

- Throckmorton jest w porządku, ale nie byłem przygotowany na to, że zostanę jego niańką.

- Uważasz, że może zrobić się gorąco?

Paul skinął głową.

- No to losujmy - powiedział.

Gamay wygrzebała kanadyjskiego dolara. Paul podrzucił go w powietrze, złapał i położył na zagipsowanej dłoni.

- Reszka. Przegrałem. Wybieraj, którą chcesz wartość.

- Możesz wziąć dwie pierwsze godziny. Zacznesz czuć, kiedy tylko załoga pójdzie spać.

- W porządku. - Paul zlął z koi. - I tak bym nie zasnął na tym łożu tortur. - Wyciągnął do góry złamaną rękę. - Mogę użyć gipsu jako broni.

Gamay uśmiechnęła się.

- Nie ma potrzeby. - Pogrzebała w swoim worku marynarskim i wyjęła kaburę z pistoletem kaliber 22. - Zabrałam to na wypadek, gdybym chciała poćwiczyć strzelanie do celu.

Paul uśmiechnął się. Jej ojciec uczył ją od dziecka strzelania do rzutków i była doskonałym snajperem. Chwytał broń zagipsowaną ręką i podtrzymywał ją drugą dłonią.

Gamay popatrzyła na niego krytycznie.

- Chyba powinniśmy czuć razem.

Statek zarzucił kotwicę około mili od brzegu. Na skalistym wzgórzu nad wodą widać było dachy budynków i wieżę telekomunikacyjną Oceanusa. Troutowie zjedli kolację w małej mesie z Throckmortonem, jego studentami i częścią załogi. Naukowiec opowiadał o swoich badaniach, Paul i Gamay o pracy w NUMA. Czas szybko mijał. Około jedenastej wszyscy się rozeszli.

Troutowie wrócili do swojej kajuty i zaczęli czekać, aż na statku zapadnie cisza. Potem wymknęli się na pokład i zajęli pozycję przy burcie od strony lądu. Noc była chłodna. Mieli grube swetry, kurtki i koce zabrane ze swoich koi. Spokojne morze falowało leniwie. Paul siedział oparty plecami o nadbudówkę statku, Gamay leżała obok niego na pokładzie.

Pierwsze dwie godziny szybko minęły. Gamay objęła wachtę, a Paul wyciągnął się na pokładzie. Zdawało mu się, że dopiero zasnął, gdy Gamay potrząsnęła go za ramię. Obudził się natychmiast.

- Co jest?

- Obserwuję tamtą ciemną smugę na wodzie. Myślałam, że to wodorosty, ale zbliża się.

Paul przetarł oczy i spojrzał w kierunku, który wskazywała palcem. Przez chwilę widział tylko granatowoczarne morze. Potem dostrzegł ciemniejszy kształt, który zdawał się płynąć w ich kierunku. Dochodził stamtąd szmer głosów.

- Pierwszy raz słyszę, żeby morskie zielsko gadało. Proponuję przestrzelić im dziób.

Podczołgali się naprzód i Gamay przyjęła leżącą pozycję strzelecką z łokciami opartymi o pokład i pistoletem w obu dłoniach. Paul wycelował przed siebie latarkę. Na znak żony włączył ją. Mocny snop światła padł na śniade twarze czterech mężczyzn. Byli ubrani na czarno i siedzieli w dwóch kajakach. Drewniane wiosła zamarły w połowie mchu. Migdałowe oczy zamrugały zaskoczone światłem.

Padł strzał.

Pierwszy pocisk roztrzaskał wiosło mężczyzny siedzącego z przodu w jednym z kajaków. Po następnym strzale rozleciało się na kawałki wiosło w drugim kajak. Mężczyźni siedzący na rufie kajaków zaczęli szaleńczo wiosłować wstecz, ich towarzysze pomagali im rękami. Zawrócili i skierowali się z powrotem w stronę lądu. Jednak Gamay nie zamierzała ich tak łatwo puścić. Kajaki były już na granicy światła, gdy przestrzeliła dwa pozostałe wiosła.

- Dobre strzały - pochwalił Paul.

- Przez jakiś czas powinniśmy mieć spokój.

Pistolet nie był głośny, ale w nocnej ciszy musiał brzmieć jak działo. Doktor Throckmorton wybiegł na pokład wraz z kilkoma ludźmi.

- Ach, to państwo... - powiedział, kiedy zobaczył Troutów. - Usłyszeliśmy hałas. Mój Boże - dodał na widok broni w ręku Gamay.

- Ćwiczyłam strzelanie do celu.

Z wody dobiegły głosy. Jeden z członków załogi podszedł do relingu i zaczął nasłuchiwać.

- Chyba ktoś potrzebuje pomocy. Spuśćmy szalupę za burtę.

- Na pańskim miejscu nie robiłbym tego - poradził mu Paul łagodnym tonem, ale z wyraźnym ostrzeżeniem w głosie. - Tamci ludzie poradzą sobie.

Throckmorton zawahał się, potem zwrócił do załoganta:

- Wszystko w porządku. Chcę przez chwilę porozmawiać z państwem Trout.

Gdy zostali sami, zapytał:

- Moglibyście mi łaskawie wyjaśnić, moi drodzy, co się właściwie dzieje?

Gamay spojrzała na męża.

- Przyniosę kawę. To może być długa noc. - Po kilku minutach wróciła z trzema parującymi kubkami. - Znalazłam whisky i dolałam odrobinę. Chyba dobrze nam to zrobi.

Troutowie opowiedzieli o swoich podejrzaniach wobec Oceanusa, uzasadniając je informacjami z różnych źródeł.

- To poważne zarzuty - odrzekł Throckmorton. - Macie niezbity dowód, że istnieje taki przerażający plan?

- Uważam, że dowód leży w pańskiej chłodziarce - odparła Gamay. - Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Tak - odpowiedział po chwili Throckmorton. - Ma pani jeszcze whisky?

Gamay przezornie przyniosła butelkę w kieszeni. Dolała mu alkoholu do kawy.

- To, co Frederick robił w tej firmie, nigdy mi się nie podobało - wyznał. - Ale spodziewałem się, że z czasem pasja naukowa weźmie w nim górę nad chęcią zysku.

- Muszę pana o coś zapytać - powiedziała Gamay. - Czy byłoby możliwe wyniszczenie naturalnej populacji ryb i zastąpienie jej tymi *Frankenfishami*?

- Całkowicie możliwe. I nikt inny nie potrafiłby tego lepiej zrobić niż doktor Barker. To wiele wyjaśnia. Jeszcze nie mogę uwierzyć, że trzyma z tą bandą. Ale dziwnie się zachowywał. - Throckmorton zamrugnął oczyma, jakby nagle się ocknął. - Te strzały, które słyszałem... Ktoś chciał się dostać na nasz statek?

- Na to wyglądało - powiedziała Gamay.

- Może lepiej byłoby wynieść się stąd i zawiadomić władzę?

- Nie wiemy, co tutejsza przetwórnia ma z tym wszystkim wspólnego - odparła Gamay uspokajającym tonem. - Kurt chce, żebyśmy mieli ją na oku, dopóki nie zakończy swojej operacji.

- Czy to nie jest niebezpieczne dla ludzi na tym statku?

- Dopóki czuwamy, nie powinno nic się wydarzyć - odrzekł Paul. - Niech kapitan będzie gotów do szybkiego odpłynięcia, chociaż wątpię, żeby nasi przyjaciele wrócili. Pozbawiliśmy ich elementu zaskoczenia.

- Dobrze - powiedział Throckmorton i z determinacją zacisnął zęby.

- Ale co ja mam robić?

Paul wziął od Gamay whisky i dolał mu następną porcję na uspokojenie nerwów.

- Czekać - odparł.

Ekipa SOS potykała się w marszu przez głęboki las. Strażnicy byli bezlitośni. Therri spróbowała przyjrzeć się bliżej prześladowcom, ale jeden z nich wbił jej lufę w plecy z taką siłą, że metal przeciął skórę. Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć z bólu.

W lesie było ciemno, tylko tu i tam między drzewami błyskały światła. W końcu las się przerzedził i stanęli przed budynkiem z wielkimi drzwiami oświetlonymi zewnętrznym reflektorem. Wepchnięto ich do środka i strażnicy przecięli druty krępujące im ręce. Potem zatrzasnęli i zaryglowali zasuwane wrota.

Pachniało benzyną, na podłodze były plamy oleju. Pomieszczenie wyglądało na olbrzymi garaż, ale nie było tu pojazdów. Pod przeciwległą ścianą kuliło się kilkudziesięciu przerażonych ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci. Na zmęczonych twarzach mieli wyraz udręki, w oczach strach na widok nagłego pojawienia się obcych.

Obie grupy patrzyły na siebie nieufnie. Po chwili mężczyzna siedzący po turecku na podłodze wstał i podszedł. Miał pomarszczoną twarz, sińce pod oczami i długie, siwe włosy związane w kucyk. Mimo brudnego ubrania, emanowała z niego godność. Kiedy się odezwał, Therri zrozumiała, dlaczego wydał się jej znajomy.

- Jestem Jesse Nighthawk - przedstawił się i wyciągnął rękę.

- Nighthawk - powtórzyła. - Więc musi pan być ojcem Bena.

Ze zdziwieniem otworzył usta.

- Zna pani mojego syna?

- Tak, pracujemy razem w biurze SOS w Waszyngtonie.

Stary człowiek popatrzył ponad ramieniem Therri, jakby kogoś szukał.

- Ben tu był. Zobaczyłem go, kiedy wybiegł z lasu z drugim mężczyzną, którego zabili.

- Tak, wiem. Benowi nic się nie stało. Widziałam się z nim w Waszyngtonie. Powiedział nam, że jesteście w tarapatach.

Ryan wystąpił naprzód.

- Przyjechaliśmy, żeby was stąd wydostać.

Jesse Nighthawk spojrział na niego i pokręcił głową.

- Niepotrzebnie przyjechaliście. Naraziliście się na wielkie niebezpieczeństwo.

- Złapali nas, jak tylko wylądowaliśmy - powiedziała Therri. - Jakby wiedzieli, że chcemy złożyć im wizytę.

- Wszędzie mają obserwatorów - odparł Nighthawk. - Zły mi to powiedział.

- Zły?

- Pewnie go poznacie. Jest jak potwór z koszmarnego snu. Zabił włócznie kuzyna Bena. - Oczy Jesse'a zwilgotniały na to wspomnienie. - Pracowaliśmy dzień i noc przy wyrębie lasu. Nawet kobiety i dzieci... - Głos mu się załamał ze zmęczenia.

- Kim są ci ludzie? - zapytał Ryan.

- Nazywają siebie Kiolya. To chyba Eskimosi. Nie jestem pewien. Zaczęli budowę w lesie po drugiej stronie jeziora na wprost naszej wioski. Nie bardzo nam się to podobało, ale mieszkamy nielegalnie na tej ziemi, więc nie mamy nic do gadania. Pewnego dnia przyплыnęli przez jezioro z bronią i zabrali nas tutaj. Wycinaliśmy drzewa i odciągaliśmy na bok. O co w tym wszystkim chodzi?

Zanim Ryan zdążył odpowiedzieć, rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Do garażu weszło sześciu mężczyzn z wycelowanymi karabinami automatycznymi. Wszyscy wyglądali tak samo. Mieli szerokie, ciemne twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi i twarde spojrzenie oczu w kształcie migdałów. Najbardziej przerażająco wyglądał siódmy mężczyzna. Był potężnie zbudowany, miał krótką, grubą szyję, głowa wydawała się wyrastać wprost z barczystych ramion. Jego żółtawoczerwona skóra była ospowata, usta wykrzywiał groźny grymas. Po obu stronach zmiażdżonego, bezkształtnego nosa biegły pionowe tatuaże. Nie miał żadnej broni, poza nożem w pochwie przy pasie.

Therri patrzyła zaskoczona na człowieka, który ścigał Austina psim zaprzęgiem. Rozpoznała okaleczoną twarz i sylwetkę jakby napompowaną sterydami. Już wiedziała, kogo Jesse miał na myśli, kiedy mówił o "złym". Zły przesunął wzrokiem po nowych więźniach i zatrzymał spojrzenie czarnych oczu na Therri. Ciarki przeszły jej po plecach. Jesse Nighthawk i inni wieśniacy cofnęli się instynktownie.

Zły zauważył, że wywołał strach, i uśmiechnął się usatysfakcjonowany. Wydał gardłową komendę. Strażnicy wypchnęli Therri, Ryana i Mercera z budynku i popędzili przez las. Therri zupełnie straciła orientację. Nie miała pojęcia, gdzie jest jezioro. Gdyby jakimś cudem udało jej się uciec, nie wiedziałyby, gdzie się skierować.

Chwilę później miała jeszcze większy zamęt w głowie. Zbliżyli się asfaltową ścieżką do ściany gęstych jodeł. Drzewa blokowały drogę jak ciemna, nieprzenikniona barykada. Kiedy byli kilka metrów od nich, część lasu zniknęła i pojawił się czworokąt białego oślepiającego światła. Therri osłoniła oczy. Gdy po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do

blasku, zobaczyła poruszających się ludzi. Miała wrażenie, że znalazła się w świecie z innego wymiaru.

Wprowadzono ich do ogromnego, jasno oświetlonego pomieszczenia z wysokim sklepieniem. Therri zrozumiała, że są w budynku zamaskowanym sprytnym kamuflażem. Budowla była cudem architektonicznym, ale co innego zapało im dech - znaczną część przestrzeni wewnątrz kopuły zajmował wielki, srebrzystobiały statek powietrzny.

Patrzyli w oszołomieniu na lewiatana w kształcie torpedy o długości większej niż dwa boiska piłkarskie. Przy ogonie miał cztery trójkątne stateczniki. Pod brzuchem sterowca wisiały na wysięgnikach cztery masywne silniki w ochronnych obudowach. Do podtrzymywania statku powietrznego służył skomplikowany system stałych i ruchomych rusztowań. Wokół krzątało się mnóstwo ludzi w kombinezonach. W hangarze rozbrzmiewało echo pracy maszyn i narzędzi. Strażnicy popchnęli więźniów naprzód, pod zaokrąglony dziób zeppelinu. Wisiał nad nimi i Therri poczuła się jak robak, którego chcą zgnieść butem.

Pod kadłubem sterowca niedaleko dziobu, znajdowała się długa, wąska kabina z dużymi oknami. Kazano im tam wejść. Przestronne wnętrze z kołem sterowym i postumentem kompasu przypominało zwykły statek morski. Stał tam jakiś mężczyzna i wydawał innym rozkazy. W przeciwieństwie do strażników, którzy nie różnili się od siebie, jakby wszystkich odlano z jednej formy, był wysoki i przeraźliwie błydy. Głowę miał ogoloną na łyso. Odwrócił się i spojrzał na więźniów przez ciemne przeciwsłoneczne okulary. Odłożył elektroniczny clipboard.

- No, proszę... Co za miła niespodzianka. SOS przybywa na ratunek.

Uśmiechał się, ale jego głos miał temperaturę wiatru znad lodowca.

Ryan zareagował tak, jakby nie usłyszał drwiny.

- Nazywam się Marcus Ryan. Jestem dyrektorem Strażników Morza. To Therri Weld, nasz doradca prawny, i Chuck Mercer, dyrektor operacyjny.

- Nie ma potrzeby wymieniać nazwisk, stanowisk i numerów identyfikacyjnych. Doskonale wiem, kim jesteście - odrzekł mężczyzna. - Nie traćmy czasu. W świecie białego człowieka występuję jako Frederick Barker. Mój lud nazywa mnie Toonookiem.

- Jesteście Eskimosami? - zapytał Ryan.

- Tak o nas mówią ignoranci. Jesteśmy Kiolya.

- Nie pasuje pan do stereotypu Eskimosa.

- Odziedziczyłem geny kapitana statku wielorybniczego z Nowej Anglii. To, co początkowo było upokarzającym obciążeniem, umożliwiło mi zainstalowanie się w świecie zewnętrznym z korzyścią dla Kiolya.

Ryan zerknął w górę.

- Co to jest?

- Piękny, prawda? "Nietzsche" został potajemnie zbudowany przez Niemców do wyprawy na biegun północny. Planowali używać go do lotów komercyjnych. Wyposażono go tak, żeby mógł zabierać pasażerów, którzy zapłaciliby każdą sumę za podróż na pokładzie pojazdu do badań polarnych. Kiedy się rozbił, mój lud myślał, że to dar z nieba. W pewnym sensie mieli rację. Wydałem miliony na odrestaurowanie sterowca. Usprawniliśmy silniki i zwiększyliśmy ich moc. Zastąpiliśmy zbiorniki gazu nowymi, które mieszczą miliony metrów sześciennych wodoru.

- Myślałem, że zrezygnowano z wodoru po katastrofie "Hindenburga" - wtrącił się Mercer.

- Niemieckie statki powietrzne przemierzały bezpiecznie tysiące kilometrów na wodrze. Wybrałem go z powodu ciężaru ładunku. Wodór ma dwukrotnie większą siłę wznoszenia niż hel. Za pomocą tego najlżejszego pierwiastka Lud Zorzy Polarnej zdobędzie to, co mu się należy.

- Mówi pan zagadkami - powiedział Ryan.

- Legenda głosi, że Kiolya narodzili się w zorzy polarnej, której Innuici bali się jako źródła nieszczęść. Pan i pańscy przyjaciele przekonacie się niedługo, że ich strach był uzasadniony.

- Chce pan nas zabić?

- Kiolya nie trzymają nieprzydatnych więźniów.

- A co z wieśniakami?

- Powiedziałem, że nie trzymamy więźniów.

- Skoro nasz los jest przesądzony, może zaspokoi pan naszą ciekawość i powie nam, jak do tej całej sprawy pasuje ten latający antyk?

Blade wargi wykrzywiły się w lodowatym uśmiechu.

- Właśnie w takim momencie filmowy bohater wykorzystuje próżność bandyty w nadziei, że przybędzie na odsiecz kawaleria. Szkoda pańskiego czasu. Pan i pańscy przyjaciele zginiecie natychmiast, kiedy przestaniecie być mi potrzebni.

- Nie interesuje pana, co wiemy o pańskich planach?

W odpowiedzi Barker zagadał coś w dziwnym języku. Szef ochroniarzy wystąpił naprzód i wręczył mu jeden z ładunków C-4, przygotowanych starannie przez Mercera.

- Zamierzaliście coś zaminować?

- Oczywiście! - wypalił Ryan. - Planowaliśmy zniszczyć waszą operację, tak jak wy zniszczyliście nasz statek!

- Jak zwykle szczerzy i konkretny pan Ryan. Wątpię jednak, żebyście mieli szansę urządzić pokaz fajerwerków na czwartego lipca - odparł pogardliwie Barker. Rzucił materiał wybuchowy swojemu człowiekowi. - A co właściwie wiecie o naszej "operacji"?

- Wiemy wszystko o pańskich eksperymentach z rybami.

- Dlatego próbowałem storpedować wasz protest na Wyspach Owczych - odrzekł Barker. - Może byłoby dla was lepiej, gdyby mi się udało. Pozwólcie, że wyjaśnię wam, co przyniesie przyszłość. Dziś w nocy ten sterowiec uniesie się w powietrze i polecą na wschód. Jego ładownie będą pełne zmodyfikowanych genetycznie ryb kilku gatunków, które stworzyłem. Rozrzuci je po morzu jak rolnik obsiewający pole. Po kilku miesiącach naturalne gatunki zostaną wytrzebione. Jeśli ten pilotażowy projekt powiedzie się, podobnego zasiewu dokonamy na wszystkich morzach świata. Z czasem większość ryb na światowych rynkach będzie produkowana przez nasze banki opatentowanych genów. Staniemy się monopolistami.

Ryan roześmiał się.

- Pan naprawdę myśli, że ten szalony pomysł ma rację bytu?

- Nie ma w nim nic szalonego. Każda symulacja komputerowa wskazuje na wielki sukces. Naturalna populacja ryb i tak jest skazana na wyginięcie z powodu rabunkowych połowów i skażenia przemysłowego. Ja po prostu przyspieszam dzień, w którym oceany zamienią się w rozległe gospodarstwa rybne. Poza tym wrzucanie ryb do morza nie jest działaniem wbrew prawu.

- Ale prawo nie pozwala zabijać ludzi - odparł z gniewem Ryan. - Zabiliście mojego przyjaciela, Josha Greena.

- Nie tylko jego - dodała Therri. - Zabiliście reportera telewizyjnego na pokładzie "Sentinela". Zastrzeliliście w Kopenhadze jednego z waszych ludzi. Zamordowaliście kuzyna Bena Nighthawka i próbowaliście zabić senatora Grahama. Przetzymujecie ludzi jako niewolników.

Rysy Barkera stężały, ton jego słów stał się opryskliwy,

- Firmowa prawniczka ma cięty język! Szkoda, że nie było pani wówczas, kiedy Kiolya umierali z głodu, bo biali ludzie dziesiątkowali morsy. Albo kiedy plemię, zmuszone siłą do opuszczenia swoich tradycyjnych terenów łowieckich, rozproszyło się po Kanadzie i trafiło do miast z dala od swoich rodzinnych stron.

- Nie daje to panu prawa do zabijania ludzi ani robienia szkód w morzach dla własnego zysku! - odparowała z furią Therri. - Może pan terroryzować garstkę biednych Indian i wyżywać się na nas, ale będzie pan musiał zmierzyć się z NUMA.

- Banda dziwaków admirała Sandeckera nie spędza mi snu z powiek.

- A Kurt Austin? - zapytał Ryan.

- Wiem o nim wszystko. To niebezpieczny typ, ale NUMA uważa SOS za organizację wyjętą spod prawa. Pan i pańscy przyjaciele jesteście tutaj sami. Nikt was nie będzie ratował.

- Wytatuowany człowiek Barkera powiedział coś w języku Kiolya. - Umealiq przypomniał mi właśnie, że chcecie zobaczyć nasze kochane zwierzątka.

Barker ruszył przodem. Otworzył boczne drzwi. Po chwili znaleźli się w budynku, gdzie SOS podłożyła ładunki wybuchowe. Jednak tym razem wewnątrz było jasno oświetlone.

Barker zatrzymał się przy jednym z akwariów. Ryba w środku miała niemal trzy metry długości. Przekrzywił głowę jak artysta malarz, patrzący na swoje płótno.

- Większość moich wczesnych eksperymentów robiłem na łososiach - wyjaśnił. - Tworzenie takich olbrzymów, jak ten, było stosunkowo łatwe. Choć ostatnio wyhodowałem prawie dwudziestotrykilogramową sardynkę, która przeżyła kilka miesięcy.

Podszedł do następnego akwarium. Na widok stworzenia wewnątrz Therri wstrzymała oddech. Łosoś był o połowę mniejszy od poprzedniego, ale miał dwie identyczne głowy.

- Ten mi nie wyszedł tak, jak planowałem. Ale musicie przyznać, że jest interesujący.

Ryba w trzecim akwarium była jeszcze bardziej zdeformowana. Jej ciało pokrywały okrągłe guzy, przypominające otoczaki. Wyglądała odrażająco.

W kolejnym akwarium pływała ryba z wystającymi, wyłupiastymi oczami. Takie same deformacje powtarzały się u innych gatunków - dorsza, łupacza i śledzia.

- Ohydne - powiedział Ryan.

- Rzecz gustu. - Barker przystanął przed akwarium z półtorametrową, srebrzystobiałą rybą. - To wczesny prototyp, który opracowałem, zanim odkryłem, że agresja i wielkość wymykają się spod kontroli w czasie eksperymentów. Wypuściłem kilka na wolność, żeby zobaczyć, co się stanie. Niestety po wytrzebieniu lokalnych gatunków moje ryby zaczęły pożerać się nawzajem.

- To potwory - odrzekł Ryan. - Dlaczego pozwala im pan żyć?

- Współczuje pan rybom? Przesada, nawet jak na SOS. Opowiem panu o tym osobniku. Jest bardzo przydatny. Wrzuciliśmy do akwarium ciała Indianina i pańskiego przyjaciela. Błyskawicznie oczyścił je do kości. Kazaliśmy reszcie wieśniaków patrzeć na to i od tamtej pory nie mamy z nimi żadnych kłopotów.

Ryan stracił panowanie nad sobą i rzucił się na Barkera. Zaciskał palce na jego szyi, gdy szef strażników wyrwał karabin jednemu ze swoich ludzi i uderzył Ryana kolbą w głowę. Na Therri prysnęła krew, Ryan osunął się na podłogę.

Therri poczuła ucisk w żołądku, kiedy zrozumiała powód strachu w oczach Jesse'a Nighthawka. Usłyszała słowa Barkera:

- Skoro pan Ryan i jego towarzysze tak się przejmują losem swoich pływających przyjaciół, to może zorganizujemy dla nich kolację?

Strażnicy zbliżyli się.

Eurocopter z Austinem, Zavalą, Benem Nighthawkiem i dwoma Baskami uniósł się z pokładu "Navarry" i zatoczył nad jachtem szeroki krąg. Kilka minut później do krążącej maszyny dołączyła sea cobra. Oba helikoptery poleciały obok siebie ku zachodzącemu słońcu,

Austin siedział obok pilota. Przyglądał się groźnej sylwetce sea cobry, lecącej niedaleko eurocoptera. Uzbrojenie śmigłowca bojowego wystarczyłoby do zrównania z ziemią małego miasta. Jednak Austin nie miał złudzeń, że Oceanus będzie łatwym przeciwnikiem.

Helikoptery utrzymywały prędkość stu dwudziestu pięciu węzłów. Wkrótce minęły skalistą linię brzegową, zostawiając z tyłu morze. Leciwały obok siebie nad gęstym, jodłowym lasem, trzymając się blisko wierzchołków drzew w nadziei, że unikną wykrycia. Austin sprawdził swój rewolwer, a potem wyciągnął się w fotelu, zamknął oczy i jeszcze raz przemyślał plan działania.

Zavala czasem żartobliwie zarzucał Austinowi, że przed każdą akcją przygotowuje się na najgorsze. Było w tym trochę prawdy. Austin wiedział, że nie wszystko można zaplanować. Wychował się na wodzie i korzystał ze swoich morskich doświadczeń. Każda operacja przypominała wplynięcie łodzią w strefę sztormu. Nie można sobie pozwolić na żaden błąd. Dobry żeglarz ma wyklarowane liny i czerpak do wylewania wody pod ręką.

Austin trzymał się zasady, żeby nie komplikować sytuacji. Jego głównym celem było bezpieczne uwolnienie rodziny i przyjaciół Bena. Sea cobra nie mogła po prostu zejść w dół i rozwalić wszystkiego w polu widzenia. Wiedział, że nie istnieje coś takiego, jak atak z chirurgiczną precyzją. Uzbrojenie śmigłowca bojowego musiało być użyte w sposób rozsądny, co oznaczało ograniczenie jego możliwości. Zmarszczył brwi. Zastanawiał się, w co go wpakował ten fanatyczny idiota, Marcus Ryan. Nie chciał, żeby sympatia do Therri Weld utrudniała mu ocenę sytuacji.

Silnik eurocoptera zmienił ton. Śmigłowiec wytracił szybkość i zawisnął nad lasem. Ben, który siedział za Austinem z Zavalą i braćmi Aguirrez, dał znak pilotowi, żeby wylądował. Pilot przecząco pokręcił głową, ponieważ uważał, że jest to zbyt ryzykowne.

Pablo wyrzał przez szybę.

- Ufasz Indianinowi?

Austin sprawdził strefę lądowania. Widoczność była ograniczona. W niskim słońcu widział tylko ciemną zielen.

- To jego kraj, nie mój.

Pablo skinął głową i warknął do pilota coś po hiszpańsku. Pilot zawiadomił przez radio drugi helikopter, że zamierza lądować. Sea cobra odłączyła się od eurocoptera i przeleciała tam i z powrotem nad drzewami, sprawdzając detektorami podczerwieni, czy w okolicy nie czają się ludzie. Nic nie wykryła i dała zezwolenie na lądowanie.

Eurocopter opuścił się w las. Wszyscy z wyjątkiem Bena czekali, że lada chwila rozbije się o pnie drzew. Ale rozległ się tylko trzask cienkich gałęzi i ciche, głuche uderzenie, gdy płozy dotknęły ziemi. Ben wypatrzył z powietrza to, czego nie dostrzegli inni: polanę w gęstym lesie, zarośniętą bujnymi krzakami. Sea cobra usiadła kawałek dalej.

Austin odetchnął z ulgą i razem z Zawalą wyskoczyli z helikoptera. Bracia Aguirrez byli tuż za nimi. Przykucnęli z bronią gotową do strzału. Rotory przestały się obracać i zapadła kompletna cisza.

- Nikogo tu nie ma - powiedział Ben. - Nikt tutaj nie przychodzi od czasu, kiedy byłem dzieckiem. Tam jest rzeka. - Wskazał jakieś wałce się budynki, ledwo widoczne w mroku. - To szałas i tartak. Pechowe miejsce. Ojciec opowiadał, że było tu mnóstwo wypadków. Drwale zbudowali w dole rzeki nowy obóz. Stamtąd mogli szybciej spławiać drewno.

Austina bardziej interesowała terażniejszość.

- Ściemnia się. Czas ruszać.

Założyli plecaki i podzielili się na dwie grupy. Austin, Zawała, Nighthawk i bracia Aguirrez mieli być drużyną szturmową. Muskularni Baskowie poruszali się z pewnością siebie, która sugerowała, że są obeznani z tajnymi operacjami.

Dwaj dobrze uzbrojeni piloci mieli czekać na wezwanie jako wsparcie. Ben pierwszy zagłębił się w las. Pod drzewami zmrok natychmiast zamienił się w noc. Każdy z mężczyzn miał małą latarkę halogenową. Świecili sobie pod nogi i trzymali się za Benem, który przemykał między drzewami bezszelestnie jak leśny duch. Przez kilka kilometrów poruszali się truchtem. Miękki dywan z igieł sosnowych tłumiał odgłos ich kroków. W końcu Ben kazał się im zatrzymać. Przystanęli w ciemności. Sapali z wysiłku, po twarzach spływał im pot.

Ben zaczął nasłuchiwać.

- Jeszcze półtora kilometra - oznajmił po chwili.

Zawała zdjął z ramienia strzelbę.

- Czas sprawdzić, czy proch nie zamókł.

- Nie przejmujcie się strażnikami - uspokoił Ben. - Wszyscy są na brzegu jeziora. Nikt się nas nie spodziewa z tej strony.

- Dlaczego? - zapytał Zavała.

- Zobaczycie. Tylko nie wysuwajcie się przede mnie - ostrzegł Nighthawk i bez dalszych wyjaśnień znów ruszył naprzód. Dziesięć minut później zatrzymali się na krawędzi przepaści. Austin oświetlił latarką urwiste, pionowe ściany, potem skierował ją w dół, gdzie szumiała woda. Jednak snop światła nie sięgnął rzeki.

- Już chyba wiem, dlaczego z tej strony nie ma strażników - powiedział Zavała. - Doszliśmy do północnej krawędzi Wielkiego Kanionu.

- Miejscowi nazwali to Skokiem Martwego Człowieka - wyjaśnił Ben. - Nie są zbyt oryginalni, jeśli chodzi o nazwy.

- Trafili w sedno - odrzekł Austin.

Zavała spojrział w prawo, potem w lewo.

- Można jakoś to obejść?

- Musielibyśmy iść jeszcze ponad piętnaście kilometrów przez gęsty las - odparł Ben.

- To najwęższe miejsce. Jezioro jest niecały kilometr stąd.

- Pamiętam film z serii *Indiana Jones*, gdzie przechodzono nad przepaścią po niewidzialnym moście - powiedział Zavała.

- Proście, a będzie wam dane - odparł Austin i zdjął plecak. Wyjął z niego zwój nylonowej liny i składaną kotwiczkę.

Zavała wytrzeszczył oczy.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, *amigo*. A ja myślałem, że jestem dobrze przygotowany, bo zabrałem scyzoryk armii szwajcarskiej z korkociągiem. Założę się, że masz też butelkę dobrego wina.

Austin wyciągnął krążek linowy i uprząż.

- Zanim przyznasz mi honorową odznakę skauta, powinienem ci coś zdradzić. Ben uprzedził mnie, że będziemy musieli przekroczyć tę fosę, zanim wdrzemy się na mury twierdzy.

Austin stanął nad samą krawędzią przepaści, zakreślił kotwiczką nad głową i cisnął ją przed siebie. Pierwszy rzut był za bliski i metal zadźwięczał o skalną ścianę. Przy dwóch następnych próbach kotwiczka wylądowała po drugiej stronie, ale o nic nie zahaczyła. Za czwartym razem zaklinowała się w szczelinie między głazami. Austin przywiązał drugi koniec liny do drzewa i sprawdził swoim ciężarem, czy kotwiczka nie puści. Potem umocował do liny krążek i uprząż, wziął głęboki oddech i dał krok w przepaść.

Miał wrażenie, że w tej podróży przekroczył szybkość dźwięku. Kępa krzaków zamortyzowała jego lądowanie. Zavalą za pomocą drugiej liny przyciągnął krążek z powrotem, przyczepił plecak Austina i wysłał nad przepaścią. Po przetransportowaniu w ten sposób całego bagażu Zavalą i Ben, a po nich dwaj Baskowie, przedostali się na drugą stronę.

Zabrali swoje rzeczy i ruszyli przez las. W końcu zobaczyli między drzewami światła. Wyglądały jak ogniska w cygańskim obozowisku. Usłyszeli przytłumione odgłosy maszyn.

Ben zatrzymał grupę.

- Teraz trzeba uważać na strażników - szepnął.

Zavalą i Baskowie zdjęli z ramion broń, Austin odpiął kaburę przy pasie. Przed wyprawą przestudiował zdjęcia satelitarne kompleksu, żeby móc orientować się w terenie. Ben pomógł mu uzupełnić wiadomości.

Hangar zeppelinów stał niedaleko jeziora. Otaczała go sieć asfaltowych alejek i dróg dojazdowych, łączących mniejsze budynki, ukryte w lesie. Austin poprosił Bena, żeby mu pokazał, gdzie widział kopułę. Indianin poprowadził go między drzewami do krawędzi asfaltowej ścieżki, oświetlonej słabymi lampami na wysokości kostek. Alejka była pusta, więc szybko przebiegli do lasu po drugiej stronie.

W pewnym momencie Ben zatrzymał się i wyciągnął przed siebie ręce jak lunatyk. Zaczął iść w kierunku drzew blokujących drogę. Znow przystanął i szeptem kazał Austinowi zrobić to samo. Austin posuwał się naprzód z wyciągniętymi rękami, dopóki nie dotarł do pni. Jednak zamiast chropowatej kory poczuł pod palcami gładką, zimną powierzchnię. Przyłożył do niej ucho i usłyszał cichy szum. Cofnął się i znow zobaczył pnie drzew. Pomyślał, że kamuflaż adaptacyjny ma wielką przyszłość.

Szybko wrócili po swoich śladach. Austin zaproponował, żeby się rozdzielili i zbadali budynki. Mieli się spotkać po piętnastu minutach.

- Tylko unikajcie nieświeżych lodów Eskimos - doradził Zavalą i zniknął w ciemności.

Pablo zawahał się.

- A jeśli nas odkryją?

- Jeśli będziesz mógł to zrobić po cichu, zneutralizuj każdego, kto cię zauważy - odrzekł Austin. - W razie czego uciekaj tą samą drogą, którą przyszlismy.

- A co ze mną? - zapytał Ben.

- Już zrobiłeś swoje: przyprowadziłeś nas tutaj. Odpocznij.

- Nie mogę siedzieć bezczynnie, kiedy moja rodzina jest w niebezpieczeństwie.

Austin nie dziwił się Benowi, że chce znaleźć swoich krewnych.

- Trzymaj się blisko mnie.

Wyciągnął bowena z kabury i zaczekał, aż pozostali znikną w ciemności. Potem skinął Benowi, żeby szedł za nim. Ruszyli asfaltową ścieżką, rezygnując z osłony lasu.

Słyszeli ruch nad jeziorem, ale droga była wolna. Wkrótce dotarli do długiego, niskiego budynku. Nikt go nie pilnował.

- Wstąpimy? - zapytał Austin Bena.

Weszli do środka. Okazało się, że to tylko magazyn. Zrobili szybką inspekcję i wrócili na miejsce zbiórki. Po kilku minutach zjawił się Zavala.

- Sprawdziliśmy magazyn - poinformował go Austin. - Znalazłeś coś ciekawego?

- Niestety, tak - odparł Zavala. - Na zawsze rezygnuję z ryby z frytkami. Chyba trafiłem na kolebkę *Frankenfishów*.

Opisał dziwne, zdeformowane stworzenia w budynku, który zbadał. Niewiele rzeczy mogło go wyprowadzić z równowagi, ale jego ton wyraźnie wskazywał, że jest wstrząśnięty widokiem zmutowanych potworów w akwariach.

- Wygląda na to, że te pływające dziwolągi to modele prototypowe - odrzekł Austin.

Zamilkł, słysząc cichy szelest w lesie. Wrócił Pablo. Powiedział, że znalazł budynek wyglądający na pusty garaż. W środku były ślady obecności ludzi - resztki jedzenia, wiadra z brudną wodą i koce, które mogły służyć za posłania. Pokazał dziecienną lalkę. Kurt zacisnął zęby.

Czekali na Diego. Kiedy wyłonił się z ciemności, zrozumieli, dlaczego się spóźnił. Nisko pochylony dźwigał na ramionach jakiś ciężar. Wyprostował się i rzucił na ziemię nieprzytomnego strażnika.

- Mówiłeś, żeby zneutralizować każdego, kto się nawinie, ale pomyślałem, że ten drań bardziej przyda się żywy.

- Skąd go wytrzasnąłeś?

- Z koszar dla strażników. Jest tam sto, może dwieście wyrek. Zrobił sobie sjęstę.

- Założę się, że już nigdy nie zaśnie podczas pracy - powiedział Austin.

Przyklęknął na jedno kolano i oświetlił latarką twarz strażnika. Nie różniła się od tych, które widział - takie same wystające kości policzkowe i szerokie usta. Tylko czoło było posiniaczone. Austin wstał i odkręcił korek manierki. Wypił łyk wody, a resztę wylał na twarz strażnika. Grube rysy ożyły, powieki uniosły się. Jeniec wytrzeszczył oczy na widok luf wycelowanych w jego głowę.

- Gdzie są więźniowie? - zapytał Austin i pokazał lalkę, żeby strażnik wiedział, o co mu chodzi.

Wargi mężczyzny wykrzywiły się w złowrogim uśmiechu, czarne oczy zabłyśły jak rozżarzone węgle. Warknął coś w niezrozumiałym języku. Diego użył łagodnej perswazji. Nacisnął mu butem krocze i przystawił lufę do czoła. Uśmiech zniknął, ale Austin wiedział, że to fanatyk, który zignoruje wszystkie groźby i każdy ból.

Diego zrozumiał, że w ten sposób niczego nie wskóra. Nadepnął twarz strażnika i wbił mu lufę w krocze. Jeniec wybałuszył oczy i wymamrotał coś w swoim języku.

- Mów po angielsku - rozkazał Diego i mocniej wbił lufę.

Strażnik wstrzymał oddech.

- Jezioro - wykrztusił. - Na jeziorze.

Diego uśmiechnął się.

- Nawet on nie chce stracić swoich *cojones*.

Ujął karabin za lufę i uderzył kolbą. Rozległ się trzask przyprawiający o mdłości i głowa strażnika opadła na bok jak u lalki w ręku Austina.

Kurt, myśląc o więźniach, wcale nie współczuł zabitemu. Wzruszył tylko ramionami.

- Słodkich snów.

- Prowadź - powiedział Pablo.

- Ponieważ przeciwnicy mają przewagę liczebną - odezwał się Zavala - to może być dobry moment na wezwanie posiłków.

Pablo odczepił od pasa radio i rozkazał pilotowi sea cobry czekać w powietrzu półtora kilometra dalej. Austin wetknął lalkę za koszulę. Potem ruszył biegiem na czele grupy w kierunku jeziora. Był zdecydowany oddać zabawkę właścicielce.

Kiedy strażnicy wpadli do więzienia w garażu, wymachując pałkami, Marcus Ryan siedział w kucki obok Jesse'a Nighthawka. Chciał wykorzystać jego znajomość lasu do ułożenia planu ucieczki. Nadzieje Ryana rozwiały się, gdy strażnicy zaczęli bić na oślep więźniów. Indianie, przyzwyczajeni do bicia, mającego ich zniechęcić do stawiania oporu, skulili się pod ścianami. Ryan nie zdołał się odsunąć i ciosy spadły na jego głowę.

Therri bawiła się z małą dziewczynką o imieniu Rachael, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i zaroilo się nagle od wrzeszczących i wywijających kijami mężczyzn. Rachael miała około pięciu lat i była najmłodszym dzieckiem w grupie. Jak wielu wieśniaków, należała do licznej rodziny Bena. Therri własnym ciałem zasłoniła dziewczynkę. Strażnik zamarł bez ruchu, zaskoczony niespodziewanym oporem. Potem roześmiał się i opuścił uniesioną pałkę. Przeszył Therri bezlitosnym wzrokiem.

- Za to ty i ta mała pójdziecie pierwsze.

Zawołał jednego ze swoich towarzyszy. Tamten złapał Therri za włosy i popchnął ją na podłogę. Drutem związano jej ręce za plecami. Gdy stanęła na nogi, zobaczyła Marcusa i Chucka. Mieli głowy zakrwawione od ciosów pałkami.

Kiedy wszyscy więźniowie byli związani jak wieprze, strażnicy wypędzili ich z garażu. Szli jakiś czas między drzewami, dopóki nie zobaczyli błyszczącej tafli jeziora. Choć grupę SOS złapano kilka godzin temu, wydawało się im, że są tu od wielu dni.

Wepchnięto ich do szopy przy jeziorze i zostawiono samych. Stali w ciemności, dzieci chlifały, starsi próbowali dodać otuchy młodszym.

Strach przed nieznanym był gorszy od bicia. Wtem przy wejściu powstało zamieszanie. Drzwi otworzyły się i wszedł Barker w otoczeniu strażników. Zdjął przeciwsłoneczne okulary i Therri po raz pierwszy zobaczyła jego niesamowite, blade oczy. Pomyślała, że mają kolor brzucha grzechotnika. Kilku strażników trzymało płonące pochodnie. Twarz Barkera wykrzywił szatański uśmiech.

- Dobry wieczór, panie i panowie - zaczął tonem przewodnika wycieczki. - Dziękuję za przybycie. Za kilka minut uniosę się wysoko nad tym miejscem w pierwszej fazie podróży w przyszłość. Pragnę podziękować wam wszystkim za pomoc w realizacji tego projektu. Jeśli chodzi o tych z SOS, żałuję, że nie pojawili się tu, żeby móc docenić pomysłowość tego planu.

Ryan odzyskał pewność siebie.

- Przestań pieprzyć. Co chcesz z nami zrobić?

Barker przyjrzał się jego zakrwawionej twarzy, jakby widział ją pierwszy raz.

- Ostatnio kiepsko pan wygląda, panie Ryan. Stracił pan dawną formę.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Wręcz przeciwnie. Odpowiedziałem, kiedy przyprowadzono pana do mnie. Powiedziałem, że pan i pańscy przyjaciele zginiecie natychmiast, kiedy przestaniecie być mi potrzebni. - Barker znów się uśmiechnął. - Już was nie potrzebuję. Oświetlę kopułę, żebyście mieli rozrywkę. To będzie ostatni widok, jaki zobaczycie.

Therri przeszły ciarki po plecach.

- A co będzie z dziećmi? - zapytała.

- A co ma być? - Barker przesunął lodowatym wzrokiem po więźniach, jakby patrzył na bydło prowadzone do rzeźni. - Myśli pani, że ktokolwiek z was mnie obchodzi? Młody czy stary? Chyba tyle, co zeszłoroczny śnieg. Świat zapomni o was, kiedy się dowie, że nic nieznaczące plemię eskimoskie kontroluje większą część mórz. Przepraszam, że nie mogę zostać dłużej. Nasz rozkład zajęć jest bardzo precyzyjny.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach. Więźniów poprowadzono w kierunku jeziora. Po chwili ich kroki zadudniły na długim drewnianym pomoście. Na przystani było ciemno, paliły się tylko światła na dwukadłubowym statku o wyglądzie barki. Kiedy podeszli bliżej, Therri zobaczyła taśmowy przenośnik, biegnący równo z pokładem od skrzyni na dziobie do szerokiej pochylni na rufie. Domyśliła się, że dziwny katamaran to ruchome stanowisko karmienia ryb. Pokarm jest ładowany do skrzyni i transportowany taśmą do zsypu, skąd trafia do klatek z rybami. Przyszła jej do głowy straszna myśl i krzyknęła ostrzegawczo:

- Chcą nas utopić!

Marcus i Chuck, którzy też przyglądali się barce, na okrzyk Therri zaczęli się szarpać z prześladowcami, ale wkrótce zostali obezwładnieni ciosami pałek. Silne ręce chwyciły Therri i wepchnęły ją na statek. Potknęła się i upadła na pokład. W ostatniej chwili zdążyła osłonić ręką twarz. Poczowała straszny ból w kolanach. Miała usta zaklejone taśmą, więc nie mogła krzyczeć. Potem skrępowano jej nogi w kostkach, przywiązano duży ciężarek do więzów na rękach, zawleczono ją na dziób barki i położono w poprzek taśmy przenośnika.

Poczowała przy sobie drugie, mniejsze ciało. Spojrzała w bok i zobaczyła ze zgrozą, że następną ofiarą w rzędzie jest Rachael, mała dziewczynka, z którą się zaprzyjaźniła. Dalej ułożono mężczyzn z SOS i wieśniaków. Silniki barki ożyły.

Z pomostu rzucono cumy i katamaran ruszył. Therri nie mogła zobaczyć, dokąd płyną. Udało jej się odwrócić twarzą do dziecka. Starła się pocieszyć dziewczynkę wzrokiem, choć była pewna, że ma w oczach strach. W oddali widziała blask kopyły, górującej nad drzewami. Barker dotrzymał słowa. Therri przysięgła sobie, że jeśli kiedykolwiek będzie miała szansę, zabije go własnymi rękami.

Silniki pracowały tylko przez chwilę, potem zamilkły. Rozległ się plusk kotwicy, rzuconej do wody. Therri bezskutecznie zmagła się z więzami. Przygotowała się na najgorsze. Nie czekała długo. Po minucie usłyszała silnik przenośnika. Taśma zaczęła sunąć, przybliżając ją coraz bardziej do krawędzi pochylni i ciemnej, zimnej wody poniżej.

Austin prowadził swoją grupę szturmową przez las. Omijał ciemny plac przy słabo oświetlonej ścieżce, widocznej między drzewami. Posuwał się wolno i ostrożnie. Przed każdym krokiem upewniał się, czy nie nadeptnie na leżącą gałązkę.

Choć od spotkania ze strażnikiem nikogo nie napotkali, miał nieprzyjemne uczucie, że są śledzeni. Instynkt go nie zawiodł. Kopuła rozbłysła jak gigantyczna żarówka i z placu dobiegł niski ryk.

Austin i reszta zamarli w miejscu, a potem padli na ziemię. Jednak nikt do nich nie strzelał. Ryk przybrał na sile. Wydobywał się z gardeł setek Kiolya. Na ich szerokie, uniesione twarze padał niebieskawy blask. Wpatrywali się w Barkera, który stał na podium przed hangarem statku powietrznego.

Przy monotonnym rytmie bębnow tłum zaczął skandować:

- Toonook... Toonook... Toonook...

Barker pławił się w uwielbieniu, upajał się nim. W końcu uniósł ręce. Dźwięk bębnow i chóralne okrzyki ucichły, jakby ktoś wyłączył głośnik. Barker przemówił w dziwnym języku, który narodził się za granicami zorzy polarnej. Jego głos z każdym słowem nabierał mocy.

Zawała podczołgał się do Austina.

- Co jest grane?

- Wygląda na to, że nasz przyjaciel zwołał jakiś wiec.

Austin patrzył spomiędzy drzew, zahipnotyzowany barbarzyńskim spektaklem. Zgodnie z opisem Bena, kopuła rzeczywiście przypominała ogromne igloo. Prywatna armia Barkera koncentrowała całą uwagę na swoim przywódcy i nie mogła zauważyć garstki intruzów, skradających się w lesie. Austin wstał i zasignalizował pozostałym, żeby zrobili to samo. Ruszyli w półprzysiadzie między drzewami i w końcu wydostali się na otwartą przestrzeń nad brzegiem jeziora.

Okolica wokół przystani wydawała się pusta. Austin miał nadzieję, że wszyscy ludzie Barkera zebrali się przed wielkim igloo, ale wołał nie ryzykować. Szopa w pobliżu pomostu była wystarczająco duża, by mogło się tam ukryć wielu Kiolya. Austin podkraść się do ściany i wyjrzał zza rogu. Dwuskrzydłowe drzwi od strony jeziora były szeroko otwarte, jakby ktoś w pośpiechu nie miał czasu ich zamknąć.

Zavala i Baskowie stanęli na straży, Austin wszedł do środka i zapalił latarkę. W szopie leżały liny, kotwice, boje i inny tego rodzaju sprzęt. Austin zamierzał już wyjść, gdy zatrzymał go Ben, który wszedł za nim.

- Zaczekaj - powiedział.

Wskazał betonową podłogę. Przyklęknął na jedno kolano i zakreślił palcem mały odcisk stopy dziecka. Austin zacisnął zęby i wyszedł na zewnątrz. Zavala i bracia Aguirrez przyglądali się ruchomym światłom na jeziorze. Austinowi wydawało się, że słyszy odgłos silnika. Nie był pewien, bo wiatr wciąż przynosił głos Barkera. Sięgnął do plecaka, wyjął gogle noktowizyjne i przyłożył do oczu.

- To jakiś statek z niskimi burtami.

Wręczył gogle Benowi. Indianin spojrzał przez noktowizor.

- To katamaran, który widziałem, kiedy byłem tu pierwszy raz.

- Nie przypominam sobie, żebyś mi o nim mówił.

- Przepraszam. Tyle się wtedy działo. Kiedy przyplłynęliśmy tu z Joshem Greenem moim kanu, ten statek stał przycumowany do pomostu. Nie wydawał mi się godny uwagi.

- Może być bardzo ważny. Opowiedz mi o nim.

Ben wzruszył ramionami.

- Na oko ma ponad piętnaście metrów długości. Rodzaj barki z dwoma kadłubami. Przez środek biegnie przenośnik taśmowy o szerokości paru metrów. Ciągnie się od dużej skrzyni na dziobie do spadzistej rufy. Pewnie służy do karmienia ryb.

- Do karmienia ryb... - mruknął Austin.

- Mówiłem ci, że widziałem klatki z rybami, pamiętasz?

Austin nie myślał o rybach w klatkach. Słowa Bena skojarzyły mu się z mafią i podróżą w cementowych butach na dno East River. Zaklął, kiedy przypomniał sobie o krwawych zwyczajach Kiolya, które doprowadziły ich do konfliktu z sąsiednimi plemionami. Barker postanowił złożyć masową ofiarę z ludzi, żeby wyrównać rachunki.

Austin pobiegł na koniec pomostu. Zatrzymał się i znów spojrzał zmrużonymi oczami przez gogle noktowizyjne. Mając w głowie opis Bena, lepiej rozumiał to, na co patrzył. Niski statek płynął wolno i był już prawie na środku jeziora. W światłach barki Kurt widział ruchome sylwetki ludzi na pokładzie. Domyślał się, co miało nastąpić.

Podszedł do niego Pablo. Spojrzał na światła odbijające się w wodzie.

- Co jest? - zapytał.

- Kłopoty - odparł Austin. - Wezwij sea cobrę.

Pablo po hiszpańsku wydał przez radio rozkaz.

- Już lecą - oznajmił. - Co mają robić?

- Na początek niech zniszczą tamto wielkie igloo.

Pablo uśmiechnął się i przekazał rozkaz.

Austin przywołał Zavalę i rozmawiali przez chwilę. Kiedy Zavalę odszedł, Kurt zebrał pozostałych.

- Zaczekacie na nas w wiosce Bena po drugiej stronie jeziora. Jeśli zrobi się zbyt gorąco, rozproszycie się po lesie.

- Czy na barce jest moja rodzina? - zapytał z niepokojem Ben.

- Tak sądzę. Joe i ja sprawdzimy to.

- Chcę iść z wami.

- Wiem, ale będzie nam potrzebna twoja znajomość lasu, żeby się stąd wydostać. - Widząc, że Ben z uporem zacisnął zęby, Austin dodał: - Im dłużej rozmawiamy, tym gorsza jest sytuacja twojej rodziny.

Z miejsca, gdzie Zavalę majstrował przy jednej z przycumowanych motorówek, dobiegł warkot silnika. Po ostatniej wizycie Bena ludzie Barkera woleli nie ryzykować i nie zostawiali kluczyków w stacyjkach. Jednak Zavalę potrafił z zamkniętymi oczami rozłożyć na części każdy silnik. Po chwili podpłynął skuterem wodnym.

- Wiedziałem, że mój szwajcarski scyzoryk się przyda - powiedział.

Austin zerknął niespokojnie na jezioro i wsiadł z pomostu na skuter. Zavalę usadowił się z tyłu ze strzelbą. Austin odbił od brzegu, odkręcił przepustnicę i po kilku sekundach pojazd mknął przez jezioro z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę ku odległym światłom.

Austin nie lubił skuterów wodnych. Uważał, że są głośne, zanieczyszczają środowisko i przeszkadzają plażowiczom, stworzeniom wodnym oraz żeglarzom. Musiał jednak przyznać, że jeździ się tym jak motocyklem. Po kilku minutach widział kontury katamarana nawet bez gogli noktowizyjnych. Barka zatrzymała się. Ludzie na pokładzie usłyszeli zbliżający się skuter wodny i zobaczyli grzebień jego kilwata. Rozbłysnął reflektor.

Jasne światło na moment oślepiło Austina. Pochylił się nisko nad kierownicą, ale wiedział, że zareagował za późno. Miał nadzieję podpłynąć blisko do barki, zanim go wykryją. Wystarczyłby jeden rzut oka na jego europejskie rysy i siwe włosy, żeby rozpoznać w nim obcego, czyli wroga. Skręcił ostro i obok skutera wyrosła ściana piany. Reflektor natychmiast odnalazł cel. Austin skręcił w przeciwną stronę. Nie wiedział, jak długo będzie mógł robić te ewolucje i czy w ogóle coś to da.

- Możesz zgasić ten reflektor? - zawołał przez ramię do Zawali.

- Płyn spokojnie, to zgaszę - odkrzyknął Joe.

Austin zwolnił i ustawił skuter bokiem do katamarana. Wiedział, że jest teraz łatwym celem dla ludzi na pokładzie, ale musiał zaryzykować. Zawała uniósł strzelbę do ramienia i nacisnął spust. Huknął strzał. Reflektor świecił nadal i znów ich odnalazł. Zgasł po drugim strzale.

Ludzie na barce zapalili latarki i wąskie snopy światła zaczęły przeszukiwać ciemność. Austin usłyszał trzaski i terkot broni ręcznej na katamaranie. Jednak był już poza zasięgiem latarek. Płynął wolno, żeby za skuterem nie wyrastał łatwo widoczny kilwater. Pociski rozpryskiwały wodę w pobliżu. Barka podniosła kotwicę i ruszyła.

Austin był pewien, że w ten sposób nie opóźni, lecz przyspieszy wykonanie makabrycznego zadania przez załogę katamarana. Mijały cenne sekundy. Zastanawiał się, co robić. Przypomniał sobie, co Ben mówił o katamaranie i wpadł na pewien pomysł. Przedstawił swój plan Zawali.

- Zaczynam się niepokoić - odrzekł Joe.

- Nie dziwię ci się. Wiem, że to ryzykowne.

- Nie rozumiesz. Plan mi się podoba. I właśnie to mnie niepokoi.

- Po powrocie umówię cię z psychiatrą NUMA. Na razie spróbuj zmiękczyć przeciwnika.

Zawała skinął głową i wycelował strzelbę w mężczyznę, który stał na tle świateł. Huknął strzał, mężczyzna wyrzucił ręce do góry i zniknął z oczu niczym tarcza na strzelnicy.

Austin otworzył przepustnicę i uciekł, zanim pociski podziurawiły powierzchnię jeziora. Strzelba znów huknęła i następna postać zwała się z nóg. Ludzie na pokładzie katamarana w końcu zrozumieli, że są łatwym celem. Zgasili latarki. Właśnie na to liczył Austin.

Barka zaczęła nabierać szybkości. Kurt przez chwilę płynął równolegle do niej, potem zatoczył krąg i został kilkaset metrów z tyłu. Przyspieszył, nie odrywając wzroku od podwójnego kilwatera przed sobą. Celował trochę w bok i zamknął przepustnicę w ostatniej chwili.

Przód skutera uderzył w rufę katamarana z głuchym łomotem, a potem z przeraźliwym zgrzytem wjechał na pochyły pokład. Załogant, który chwilę wcześniej usłyszał zbliżających się przeciwników, stał na rufie z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Zaokrąglony dziób skutera uderzył go w nogi. Rozległ się trzask kości i mężczyzna wyładował w połowie barki. Zawała zeskoczył na pokład, zanim skuter stanął. Austin poszedł w jego ślady i wyszarpnął bowena z kabury.

Skuter zatrzymał się w poprzek pokładu, dając im osłonę. Austin szybko wycelował w postać poruszającą się w ciemności i nacisnął spust. Chybił, ale ogień z luty oświetlił przerażający widok. W poprzek podajnika leżeli rzędem ludzie. W ciemności trudno było dostrzec, czy żyją. Taśma sunęła wolno w kierunku rufy, gdzie ofiary miały się ześliznąć po pochylni do jeziora.

Austin krzyknął do Zawali, żeby go osłaniał. Strzelba wypaliła szybko trzy razy. W drugim, końcu barki rozległy się krzyki. Przynajmniej jeden pocisk musiał trafić. Austin wetknął rewolwer do kabury, rzucił się na najbliższą postać i ściągnął ją z podajnika. Jej miejsce na makabrycznej taśmie zajęło następne, mniejsze ciało. Austin odciągnął je na bok i zobaczył, że to dziecko.

Zbliżały się kolejne ofiary. Kurt chwycił za nogi następną osobę. Domyślił się po ciężarze, że to mężczyzna. Stęknął z wysiłku i odciągnął go w bezpieczne miejsce. Łapał za kostki kolejną osobę, gdy taśma stanęła. Wyprostował się. Po twarzy spływał mu pot, ciężko dyszał. Poczł ból w starej ranie na piersi. Spojrzał w górę i zobaczył nadchodzącą postać z latarką. Wyciągnął rewolwer.

- Nie strzelaj, *amigo* - zabrzmiał znajomy głos jego partnera.

Austin opuścił bowena.

- Myślałem, że mnie osłaniasz.

- Już nie ma przed kim. Kiedy załatwiłem paru facetów, reszta wyskoczyła za burtę. Znalazłem wyłącznik podajnika.

Pierwsza osoba, którą Austin uratował od niechybnej śmierci, wydawała stłumione przez knebel odgłosy. Kurt włączył latarkę i zobaczył szafirowe oczy Therri Weld. Ostrożnie odkleił jej taśmę z ust, potem oswobodził ręce i nogi. Podziękowała mu i uwolniła z więzów dziecko. Austin wręczył dziewczynce lalkę. Przytuliła ją mocno.

Razem prędko oswobodzili pozostałych. Ryan powitał Austina promiennym uśmiechem i zaczął zasypywać pochwałami. Kurt miał dosyć tego egoistycznego aktywisty. Był na niego wściekły za wtrącanie się do akcji ratowniczej i narażanie na niebezpieczeństwo Therri. Chętnie wyrzuciłby go za burtę.

- Zamknij się - powiedział.

Ryan zamilkł, ponieważ zrozumiał, że Austin nie jest w dobrym nastroju.

Uwalniano ostatnich więźniów, gdy Austin usłyszał silnik łodzi. Chwycił bowena i razem z Zawalą przykucnęli za burtą. Silnik ucichł i łódź stuknęła w kadłub barki. Austin wstał i zapalił latarkę. Snop światła padł na przestraszoną twarz Bena Nighthawka.

- Właż - zawołał Austin. - Wszyscy są żywi.

Ben odetchnął z ulgą. Wdrapał się na pokład katamarana, bracia Aguirrez za nim. Pablo poruszał się z pewnym trudem. Miał zakrwawiony rękaw powyżej łokcia.

- Co się stało? - zapytał Austin.

Diego uśmiechnął się.

- Kiedy byliście tutaj, kilku ochroniarzy zauważyło, że bierzemy ich łódź i chcieli nas skasować. Pablo oberwał, ale oni poszli do piachu. - Rozejrzał się po barce i zobaczył trzy trupy. - Widzę, że wy też nie próżnowaliście.

Austin zerknął w kierunku przystani, gdzie poruszały się liczne światła.

- Wygląda na to, że potraciliście gniazdo szerszeni.

- Bardzo duże gniazdo - odparł Pablo. Na odgłos helikoptera spojrzął w górę. - Ale my też mamy żądła.

Austin zauważył ruchomy cień na granatowoczarnym tle nocnego nieba. Sea cobra zbliżyła się w ułamku sekundy. Leciała jak strzała w kierunku lądu. Nad kompleksem Barkera zwolniła i zatoczyła krąg. Szukała celu, nie mogąc go znaleźć. Włączono kamuflaż kopuły i ogromny budynek wtopił się w otaczający go las.

Chwila niezdecydowania miała fatalne skutki. Reflektory oświetliły helikopter jak niemiecki bombowiec w czasie nalotów na Londyn. Załoga śmigłowca odpaliła rakietę, celując w plac. Za późno. Eksplozja zabiła garstkę ludzi Barkera, ale w tym samym momencie w górę wystrzelił pióropusz ognia. Naprowadzany ciepłem pocisk ziemia-powietrze nie mógł chybić z takiej małej odległości. Trafił w rurę wydechową sea cobry. Nastąpił żółtoczerwony błysk i płonące szczątki maszyny opadły do jeziora.

Wszystko stało się tak szybko, że ludzie na katamaranie ledwo mogli uwierzyć własnym oczom. Nawet Austin, który wiedział, że losy bitwy mogą się zmienić w mgnieniu oka, był zaszokowany. Jednak prędko się otrząsnął. Nie było chwili do stracenia. Ludzie Barkera mogli zaatakować lada moment. Austin zawołał Bena. Kazał mu odstawić uratowanych na ląd i ukryć w lesie.

Podszedł Ryan.

- Posłuchaj, przepraszam za to wszystko i dziękuję, że znów mnie uratowałeś.

- Kiedy następnym razem wpadniesz w tarapaty, będziesz zdany na siebie.

- Może mógłbym ci się jakoś odwdziżyć?

- Najlepiej się odwdzięczysz, jak ruszysz się stąd. Dopilnuj, żeby Therri i inni dotarli bezpiecznie do brzegu.

Zza pleców Ryana wyłoniła się Therri.

- A ty? - zapytała.

- Zamierzam zamienić kilka słów z doktorem Barkerem, czy raczej Toonookiem.

Therri popatrzyła na Austina z niedowierzaniem.

- Przecież mówiłeś, że nie można niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo.

Barker i jego ludzie zabiją cię.

- Nie wykręcisz się tak łatwo od randki ze mną.

- Randki? Jak możesz myśleć o czymś takim? Jesteś stuknięty!

- Jestem całkiem normalny i zdecydowany zjeść wreszcie romantyczną kolację tylko we dwoje.

Therri uśmiechnęła się lekko.

- Też bym chciała. Bądź ostrożny.

Austin pocałował ją delikatnie w usta. Potem razem z Zawalą zepchnął skuter na wodę. Pojazd miał kilka wgnieceń i dziur od pocisków po ataku na katamaran, ale silnik nie ucierpiał i Zawała uruchomił go bez problemu. Austin skierował skuter w stronę lądu. Nie wiedział, co zrobi, kiedy wreszcie spotka się z Barkerem. Ale był pewien, że coś wymyśli.

Austin i Zawała przybili do brzegu kilkaset metrów od przystani i ruszyli w kierunku placu, gdzie wcześniej Barker przemawiał do swoich ludzi. Plac był teraz pusty. Podczas ataku helikoptera wszyscy uciekli do lasu. Austin i Zawała ominęli krater i kilka trupów.

Przy włączonym kamuflażu elektronicznym kopuła była niewidoczna, ale z wąskiego, prostokątnego otworu, gdzie pozostawiono otwarte wejście, sączyło się światło. Nikt nie zagroził im drogi, gdy weszli do środka. Zobaczyli ogromną srebrzystą torpedę, wypełniającą większą część hangaru. Ten widok zapierał dech. W lśniącym, aluminiowym poszyciu zeppelin odbijało się światło mocnych reflektorów, reszta pomieszczenia była ciemna. Ukryli się w mroku za rusztowaniem, skąd mieli dobry widok na sterowiec.

Wokół statku powietrznego krzżeli się ludzie. Najwyraźniej kończyli przygotowania do startu. Przy zeppelinie wyglądali jak karzełki.

Obsługa naziemna trzymała napięte cumy, jak na zawodach w przeciąganiu liny. Wysoko w górze rozchyłało się wolno sklepienie kopuły. Przez otwór widać było gwiazdy. Austin przyglądał się sterowcowi, od tępego dziobu do zwężonego ogona, chłonąc każdy szczegół. Na moment zatrzymał wzrok na trójkątnym górnym stateczniku i napisie "Nietzsche". Statek powietrzny był pięknym przykładem połączenia formy z funkcjonalnością, ale Austina nie interesowała estetyka.

Kabinę sterowniczą, znajdującą się tuż nad podłogą, otaczali strażnicy. Austin znów przyjrzał się zeppelinowi i znalazł to, czego szukał. Wskazał Zawali obudowę najbliższego silnika i szybko wyłożył mu swój plan. Joe skinął głową, że zrozumiał. Zawiadomił przez

radio Diego, że wchodzi na pokład sterowca. Dach hangaru był już całkiem odsłonięty i za kilka sekund obsługa naziemna mogła zacząć luzować liny kotwiczne.

Zeppelin spoczywał na stożkowych podporach, przypominających dawne wieże wiertnicze. Przy kadłubie stały rusztowania. Austin zaczął się skradać od jednego do drugiego, Zavała szedł tuż za nim. W końcu dotarli do dwóch stojaków, podtrzymujących obudowę prawego tylnego silnika. Austin rozejrzył się. Obsługa wciąż była zajęta przytrzymywaniem lin kotwicznych, które napinał sterowiec. Korzystając z tego, że nikt ich nie zauważył, Austin wspiął się na szczyt stojaka.

Jajowata obudowa silnika wisiała na metalowych wysięgnikach, wystających z kadłuba. Wirujące śmigło miało wysokość dwóch ludzi. Austin podciągnął się do góry. Poczuł pod stopami wibracje potężnego silnika. Kiedy śmigło nabrało szybkości, musiał się mocno trzymać, żeby nie zdmuchnął go wsteczny strumień powietrza. Sięgnął w dół, by pomóc Zawali wdrapać się na górę. W tym momencie obsługa naziemna zluzowała liny i zeppelin zaczął się wznosić. Trzymając się jedną ręką, Austin napiął mięśnie ramion i wciągnął Zawalę.

Sterowiec był w połowie drogi do dachu. Obudowa silnika zasłaniała Austina i Zawalę przed wzrokiem ludzi na dole. Jednak strumień powietrza od śmigła przybierał na sile i utrzymanie się na gładkiej, zaokrąglonej powierzchni było coraz trudniejsze. Austin spojrzał w górę i zobaczył prostokątny otwór w miejscu, gdzie wysięgniki znikają w kadłubie. Zawołał do Zawali, ale jego słowa porwał wiatr, więc pokazał na migi, o co mu chodzi. Joe coś odkrzyknął.

- Ty pierwszy.

Austin zaczął się wspinać. Wysięgnik miał konstrukcję drabiny, żeby mechanik mógł się dostać do silnika podczas lotu. Przy wirującym śmigle przebycie kilku szczebli było prawdziwym wyczynem. Austin wdrapywał się wolno, aż w końcu dobrnął do prostokątnego otworu w podbrzuszu sterowca. Zavała był tuż za nim. Ludzie w dole wyglądali jak mrówki. Zanim Zavała dotarł do kadłuba, zamknęło się sklepienie kopuły. Gdy raz zdecydowali się na lot, nie mieli wyboru. Zaczęli wspinać się w ciemność.

"Nietzsche" był cudem techniki lotniczej. Miał długość dwóch boeingów 747 Jumbo Jet i powstał przed epoką komputerów i materiałów ery kosmicznej. Przy jego konstruowaniu wzorowano się na "Grafie Zeppelinie", 236-metrowym srebrzystym cygarze, zbudowanym w 1928 roku przez Hugona Eckenera, ale wprowadzono w nim takie same innowacje, jakie później znalazły się w "Hindenburgu". W "Grafie Zeppelinie" kajuty pasażerów znajdowały się za kabiną sterowniczą, w "Nietzsche" umieszczono je w środku kadłuba.

Po ryzykownej wspinaczce z obudowy silnika do wnętrza sterowca Austin i Zavała znaleźli się w małym pomieszczeniu. Na ścianach wisały narzędzia, części zamienne i długie czarne płaszcze skórzane, noszone kiedyś chętnie przez lotników. Przy braku ogrzewania na pewno były potrzebne pracującym tu ludziom. Austin przymierzył jeden i stwierdził, że pasuje na niego. Włożył na głowę skózaną pilotkę. Na widok sceptycznej miny partnera powiedział:

- Może zauważyłeś, że różnimy się trochę wyglądem od tych eskimoskich dżentelmenów, których ciągle spotykamy na swojej drodze. Warto spróbować kamuflażu.

- Jak ja się poświęcam dla NUMA... - westchnął Zavała i zaczął szukać płaszcza w swoim rozmiarze.

Za drzwiami pomieszczenia znajdował się długi korytarz z pluszowym dywanem, ściany zdobiły scenki lotnicze - mężczyźni w cylindrach, podróżujący balonami na gorące powietrze i maszynami latającymi o dziwnych kształtach. Z sufitu zwisały stare, kryształowe lampy. Korytarz prowadził do wygodnie urządzonej dwuosobowych kabin pasażerskich. Każda miała inną kwiecistą tapetę.

W eleganckiej jadalni stało kilkanaście małych, czworokątnych stolików z białymi obrusami i starannie uformowanymi serwetkami. Wyściełane mahoniowe krzesła z poręczami - po dwa przy każdym stoliku - były lekko odsunięte, jakby za chwilę mieli przyjść goście.

Wysokie okna z zasłonami pozwalały jedzącym obserwować świat z lotu ptaka. Obok jadalni była sala dansingowa z lśniącym, drewnianym parkietem, estradą dla orkiestry i barem. Oba pomieszczenia udekorowano w stylu art deco. Przeważały figury geometryczne. Na ścianie za barem urządzono wystawę zdjęć zeppelinów.

Wokół panowała cisza. Słychać było tylko przytłumiony odgłos silników. Zavała rozejrzał się z podziwem.

- Jak na starym transatlantyku.

- Módl się, żeby to nie był "Titanic" - odparł Austin.

Skierował się do sali umeblowanej skórzanymi sofami i fotelami. Nie znał dobrze niemieckiego, ale domyślił się, że tabliczka na ścianie oznacza palarnię. Korytarzem doszli do innego wielkiego pomieszczenia. Wyglądało na jakąś pracownię. Zobaczyli duży stół oświetlony halogenowymi lampami, komputery i kilka biurowych krzeseł. Część pokoju tonęła w mroku. Austin znalazł na ścianie włącznik i pomieszczenie załączyło światło. Obaj mężczyźni stężeli, gdy okazało się, że nie są sami. Pod przeciwległą ścianą stały dwie postacie. Zawała zaklął po hiszpańsku. Austin dostrzegł kątem oka, że Joe unosi strzelbę.

- Zaczekaj! - powiedział.

Zawała opuścił broń, przyjrzał się dwóm sylwetkom i uśmiechnął się. Były tu zmumifikowane ciała dwóch mężczyzn, umieszczone na metalowych stojakach. Stały w naturalnych pozach z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Ciemna skóra ciasno opinała czaszki. Oczodoły były puste, ale twarze zachowały się bardzo dobrze. Austin i Zawała podeszli bliżej.

- Sądząc po ubraniach, pochodzą z różnych epok - powiedział Austin.

Niższy mężczyzna miał na sobie grubą koszulę i legginsy z szorstkiego materiału. Ciemne włosy sięgały mu do ramion. Wyższy był krótko ostrzyżonym blondynem. Jego skórzany płaszcz sprzed II wojny światowej przypominał te, które włożyli Austin i Zawała. Nad mumiami wisiał poszarpany kawał aluminium z napisem "Nietzsche".

Obok stała szklana gablota muzealna. Wewnątrz leżał małoobrazkowy aparat fotograficzny Leica, kilka obiektywów, kamera Zeissa, mapy nawigacyjne północnej półkuli i notes w skórzanej oprawie. Austin otworzył gablotę i przerzucił stronicę notesu. Wpisy po niemiecku kończyły się w 1935 roku. Wetknął notes do kieszeni. Oglądał kolekcję eskimoskich harpunów i noży, gdy zawołał go Zawała.

- Kurt, musisz to zobaczyć.

Zawała podszedł do długiej hebanowej skrzyni, ustawionej na platformie sięgającej mu do pasa. Na wierzchu leżał róg. Wydawał się zrobiony z kła słonia. Ozdobiony był klejnotami i złotem. Austin wziął go ostrożnie i podał Zawali. Otworzył wieko skrzyni. Na purpurowym aksamicie leżał miecz w skórzanej pochwie. Austin wyjął go ze skrzyni, obejrzał złotą rękojeść i gardę. Na ciężkiej, trójkątnej gałce rękojeści błyszczał wielki rubin. Gardę zdobiły wzory kwiatów. Piękne ozdoby kontrastowały z przeznaczeniem zabójczej broni.

Uniósł obosieczny miecz i poczuł, że jest doskonale wyważony. Potem ostrożnie wyciągnął go z pochwy. Czy to Durendał, legendarna broń, którą Roland walczył z

Saracenami? Ostrze było gdzieśgdzie wyszczerbione. Austin przypomniał sobie, że Roland podobno uderzył mieczem o skałę, żeby broń nie wpadła w ręce wroga.

Zavala gwizdnął.

- Ta zabawka musi być warta fortunę.

Austin pomyślał, ile czasu i pieniędzy Balthazar Aguirrez poświęcił na poszukiwania przedmiotu, który trzymał teraz w dłoni.

- Jest warta o wiele więcej - odrzekł.

Zdjął płaszcz i przypasał miecz. Zrobił na próbę kilka kroków i okazało się, że pochwa obją mu się o nogę. Gruby, skórzany pas utrudniał mu też dostęp do kabury rewolweru. Spróbował inaczej. Zarzucił pas z pochwą na ramię. Miecz wisiał teraz przy jego lewym boku. Austin z powrotem włożył płaszcz.

- Zamierzasz poćwiczyć trochę szermierkę? - zapytał Zavala.

- Możliwe. Musisz przyznać, że ta rzecz jest znacznie lepsza niż twój szwajcarski scyzoryk.

- Mój scyzoryk ma korkociąg - przypomniał Zavala. - A co z tą trąbką?

- Lepiej odłóżmy ją na miejsce. Po co mają wiedzieć, że wymknąłem się stąd z tą wykałaczką pod płaszczem?

Starannie ułożyli róg tak, jak go znaleźli. Przeszli do innej części pomieszczenia, gdzie na stole leżała rozpostarta mapa świata. Austin pochylił się nad nią. Wybrzeża na wszystkich kontynentach były zakreślone na czerwono. Przy każdej czerwonej strefie widniała data i lista kilku gatunków ryb. Rejon jeziora, skąd wystartowali, oznaczono dużą gwiazdką. Austin przesunął palcem wzdłuż narysowanej linii od gwiazdki na wschód, do północnego Atlantyku. Nad linią wpisano dzisiejszą datę. Wyprostował się.

- Musimy zatrzymać ten sterowiec, zanim dotrze do Atlantyku. To nie jest lot testowy.

- W porządku. Chciałbym jednak zauważyć, że ma on prawie trzysta metrów długości i pełno tu uzbrojonych ludzi, którzy mogą mieć inne plany.

- Nie musimy opanować całego zeppelinu. Wystarczy nam kabina sterownicza.

- Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? Ruszajmy do roboty.

- Poradzisz sobie z pilotowaniem tego starego worka wypełnionego gazem?

- A co w tym trudnego? Otwierasz przepustnicę i celujesz dziobem tam, gdzie chcesz lecieć.

Austin nie wątpił w słowa Zavali. Jego partner przelatał setki godzin wszystkimi typami pojazdów powietrznych, jakie kiedykolwiek zbudowano. Znajdowali się mniej więcej

w połowie długości wielkiego sterowca. Jeśli będą się posuwali do przodu i w dół, trafią do kabiny sterowniczej.

Opuścili pomieszczenie z dziwną ekspozycją muzealną i zapuścili się w labirynt korytarzy innych niż te, które napotkali zaraz po wejściu na pokład. Wszystko było tu nowsze i bardziej funkcjonalne. Dotarli do schodów prowadzących w dół. Austin myślał, że są w pobliżu kabiny sterowniczej, ale zmienił zdanie, gdy poczuł zapach słonej wody i ryb. Przypomniała mu się jego wizyta w wylęgarni ryb Oceanusa na Wyspach Owczych.

Zawahał się na szczycie schodów, wyciągnął bowena i wolno zszedł w ciemność. Usłyszał szum silników elektrycznych i bulgot napowietrzaczy. Odgłosy potwierdzały jego teorię, że to wylęgarnia ryb. Kiedy był w połowie schodów, rozblęsnęło światło i zobaczył, że będzie się musiał zmierzyć nie tylko z biorybami.

Na dole stał doktor Barker i patrzył na niego z wesołym uśmiechem na pociągłej twarzy. Oczy ukrywał za ciemnymi przeciwsłonecznymi okularami.

- Witam, panie Austin - powiedział. - Czekaliśmy na pana. Przyłączy się pan do nas?

Trudno było odmówić. Barkera otaczały ponure typy z karabinami szturmowymi wycelowanymi w schody. Jeden ruch palca na spuście zamieniłby Austina i Zawalę w krwawą miazgę. Jeszcze bardziej przekonująca była mina oszpeconego szefa strażników, który już kilka razy próbował zabić Austina. Człowiek z blizną wykrzywił wargi w szerokim uśmiechu. Cieszył się, że wreszcie będzie mógł załatwić z nim porachunki.

- Jakże miałbym nie przyjąć tak miłego zaproszenia? - odrzekł Austin i zszedł na dół.

- A teraz rzućcie broń i kopnijcie daleko od siebie - rozkazał Barker.

Austin i Zawała wykonali polecenie. Strażnicy podnieśli rewolwer i strzelbę. Jeden z nich przeszukał Zawalę. Człowiek z blizną podszedł do Austina i dotknął jego płaszcza.

- Nie mogę się doczekać widoku twojej śmierci - warknął.

Durendał parzył Austina w zębra.

- Znam dentystę, który mógłby zrobić cuda z twoimi zębami.

Szef strażników przerwał rewizję osobistą, złapał Austina za kłapy i przydusił. Na rozkaz Barkera cofnął się.

- Nie wolno tak traktować gości - pouczył go Barker i odwrócił się do Joego. - Pan Zawała, jak się domyślam?

Kąciki ust Zawali uniosły się lekko. Jego łagodny ton nie mógł zamaskować pogardy w głosie.

- A pan to ten stuknięty naukowiec, doktor Barker, jak się domyślam? Kurt dużo mi o panu opowiadał.

- Na pewno same dobre rzeczy - odrzekł Barker. Wydawał się ubawiony. Zerknął na Austina. - Wybieracie się, panowie, na bal kostiumowy?

- Zgadza się - przytaknął Austin. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdziemy dalej.

- Nie uciekajcie tak szybko. Dopiero przyszlście.

- Skoro pan nalega... Chcielibyśmy jednak opuścić rękę, jeśli można.

- Proszę bardzo, tylko nie dawajcie moim ludziom powodu do zabicia was na miejscu.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Austin rozejrzał się. - Skąd pan wiedział, że jesteśmy na pokładzie? Ukryte kamery?

- W tym zabytku nie ma takich skomplikowanych urządzeń. Dla bezpieczeństwa w całym sterowcu zainstalowaliśmy sensory. Lampka kontrolna w kabinie sterowniczej pokazała zmianę temperatury powietrza w prawym pomieszczeniu obsługi silników. Kiedy poszliśmy to sprawdzić, zastaliśmy otwarty właz. Myśleliśmy, że to przypadek, dopóki nie zauważyliśmy, że brakuje dwóch płaszczy.

- Ależ byliśmy nieostrożni...

- Ta nieostrożność może was kosztować życie. Jeśli chcieliście zwiedzić nasz statek, chętnie byśmy wam go pokazali.

- Może następnym razem.

- Nie będzie następnego razu.

Barker podszedł bliżej i zdjął przeciwsłoneczne okulary. Austin zobaczył jego blade oczy. Pierwszy raz widział je na otwarciu wystawy w waszyngtońskim muzeum. Tęczówki niemal niczym nie różniły się od białek i przypominały ślepią jadowitego węża.

- Pan i NUMA narobiliście mi mnóstwo kłopotów - powiedział Barker.

- Pańskie kłopoty dopiero się zaczynają - odparł Austin.

- Odważne słowa jak na człowieka w pańskiej sytuacji. Ale spodziewałem się ich po tym, jak w Waszyngtonie pokrzyżował pan plany Umealiqowi.

Zavala po raz pierwszy usłyszał to imię.

- Kto to taki? - zapytał.

- Ten facet z blizną - wyjaśnił mu Austin. - Podobno znaczy to "kamienna dzida".

Zavala uśmiechnął się lekko.

- Uważa pan tę sytuację za śmieszna? - zapytał Barker.

- Myślałem, że to imię znaczy po kiolyańsku "focze łajno" - odrzekł Zavala.

Umealiq sięgnął do kościanego noża przy pasie i zrobił krok naprzód. Barker wyciągnął rękę i powstrzymał go. Przyjrzał się w zamyśleniu ludziom z NUMA.

- Co wiecie o Kiolya?

- Innuici uważają was za szumowiny Arktyki - odparł Austin.

Barker poczerwieniał.

- Właśnie przez Inuitów cały świat sądzi, że ludzie Północy to głupkowato uśmiechnięte karykatury, które biegają w futrach i mieszkają w lodowych domkach.

Austin był zadowolony, że udało mu się wkurzyć Barkera.

- Słyszałem, że kiolyańskie kobiety cuchną zjełczalym tranem.

Zavala wyczuł dobrą zabawę i włączył się.

- Naprawdę śmierdzą jeszcze gorzej. Dlatego te palanty tutaj wolą swoje własne, męskie towarzystwo.

- Możecie nas obrażać, ile chcecie - powiedział Barker. - Wasze kiepskie dowcipy to ostatnie słowo skazańca. Moi ludzie są jak rycerze zakonni w dawnych czasach.

Mózg Austina pracował na najwyższych obrotach. Barker miał rację. On i Joe mogli wymyślać różne obelgi, ale byli bezradni, mając przeciwko sobie tylu dobrze uzbrojonych ludzi. Trzeba znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Ziewnął i zapytał:

- A co z tym zwiedzaniem, które nam pan obiecał?

- Cóż za nietakt z mojej strony, że o tym zapomniałem.

Barker ruszył przodem. Wszedł na pomost biegnący środkiem pomieszczenia. Z obu stron bulgotała woda, ale źródło hałasu było ukryte w ciemności. Barker znów założył przeciwsłoneczne okulary i wydał rozkaz jednemu ze swoich ludzi. Sekundę później pomieszczenie zalało niebieskie światło z plastikowych zbiorników wpuszczonych w podłogę po obu stronach pomostu. Pod przezroczystymi, odsuwanymi pokrywami pływały wielkie ryby.

- Wygląda pan na zaskoczonego, panie Austin.

- Kolejna pomyłka z mojej strony. Myślałem, że trzyma pan swoje ryby na wybrzeżu, gdzie mają dostęp do słonej wody.

- To nie są zwykłe ryby - odparł Barker z dumą w głosie. - Mogą żyć w słonej lub słodkiej wodzie. Tak je zaprojektowałem. Udoskonałem modele, które opracowałem wspólnie z doktorem Throckmortonem. Są trochę większe i bardziej agresywne niż zwyczajne ryby. Perfekcyjne maszyny do rozmnażania. Polecimy tuż nad powierzchnią oceanu i ryby zsuną się do wody po specjalnych pochylniach. - Rozpostarł ręce jak podczas wiecu przed hangarem. - Oto moje dzieło. Niedługo te piękne stworzenia będą pływały w morzu.

- Gdzie narobią nieprawdopodobnych zniszczeń - dodał Austin. - To potwory.

- Potwory? Ja tak nie uważam. Po prostu wykorzystałem moją znajomość inżynierii genetycznej do stworzenia lepszego produktu komercyjnego. To nie jest wbrew prawu.

- Ale zabójstwa są karane!

- Niech pan sobie daruje to żałosne oburzenie. Zanim wkroczyliście na scenę, było wiele ofiar. I będzie jeszcze dużo więcej przeszkód do usunięcia. - Barker podszedł do zbiorników po drugiej stronie rybiej ładowni. - To moi ulubieńcy. Chciałem sprawdzić, do czego uda mi się dojść. Przekonać się, jak duże i żarłoczne mogą być ryby. Są zbyt agresywne, żeby się rozmnażać. Gdyby nie te śluzy, rzuciłyby się na siebie.

Na polecenie Barkera strażnik podszedł do chłodziarki i wyjął zamrożonego, ponad półmetrowego dorsza. Odsunął plastikową pokrywę jednego ze zbiorników i wrzucił martwą rybę do wody. W przeciągu sekundy dorsz zniknął w krwawej pianie.

- Zarezerwowałem panom miejsca na kolację - powiedział Barker.

- Dziękujemy, już jedliśmy - odrzekł Austin.

Barker przyjrzał się twarzom obu mężczyzn, ale nie dostrzegł w nich strachu. Zmarszczył brwi.

- Dam panom czas na zastanowienie się nad tym, co was czeka. Spróbujcie sobie wyobrazić, jakie to uczucie być rozerwanym na kawałki przez ostre zęby i rozwleczonym po oceanie. Moi ludzie przyjdą po was wkrótce po postoju na naszym lądowisku na wybrzeżu, gdzie zatankujemy paliwo. Żegnam panów.

Austina i Zavalę zaprowadzono korytarzem do magazynu, wepchnięto do środka i zaryglowano drzwi.

Austin zbadał zamek, potem usiadł na stosie tekturowych pudeł.

- Nie wyglądasz na zbyt przejętego tym, że będziesz karmą dla ryb - zauważył Zavalę.

- Bo nie zamierzam dostarczyć rozrywki temu białoookiemu psycholowi i jego przygłupom. A przy okazji, podobał mi się twój tekst o kiolyńskich kobietach.

- To było wbrew mojej naturze. Jak wiesz, kocham wszystkie kobiety, a te muszą mieć ciężkie życie ze swoimi facetami, którzy mordują i składają ludzi w ofierze. No więc jak się wyplączemy z tego małego bałaganu?

- Chyba wywalimy drzwi.

- Aha. Zakładając, że nam się uda, jakie mamy we dwóch szansę przeciwko batalionowi uzbrojonych facetów?

- Właściwie jest nas trzech.

Zavalę rozejrzał się.

- My i niewidzialny przyjaciel?

Austin zrzucił płaszcz i wyciągnął z pochwy miecz. Nawet w słabym świetle magazynu ostrze wydawało się żarzyć.

- To jest nasz przyjaciel. Durendal.

Katamaran przybił do brzegu jak barka desantowa marines. Dwa kadłuby ze szklanego włókna zazgrzytały, trąc o piasek. Zanim statek zdążył się zatrzymać, ludzie zaczęli zeskakiwać na ląd. Pierwszy Ben Nighthawk, za nim Baskowie i ekipa SOS. Pomogli wysiąść wieśniakom i wszyscy pobiegli do lasu. Zostali tylko Ben i Diego. Jesse Nighthawk obejrzał się i wrócił do Bena.

- Dlaczego nie idziesz z nami? - zapytał.

- Rozmawiałem z Diego. Mamy robotę - odrzekł Ben.

- O czym ty mówisz? Jaką robotę?

Ben spojrzał na drugą stronę jeziora.

- Musimy się zemścić.

- Nie możesz tam wrócić - powiedział Jesse. - To zbyt niebezpieczne.

- Pilot zestrzelonego helikoptera był naszym przyjacielem. Musimy pomścić jego śmierć - rzekł Diego, który przysłuchiwał się rozmowie.

- Tamci ludzie zabili mojego kuzyna - dodał Ben. - Bili i torturowali moją rodzinę i przyjaciół. Zniszczyli nasz piękny las.

Jesse nie widział w ciemności twarzy syna, ale usłyszał determinację w jego głosie.

- Dobrze - odrzekł smutno. - Zaprowadzę resztę w bezpieczne miejsce.

Z lasu wyłonił się Marcus Ryan, za nim Chuck Mercer i Therri Weld.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Ben i ten człowiek wracają - wyjaśnił Jesse. - Próbowałem ich powstrzymać, ale koniecznie chcą zginąć.

Ben położył rękę na ramieniu ojca.

- Nie, tato, ale chcę przynajmniej zetrzeć z powierzchni ziemi tamto wielkie, fałszywe igloo.

- To nie jest zadanie dla dwóch ludzi - powiedział Ryan. - Będzie wam potrzebna pomoc.

- Dzięki, Mark. Wiem, że chcesz dobrze, ale inni potrzebują cię bardziej niż my.

- Nie tylko wy macie rachunki do wyrównania - odparł ostro Ryan. - Barker zabił Joshuę i zatopił mój statek. Teraz próbuje zniszczyć oceany. Tamta budowla po drugiej stronie jeziora to nie szałas. Nie rozwalicie go tupnięciem nogi.

- Coś wymyślimy.

- Nie macie czasu na próby. Wiem, jak możemy wysłać tamtą kopułę w stratosferę. -
Ryan odwrócił się do Mercera. - Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

- Jasne, że pamiętam. Obiecaliśmy sobie, że przypieczemy Barkera, jeśli będziemy mieli okazję.

- I co ty na to, Ben? - zapytał Ryan. - Weźmiesz nas?

- Nie tylko ja tu decyduję. - Ben odwrócił się do Diego.

- Ich jest dużo, nas tylko kilku - odrzekł Bask. - Pablo jest wyłączony z akcji.

Będziemy mieli szczęście, jeśli przeżyjemy.

Ben zawahał się.

- Dobrze, Mark. Bierzemy was.

Ryan uśmiechnął się triumfalnie.

- Potrzebne są jakieś materiały wybuchowe. Nasze ładunki C-4 przepadły, kiedy nas złapali.

- Mamy z bratem trochę granatów ręcznych - powiedział Diego i klepnął swój plecak.

- Po trzy na głowę. Wystarczy?

W odpowiedzi Ryan spojrzał pytająco na Mercera.

- Wystarczy, jeśli umieścimy je we właściwych miejscach - odparł Chuck.

- A co ze mną? - zapytała Therri, która przysłuchiwała się dyskusji.

- Rodzina i przyjaciele Bena są w kiepskim stanie - odpowiedział Ryan. - Przyda im się twoja pomoc. Zwłaszcza dzieciom.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała Therri. Pocałowała Ryana, potem cmoknęła w policzek Mercera i Bena. - Uważajcie na siebie.

Kiedy Therri wróciła do lasu, Ben i inni zepchnęli katamaran na wodę i wdrapali się na pokład. Dzięki dwóm kadłubom i potężnym silnikom statek rozwijał sporą szybkość. Wkrótce dotarli na drugi brzeg. Gdy przybijali do pomostu, Pablo i Diego czuwali na dziobie z karabinami. Szybko przycumowali i ruszyli w głąb lądu.

Mercer wstąpił do szopy obok przystani. Wyniósł stamtąd dwa zwoje stalowej linki, przewód elektryczny i rolkę taśmy samoprzylepnej. Idąc gęsiego, zbliżyli się do placu. Nikt ich nie zauważył. Ryan doprowadził grupę do kopuły i znalazł to, czego szukał - wysoki, cylindryczny zbiornik na polanie otoczonej gęstym lasem. Na zbiorniku było ostrzeżenie, że zawartość jest łatwo palna. Od zbiornika do budynku biegły stalowe rury o średnicy około piętnastu centymetrów. Obok miejsca, gdzie rury wchodziły do hangaru sterowca, były

zaryglowane drzwi zrobione z plastiku, podobnie jak sama kopuła. Łatwo ustąpiły pod silnym ramieniem Diego.

Weszli do korytarza, który przez kilka metrów biegł równoległe do rur znikających w ścianie obok następnych drzwi. Te nie były zaryglowane. Ryan uchylił je i zobaczyli wnętrze kopuły. Na środku hangaru, gdzie wcześniej stał sterowiec, kręcili się ludzie. Zwijali liny, przesuwali rusztowania i pomosty.

Ryan pokazał innym, żeby zostali. Wśliznął się z Mercerem do hangaru. Skradali się wzdłuż ściany za wysokimi stosami zwiniętych węży, aż dotarli do rur wchodzących do budynku. Właśnie te rury wskazywał Barker, kiedy wyjaśniał, dlaczego używa wodoru zamiast helu do napełniania zbiorników gazu w sterowcu. Obsługiwane ręcznie zawory otwierały i zamykały dopływ gazu do węży.

W ciągu kilku minut otworzyli wszystkie zawory. Gaz unosił się pod dach i mieli nadzieję, że przez jakiś czas nikt go nie wykryje. Kiedy skończyli, wymknęli się na zewnątrz. Ben i Diego, według instrukcji Mercera, przykleili taśmą granaty do rur. Do zawleczek przyczepili krótkie kawałki przewodu elektrycznego, które połączyli z jednym zwojem stalowej linki. Ryan i Mercer obejrzel ich dzieło i byli zadowoleni. Wycofali się do jeziora, rozwijając za sobą linkę. Starali się ciągnąć ją w linii prostej, żeby nie zahaczała o krzaki i drzewa.

Kiedy pierwszy sześćdziesięciometrowy zwój się skończył, przymocowali wolny koniec linki do drugiej szpuli. Dziesięć metrów od jeziora zabrakło im linki. Mercer poszedł do szopy i przyniósł kilka kawałków lin i sznurów różnej długości i grubości. Powiązali je razem i doprowadzili do brzegu jeziora. Kiedy wszystko było gotowe, Diego wrócił na plac i zajął pozycję za grubym drzewem.

Kiolya skończyli pracę w hangarze i wychodzili na plac. Niektórzy kierowali się do swoich baraków. Bask spokojnie wziął na muszkę jednego z ochroniarzy i strzelił krótką serią. Strażnik upadł na ziemię. Od strony koszar nadbiegli inni i otworzyli bezładny ogień w kierunku lasu, gdzie widzieli błyski z lufy. Ale Diego zmieniał miejsce po każdym strzale i pociski przeciwników nie trafiały w cel. Po stracie dwóch następnych ludzi mężczyźni na placu rzucili się do drzwi wielkiego igloo.

Właśnie na taką reakcję liczył Diego. Starał się odciąć im drogę ucieczki do lasu. W efekcie ochroniarze ukryli się w budynku. Wiedział, że niedługo wyłonią się z hangaru innymi wyjściami, rozbiegną wśród drzew i spróbują go oskrzydlić. Kiedy jednak ostatni z nich zniknął wewnątrz kopuły i plac opustoszał, Diego popędził z powrotem na brzeg jeziora.

Ryan i reszta czekali na niego, zaalarmowani strzelaniną. Na widok Diego Ryan wręczył Benowi koniec linki.

- Chcesz mieć ten zaszczyt?

Ben wziął linkę.

- Dzięki. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Ryan odwrócił się do pozostałych.

- Kiedy Ben pociągnie za linkę, dajecie nura do wody i trzymacie głowy pod powierzchnią, dopóki możecie. Dobra, Ben. Szarp!

Ben mocno pociągnął linkę, potem wypuścił ją z ręki i wskoczył z innymi do jeziora. Nabrali powietrza i schowali się pod wodą. Nic się nie stało. Ryan wynurzył głowę i zaklął. Wyszedł na brzeg, podniósł koniec linki i szarpnął. Odskokczyła z powrotem, jakby zaczepiła o gałąź.

- Coś ją musi trzymać - zawołał do pozostałych. - Sprawdzę to.

Ruszył w głąb łądu.

Jeden ze strażników zauważył Diego biegnącego do jeziora i postanowił to zbadać. Natrafił na linkę i trzymał ją w ręku, gdy zobaczył Ryana. Ryan szedł nisko schylony, wpatrując się w linkę. Nie zauważył wycelowanej w siebie lufy. Poczł trafienie w ramię jak cios gorącym żelazem. Opadł na kolana.

Strażnik nie zdążył strzelić drugi raz. Seria z broni Diego, który poszedł za Ryanem, podziurawiła mu pierś. Pociski odrzuciły go do tyłu, ale jego palce zacisnęły się w śmiertelnym skurczu na lince. Padając, pociągnął ją swoim ciężarem. Mimo bólu w głowie Ryana zadźwięczał alarm. Spróbował wstać, ale nogi miał jak z gumy. Nagle poczuł, jak podnoszą go silne ręce i kierują z powrotem w stronę jeziora. Byli niemal na skraju wody, gdy jezioro rozbłysło, jakby ktoś spryskał powierzchnię farbą fosforescencyjną.

Pociągnięta przez padającego strażnika linka wyrwała zawleczki z granatów. Dźwignie odskoczyły i uruchomiły zapalniki. Sześć sekund później granaty zdetonowały. Zapalił się wodór w rurach. Płonący gaz błyskawicznie przebył krótką drogę do wylotów rur i wystrzelił jak z miotaczy ognia. Płomienie dosięgnęły niewidocznej chmury wodoru, wiszącej pod kopułą.

Hangar sterowca stał się piekłem dla kiolyańskich strażników. Nasycone wodorem, gorące powietrze eksplodowało wewnątrz kopuły, paląc ciała. Biały żar był uwięziony w hangarze tylko przez kilka sekund, dopóki nie stopiły się ściany z grubego plastiku. Ryan i Diego zdążyli jednak dotrzeć do wody i zanurzyć się, zanim kopuła eksplodowała i płomienie ogarnęły otaczający ją las i budynki. Wokół rozeszła się fala gorąca.

Oslabiony postrzałem Ryan zdołał zaczerpnąć niewiele powietrza przed schowaniem się pod wodą. Zobaczył rozblask na jeziorze i usłyszał przytłumiony grzmot. Został pod powierzchnią dopóki mógł, potem wynurzył głowę. Oczy piekły go od gęstego dymu z płonącego lasu, ale nie zwracał uwagi na ból. Patrzył ze zgrozą na grzyb unoszący się wysoko pod niebo w miejscu, gdzie ostatnio widział kopułę. Pożar "Hindenburga" wyglądał przy tym jak płomień świecy.

Ben, Mercer i Diego wystawili głowy z wody niczym wydry łapiące oddech i też przyglądali się groźnej scenie. Każdy z nich stracił krewnego lub przyjaciela w walce z Barkerem i jego kiolyańską bandą. Nie czuli jednak satysfakcji, że dokonali takich zniszczeń. Wiedzieli, że tylko częściowo wymierzyli sprawiedliwość. Zadali cios szalonemu genetykowi, ale go nie powstrzymali. W chybotliwym świetle płonących drzew popłynęli do katamarana, pomagając Ryanowi utrzymać się na wodzie. Kilka minut później statek sunął po jeziorze, zostawiając za sobą tłący się stos pogrzebowy.

Austin siedział na pudle z antybiotykami dla ryb. Między kolanami trzymał miecz, opierając głowę na jego rękojeści. Ktoś inny uznałby to za rezygnację, ale Zavala wiedział swoje: Kurt zacznie działać, kiedy będzie gotów.

W tym samym czasie Zavala był pochłonięty ćwiczeniami, stanowiącymi połączenie jogi, zen i bokserskiej walki z cieniem. Pomagały mu się wyluzować i skoncentrować. Skończył demolowanie wyimaginowanego przeciwnika lewym sierpowym i szybkim prawym prostym i zatarł ręce.

- Właśnie znokautowałem kolejno Rocky'ego Marciano, Sugar Raya Robinsona i Muhammada Alego.

Austin podniósł wzrok.

- Zachowaj kilka ciosów dla Barkera i jego koleśków. Zaczynamy schodzić w dół.

Austin potraktował serio zapowiedź Barkera, że nakarmi nimi swoich ulubieńców i wrzuci ich szczątki do Atlantyku. Morderca tego rodzaju był zdolny do wszystkiego, żeby osiągnąć swój cel. Uważał się za boga, pana życia i śmierci. Jeśli zagroził, że ich zabije, z pewnością nie żartował.

Austin czekał na postój z tankowaniem. Miał nadzieję, że załoga będzie zajęta, gdy zeppelin podejdzie do lądowania. Strażnicy zabrali im zegarki i nie wiedział, ile czasu minęło od startu. Gdy zamknięto ich tutaj, oparł koniec miecza na podłodze i przyłożył ucho do rękojeści. Ostrze wyłapywało wibracje silników jak igła gramofonowa. Przed kilkoma minutami drgania osłabły. Silniki pracowały wolniej. Austin wstał i podszedł do solidnych drewnianych drzwi, które próbowali już wyważyć ramieniem, ale tylko narobili sobie siniaków. Cicho w nie zastukał. Chciał być pewien, że po drugiej stronie nie stoi strażnik. Nikt nie odpowiedział. Chwycił oburącz rękojeść miecza, uniósł ostrze nad głowę i z całą siłą opuścił w dół.

Poleciały drzazgi, ale drzwi się nie poddały. Końcem miecza wydrążył dziurę wielkości pięści i zaczął ją gorączkowo powiększać. Potem wysunął ramię na zewnątrz. Na drzwiach wisiała kłódka. Przez kilka minut na zmianę z Zavalą odłupywali drewno, aż wycięli zamek i otworzyli drzwi. Nie widząc żadnych strażników, zakradli się ostrożnie do ładowni z rybami. Austin wychylił się z pomostu.

- Przykro mi, że was rozczaruję - zwrócił się do białych mutantów, pływających w zbiornikach - ale mamy inne plany na kolację.

- Pewnie i tak nie lubią meksykańskiej kuchni - powiedział Zavala.

Ukośna powierzchnia wody w zbiornikach wskazywała na to, że zeppelin jest pochylony w przód. Schodzili w dół. Austin chciał się dostać do gondoli sterowniczej, ale podejrzewał, że jest dobrze strzeżona. Musieli wymyślić coś innego. W swojej chaotycznej przemowie Barker ujawnił więcej, niż powinien.

- Joe - mruknął Austin - pamiętasz, co nasz gospodarz mówił o służach?

- Że rozdzielają bardziej agresywne ryby. Inaczej rozszarpałyby się wzajemnie na kawałki.

- Powiedział też, że wszystkie systemy tego worka z gazem są okablowane. Założę się, że otwarcie śluz włącza alarm. Co ty na to, żeby wywołać małe zamieszanie?

Austin wyciągnął jedną przegrodę. Ryby po obu stronach śluzy podpłynęły wcześniej do szczytu zbiornika. Obecność człowieka oznaczała dla nich porę karmienia. Po usunięciu przegrody wszystkie na moment znieruchomiały. Potem w zbiorniku zakotłowało się. Migwały płetwy, srebrzystobiała łuska i kłapiące szczęki. Mając w pamięci plany Barkera wobec nich, Austin i Zavala obserwowali tę walkę ze ściśniętymi żołądkami. Po kilku sekundach w wodzie pozostała tylko krew i szczątki ryb. Stworzenia porozrywały się wzajemnie na strzępy.

Po otwarciu śluzy zaczęło błyskać czerwone światło na ścianie. Austin zaczekał przy drzwiach, Zavala przyjął niedbałą pozę na pomoście. Omal nie krzyknął z radości, gdy zjawił się tylko jeden strażnik. Kiolya stanął jak wryty na jego widok, potem uniósł karabin. Austin zaszedł go z tyłu.

- Cześć - powiedział.

Kiedy strażnik odwrócił się, Austin walnął go łokciem w szczękę. Kiolya runął na podłogę. Kurt zabrał mu broń i rzucił Zawali. Znaleźli wyłącznik alarmu i czerwone światło zgasło.

Wyszli z ładowni. Zavala trzymał karabin, Austin ścisnął miecz, jakby szykował się do szturmowania na twierdzę. Krótki korytarz doprowadził ich do schodów, prowadzących w dół do kabiny sterowniczej. Przez otwarte drzwi zobaczyli wewnątrz kilku mężczyzn. Jedni chodzili, inni stali przy sterach. Barkera nie było. Austin zasygnalizował Zawali, żeby się wycofać. Kabina sterownicza mogła poczekać. Pakowanie się w paszczę potwora o nazwie Oceanus nie miało sensu. Należało odciąć mu łeb.

Austin domyślił się, gdzie znajdzie Barkera. Pobiegli z powrotem przez ładownię z rybami i korytarz do pracowni-muzeum, gdzie Austin odkrył Durendala. Nie mylił się - Barker i człowiek z blizną stali pochyleni nad mapą rozpostartą na stole.

Umealiq wyczuł intruzów zwierzęcym instynktem. Podniósł głowę i zobaczył ich. Jego twarz wykrzywiła furia. Barker usłyszał warknięcie swojego człowieka i spojrział w górę. Po początkowym zaskoczeniu uśmiechnął się. Austin nie widział jego oczu za przeciwsłonecznymi okularami, ale był pewien, że są utkwione w mieczu. Barker podszedł bez słowa do skrzyni, uniósł róg i otworzył wieko.

- No, proszę. Okazuje się, że jest pan nie tylko pasażerem na gapę, lecz również złodziejem.

Zamknął skrzynię, ale przed odłożeniem rogu zerknął na Umealiqą. Tamten odpowiedział ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy. Zanim Austin zdążył się ruszyć, Barker rzucił rogiem w Zawalę. Joe schylił się, żeby uniknąć ciosu. Korzystając z zamieszania, Umealiq dał nura za biurko. Potem z kocią zwinnością ukrył się za ciężką sofą. Wyskoczył zza oparcia jak diabeł z pudełka, strzelił na ślepo z pistoletu i zniknął za drzwiami.

- Zatrzymaj go, zanim zaalarmuje innych! - krzyknął Austin. Ale Zawała był już za progiem.

Austin i Barker zostali sami. Na upiornej twarzy Barkera wciąż błąkał się uśmiech.

- Zdaje się, że załatwimy to między sobą, panie Austin.

- Jeśli tak, to już po tobie.

- Odważne słowa. Ale niech pan się zastanowi nad swoją sytuacją. Umealiq zabije pańskiego partnera i za chwilę tymi drzwiami wbiegną uzbrojeni ludzie.

- To ty się zastanów nad swoją sytuacją, Barker - odparł Austin, uniósł miecz i ruszył naprzód. - Wytnę ci to lodowate serce i rzucę na pożarcie twoim zmutowanym potworem.

Barker zakręcił się jak baletnica, chwycił harpun ze ściany i błyskawicznym rzucił nim w Austina z zadziwiającą celnością. Kurt schylił się i harpun utkwiał w piersi jednej z mumii. Stojak ze zmumifikowanym mężczyzną w skórzanym płaszczu przewrócił się i pociągnął za sobą fragment poszycia sterowca z napisem "Nietzsche". Barker porwał ze ściany następny harpun i natarł na Austina z kościanym nożem w drugiej ręce.

Austin klingą miecza sparował cios harpunem, ale odsłonił się przy tym ruchu. Cofnął się przed nożem i nadepnął na róg leżący na podłodze. Potknął się i upadł. Barker wrzasnął triumfalnie i zaatakował. Austin leżał na mieczu i nie mógł go użyć do obrony. Nóż opadł.

Austin zablokował nadgarstek Barkera kantem dłoni. Puścił miecz drugą ręką i zaczął odpychać nóż od swojego gardła.

Zaskoczony jego siłą Barker wyszarpnął ramię i znów zadał cios. Austin przetoczył się w bok, zostawiając miecz na podłodze. Nóż przeciął powietrze centymetr od jego piersi. Barker kopnął miecz na bok i ruszył naprzód. Austin cofnął się i oparł o krawędź biurka. Nie miał drogi odwrotu. Przeciwnik był już tak blisko, że Austin widział odbicie swojej twarzy w jego przeciwsłonecznych okularach. Barker uśmiechnął się i unióśł nóż do ciosu.

Zavala wypadł za próg i stanął jak wryty. Spodziewał się korytarza, a zamiast tego znalazł się w klitce niewiele większej od kabiny telefonicznej. Do ściany przymocowana była drabina. Ciasne pomieszczenie oświetlała jedna lampa. Pod nią był stojak z latarkami. Zavala chwycił jedną z nich i poświecił w górę. Wydało mu się, że zobaczył jakiś ruch. Zarzucił karabin na ramię, wetknął latarkę za pas i zaczął się wspinać. U szczytu szybu znajdował się trójkątny korytarz, skonstruowany z połączonych dźwigarów - zapewne fragment kila, który usztywniał kadłub statku powietrznego.

Zavala wstrzymał oddech i usłyszał cichy dźwięk, być może uderzenie buta o metal. Skręcił w boczny korytarz i odkrył, że prowadzi on w górę wzdłuż poszycia zeppelinu. Z drugiej strony przywierała do niego ściśle biała powłoka wypełniona gazem. Joe domyślił się, że jest wewnątrz pierścienia połączonego z kilem dla wzmocnienia konstrukcji statku powietrznego.

Zavala miał dobrą kondycję, ale ciężko dyszał, gdy na szczycie zeppelinu napotkał następny trójkątny korytarz biegnący przez całą długość statku. Poświecił latarką wzdłuż podpory poprzecznej. Zobaczył ruch i usłyszał w oddali echo ciężkich kroków.

Rzucił się w tamtą stronę. Musiał zatrzymać Umealiq, zanim dotrze on do gondoli sterowniczej i podniesie alarm. Następne skrzyżowanie poprzecznego korytarza z pierścieniem podporowym. Cisza. Ani śladu przeciwnika. Zavala zastanowił się nad konstrukcją wnętrza statku. Wyobraził sobie tarczę zegara. Korytarz, w którym jest teraz, to godzina dwunasta. Poprzeczne przejście, które widział wcześniej, to godzina ósma. Dla zapewnienia pierścieniom sztywności musi być trzeci poziomy korytarz na godzinie czwartej. Może tam uda się dopaść Umealiq.

Ześlizgnął się w dół pierścienia. Omal nie krzyknął triumfalnie na widok trzeciego poprzecznego korytarza. Pobiegł w głąb, przystając i nasłuchując przy każdym pierścieniu. Przypuszczał, że Umealiq postara się dotrzeć jak najbliżej dziobu zeppelinu, zanim zejdzie kolejnym pierścieniem do gondoli sterowniczej.

Przy trzecim skrzyżowaniu kila z pierścieniem Zavała usłyszał jakiś odgłos, jakby ktoś schodził po metalowej drabinie. Czekał cierpliwie.

Kiedy tuż obok rozległ się ciężki oddech, włączył latarkę. Snop światła padł na Umealiqą, uczepionego drabiny jak wielki pająk.

- Nie ruszaj się! - rozkazał Zavała i przyłożył karabin do ramienia.

Umealiq zatrzymał się i spojrzał w dół na Zawalę z pogardliwym uśmiechem.

- Ty idioto! - krzyknął. - No, dalej! Strzelaj! Podpisesz na siebie wyrok śmierci. Jeśli chybisz i zamiast mnie trafisz w worek z gazem, sterowiec stanie w płomieniach i obaj z twoim partnerem zginiecie.

Zavała jako inżynier dobrze znał właściwości różnych substancji. Wiedział, że musiałby użyć pocisku smugowego, żeby zapalić wodór.

- I tu się mylisz - odparł. - Zrobiłbym tylko dziurę w worku z gazem.

Drwiący uśmiech zniknął. Umealiq wygiął się na drabinie i wycelował w Zawalę z pistoletu. Huknął strzał karabinowy. Pocisk dużego kalibru trafił Umealiqą w pierś i strącił z drabiny. Zavała cofnął się przed ciałem, które wylądowało u jego stóp. W ostatniej sekundzie życia twarz Umealiqą wykrzywił wyraz niedowierzania.

- Pomyliłeś się jeszcze raz - powiedział Zavała. - Ja nie chybiam.

Kiedy Zavała ścigał Umealiqą, Austin walczył o życie. Znów zablokował nadgarstek Barkera kantem lewej dłoni i zatrzymał opadający nóż centymetr od swojej szyi. Prawą ręką chciał złapać przeciwnika za gardło, ale Barker odchylił się do tyłu. Wyciągniętymi palcami Kurt strącił mu przeciwsłoneczne okulary. Spojrzał z bliska w jasnoszare, węzowe oczy i zamarł na moment, co pozwoliło Barkerowi wyrwać rękę z jego uchwytu.

Austin sięgnął za siebie, szukając rozpaczliwie na biurku przycisku do papieru lub innej broni. Nagle coś go oparzyło. Po omacku dotknął jednej z lamp halogenowych, oświetlających mapę. Chwytał lampę, chcąc uderzyć nią Barkera w twarz. Genetyk zablokował cios, ale poraziło go światło. Zareagował tak, jakby Austin chlusnął mu w oczy kwasem. Krzyknął i zasłonił się ręką. Zatoczył się do tyłu, krzycząc w języku Kiolya. Austin patrzył w oszołomieniu na to, czego dokonał jedną żarówką.

Barker wycofał się po omacku z pomieszczenia. Austin podniósł miecz i ruszył za nim. Chciał dopaść Barkera, zanim dotrze on do gondoli sterowniczej. Z pośpiechu zapomniał o ostrożności. Barker czekał na niego w ładowni z rybami. Zaatakował tuż za progiem. Dźgnął Austina nożem w klatkę piersiową. Austin upuścił miecz i spadł z pomostu na plastikowe pokrywy zbiorników z rybami. Poczul pod koszulą ciepłą wilgoć.

Usłyszał paskudny śmiech Barkera. Genetyk stał na pomoście w blasku niebieskiego światła ze zbiorników. Patrzył to w górę, to w dół. Austin zorientował się, że Barker nadal nic nie widzi. Odetchnął z ulgą. Spróbował przeczołgać się wzdłuż ładowni po pokrywach zbiorników. Ryby pod nim miały się w wodzie. Widziały go i czuły krew. Barker gwałtownie odwrócił głowę w jego kierunku.

- Zgadza się, panie Austin. Nadal pana nie widzę. Ale wystarczy mi mój czuły słuch. W świecie niewidomych człowiek o najlepszym słuchu jest królem.

Barker starał się sprowokować Austina do odpowiedzi, która zdradziłaby, gdzie jest. Kurt mocno krwawił i nie wiedział, jak długo pozostanie przytomny. Zawała mógł już nie żyć. Był zdany na siebie. Miał tylko jedną szansę. Odsunął pokrywę zbiornika obok siebie. Hałas zagłuszył jękiem.

Głowa Barkera zatrzymała się jak antena radarowa po namierzeniu celu. Genetyk uśmiechnął się i spojrzał bladymi oczami prosto na Austina.

- Jest pan ranny, panie Austin?

Przeszedł po pomoście kilka kroków w kierunku Austina. Kurt znów jęknął i odsunął pokrywę zbiornika o następne parę centymetrów. Barker zszedł z pomostu i ruszył wolno po pokrywach zbiorników. Austin zerknął na otwór. Nie miał nawet trzydziestu centymetrów długości. Znów jęknął i odsunął pokrywę jeszcze trochę.

Barker przystanął i zaczął nasłuchiwać, jakby coś podejrzewał.

- Pieprzę cię, Barker - powiedział Austin. - Otwieram śluzy.

Barker warknął wściekle i rzucił się naprzód. Nie usłyszał, jak Austin odsuwa pokrywę o dalsze trzydzieści centymetrów i wpadł do zbiornika. Zniknął pod wodą, potem wynurzył głowę. Na jego twarzy pojawił się strach, kiedy zdał sobie sprawę, gdzie jest. Chwycił się krawędzi zbiornika i spróbował podciągnąć się do góry. Zmutowaną rybę najpierw przeraziło wtargnięcie intruza, ale teraz kręciła się wokół nóg Barkera. Podniecała ją krew Austina, kapiąca z rany do wody.

Kurt wstał i otworzył sąsiednie śluzy. Barker już do połowy wydostał się na zewnątrz, gdy dopadły go ryby z innych zbiorników. Zbladł jeszcze bardziej i osunął się z powrotem do wody. Zakotłowało się i jego ciało zniknęło w krwawej pianie.

Austin wyłączył alarm i powłókł się z powrotem do kwatery Barkera, gdzie znalazł apteczkę z zestawem pierwszej pomocy. Za pomocą plastra i bandaży zatamował krwawienie. Potem wrócił po miecz. Zamierzał udać się na poszukiwanie Zawali, kiedy jego partner stanął w drzwiach.

- Gdzie Barker? - zapytał Zawała.

Austin uśmiechnął się ponuro.

- Pokłóciliśmy się i szlag go trafił. Później ci opowiem. Co z tamtym?

- Śmiertelne zatrucie gazem - odrzekł Zavala i rozejrzał się. - Może byśmy już wysiedli?

- Właśnie zaczęła mi się podobać ta wycieczka, ale jak chcesz.

Poszli szybko do gondoli sterowniczej. W kabinie zastali tylko trzech ludzi. Jeden stał z przodu przy szprychowym kole sterowym. Inny obsługiwał drugi ster po lewej stronie. Trzeci wydawał tamtym rozkazy. Na widok Austina i Zavali sięgnął do pasa po pistolet. Austin nie był w nastroju do zabawy.

Przystawił ostrą jak brzytwa klingę miecza do jabłka Adama dowódcy.

- Gdzie reszta?

Nienawiść w ciemnych oczach mężczyzny zastąpił strach.

- Przy linach cumowniczych.

Austin opuścił miecz i podszedł do jednego z okien gondoli, Zavala go osłaniał. Z wielu punktów na całej długości zeppelin zwiślały cumy. Reflektory sterowca oświetlały twarze patrzących w górę ludzi, którzy czekali na dole, żeby chwycić liny i przyciągnąć statek powietrzny do wieży cumowniczej. Austin odwrócił się i kazał dowódcy zabrać swoich ludzi i wyjść z kabiny. Zaryglował za nimi drzwi.

- Poradzisz sobie z tym antykiem? - zapytał Zavale.

Zavala skinął głową.

- Przypomina to duży statek morski. Tamto koło z przodu to ster kierunkowy. To z boku to ster wysokości. Lepiej sam go wezmę. Tu może być potrzebne wyczucie.

Austin stanął za sterem kierunkowym. Zeppelin był pochylony do przodu i Austin miał dobry widok na lądowisko. Obsługa naziemna już trzymała kilka lin cumowniczych.

Wziął głęboki oddech i odwrócił się do Zavali.

- No to lećmy.

Zavala obrócił kołem, ale zeppelin nie chciał się wznieść. Austin przestawił dźwignie przepustnic silników. Sterowiec zaczął sunąć naprzód, ale cumy ciągnęły go w dół.

- Potrzebujemy większej siły wznoszenia - powiedział Zavala.

- To może wyrzucimy trochę balastu?

- Przydałoby się.

Austin przyjrzał się panelowi sterowniczemu i znalazł to, czego szukał.

- Trzymaj się - uprzedził.

Wcisnął przycisk. Rozległ się szum opróżnianych zbiorników w ładowni. Setki wijących się ryb i tysiące litrów wody runęło otwartymi pochylniami na ludzi w dole. Obsługa naziemna zostawiła cumy i rozbiegła się. Ci, którzy nie puścili lin, znaleźli się w powietrzu, gdy odciążony sterowiec nagle się uniośł. Potem spadli na ziemię.

Zeppelin sunął naprzód i w górę. Ogromna masa nad ich głowami reagowała z opóźnieniem na ruchy koła sterowego. Austin skierował zeppelin nad morze. W złocistym blasku wschodzącego słońca zobaczył sylwetkę statku kilka mil od brzegu. Potem jego uwagę zwróciło walenie do drzwi kabiny.

- Zdaje się, że nie jesteśmy tu mile widziani, Joe - zawołał przez ramię.

Austin skierował zeppelin w kierunku statku na morzu. Kiedy się zbliżyli, zmniejszył obroty silników. Zawała tak ustawił ster wysokości, że zawisł w powietrzu. Wydostali się przez okna gondoli i chwycili cumy. Z powodu świeżej rany Austin miał pewne trudności z utrzymaniem się na linie. Gdy byli tuż nad morzem, sterowiec zaczął nabierać wysokości.

Paul pełnił wachtę od kilku minut, gdy usłyszał odgłos potężnych silników. Coś się działo w powietrzu nad terenem Oceanusa. Chwilę wcześniej w niebo wystrzeliły snopy światła. Paul zobaczył wielki kształt i lśniąca w blasku reflektorów metaliczną powłokę zeppelin. Sterowiec skierował się ku morzu. Im bardziej zbliżał się do statku, tym niżej leciał.

Paul obudził Gamay i kazał jej zaalarmować resztę załogi. Chwilę później na pokładzie zjawił się zaspany kapitan.

- Co się dzieje? - zapytał.

Paul wskazał zbliżający się zeppelin. Sterowiec lśnił w złocistych promieniach porannego słońca, jakby płonął.

- Lepiej wynośmy się stąd. Nie wiem, czy to przyjaciel, czy wróg.

Kapitan pobiegł na mostek.

Profesor Throckmorton też przyszedł na pokład.

- Dobry Boże! - krzyknął. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak wielkiego.

Zapuszczono silniki i statek ruszył. Obserwowali, jak sterowiec skręca w lewo i w prawo, wznosi się i opada. Ale jedno było pewne - leciał prosto na nich. Sunął teraz tak nisko, że liny zwisające z kadłuba dotykały fal.

Gamay wpatrywała się w gondolę sterowniczą. W oknach pojawiły się głowy. Potem dwaj mężczyźni wydostali się na zewnątrz i zjechali po linach w dół. Pokazała ich Paulowi. Uśmiechnął się szeroko i kazał kapitanowi zatrzymać statek.

- Ale tamci nas dogonią.
- I o to właśnie chodzi, kapitanie.

Kapitan mruknął coś pod nosem i pobiegł na mostek. Paul i Gamay zebrali kilku członków załogi i przygotowali ponton motorowy. Gigantyczna sylwetka zeppelinu przesłoniła niebo. Kiedy sterowiec znalazł się na trawersie, postacie wiszące na linach opadły do morza w wielkich rozbryzgach wody. Ponton wyłowił Zawalę i Austina, a Paul i Gamay wciągnęli ich na pokład statku.

- Miło z waszej strony, że wpadliście - powiedział Paul.
- Miło z waszej strony, że na nas czekaliście - odrzekł Austin.

Uśmiechał się szeroko, nie odrywając wzroku od zeppelinu. Zobaczył z ulgą, że sterowiec wyrównał lot i oddalił się od statku. Ludzie Barkera musieli się włamać do gondoli. Mieli broń automatyczną i szybko rozprawiliby się ze statkiem i wszystkimi na pokładzie. Jednak po śmierci swojego przywódcy, Toonooka, Kiolya zostali bez szefa.

Gamay fachowo opatrzyła ranę Austina. Była mniej groźna, niż wyglądało. Kurt pocieszał się, że przynajmniej będzie miał takie same blizny po obu stronach klatki piersiowej. On i Zawała siedzieli z Troutami w ciepłej mesie przy kawie, kiedy kucharz zapytał, co chcą na śniadanie.

Austin zdał sobie sprawę, że nie jedli od poprzedniego dnia. Poznał po oczach Zawali, że Joe też jest głodny.

- Wszystko jedno, byle dużo - odparł.
- Może ryba w cieście i jajka? - zaproponował kucharz.
- Ryba w cieście? - zapytał Zawała.
- Tak. To nowofundlandzka specjalność.

Austin i Zawała wymienili spojrzenia.

- Nie, dziękujemy - odpowiedzieli.

Bear zjawił się zgodnie z obietnicą. Therri wywołała pilota przez radio, powiedziała mu, że musi ewakuować około pięćdziesięciu osób, Bear nie zadawał pytań. Wezwał wszystkich pilotów w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Z różnych kierunków nadleciały hydroplany, by zabrać pasażerów z brzegu jeziora. Najpierw wsiedli chorzy i starzy, potem młodzi. Therri stała na plaży z mieszanymi uczuciami ulgi i smutku. Pomachała na pożegnanie swojej nowej przyjaciółce Rachaeli.

Ryan kwalifikował się do odlotu w pierwszej kolejności. Prowizorycznie opatrzono mu ranę, żeby powstrzymać krwawienie i zapobiec infekcji. Trafił z innymi do małego, ale dobrze wyposażonego prowincjonalnego szpitala. Bracia Aguirrez skorzystali z własnego transportu. Wezwali eurocopter, który zabrał ich na jacht.

Przed odlotem Ben i niektórzy młodzi mężczyźni z plemienia wybrali się na drugą stronę jeziora, żeby sprawdzić, co zostało z kompleksu Barkera. Po powrocie zameldowali, że nic już tam nie ma. Therri zapytała, co stało się z diabłorybami, które oglądała. Ben tylko się uśmiechnął.

- Usmażone.

Therri, Ben i Mercer byli ostatni w kolejce do ewakuacji. Kiedy hydroplan wzbił się nad rozległy las, Therri spojrzała w dół na spalone drzewa wokół zniszczonej budowli Barkera.

- Co się tu stało? - zawołał Bear przez hałas silnika. - Wicie coś o tym?

- Ktoś musiał się bawić zapałkami - odrzekł Mercer. Na widok sceptycznej miny Beara uśmiechnął się szeroko. - Jak dolecimy na miejsce, opowiem ci wszystko przy piwie.

Austin i Zavała w towarzystwie Troutów płynęli do portu na pokładzie statku badawczego Throckmorta. Naukowiec wciąż był w szoku po odkryciu szalonego planu Barkera. Obiecał złożyć zeznania przed komisją kongresową senatora Grahama, kiedy tylko poinformuje parlament kanadyjski o zagrożeniach, jakie stwarzają genetycznie modyfikowane ryby.

Po powrocie do Waszyngtonu Austin spotkał się z Sandeckerem i zdał mu relację z przebiegu operacji. Admirał z zainteresowaniem słuchał opowieści o śmierci Barkera, ale najbardziej fascynował go Durendał. Trzymał miecz ostrożnie w obu rękach.

W przeciwieństwie do wielu ludzi morza Sandecker nie był przesądny, toteż Austin ze zdziwieniem uniósł brwi, kiedy admirał, wpatrzony w lśniące ostrze, mruknął:

- Ten miecz wydaje się żyć własnym życiem.

- Miałem to samo wrażenie - przyznał Austin. - Kiedy pierwszy raz wziąłem go do ręki, poczułem dreszcz, jakby przepłynął przeze mnie prąd elektryczny.

Sandecker wsunął miecz do pochwy.

- To oczywiście zabobonne bzdury.

- Oczywiście. Co pan proponuje z nim zrobić?

- Nie mam żadnych wątpliwości, że trzeba go zwrócić ostatniemu prawowitemu właścicielowi.

- Roland nie żyje, a Diego, jeśli jest tą mumią, którą widziałem, nie będzie w najbliższym czasie rościł pretensji do Durendala.

- Niech pomyślę... Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym na razie pożyczył sobie ten miecz?

- Oczywiście, że nie, choć mógłbym go wykorzystać do przebicia się przez kupę papierkowej roboty.

Sandecker zapalił cygaro i wrzucił zapalniczkę do kominka. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Zawsze uważałem, że ogień dużo lepiej wszystko załatwia niż nasza federalna biurokracja.

Parę dni później Sandecker wezwał Austina. W słuchawce telefonu zatrzeszczał jego głos:

- Kurt, jeśli masz chwilę czasu, wpadnij do mojego gabinetu. I weź ze sobą Joego. Jest u mnie kilka osób, które chcą się z wami zobaczyć.

Austin znalazł Zavalę w pracowni projektowej pojazdów głębokiego zanurzenia i przekazał mu polecenie szefa. Sandecker wprowadził ich do pokoju, który był centralnym ośrodkiem NUMA.

- Kurt, Joe, miło, że przyszliście - powitał ich wylewnie i wziął obu pod rękę.

Austin uśmiechnął się na tę obłudę admirała. Kiedy Sandecker kogoś wzywał, nie było wyboru. Ten, kto się spóźnił lub w ogóle nie przyszedł, miał okazję przekonać się, co znaczy gniew admirała.

Za Sandeckerem stał Balthazar Aguirrez i jego dwaj synowie. Bask rozpromienił się na widok Austina. Potrząsnął jego ręką, potem uścisnął dłoń Zawali.

- Zaprosiłem pana Aguirreza i jego synów, żeby podziękować im za pomoc w Kanadzie - wyjaśnił Sandecker.

- Nie zrobilibyśmy tego bez waszej pomocy - powiedział Austin, zwracając się do Basków. - Przykro mi z powodu śmierci waszego pilota i straty helikoptera. I rany Pablo.

Aguirrez zbył to machnięciem ręki.

- Dziękuję, przyjacielu. Helikopter to tylko maszyna, którą łatwo zastąpić inną. Jak widać, rana mojego syna szybko się goi. Szkoda mi pilota, ale jak wszyscy ludzie na moim jachcie, był dobrze opłacanym najemnikiem i doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka tego zawodu.

- Niemniej jednak to bolesna strata.

- Oczywiście. Cieszę się z waszego sukcesu, ale czy nie macie jakichś wiadomości o mieczu i rogu?

- Wygląda na to, że pańskie relikwie przebyły długą i trudną drogę - odrzekł Sandecker. - Dzięki notesowi znalezionemu przez Kurta w makabrycznym muzeum Barkera udało nam się odtworzyć ich historię. Pański przodek Diego żeglował z Wysp Owczych przez Atlantyk. Nie dotarł jednak do Ameryki. On i jego załoga zmarli, najprawdopodobniej z powodu jakiejś epidemii. Statek dryfował, aż dotarł do lodów polarnych. Zeppelin odkrył karawelę setki lat później podczas tajnego lotu do bieguna północnego i zabrał ciało pańskiego przodka. Awaria zmusiła potem sterowiec do lądowania na lodzie. Kiolya znaleźli go i zabrali ciała Diego i kapitana zeppelinina, Heinricha Brauna.

- Kurt opowiedział mi tę historię - odparł niecierpliwie Aguirrez. - Ale co z relikwiami?

- Proszę usiąść. Myślę, że czas na brandy - powiedział Sandecker.

Admirał wskazał gościom wygodne skórzane fotele na wprost masywnego biurka i podszedł do barku ukrytego w ścianie. Wrócił z butelką i napełnił kieliszki. Potem otworzył skrzyneczkę i wyjął garść specjalnie zwijanych cygar. Poczęstował wszystkich i poklepał się po górnej kieszeni marynarskiej kurtki.

- Chyba zgubiłem obcinacz do cygar. Nie macie panowie scyzoryka? Nie szkodzi. - Sięgnął do tyłu i położył na blacie miecz w pochwie. - Może to wystarczy.

Balthazar z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. Drżącymi rękami wyciągnął miecz z pochwy i uniósł go wysoko nad głowę, jakby wzywał do boju rycerzy Karola Wielkiego.

- Durenda! - wyszeptał.

- Róg otrzyma pan za kilka dni razem ze szczątkami pańskiego przodka - powiedział Sandecker. - Pomyślałem, że może pochowa pan te bezcenne relikwie z ich prawowitym właścicielem.

Balthazar wsunął miecz z powrotem do pochwy i podał synom.

- Prawowitym właścicielem jest naród baskijski. Wykorzystam miecz i róg Rolanda do zapewnienia Baskom suwerenności. - Uśmiechnął się. - Ale w pokojowy sposób.

Niebieskie oczy Sandeckera błyszczały wesoło. Był wyraźnie zadowolony, że udał mu się ten teatralny spektakl. Uniósł wysoko kieliszek.

- Wypijmy za to.

Później, tego samego dnia, do Austina zadzwonił Ryan. Wrócił już do Waszyngtonu. Poprosił o spotkanie w "zwykłym miejscu". Austin przyjechał na Roosevelt Island kilka minut wcześniej. Czekał pod pomnikiem, kiedy zobaczył nadchodzącego Ryana. Ryan był jeszcze błydy i wymizerowany po postrzale. Nie miał tego aroganckiego wyrazu twarzy, który tak drażnił Austina.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Dzięki, że przyszedłeś, Kurt.

- Jak się czujesz?

- Tak, jak musi się czuć tarcza strzelnicza.

- Nie jesteś przyzwyczajony - odrzekł Austin, myśląc o swoich bliznach po nożu i kulach. - Ale świadomość, że pokrzyżowałaś Barkerowi plany, powinna łagodzić ból. Gratuluję.

- Nie udałoby mi się bez pomocy Bena, Chucka i Diego Aguirreza.

- Nie bądź taki skromny.

- To ty jesteś skromny. Słyszałem o twoich przygodach na pokładzie zeppelinów.

- Mam nadzieję, że nie założymy towarzystwa wzajemnej adoracji - odparł Austin. - Nie chciałbym psuć naszej wspaniałej znajomości.

Ryan roześmiał się.

- Zaproponowałem to spotkanie, żeby cię przeprosić. Wiem, że byłem zarozumiały i apodyktyczny.

- Zdarza się najlepszym z nas.

- Jest jeszcze coś. Próbowałem wykorzystać Therri do uzyskania twojej pomocy.

- Wiem. Ale Therri jest zbyt niezależna, żeby ją wykorzystać.

- W każdym razie musiałem cię przeprosić, zanim się pożegnamy.

- Mówisz, jakbyś zamierzał zniknąć na zawsze za horyzontem.

- Za kilka dni wyjeżdżam na Bali, żeby zobaczyć, czy SOS uda się przeszkodzić w nielegalnym handlu żółwiami morskimi. Potem muszę pomóc w ratowaniu lwów morskich w Afryce Południowej i sprawdzić, co możemy zrobić z kłusownictwem w Parku Narodowym Galapagos. Jednocześnie będę zbierał fundusze na następcę "Sentinela".

- Ambitne plany. Życzę szczęścia.

- Będzie mi potrzebne. - Ryan spojrzął na zegarek. - Przepraszam, ale muszę lecieć.

Trzeba ustawić ludzi.

Poszli razem na parking. Uścisnęli sobie ręce.

- O ile wiem, w tym tygodniu będziesz się widział z Therri.

- Wybieramy się na kolację, kiedy tylko uporamy się z robotą biurową.

- Obiecuję, że nie przeszkodzę wam jak w Kopenhadze.

- Nie ma obawy - odrzekł Austin. Zerknął na niebo i uśmiechnął się tajemniczo. -

Tam, gdzie ją zabiorę, nikt nam nie przeszkodzi.

- Mogę dolać szampana, mademoiselle? - zapytał kelner.

Therri uśmiechnęła się.

- Bardzo proszę.

Kelner zręcznie napełnił kryształowy kieliszek. Potem skłonił się i wrócił na swoje miejsce, gotów na każde wezwanie. Był nienagannie ubrany, jego czarne, zaczesane do tyłu włosy lśniły od brylantyny, górną wargę zdobił cienki wąsik.

- Jest cudowny - szepnęła Therri. - Skąd go wzięłeś?

- Prosto z Orient Expressu - odrzekł Austin. Na widok powątpiewającej miny Therri dodał: - Powiem prawdę. Wypożyczyłem go z działu obsługi gastronomicznej NUMA. Pracował jako *maitre d'hôtel* w La Tour d'Argent w Paryżu, zanim Sandecker ściągnął go do NUMA.

- Wykonał kawał dobrej roboty, organizując naszą kolację - zauważyła Therri.

Siedzieli przy dwuosobowym stoliku nakrytym białym wykrochmalonym obrusem. Zastawa stołowa i sztuce były w stylu art deco. Ubrali się wieczorowo. Therri włożyła zapierającą dech czarną sukienkę bez ramiączek, Austin nowy smoking, który zastąpił poprzedni, zniszczony podczas wyścigu psich zaprzęgów w Waszyngtonie. Kwartet smyczkowy grał Mozarta. Therri wskazała głową muzyków.

- Przypuszczam, że są z Narodowej Orkiestry Symfonicznej.

Austin uśmiechnął się nieśmiało.

- To koledzy z działu konstrukcyjnego NUMA. Zbierają się w weekendy. Całkiem dobry zespół, prawda?

- Tak. Jedzenie też. Nie wiem, kto jest szefem kuchni, ale... - Therri urwała, widząc spojrzenie Austina. - Niech zgadnę. Też jest z NUMA.

- Nie. To mój przyjaciel, St. Julien Perlmutter. Koniecznie chciał przyrządzić nam dziś kolację. Później ci go przedstawię.

Nagle Therri straciła humor.

- Przepraszam, ale nie mogę przestać myśleć o Barkerze i potworach, które stworzył. To jakiś koszmar.

- Chciałbym, żeby to był tylko zły sen. Jednak Barker i spółka istnieli naprawdę. *Frankenfish*e też.

- Co za koszmarny typ. Pewnie nigdy nie dowiemy się, jak taki geniusz mógł się stać takim zbrodniarzem.

- Tym bardziej zaskakujące, że jego przodek był porządnym człowiekiem. Kiedy kapitan Frederick Barker zobaczył, że Eskimosi głodują, próbował powstrzymać swoich kolegów wielorybników przed zabijaniem morsów.

- Coś się musiało stać z jego genami.

- Wyobraził sobie, że jest ucieleśnieniem złego ducha.

Therri zamyśliła się.

- Co za ironia losu - powiedziała po chwili. - Barker był produktem wypaczenia genów. Taki sam proces wykorzystywał w swojej pracowni do tworzenia potworów z normalnych, łagodnych ryb. Za każdym razem, kiedy myślę o tych biednych, zdeformowanych stworzeniach, dostaję dreszczy. - W jej oczach pojawił się niepokój.

- Mam nadzieję, że ta sprawa na tym się zakończy.

Austin przytaknął.

- Barker rzeczywiście był geniuszem. Nic nie zapisywał. Wszystkie dane do swoich genetycznych eksperymentów miał w głowie. Ta wiedza umarła razem z nim.

- Nie ma żadnej gwarancji, że inny geniusz nie pójdzie w jego ślady.

- Nie, ale luki w prawie wkrótce znikną. Do Stanów nie będzie można sprowadzać bioryb. Europejczycy też są zdecydowani wykluczyć ze swojego menu *Frankenfishes* z frytkami. Bez rynku zniknie bodziec.

- A co z innymi ludźmi z plemienia Kiolya?

- Część aresztowano, część nie żyje, reszta uciekła. Bez Barkera ta banda przestała być groźna. Holdingi Barkera są rozgrabiane. Wilki rozrywają jego gigantyczną korporację na kawałki. A teraz pozwól, że o coś cię zapytam. Jaką widzisz dla siebie przyszłość w SOS?

- Rozstajemy się. Uznałam, że rajdy komandosów nie są w moim stylu. Zaproponowano mi stanowisko doradcy senatora Grahama do spraw ochrony środowiska.

- Cieszę się, że będziesz w pobliżu.

Kelner przyniósł do stolika czarny telefon.

- Pan Zavala chciałby z panem mówić.

Kurt usłyszał głos Joego:

- Przepraszam, że przeszkadzam w kolacji. Ale chcę cię zawiadomić, że niedługo zaczynamy schodzić w dół.

- Dzięki, że mnie uprzedziłeś. Ile mamy czasu?

- Wystarczy na jeden bardzo długi taniec.

Austin uśmiechnął się i odłożył słuchawkę.

- Joe dzwonił z kabiny sterowniczej. Niedługo lądujemy.

Therri popatrzyła przez wielkie okno na światła daleko w dole.

- Piękny widok. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Ale jakim cudem udało ci się załatwić zeppelin na naszą randkę?

- Musiałem pociągnąć za kilka sznurków. Niemcy gorączkują się, żeby odzyskać pierwszy statek powietrzny, który wylądował na biegunie północnym. Kiedy usłyszałem, że zeppelin ma przylecieć z Kanady do Waszyngtonu, zaproponowałem usługi doświadczonego pilota i w zamian za to zarezerwowałem na kilka godzin jadalnię. To był chyba jedyny sposób, żeby nikt nam nie przeszkodził w kolacji. - Spojrzał na zegarek. - Pilot powiedział, że mamy czas na jeden taniec.

- Bardzo chętnie.

Wstali od stolika i Austin podał Therri ramię. Przeszli do sali dansingowej z przyciemnionym światłami. Austin włączył magnetofon i z głośnika popłynęły łagodne tony orkiestry Glenna Millera.

- Pomyślałem, że przyda nam się trochę współczesnej muzyki.

Therri patrzyła przez okno na światła Wschodniego Wybrzeża. Odwróciła się i powiedziała:

- Dziękuję ci za ten wyjątkowy wieczór.

- Jeszcze się nie skończył. Po wylądowaniu możemy wypić u mnie drinka. Kto wie, dokąd nas zaprowadzi ta randka?

- Och, ja już wiem dokąd - odrzekła z marzycielskim uśmiechem.

Wziął ją w ramiona, wdychając zapach jej perfum, i zatańczyli wysoko nad ziemią wśród gwiazd.